

Steve Martini

# ŚWIADEK KORONNY

*Paul Madriani 02*

Przekład: Maciejka Mazan

Tytuł oryginału: PRIME WITNESS



*Dla moich Matek, Rity i Betty,  
za Ich uwagę, troskę i miłość*

# Prolog

Są ptakami ciemności – bezszelestnymi, groźnymi i dzikimi. Puchacz potrafi wycelować w oko człowieka w najgłębszym mroku bezksiężycowej nocy. Często atakują.

Wykonanie zadania, za które otrzymał niemal równowartość rocznej pensji, zajmie mu tylko trzy dni. Choć ryzyko jest duże, to najłatwiej zarobione pieniądze w jego życiu.

Już piątą noc z rzędu parkuje samochód wśród drzew nie opodal drogi. Wyjmuje Harveya z klatki, rozluźnia rzemyki i zdejmuje kaptur z głowy o potężnym haczykowatym dziobie. Wyciąga ramię, podnosząc nieco pięść w rękawicy, i zatacza nią półkole – sygnał dla ptaka, by wzbił się w niebo. Dwa potężne wachlarze skrzydeł rozpościerają się płynnym ruchem i wielkie ciało wznosi się w powietrze. Porywający widok, ożywiona i bezgłówna doskonałość. Patrzy, jak ptak znika w cieniu drzew, na niebie oświetlonym połówką księżyca.

Harvey, nazwany tak na cześć dwumetrowego niewidzialnego królika ze starego filmu z Jimmym Stewartem, jest niemal niezauważalny – trzykilowa piorunująca skrzydlata śmierć.

Zaczyna nasłuchiwać i po kilku sekundach dobiega go wymowny szelest składanych skrzydeł, jedyny dźwięk, jaki zdradza ptaka. To znak, że Harvey wylądował trzydzieści metrów wyżej, wśród masywnych konarów, na prowizorycznej żerdzi. W miejscu, które pozwala zaatakować pod lepszym kątem.

Zamyka samochód i sprawdza, czy znajduje się na tyle daleko od szosy, by nie zauważył go jakiś natrętny motocyklista albo jeszcze gorzej – miejscowy szeryf patrolujący okolicę. Ale od autostrady dzielą go prawie dwa kilometry, a nikt nigdy nie zapuszcza się na tę zaniedbaną zwirową drogę, zwłaszcza w nocy. Znalazł to miejsce na starej mapie, którą wydebił z biura sędziego okręgowego. Lepiej było nie prosić jej właściciela o dalszą pomoc. Im mniej wie, tym lepiej dla nich obu.

Przedziera się przez zarośla, przez płytki strumień aż do stóp drzew i zaczyna się wspinać. Idzie mu szybko dzięki zamontowanemu tu poprzedniej nocy sprzętowi – linom podciągowym i uprząży ze strzemionami zwanymi drabinkami. Przypina raki do butów i rozpoczyna wspinaczkę.

Sunie bez wysiłku między gałęziami krwistoczerwonego drzewa – trzy metry, cztery, a lina wije się pod nim na ziemi jak nie kończący się wąż. Zrezygnował z wyższych sosen oraz mocniejszego dębu i wybrał sekwoję, bo ma gładką korę i nie wydziela żywicy, która mogłaby zabrudzić liny.

Po czterech minutach, tylko lekko zadyszany, staje na platformie obok Harveya. Ptak

przysiadł na konarze parę metrów dalej.

Spogląda na zegarek. Zbliża się północ. Szybkimi ruchami uwalnia się od splątanych lin i zaczyna przygotowania. Zostało mu najwyżej pięć godzin mroku.

Szybko podaje Harveyowi przynętę, wyjąwszy ją z woreczka przytroczonego do pasa, z małej skórzanej sakiewki nabitej lśniąco metalowymi ćwiekami. Pokarm zawiera krew, strzęp ciała, części organów – pozostałości z zeszłej nocy. Na razie stan liczebny wynosił cztery. Jeśli szczęście mu dopisze, dzisiaj ta liczba się zaokrągli.

Przy Harveyu cały rytuał jest zawsze taki sam – najpierw przynęta, potem lot, następnie śmierć. Jeżeli dziś też tak pójdzie, ptak wróci za kilka minut z krwią na szponach.

Wysła Harveya w niebo z pewnym namaszczeniem, a później stoi, śmiertelnie spokojny i czujny, zwrócony w stronę nagich bazaltowych skał, wznoszących się trzydzieści metrów na zachód od doliny.

Zawsze odczuwa niepokój, kiedy Harvey lata swobodnie. Ten lęk wywołuje świadomość, że mimo wszystko jest to zwierzę, które pod wpływem jednego płochego mgnienia myśli może zniknąć za horyzontem i nigdy już nie wrócić. Jak uśmiech fortuny do szczęściarza, jak uczucie pięknej pani do kochanka, ten drapieżny ptak wraca do swego właściciela dla jednej jedynej przyczyny – ponieważ odpowiada mu jego towarzystwo. To rodzaj tych związków, w których nie wiadomo, kto jest panem, a kto sługą.

Kiedy on wyteża wzrok, wpatrując się w zachodnią stronę czarnego nocnego nieba, za jego plecami ptak wydaje niesamowity okrzyk, cienki jak głos zaszczutego, zdychającego dzikiego kota. Ponieważ wie, co oznacza ten dźwięk, dreszcz przebiega mu po plecach.

Odwraca się na platformie, usiłując nie stracić równowagi. Jego spojrzenie szybuje w dół, poprzez liściastą kopułę, aż do punktu trzydzieści metrów niżej, za wijącym się strumykiem. Wzrok nieruchomieje mu na ułamek sekundy, kształty zlewają się w oczach, niczym błysk flesza w księżycową noc. A potem pojawia się nad nim Harvey, szybując ociężale. Krew kapie mu ze szponów, a z jednej strony zwisa z nich to, co było celem szaleńczego lotu.

Ptak balansuje ryzykownie na jego pięści w rękawicy, podczas gdy on zмага się z ostrymi, zaciśniętymi szponami. Wyłuskuje z nich tę rzecz i turla ją na rozpostartej dłoni, osłoniętej rękawicą. Zakrwawiony strzęp o zdeformowanych kształtach przeszywa go szybkim dreszczem strachu. Bez namysłu rzuca go trzydzieści metrów w dół, w nurt strumienia.

To miejsce wydziela subtelną woń śmierci. Gzy i inne bzyzące stworzenia kłębią się w duchocie tego słonecznego południa w Putah Creek. Byłbym tu już przed godziną, gdyby nie chaos na autostradzie, gapiący się kierowcy, turyści nie mający nic przeciwko dodatkowej atrakcji w drodze z Sonoma Valley.

Znajdujemy się siedem kilometrów poniżej tamy, gdzie rzeka zwęża się w strumyk sączący się powoli przez głazy i okruchy żwiru wielkości piłek golfowych. Rodzący się dopiero upał zawisa nad skałami.

Widzę tu ludzi, których rozpoznaję, choć nie znam ich nazwisk. Gliniarzy, których spotykałem przez ostatnie tygodnie w biurze szeryfa w Davenport. Niektórzy brodzą po pachy w chwastach i chaszczach – policja nazywa to metodą badania terenu: trzech policjantów oddalonych od siebie na odległość ramienia przeczesuje okolicę w poszukiwaniu czegoś niezwykłego.

Za strumieniem wznosi się masyw, wyrzeźbiony w czarnej lawie przez rzekę. Wyżej na urwisku rośnie gęstwina drzew – dęby i kilka wysokich topoli muskających gałęziami cypel.

Ale obiekt mojego zainteresowania znajduje się po tej stronie strumienia, za żółtą policyjną taśmą ogradzającą kępę niskich drzew. Dostrzegam tam jedną poruszającą się postać, pochyloną nisko i oglądającą ziemię. Ma na sobie granatową kurtkę policyjną z wyraźnymi białymi literami na plecach, inicjałami: DS. Ta kobieta, niska, nieco przysadzista, jest ze stanowego Departamentu Sprawiedliwości.

Wysiadam z samochodu i ruszam w stronę oznaczonego terenu, przestępując kłęby poszarpanego ogrodzenia z drutu kolczastego, zwisającego z rozchybotanych, przegniłych i spękanych słupków. Na ziemi leży niewielki strzaskany metalowy znak z napisem „Wstęp wzbroniony”; rdza przeżarła go niemal na wylot, jakby tkwił tu od lat w kurzu i błocie.

Obchodzę teren poszukiwań, trzymając się w sporym oddaleniu, aż natykam się na ścieżkę biegnącą na przestrzał przez krzaki i zarośla. Wreszcie dostrzegam ich w małej kotlinie – leżących na plecach, z rozrzuconymi ramionami, jakby ich ukrzyżowano, zwróconych twarzami do palącego słońca – dwa bielejące nagie ciała o brzuchach pokrytych zakrzepłą rdzawą krwią.

Muchy i inne owady kłębią się tu gęściej niż gdzie indziej, a w powietrzu unosi się odór śmierci.

Ofiara najbliższej mnie, mężczyzna, ma zaciśnięte pięści. Mocno związane sznurem, przybrały siny kolor śmierci. Kończyny trupa są wyprężone tak, że niemal wyłamują się ze stawów, naciągnięte czymś, co wygląda na pokryty plastikiem szpagat, jakiego użyto na miejscu poprzednich zbrodni. Posłużono się metalowymi śledziami namiotowymi, wbijając je w ziemię tak głęboko, że wystają tylko ich zakrzywione czubki. Trochę krwi, nie za dużo, zakrzepło na podbrzuszu denata. Po tym poznaję, że – jak w wypadku wcześniejszych morderstw – tkwi tam piąty gwóźdź, którym przyszpilono ofiarę do ziemi. To on zadał śmiertelny cios.

Czytałem raporty dotyczące poprzednich zbrodni. Podobno ofiary zawsze giną w tandemie, mężczyzna i kobieta jednocześnie, zamordowani w ten sam sposób. Za każdym razem byli to studenci college'u. Gliny i policyjni psychiatrzy, którzy rozpatrują takie sprawy, powiedzieli mi, że to rytuał, znak rozpoznawczy, który łączy z przynajmniej dwoma innymi podwójnymi zabójstwami. Jednym w południowej części stanu, w Orange, a drugi w Oregonie.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na dwóch ciałach rozciągniętych na ziemi dziesięć metrów przede mną. Jestem wstrząśnięty nie tyle widokiem, ile niezaprzeczalnym faktem, że w tym wypadku morderca odstąpił od swojego zwyczaju. Kobieta ma lekką nadwagę, co koroner określi lekarskim eufemizmem „dobrze odżywiona”. Nad czołem mężczyzny piętrzy się prawdziwa grzywa splątanych siwych włosów. Tym razem zabójca nie wybrał młodych, studentów, którzy dotąd stanowili jego łup.

Mężczyzna ma ze sześćdziesiąt lat. Trudno to dokładnie ocenić, zważywszy na rodzaj śmierci. Co do kobiety, choć jej ciało poznaczone jest zmarszczkami i zniekształcone wiekiem, nie mogę snuć żadnych domysłów. Nie widzę jej twarzy. To chyba również znak firmowy zabójcy. Patrząc na ten pożałowania godny widok, zastanawiam się nad kaprysem losu, który mnie tutaj przywiódł.

Już jako dzieciak Mario Feretti był szurniętym sukinsynem, jednym z tych, których życie jest jak świeczka płonąca z obu stron. Od tygodnia coraz bardziej żałuję, że nie odrzuciłem jego prośby. Teraz, kiedy trzeci sort ofiar jeszcze nie ostygł, mój żal pogłębia się z każdą chwilą.

Mario zjawił się u mnie trzy tygodnie temu z opowieścią o swoim łańcuchu nieszczęść. Ma czterdzieści trzy lata i czeka go ciężka operacja serca. Jest żonaty, jego trójka dzieci chodzi do podstawówki. Dwóch członków rady okręgu chce go zwolnić ze stanowiska mianowanego prokuratora okręgowego hrabstwa Davenport. Są to ludzie, dla których nie istnieją żadne granice, żadna przyzwoitość. Według mnie Mario nie uznawał słowa „nie”.

Kiedy zjawił się w moim gabinecie, nadal wyglądał jak chłopak, którego pamiętałem z podwórkowych meczów i letnich podróży tratwą po rzece: te same głęboko osadzone dzikie oczy – dwie wielkie oliwki wprawione w wytrzeszczone białka – i wyraz twarzy zdradzający, mimo problemów zdrowotnych, kipiącą w nim wściekłość. Gdy mnie poprosił o czasowe przejecie stanowiska oskarżyciela okręgowego – tylko na kilka miesięcy, nie więcej, dopóki nie wyjdzie ze szpitala, nie stanie na nogi – nie mogłem mu odmówić. Teraz muszę ponosić konsekwencje.

Odwracam się od leżących na ziemi ciał.

Dziesięć metrów dalej stoi mężczyzna o twarzy jak wyprawiona skóra, w której najwyraźniejszym rysem jest cienki, garbaty nos i czoło pobrużdżone tak głęboko, jakby było spękane. Jest zwawy i drobny. To człowiek, który mnie tu wezwał.

Claude Dusalt waży z jakieś siedemdziesiąt kilo. Ten syn baskijskiego owczarza, imigranta, w dzieciństwie pasał wśród tych wzgórz owce. Przez ostatnie trzydzieści lat żmudnie przemierza te same tereny hrabstwa Davenport jako szef wydziału śledczego.

Kiedy mu się przyglądam, rozmawia ściszym głosem z policjantami, małą grupką chłonącą instrukcje dotyczące dalszego dochodzenia. Jeden z jego asystentów rozdaje niezbędne do tego celu akcesoria – małe torebki i przezroczyste plastikowe fiolki. Ci nie przeszkoleni funkcjonariusze będą zbierać zwykłe rzeczy, takie jak strączki, nasiona i inne części roślin, które mogły przylgnąć do ubrania, a także drobiny ziemi i próchnicy. Jeśli będą mieli szczęście, znajdą podobne ślady na odzieży podejrzanego.

Claude zauważa mnie, ale nie robi żadnego ruchu w moim kierunku, kiwa tylko głową na znak, że mnie dostrzegł. Ciągłe w ruchu, znowu jest zajęty prowadzeniem policjanta z kamerą wideo w stronę ogrodzonego żółtą taśmą terenu i ciał.

Dusalt ustawia kamerę pod różnymi kątami, robi zbliżenia zwłok. Części ubrań leżą schludnie zwinięte przy głowie każdej ofiary – spodnie i bluzki złożone równiutko, jakby położyła je tu zakochana w swoich dzieciach matka. I ta dziwna rzecz. Twarz kobiety morderca przykrył jej własnymi majtkami, gumkę zakładając pod brodę. Przez nogawki, pod częścią na krocze opinającą czubek jej głowy, przewłókł biustonosz, przez każdy otwór wysuwając jedną miseczkę, niczym groteskowe mysie uszy.

Stoję tam zamarty, znów zastanawiając się, jak się w to wpakowałem, wracając myślą do mojej wizyty u Maria w szpitalu dziesięć dni temu. Oddychanie sprawiało mu trudność.

– Nie będziesz musiał sam prowadzić sprawy – zapewnił mnie. – Podczas śledztwa tylko patrz im na ręce. Bądź przy wszystkich rewizjach. Rozmawiałem z sędziami – poinformował. – Wszyscy wiedzą.

Powiedział mi, że jest mu już lepiej. Twierdził, że wróci do pracy za trzy miesiące, a więc jest mnóstwo czasu na przygotowanie się do procesu, jeśli do niego dojdzie.

Byłem ciekaw, którą fajkę palił tego dnia Mario. Przypominał śmierć uwędzoną w kuchence mikrofalowej. Zaledwie trzy dni temu wyszedł spod noża chirurga, po ciężkiej operacji, która odsączyła z jego ciała każdą drobinę życia; sprawiła, że wyglądał jak blado seledynowy duch na tle białych szpitalnych prześcieradeł.

Cienka, przezroczysta plastikowa rurka okalała jego twarz i mierzwiła włosy jak słuchawki walkmana, tyle że dobiegał z niej tylko stłumiony szum sprężonego tlenu, wysyłanego przez dwie małe rurki, umieszczone pod każdym nozdrzem. Widziałem przez nie, jak pochód krwawych pęcherzyków toruje sobie drogę z jego ciała do butelki; rodzaj klepsydry przypominającej mi, że czas, jaki mogę z nim spędzić, jest ograniczony.

Rozmawialiśmy przez chwilę o morderstwach i prowadzonym dochodzeniu. Oddech Maria stał się chrapliwy. Potrząsnął głową w stopniu, na jaki pozwalał mu jego stan.

– Chory – rzekł. Wyciągnął rękę w stronę przycisku, wzywając pielęgniarkę. – Chory.

Przez chwilę zdawało mi się, że mówi o sobie, ale wkrótce zrozumiałem, że nie. Mario Feretti opisywał tego, którym miałem się teraz zająć – tego, którego gazety w tym stanie nazwały „mordercą z Putah Creek”.

– Psychiatrzy się ucieszą. – Jakiś głos wyrywa mnie z zamyślenia. Dobiega spoza moich pleców, zza strumienia.

Odwracam się. To Denny Henderson, drugi pomocnik Dusalta. Spogląda na leżące na ziemi ciała. Henderson ma płowe włosy, pecha i nadwagę. Jest ubrany w białą koszulkę polo, naciągniętą na brzuchu jak na bębnie. Dostrzegam na niej ślady niegdysiejszych posiłków, które zostawiły wysane nitki spaghetti. Twarz ma całą w dziobach – ofiara młodzieńczego trądziku.

– Denny, jak leci?

Ścisła moją dłoń. Mówimy sobie po imieniu, co oznacza, że jestem w gronie błogosławionych. Nie zawsze tak było. W Davenport, gdzie zdarzało mi się czasem przechodzić do obozu wroga, by bronić klienta, Denny Henderson trzymał się ode mnie z daleka.

– Jakież ślady? – pytam.

Kręci głową.

– Tak jak poprzednim razem. – Patrzy na ciała. – Facet nie popełnia wielu błędów.

Fotograf policyjny robi teraz zdjęcia metalowego ćwieka, przygważdżającego prawą pieść mężczyzny. Jedno zbliżenie z małą podziałką i jedno zdjęcie ogólne. Postępuje tak z



każdym gwoździem.

– Wcześniej czy później wpadnie – oznajmia Henderson. W jego głosie słychać frustrację, a to, co mówi, sprawia wrażenie pobożnych życzeń.

Dusalt dostrzega nas i kiwa na Hendersona – chce mu powierzyć parę drobiazgów. Pewnie woli, żeby Denny nie rozmawiał ze mną za długo. Na swój sposób Henderson jest murzynem Claude'a, choć nie widać, żeby się tym martwił.

Wysławszy Denny'ego gdzie indziej, Dusalt zbliża się do mnie.

– Panie Madriani – odzywa się. – Uznałem, że powinien pan tu być. Mam nadzieję, że nie sprawiłem panu zbyt wiele kłopotu.

– Nie – odpowiadam. – Cieszę się, że pan zadzwonił.

Nakładamy maski zwykłej uprzejmości, jakby w tę słoneczną niedzielę nie było nic miłszego niż patrzenie z bliska na śmierć.

Potrząsa moją rękę. Jest przy tym oficjalny i sztywny. To jeden z tych chudych mężczyzn o żelaznych mięśniach. A wyraz jego twarzy – znękany i ponury – każe się domyślać, że Claude cierpi na wrzody lub hemoroidy.

– Ponieważ jest pan nowy, uważałem, że dobrze będzie pana wprowadzić.

– Jestem bardzo wdzięczny – zapewniam.

Sprowadzono go tutaj z pikniku, na który pojechał z rodziną. Nie ucieszył się tym, ale twierdzi, że jego rodzina to rozumie. Jeśli to prawda, jest bardziej wyrozumiała niż moja.

– Wiadomo już, kim są? – pytam. Idę w kierunku dwóch ciał.

– Jeszcze nie ustaliliśmy ich tożsamości – mówi. – Sprawdzimy, czy w ubraniach są dokumenty, kiedy zrobimy zdjęcia. – Policjanci nie dotykają niczego, dopóki nie wykonają precyzyjnych szkiców i fotografii dokumentujących położenie każdego drobiazgu.

– Dziś rano znalazły ich dzieciaki przechodzące koło strumienia – informuje Claude.

Wskazuje dwóch nastolatków – jeden z nich jest właśnie przesłuchiwany, drugi, jakieś pięć metrów dalej, opiera się o wóz policyjny. Ten przesłuchiwany jest czerwony z przejęcia, ten drugi – zielonkawy. Policjanci nie pozwalają im rozmawiać ze sobą, dopóki nie skończą zeznawać. W ten sposób ich relacje będą niezależne od siebie i można je będzie porównać.

– Polowali na przepiórki – ciągnie Claude. – Weszli na teren prywatny. Znaleźli więcej, niż się spodziewali.

Patrzę na ciała.

– Co mówi lekarz? To samo co poprzednio?

Dusalt krzywi się – mina jak ze Starego Świata, masa zmarszczek i wygięte usta – potem kiwa głową.

– Prawdopodobnie – oświadcza, ignorując oczywisty fakt, że ci dwoje na ziemi nie są studentami college’u.

To już trzecie morderstwo w ciągu niespełna dwóch tygodni w tym prowincjonalnym hrabstwie, w którym sensacją jest zwykle poniedziałkowa lista aresztowanych za jazdę po pijanemu w czasie weekendu.

– Robimy odlew śladu opon. Z tej zwirowanej drogi. Jakiś pojazd parkował tam za krzakami – mówi. – To dość trudne – przyznaje. – Równie dobrze mógł go zostawić ostatniej nocy zabójca, jak i rodzina, która tydzień temu była tu na pikniku. – Wzrusza ramionami. – Mamy też część odcisku buta wewnątrz ogrodzenia.

To mnie trochę ożywia.

– Wygląda, jakby ktoś biegł, dość mała stopa – dodaje. – Przypuszczamy, że to ślad jednego z dzieciaków. Przeraziły się.

– To zrozumiałe – komentuję.

– Chłopcy zostawili wszędzie drobne ślady, jak rozpierzchnięte kurczęta.

Przy wozie patrolowym technik policyjny robi odlew śladów młodych ludzi, żeby porównać go ze znalezionym odciskiem buta.

W krzakach za żółtą taśmą, za płytkim strumieniem, powstaje jakieś poruszenie – tuzin rezerwowych funkcjonariuszy, część oddziałów lokalnych i grupa ratownicza. To im przypadła w udziale czarna robota. Jeden z policjantów przechodzi przez strumień i zbliża się do Claude’a.

– Poruczniku, proszę spojrzeć. – Ciężkie buty mężczyzny umazane są błotem po kostki. Ma na sobie uniform członka ekipy poszukiwawczo-ratowniczej, pomarańczowy kombinezon z pasem i kajdankami na wszelki wypadek. W ręce trzyma plastikową torebkę. Dusalt kładzie ją sobie na otwartą dłoń i przygląda się jej. Mały, pogięty kawałek metalu. Wygląda, jakby oderwał się od jakiejś większej całości. Claude się krzywi.

– Co to? – pyta.

– Fragment raków – wyjaśnia policjant.

Claude wzrusza ramionami, bo nic mu to nie mówi.

– Używa się tego do wspinaczki. Proszę przejść przez strumień i popatrzeć.

Dusalt odwraca się ode mnie, odgradzając mnie ramieniem od podwładnego. Rozmawiają ściszymi głosami, więc już ich nie słyszę.

Dwaj mężczyźni przechodzą przez strumień, zapominając o mnie. Niepewny, czy powinienem, idę za nimi. Claude odwraca się i patrzy na mnie. Usiłuję odgadnąć z jego zbolalej miny, czy zamierza skopać mi tyłek za to, że zamazuję swoimi śladami teren

poszukiwań.

Potem odzywa się:

– Zapomniałem butów. – Na jego twarzy pojawia się głupi uśmiech. Dusalt przyjechał tu, podobnie jak ja, w sedanie swojej rodziny. Jego mundur i ciężkie buty zostały w jednostce. Patrzy na swoje białe, lekkie nike airs po sto dwadzieścia dolców para, i wzrusza ramionami. W błocie po kolana podąża za policjantem na drugi brzeg rzeki. Spoglądam na swoje bostony po dwieście dolców para, które wpadły mi w rękę, kiedy dostałem wiadomość, i myślę sobie, że ostatni będą pierwszymi. Ciekawość ma swoje granice. Usadawiam się, suchy i wyniosły, na brzegu strumienia, rozpatrując swoje położenie.

To, co zaczęło się jako przysługa dla przyjaciela, stało się brzemieniem obciążającym moje życie we wszystkich jego aspektach. Żona jest wściekła – chyba już dojrzała, żeby mnie porzucić – dziecko zaniedbane, moja praktyka prywatna w stolicy oddalonej o trzydzieści kilometrów – w gruzach. A wszystko dlatego, że grzeczność wyświadczona kumpłowi zżera mi każdą godzinę czuwania. Dwa dni temu nastąpił druzgocący cios – telefon o trzeciej nad ranem, głos, którego nie znałem, pielęgniarka ze szpitala Dobrego Pasterza. Mario Feretti nie żyje. A teraz sędziowie hrabstwa Davenport zwięzali mnie i zamknęli na czas trwania wojny.

Patrzę, jak Claude i ten drugi przedzierają się przez gęste zarośla do stóp wielkiego drzewa. Już nie słyszę ich głosów. Ale wysoki policjant wskazuje w górę, na drzewo. Przyglądam się, lecz niczego nie widzę. Kilku facetów z ekipy poszukiwawczo-ratowniczej kręci się w okolicy. Po raz pierwszy zauważam, że jest z nimi technik zabezpieczający dowody rzeczowe. Pomagają mu niczym nieśmiałej oblubienicy, zapinając na nim ciężki pas. Technik zaczyna się wyklócać.

– Nie płacicie mi aż tyle... – mówi. Jego głos cichnie. Teraz przekładają mu ten pas między nogami. Dusalt ma pełne ręce roboty, trzyma torbę technika i przemawia do niego po ojcowsku.

Jeden z facetów z ekipy wyciąga rękę i kiedy nią porusza, dostrzegam ją – cienką linkę lśniąca w jasnym południowym słońcu, chwiejącą się niczym pajęcza nić, gładką linkę zwisającą z drzewa. Przypinają ją do pasa opinającego talię technika.

Trzech cięższych facetów z ekipy chwytą linkę i zaczyna ciągnąć z całych sił. Technik odrywa się od ziemi, mała torba na dowody rzeczowe dynda mu u stóp. Trzech gości przy linie zaczyna śpiewać powolną, ponurą pieśń:

*Ciągnij, ciągnij, płyniemy po lepszą pogodę...*

Zanim doszli do końca pierwszej linijki, już wszyscy się śmieją.

– Powoli – ostrzega technik. – Spokojnie.

Zachowuje się jak dziecko, które ma skoczyć z wysokiej trampoliny.

– Trzymajcie mocno – upomina Claude.

Kolejna fala chichotów. Technik wisi już sześć metrów nad ziemią i szybko się wznosi. Po trzech sekundach znika ponad liściastym sklepieniem, niczym statek kosmiczny w warstwie chmur. Z mojego miejsca na brzegu strumienia nadal go widzę. Po raz pierwszy rozumiem, czemu nie palił się do tej roboty. Teraz jest już na wysokości piętnastu metrów, zawieszony jedynie na cienkiej linie.

Dusalt ocienia sobie oczy dłonią jak daszkiem. Ale stracił już faceta z oczu. Za sekundę przeprawia się z powrotem przez strumień, tu gdzie stoję i skąd jest lepszy widok.

Zbliża się do mnie z uśmiechem. W tym makabrycznym podwójnym morderstwie jest jakaś specyficzna żartobliwość, którą zrozumieć może tylko ktoś, kto regularnie ma do czynienia z bólem. Ja zachowuję bezstronność. Moja sympatia jest po stronie biednego technika, który wisi już na wysokości dobrych dwudziestu metrów.

Wreszcie dostrzegam to, w prostej linii nad jego głową – małą drewnianą platformę w rozwidleniu dwóch potężnych gałęzi. Gdyby nie prowadząca do niej lina, byłaby niewidoczna.

Claude przeszedł już przez strumień. Za każdym wilgotnym stąpieniem usiłuje otrząsnąć błoto i wodę z butów.

Patrzę na technika.

– Co to? – pytam.

– Chyba dla obserwatorów ptaków – wyjaśnia Dusalt. – Lina sprawia wrażenie, jakby wisiała tu od pewnego czasu. Niektórzy z nich są szurnięci – mówi – głupszy niż te ptaki, które obserwują. Ale jeszcze to sprawdzimy.

Technik dotarł do platformy. Trzyma linę jedną ręką, by chronić miłe mu życie, a drugą usiłuje podciągnąć się na podest. Nie udaje się. W ostatecznej rozpaczycy puszcza linę i wpada na platformę. Odbija się od drzewa i wypada na zewnątrz, zabezpieczony jedynie uprzężą w pasie. Ześlizguje się w dół. Rozpaczliwie wpija się w linę i odzyskuje równowagę.

Claude śmieje się do siebie.

– Nieźle – zauważa. – Masz wrodzony talent do wspinania się. Daleko zajdziesz.

Zza rzeki dobiega śmiech. Człowiek na drzewie nie jest tym zachwycony.

Echo niesie słowa.

– Sam tu wleź i to zrób!

– Dobrze ci idzie – zachęca go Claude. Znowu śmieje się do siebie.

Po drugiej próbie mężczyzna dociera do platformy. Leży teraz na brzuchu jak śnięty

wieloryb, bez ruchu, tuż przy krawędzi. Albo odpoczywa, albo paraliżuje go lęk wysokości.

– Co widzisz? – pyta Dusalt.

Z góry dobiega ciężkie dyszenie, stłumione słowa i wreszcie wyraźne zdanie:

– Jakiegoś pieprzonego dupka w zabłoconych tenisówkach.

Facet nie stracił tak zupełnie poczucia humoru. Ale nie poruszył się ani o centymetr, odkąd znalazł się na platformie. Przywarł do niej jak zaszczuty kot. Zaczynam sądzić, że trzeba go będzie stamtąd ściągnąć. Wspomniawszy jego nędzne poczucie humoru, zaczynam się martwić, czy nie będą woleli go zestrzelić.

– Mów, co widzisz – rozkazuje Claude. – Zrób to i złaź.

Upływa kilka sekund – nic. Teraz jednak mężczyzna porusza się po platformie. Podniósł się na czworaka, lecz jedną ręką ciągle trzyma linę.

– Masz coś? – nalega Claude. – Powiedz, co widzisz.

Staje się niecierpliwy. Mija kilka sekund milczenia. Potem przez liście sączą się słowa:

– Krew – informuje technik. – Tu jest krew.

Patrzę na Claude'a Dusalta. Już się nie uśmiecha.

Harry nie golił się od dwóch dni. Wygląda dość kiepsko, ale cieszy się, przynajmniej przez chwilę, na mój widok. I słusznie. Mam podpisany przez sędziego z sądu apelacyjnego rozkaz zwolnienia Harry'ego Hindsa z aresztu. Harry jest dziś zaproszony na kolację. Pogadamy o tym, jak podzielić moją praktykę, dopóki nie wyrwę się ze sprawy Putah Creek. Nikki wybrała się po zakupy na obiad. Ja poszedłem po Harry'ego.

– Pieprzony Acosta – mówi. Czcigodny Armando Acosta, sędzia z piekła rodem, kocha się w nas bez wzajemności. Napsuliśmy mu krwi na procesie w sprawie morderstwa Talii Potter. Zdaje się, że Harry nie miał tyle szczęścia co ja. On nie uciekł przed gniewem Acosty. Od tego procesu Świrus mści się na nim. Acosta – zawsze dyplomata – nie przedsięwzięłby czegoś tak oczywistego jak otwarty atak na prawnika, z którym ma prywatne zatargi. Zamiast tego urządza zasadzki na Harry'ego, który brał bardzo niewielki udział w sprawie Potter, i dręczy go na każdym kroku. W wypadku Harry'ego to nietrudne.

– Ten facet to kretyn – oświadcza Harry. – Kompletny szajbus – dodaje. Wypowiadając tych sześć słów, podnosi głos o oktawę.

Słyszą go wszyscy obecni w małym pomieszczeniu na posterunku – przeważnie policjanci i ich zatrzymani. W sądzie Harry okazywał tylko odrobinę więcej taktu; to przez te błazeństwa tu wylądował. Siedzący za biurkiem strażnik więzienny, zastępca szeryfa, którego nigdy przedtem nie spotkałem, niewątpliwie notuje to wszystko w pamięci. Za godzinę Acosta dowie się o tej najnowszej potwarzy. Piętnaście lat w zawodzie obrońcy przestępców nie zjednało mu wielu zwolenników wśród pracowników więzienia. Harry bierze małą kopertę zawierającą cały jego dobytek. Ciągnę go w kierunku drzwi, zanim zdąży bardziej narozrabiać.

Od ogłoszenia wyroku w sprawie Potter przez siedem miesięcy udawało mi się trzymać z daleka od sądu Acosty. Aby tego dokonać, musiałem dwa razy złożyć mu oświadczenie pod przysięgą. Prawnicy stanowią uciekają się do tego wybiegu, kiedy chcą odsunąć od sprawy sędziego, nie podając przy tym przyczyny. Nie mogę drażnić Acosty ze względu na ledwie skrywaną niechęć, jaką do mnie żywi. Gdybym to zrobił, rozbudziłbym wściekłość jego braci z sali sądowej. Takie są niepisane prawa tego sanhedrynu, który nazywamy sądem.

Uwieńczona sukcesem obrona Talii Potter była najjaśniejszym punktem mojej kariery, aż do dziś. Talię oskarżono o zamordowanie męża, znanego w mieście prawnika, który

podobno zamierzał kandydować do Sądu Najwyższego. Wtedy po raz pierwszy pracowałem z Hindssem.

Harry usiłuje opowiedzieć mi, co się zdarzyło w sądzie, jakby wylanie żalów przed kimś, kto go rozumie, stanowiło jakąś różnicę.

– Wiem – mówię. Próbuję go mitygować, przynajmniej dopóki nie wyjdziemy. Stosunki Harry’ego i Acosty się pogorszyły. Dwie wcześniejsze konfrontacje zaowocowały jedynie surowym upomnieniem i zbesztaniem Harry’ego na oczach klientów.

Z przyczyn, których nie pojmuję – może ze względu na zbyt upór – Hinds odmawia założenia oświadczenia przed sędzią, a Świrus jest tym zachwycony.

Idąc tutaj, wstąpiłem do biura zastępcy Acosty. Nie mógł sobie odmówić przyjemności przedstawienia mi w zatłoczonej windzie swojego wariantu wydarzeń.

– Odszczekiwał się sędziemu – informuje. – Sędzia Acosta po prostu nie miał wyboru.

To wersja człowieka, który dla Acosty robi wszystko, nawet od czasu do czasu poleruje spiczaste noski jego butów.

Przebieg wydarzeń uwieczniono w protokole. Wykorzystałem to, starając się w sądzie apelacyjnym o nakaz zwolnienia. Acosta wyprowadził Harry’ego z równowagi jakimiś bzdurnymi zarzutami w kwestii dowodów. To specjalność Świrusa. Sprzeciwy Harry’ego sąd zbijał i odrzucał. Hinds obdarzył Acostę kilkoma wyszukаныmi epitetami. Harry zapewnia, że mówił po cichu, i nazywa je „prywatnymi spostrzeżeniami”, jakby Świrus naruszył jego prywatność, podsłuchując go.

Nie współczuję znanemu Hindsowi. Choć niektóre z jego określeń Acosty są po prostu stwierdzeniem faktu – wiedzą to ci, którzy znają sędziego.

Harry uważa, że Acosta ma bardzo czuły słuch. Na jego nieszczęście również protokółantka nie cierpi na głuchotę. Stąd w protokole znalazły się co lepsze fragmenty prywatnych przemyśleń Hindsa.

W końcu Harry’emu zasądzono trzysta dolarów grzywny. Nie ma wątpliwości, co było dalej. Hinds sięgnął do kieszeni i wyłuskał ze swojego ozdobnego portfela pięć zmiętych studolarowych banknotów. Podszedł do sędziego i umieścił je obok jego młotka.

Nie musiałem tam być, żeby wiedzieć, iż w oczach Acosty zapłonął ogień. Nie jest jakimś kasjerem, stworzonym do inkasowania pieniędzy. Ale nie mógł sobie darować ostatniego strzału. Patrząc na stosik banknotów, zwrócił się do Harry’ego:

– Liczenia uczyli pana tam gdzie manier, panie Hinds. Powiedziałem: trzysta.

Harry spojrzał na niego i oznajmił:

– Proszę mi to dopisać do rachunku, panie sędzio. Jeszcze nie skończyłem.

Acosta skazał go na trzydzieści dni. Wyrok zbyt surowy, sąd apelacyjny zgodził się z tym w zupełności. Nawet urażenie nietykanej dumy Świrusa nie usprawiedliwia trzydziestodniowej odsiadki w stołecznych kazamatach.

– Jesteś moim dłużnikiem – oświadczam Harry’emu.

– Coś ci poradzę: zastrzel tego fiuta, a cię uniewinnię – odpowiada. Ma na myśli Acostę.

Cieszę się, że opuściliśmy więzienie. Grożenie sędziemu, nawet w żartach, nie jest dobrze widziane w szeregach policji.

Harry sprawdza teraz swój portfel i przelicza pieniądze, które miał przy sobie, kiedy go zapuszkowali, banknot po banknocie. Oto, jak ufa glinom. Pobyt w więzieniu nie wstrząsnął nim zanadto. Sądzę, że tak jak człowiek z La Manczy, Hinds uznaje ten drobny epizod za część jakiegoś szlachetnego zadania.

Na schodach prowadzących do więzienia jak zwykle kłębi się tłum. Przeważnie krewni i inni bliscy tych w środku. Zastanawiają się, czy szarpnąć się i zapłacić kaucję, czy też uiścić czynsz za następny miesiąc.

Harry i ja przedzieramy się przez tę armię stałych bywalców więzienia i stajemy na chodniku przed budynkiem. Niedaleko zaparkowałem wóz, kierujemy się ku niemu.

Hinds jęczy, że chce wziąć prysznic. Wygląda na to, że jakoś nie miał okazji skorzystać z normalnych w miejscu odosobnienia udogodnień.

– Po tych wszystkich latach woląłem zostać dziewicą – wyjaśnia. Jak większość obrońców, nawet Harry ma swoje wymagania. Bronić tych ludzi – to jedno, a brać z nimi prysznic – to zupełnie co innego.

Proponuję, żebyśmy po drodze wzięli z jego domu świeże ubranie. Wykąpiemy się i ogolimy przed kolacją. Nikki, moja żona, będzie nam wdzięczna za ten pomysł.

Hinds zaczyna się ociągać, aż wreszcie zatrzymuje się przy kiosku z prasą na rogu i dołącza do niewielkiego tłumku, molestującego kioskarza o gazetę. Naciąga mnie na pięćdziesiąt centów. Widać więzienny budżet nie obejmuje wydatków na gazetę codzienną. Harry chce się upewnić, że świat jakoś sobie radził bez niego przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

– Za dziesięć minut muszę zabrać Sarah od opiekunki – informuję.

– Chwileczkę – powstrzymuje mnie Harry. Toruje sobie drogę zupełnie inaczej niż porządnie ustawiający się w kolejce Anglik: zwiesza głowę, a prawe ramię wystawia jak klin. Zachowuje się niczym kret w czasie rui. Zdaje się, że przeszedł dobrą szkołę. Pewnie w więzieniu w kolejce do automatu telefonicznego. Popycha stojącego przed nim mężczyznę.



Ten rzuca mu straszne spojrzenie, a potem przenosi je na mnie, jakbym to ja namówił Hindsa do tego.

Ta gapiąca się na mnie twarz coś mi przypomina. Stoimy naprzeciw siebie. Jedna z tych niezręcznych chwil. Postarzał się, ale chyba to samo mógłby powiedzieć o mnie.

Po paskudnie przedłużających się sekundach milczenia odzywa się:

– Pan Madriani. Szmat czasu.

Nie wydaje się szczególnie wrogo usposobiony. Ale coś w jego głosie mówi mi, że gdyby mógł, zepchnąłby mnie prosto pod koła pędzących autobusów.

Stoimy, Harry pochłonięty lekturą. Nie wiem, czy powinienem ich sobie przedstawić. Adrian Chambers i Harry Hinds mogą stanowić mieszankę wybuchową.

– Tak, to już parę lat – potwierdzam.

– Dokładnie dziesięć.

Nie spotkałem Adriana Chambersa, odkąd skazano go za namawianie do krzywoprzysięstwa i wykluczono z grona prawników. Ma czterdzieści parę lat, ale wygląda znacznie starzej. Z włosów, które pamiętam jako brązowe i naturalnie faliste, pozostał tylko siwy wianuszek za uszami. Jest krótko przystrzyżony, w stylu militarnym. W końcu był kiedyś marynarzem. Wokół czoła delikatne cienie, kilka plam wątrobianych czai się pod amebowatą skórą. Kilka razy zdarzyło mi się widzieć jego uśmiech, blady i krzywy. Zawsze sprawiał wrażenie wymuszonego. Nie znaczy to, że facet nie ma poczucia humoru, ale najbardziej bawi go szkodzenie innym. Adrian to sama pogarda, i to skoncentrowana.

Gdybym po tych wszystkich latach minął go na ulicy, pewnie bym go nie poznał, z wyjątkiem dwóch cech, które nigdy się w nim nie zmieniają: ciemnych przenikliwych oczu, zimnych jak metal, i twardego, muskularnego ciała – trzymanie formy było obsesją eksmarynarza. Kiedy tak teraz stoimy, mierząc się wzrokiem, przychodzi mi na myśl, że Adrian Chambers zupełnie przypomina Roberta Duvalla w roli Wielkiego Santiniego.

– Słyszałem, że już nie pracujesz w OKP. – Brzmi to tak, jakby o mnie pytał.

– Od pewnego czasu. – Chodzi mu o Okręgową Kancelarię Prawniczą, gdzie przepracowałem ponad dziesięć lat.

– Szkoda. Tak na to czekałem. Na to, że znów spotkam się z tobą w sądzie – oznajmia.  
– Czekałem na to długo.

– Ciągłe tu jestem – odpowiadam. – Tylko po drugiej stronie, przy stoliku obrońcy.

– To nie to samo – stwierdza.

Patrzę na niego zdziwiony. Co za różnica dla byłego prawnika?

– Publiczności wolno przysłuchiwać się rozprawom – mówię. – Przyjdź, usiądź na

widowni. Możesz gwizdać, jeśli chcesz. – Uśmiecham się do niego lekko, bo nasza niemiła rozmowa dobiega końca.

Harry znalazł to, czego szukał w gazecie. Sądząc z jego spojrzenia, mógł sobie oszczędzić wysiłku, a mnie pięćdziesięciu centów.

– O, więc ci nie powiedzieli? – dziwi się Chambers.

Czeka na moją reakcję, ale nie daje się podpuścić.

– Znow jestem prawnikiem. Myślałem, że wiesz, że ty wiesz na pewno, byłeś przecież tak bardzo zaangażowany w moją sprawę.

Chyba mój pusty wzrok daje mu pewną satysfakcję – słyszę to po raz pierwszy.

– No tak, już od kilku lat – ciągnie. – Wbrew powszechnej opinii życie po zwolnieniu z funkcji istnieje. Sąd stanowy uznał, że jestem zrehabilitowany.

– Aha. – Mógłbym mu pogratulować, zapewnić, że się cieszę, ale byłoby to kłamstwo. Co gorsza, on o tym wie. Jego podejrzliwość wynika bardziej z nawyku zawodowego niż czegokolwiek innego, nawet mimo czasu spędzonego za kratkami, co leży u podstaw jego niechęci do mnie. Chambers spędził w więzieniu dziewięć miesięcy, wyłącznie dzięki pobłażliwości sędziego. Chociaż popełnił przestępstwo, sąd wziął pod uwagę fakt, że jest prawnikiem, jedną z owieczek, kimś bez kryminalnej przeszłości. Wyjątkowe prawa dla wyjątkowego plemienia. Kogoś, kto nie jest prawnikiem, za to samo czekałaby niezła odsiadka.

– Praktyka już nie ta sama – kontynuuje. – Trochę skromniejsza, mniej ambitna. – Myśli o dawnych czasach, przed sprawą Waltera Henleya, kiedy miał tuzin współpracowników i elegancką kancelarię obok sądu, a także partnera, który zwiął z całym majątkiem, gdy on poszedł do więzienia.

Harry włącza się wreszcie do rozmowy. Staje za mną, Chambers spogląda na niego. Ponieważ Hinds ma wymięty garnitur i zarost, bierze go pewnie za jednego z moich klientów. Na pewno sądzi, że podupadam.

– O, nie czuję żalu – mówi. – Wierz mi, nie żywię urazy. Co się stało, to się nie odstanie. Wszystko przemija – dodaje. – No, wiesz.

– Jasne – potakuję.

– Nie płaczmy nad rozlanym mlekiem – wtrąca się Harry. – Wybaczyc i zapomniec. – Marszczy brwi, usiłując przypomniec sobie coś więcej. – Porzucicie zlosc – dorzucza. – Oddalcie uraze. Błogosławieni pokorni i cisi.

Chambers patrzy na niego wzrokiem, w którym maluje się pytanie: Co to za dupek?

Harry wyciąga do niego rękę, nie chcąc dłużej trzymać go w niepewności.

– Harry Hinds – przedstawia się.

Adrian Chambers przygląda się jego ręce, ale jej nie dotyka.

– Wybaczenie koi duszę – oświadcza Harry. – Odsiadka była ciężka? – Wyraźnie go urabia. Widać wyczuwa w nim przyszłego klienta.

– Nie. – Chambers obdarza go spojrzeniem zwykle zarezerwowanym dla czegoś rozjechanego na szosie.

– A twoja?

Hinds zerka na swoją marynarkę, wymiętą i brudną, jaką mógłby nosić bezdomny.

– Och, nie – powiada. – Ja tylko wkurzyłem Świrusa.

Chambers ma dziwny wyraz twarzy. Pewnie usiłuje zgadnąć, z którego szpitala facet zwiął.

– Ale pochwalam pańską postawę. To pierwszy krok na drodze do rehabilitacji – ciągnie nie zrażony Harry.

– Co mianowicie? – pyta Chambers.

– Szczera skrucha – wyjaśnia Hinds. – Sprawdza się też przy wydawaniu wyroku. Mówię to wszystkim moim klientom.

– Ach tak?

Znając Chambersa, nie mam wątpliwości, że tak jak klienci Harry’ego, potrafi okazywać skruchę na zawołanie. Z pewnością w ten właśnie sposób odzyskał prawo do wykonywania zawodu.

Adrian Chambers uśmiecha się do mnie ustami napiętymi jak struny bandzo.

– Do zobaczenia wkrótce – mówi. Brzmi to tak, jakby radził mi uważniej się rozglądać, kiedy będę tędy przechodził.

– Nie sędzę. Jestem teraz trochę zajęty, wrobiłem się w dochodzenie poza miastem. – Usiłuję utracić kielkującą w nim nadzieję na zemstę.

Patrzy na mnie stalowym spojrzeniem, wciąż się uśmiechając.

– Zobaczmy się – zapowiada. Ostatni pogardliwy rzut oka na Harry’ego i znika w głębi ulicy.

W czasach swojej świetności Chambers prowadził kilka głośnych spraw, przeważnie dotyczących kwestii urzędowych, choć nieobca mu była także bardziej brutalna strona działalności przestępczej. Dziesięć lat temu występował jako obrońca Białych Aniołów, członków aryjskiego bractwa oskarżonych o zamordowanie Murzyna na peryferiach Oak Park. Swoim agresywnym stylem obrony ściągnął na siebie gniew policjantów i prokuratorów miejskich. I wygrał, co według kodeksu Adriana Chambersa jest jedynym liczącym się

faktem.

- Fantastyczny facet – stwierdza Harry. – Kurdupel jak Hitler, ale bez jego wdzięku.
- Tak – przyznaję. – Adrian Chambers szybko się zdradza. Hinds spogląda na mnie
- Wiesz, że kłamie, kiedy tylko zobaczysz, jak porusza ustami.

Gdy wreszcie docieramy do domu, Nikki jest tak wściekła, że się do mnie nie odzywa. Spóźniliśmy się do opiekunki dziecka, która zadzwoniła do mojej żony, prosząc ją o zabranie Sarah. Znam Nikki na tyle, by już od progu rozpoznać to spojrzenie; spojrzenie, które wydaje się przewiercać mnie na wylot, jakbym był tylko pustym miejscem w przestrzeni.

- Jak leci, Harry? – Odbiera jego płaszcz.
- Fajnie – odpowiada Hinds. – Bardzo fajnie.

Nikki odwraca się i zostawia mnie samego na werandzie. Harry zerka w moim kierunku ukradkiem, a jego wzrok mówi, że chyba w więzieniu czułby się swobodniej.

- Mmm, pięknie pachnie. – Próbuje nadrabiać miną.
- Zapachy z kuchni czuć aż na dworze.
- O tak – potwierdzam.

Nikki rzuca mi jedno ze swoich morderczych spojrzeń i wraca do kuchni. Przynajmniej zauważyła moją obecność. Pierwszy krok na długiej drodze odkupienia.

W ostatnich tygodniach napięcie w domu stało się faktem oczywistym – odkąd podjąłem się zadania w Davenport. Staralem się ułagodzić Nikki, proponując wynajęcie gosposi raz w tygodniu. Usiłowałem nawet przejąć część obowiązków domowych. Moją domeną stało się pranie, prasowanie i składanie. Problemem okazało się jednak wybielanie. Kiedy po jakimś czasie nasza bielizna zaczęła przypominać szare barwy konfederatów, żona odebrała mi moje obowiązki.

Nikki zmizerniała ostatnio, zajmując się pracą i domem, będąc dla Sarah matką i ojcem. Jest bliska załamania, bo ja wziąłem na swoje barki zbyt wielki ciężar.

– Tatuś, tatuś! – Sarah biegnie przez korytarz prosto w moje ramiona. – Zgadnij, co dziś było w szkole? – Ma ciemne, krótko obcięte włosy i migdałowe brązowe oczy koloru mocnej kawy. Parę przejrzystych płowych piegów znaczy grzbiet jej noska, a w spojrzeniu mej córki ciągle igra zdziwienie. Przedszkole to codziennie nowa i ryzykowna przygoda. Popołudniami Sarah jeździ z dziewczyną z liceum na drugi koniec ulicy, a to zaraz po Barbie najfajniejsza rzecz pod słońcem. Teraz bez przerwy opowiada o tych wszystkich pracach domowych, które ma do odrobienia, przybierając przy tym miny osoby dorosłej, co wygląda przekomicznie. Potem wybiega do swojego pokoju, żeby tam z przejęciem pokrywać gryzmołami całe rzy papieru.

Po raz pierwszy w tym tygodniu wróciłem do domu na tyle wcześnie, by zastać ją jeszcze na nogach.

Teraz, trzymając mnie za palec wskazujący, ciągnie za sobą jak mały holownik.

– Patrz, co zrobiłam, tatusiu. Patrz, co zrobiłam w szkole!

– Chwileczkę – mówię. – Przyjdę do ciebie za sekundę.

Nikki proponuje Harry’emu coś do picia – piwo, wino, wodę sodową.

– Proszę o piwo – decyduje się Hinds.

– Ja mu przyniosę, kochanie. Masz dużo roboty. – Usiłuję wymazać przeszłość, pomagając żonie; łagodna próba jej prześlągnięcia.

Ruchem, którym zakasowałaby każdą miss wyścigów deskorolek, Nikki popycha mnie biodrem obok drzwi lodówki aż do połowy korytarza – wpływ kobiecego środka ciężkości. Bierze butelkę coors z lodówki i zamyka ją z rozmachem. Dwie sekundy później wręcza Harry’emu piwo – pieniające się, w wysokiej szklance o zmrożonych ściankach. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, mogę skończyć z pragnienia.

Zatrzymuję się w półmroku korytarza przy telefonie, by pozbierać myśli. To nie jest mój szczęśliwy dzień – najpierw spotkanie z Adrianem Chambersem, teraz to. Biorę z półeczki pod aparatem książkę telefoniczną i szukam na żółtych stronach pod „Adwokaci”. Ciekawe, gdzie Chambers rozbił swoje namioty. Nie znajduję listy. Spoglądam na datę wydania książki. Wyszła wcześniej, niż Chambers powrócił do zawodu.

Otwieram książkę na białej części i poszukuję jego nazwiska. Widzę pojedynczą reklamę wydrukowaną wyraźnym pismem:

## ADRIAN CHAMBERS

A.C. Associates

Spółka z o.o. – konsultanci handlowi

Podejrzewam, że geneza tego „A.C. Associates” zrodziła się w czasach, kiedy Chambers osiadł na mieliźnie życia, bez prawa wykonywania zawodu – wszystko, żeby zarobić.

Zamykam książkę telefoniczną i znów zegluję do kuchni. Nikki patrzy na mnie wzrokiem, który zatrzymałby szarżującego bawołu.

– Może poświęcisz trochę czasu córce – rzuca. – Widziałeś jej zeszyty?

Mierzę się z nią spojrzeniem. Ja też zaczynam się jeżyć. Idę w stronę kanapy i Sarah.

Harry, wyczuwając nadciągającą klótnię małżeńską, odgrodził się od razu hałasem telewizora, co chwila zmieniając kanały.

Siadam na kanapie w bawialni, a Sarah wyciąga z plastikowego tornistra pomięte kartki; jedna z nich jest piegowata jak dalmatyńczyk. Rozkładam je i zaczynam rozszyfrowywać rozrzucone bezładnie litery i cyfry – duże, kolorowe i drukowane. Cyferki wyglądają ładnie. Literki sprawiają wrażenie lustrzanych odbić, prawie wszystkie są pisane odwrotnie.

Czytamy je razem. Przy niektórych Sarah się zacina.

– Bardzo dobrze – chwałę. – Dobra robota.

Uśmiecha się do mnie szeroko, jakby radość ją rozsadzała, i zaczyna podskakiwać na paluszkach, kipiąc energią.

– Zaraz tu przyjdzie – informuję Nikki.

Moja żona patrzy na mnie zimnym wzrokiem. Wścieka się już od miesiąca, odkąd zdecydowałem się pomóc Mariowi Ferettiemu i utonąłem w sprawie Putah Creek.

Po procesie Nikki i ja musieliśmy jakoś przetrwać ujawnienie mojego romansu z Talią w czasie gdy pozostawaliśmy w separacji. Przez długie miesiące rozmawialiśmy o naszym małżeństwie – następstwo wizyt u adwokata. W jego obecności wynegocjowaliśmy zawarcie pewnego kontraktu, który bardziej przypominał pyskówkę na jarmarku niż rozsądną rozmowę. Nikki zgodziła się nie dusić w sobie frustracji, czekając, aż odkryję je w jakimś wieszczym widzeniu – zgodnie z jej wyidealizowaną wizją męskiej wrażliwości. Ja zaś obiecałem, że poczynię kroki, aby wydzielić z mojego życia więcej czasu dla niej i Sarah.

Przez pewien czas ten system nawet działał. Parę razy wyjechaliśmy na weekend, spędziliśmy cztery dni na kempingu w górach. To było nowe życie. Napięcie roztapiało się we mnie jak śnieg w słoneczny dzień. Trwało to prawie trzy miesiące. Wreszcie prawnik w mojej duszy wyzwolił się jak dzinn z lampy – dwie sprawy, jedna po drugiej. Moje najlepsze intencje diabli wzięli.

Po tym wszystkim był telefon od Ferettiego. I tak złamałem warunki naszego kontraktu.

Nikki wywiązała się ze swoich zobowiązań, dobierając mi się do tyłka przy każdej sposobności. Najbardziej złościło ją, że nie zapytałem jej o zdanie w sprawie Maria. O to tu chodziło.

Od tamtej pory jej gniew wciąż narastał. Usiłowałem ułagodzić ją zapewnieniem, że moja rola w tym wszystkim jest tymczasowa, dopóki Feretti nie stanie na nogi. Najwyżej trzy miesiące. Nauczyłem się tego od Maria.

Ale Nikki potrafi przejrzeć na wylot każdą bzdurę, ma w takich wypadkach wzrok jak snajper. Spytała mnie, czy jest to opinia doktora. Musiałem się przyznać, że z nim nie rozmawiałem. Ponownie wszystko wróciło do punktu wyjścia – Nikki krzycząca, szalejąca po domu, na chwilę uspokajająca się i znów ciskająca we mnie z wściekłością zabawkami Sarah.

Potem umarł Mario. Od tego momentu życie stało się piekłem. Już nie śpimy w tym samym pokoju.

Nakrywa do kolacji, tylko trzy talerze na stole w jadalni, jeden kopiasty dla Harry'ego. Hinds patrzy na mnie. Może rzeczywiście dzisiaj poszczę. Ale Nikki mówi, że Sarah już jadła, oglądając w telewizji film z panem Rogersem.

Odsuwa krzesła. Otwieram wino.

– Kończysz z tym? – pyta Harry.

Ma na myśli moją tymczasową rolę prokuratora w hrabstwie Davenport.

– Jestem w trakcie... – Prawda jest taka, że podpisałem umowę na czas nieograniczony, spodziewając się szybkiego powrotu Ferettiego.

Krzywię się.

– Sytuacja się zmieniła – wyjaśniam. – Mam nadzieję, że hrabstwo to zrozumie. Jutro rano spotkam się z sędzią Ingelem i porozmawiamy o tym.

Derek Ingel jest prezesem sądu hrabstwa Davenport. Ci, którzy go znają, nazywają za plecami „Prusak”. Jak na razie, nie wiem, dlaczego. Teraz trzyma w ręku przyszłość mojej kariery.

Nikki rzuca mi spojrzenie – krótką, gniewną błyskawicę.

– Ma nadzieję, że hrabstwo zrozumie! – odzywa się. – To mi się podoba! A jakby im tak powiedzieć, że twoja żona nie rozumie? A jakby im tak powiedzieć, żeby się odczepili i dali nam spokój? Uwielbiam to. Ha, mój mąż prawnik! Jak trzeba wziąć sprawę jakiegoś obleśnego zbrojnego, jaja mu twardnieją niczym piłki golfowe. Ale kiedy chodzi o rodzinę, o umiejętność zarabiania na życie, o! – wtedy robi się cichutki i z czapką w dłoni całuje sędziego w dupę. Wysoki Sądzie to, Wysoki Sądzie tamto... – Nikki zrywa się od stołu i rusza po coś do kuchni, a jej pełna oburzenia mantra ciągnie za nią jak wściekły pociąg gniewu.

Harry patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami, jakby dając mi do zrozumienia, że powinienem wziąć żonę na stronę i z nią pogadać. Słyszymy, jak Nikki mamrocze do siebie za ścianą.

Wyjaśniam mu swoje problemy, to, że rada okręgu, która według umowy miała się zająć obsadzeniem miejsca Ferettiego, postawiła mnie w sytuacji bez wyjścia. Każdy członek ma własnego kandydata. Wygląda na to, że mianowanie kogoś prokuratorem w pewnych

prowinjonalnych hrabstwach równa się obraniu go na króla.

– Dlaczego mu nie odmówisz? – Nikki wróciła. – Dlaczego nie powiesz, że to była przysługa dla przyjaciela. Przyjaciel nie żyje i koniec z przysługą. – Rzuca ścierkę na stół, jakbym miał ją ze sobą wziąć i cisnąć na sam środek biurka Ingela.

Śmieję się krótko, bo to mogłoby niezle wyglądać. To ją jeszcze bardziej rozwściecza.

– Skończyliśmy już z tym – oświadczam. – Sąd podpisał mianowanie. A ja o nie prosiłem.

– Pod wpływem Ferettiego – przypomina mi.

– Porozmawiam jutro z Ingelem – obiecuję. – Zrobię wszystko, żeby się z tego wydostać.

– Jasne – kwituje.

Harry pewnie czuje zbliżający się rozlew krwi. Ze wzroku Nikki wnioskuję chyba, że będzie to moja krew. Wkracza do akcji.

– Ten szeryf, jak on się nazywa?

– Emil Johnson – mówię.

– Wygląda przyzwoicie jak na glinę – stwierdza Harry. W jego ustach to niezwykła pochwała. – Może dzięki niemu zdołasz się z tego wykaraskać. Pogada z kolegami w radzie albo z jakimś sędzią. W końcu to ich człowiek.

– Nie sądzę, żeby mógł mi pomóc – odpowiadam.

– No właśnie – wtrąca się Nikki. – Nawet nie spróbuje. – Tym razem rzuca serwetkę na stół, wstaje i znów wychodzi.

Harry spotkał Emila na pogrzebie Ferettiego. Poszedł ze mną jako podpora moralna. Nikki była zbyt wściekła na Maria za jego śmierć.

Na pogrzebie, stojąc nad trumną razem z rodziną i przyjaciółmi, poczułem mocne klepięcie w ramię. Odwróciłem się – był to Emil Johnson. Johnson jest prawdziwym mieszkańcem prowincji i na potwierdzenie tego obnosi brzuch piwosza i szeroki uśmiech. Wyborcy sprawili, że pełni swoją funkcję przez pięć kolejnych kadencji. Bez wątpienia mówi to więcej o tym miejscu niż o Emilu. Przez lata walczył z rosnącym oporem bardziej liberalnych środowisk uniwersyteckich. Jeśli szczęście mu dopisze, dotrwa do następnej kadencji, chyba że alkohol dostanie go wcześniej.

– Smutny dzień, panie mecenasie. – Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym uczucia; jego twarz przypominała obwisły pysk basseta. – Ojciec dzieciom. – Pokiwał głową na taką niesprawiedliwość losu.

Przedstawiłem go Harry'emu, który na słowo „szeryf” otarł dłonią pot z czoła, zanim



podał ją Emilowi w mocnym uścisku. Johnson jakby tego nie zauważył.

– Tutaj myślę o własnej śmierci. – Emil był szalenie elokwentny. Poklepywał się po brzuchu, zwisającym mu nad kłamrą paska wielką jak tarcza gladiatora, z biegnącym dokoła napisem „Winchester”. – Mario był dobrym człowiekiem – powiedział. – Będzie nam go brak.

Politykom hrabstwa Davenport będzie go brak przez całe pięć minut. Nie zauważyłem, żeby Johnson ryzykował swoje polityczne znaczenie, które jest dość duże, kryjąc Ferettiego, kiedy tamten leżał w szpitalu. Nasz dobry szeryf zaszył się w krzakach i patrzył, czy członkowie rady rozerwą Maria na strzępy, czy też zastąpią go jednym ze swoich ulubieńców.

– Masz problem – odzywa się Harry, nadal jedząc. – Niedobrze się stało.

Zdaje się, że chodzi mu o moje przejście na stronę oskarżenia.

Potem odwraca się w kierunku kuchni.

– To nie jest tego warte – dodaje. Tym razem ma na myśli narażanie na szwank mojego małżeństwa, zagrożenie mojej rodziny.

– Co robić? – pytam.

Krzywi się, bo nie zna odpowiedzi.

Od samego początku Hinds nie krył się ze swoim zdaniem. Nie chciał, żebym mieszał się do sprawy w Davenport. Kiedy go zapewniłem, że będę się tylko przyglądał, spojrział na mnie w zadumie.

– To samo Adam obiecał wężowi – skomentował.

Tak jakbym, przechodząc na stronę przeciwną, nawet na krótko, tylko dla celów śledztwa, pogwałcił – przynajmniej w jego oczach – jakąś uświęconą część zasad obrońców i sprowadził klątwę na moją rodzinę.

Dwa lata temu Derek Ingel pracował w czeluściach biura prokuratora generalnego, tonąc we wnioskach apelacyjnych kryminalistów. Znalazł poparcie polityczne w klubie Partii Republikańskiej, wśród ludzi, którzy wierzą, że tylko dobrzy republikanie popierają społeczne ideały i dlatego znajdują się pomiędzy zbawionymi.

Z tą chwilą Ingel wzniósł się do prawniczego nieba szybciej niż Eliasz na swoim ognistym rydwanie. Teraz siedzi, zupełnie legalnie, na kilku stołkach w tym hrabstwie, w kancelarii sądu. Nie jest ona szczególnie zasobna – zaproponowano mi twarde drewniane krzesło przed biurkiem Ingela, z którym mam spotkanie.

Uprzedza, że jest bardzo zajęty, dając mi do zrozumienia, iż mam niewiele czasu. Brakuje mu jednego sędziego, jest wolna posada – informuje.

Wśród prawników chodzą słuchy, że Ingel próbuje ściągnąć tu swojego kumpla z prokuratury generalnej. Nieoficjalnie – teraz temu zaprzecza – twierdził, że tylko byli zastępcy prokuratora generalnego mają kwalifikacje, żeby być sędziami w tym stanie. Takie są jego poglądy na kwestie towarzyskie i zawodowe. Jeśli ograniczenie umysłowe jest cnotą, Derek Ingel jest jej świętym patronem.

Szybko odbębniamy obustronne uprzejmości.

Odchyła się na krześle.

– A więc czego pan sobie życzy? – pyta.

Ten człowiek ma wyraz twarzy Calvina Coolidge'a, androida, któremu twórca zapomniał zaprogramować uśmiech. Zaczynam rozumieć, dlaczego zyskał sobie przydomek „Prusak”.

– Chodzi o moją umowę – wyjaśniam. – Moją umowę z hrabstwem.

Kiwa powoli głową, zdejmuje z przegubu zegarek i kładzie go przed sobą na biurku, jakby zamierzał odmierzać czas. Ciekawe, czy w pewnym momencie rozstąpi się podłoga i mnie pochłonie.

– Śmierć Ferettiego – dodaję. – Okoliczność, której nikt z nas nie przewidział.

– Aaa, tak – odpowiada. – To tragedia. – I nic więcej. Pomrukuje, bo nie jest pewny, co właściwie czuję. Utknąłem w grzędawisku roboty Maria, jedną nogą w mojej prywatnej praktyce, drugą tutaj, o sto kilometrów dalej, a teraz mam wyciągnąć kredki i narysować facetowi rysunek.

Ale Ingel nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Tak naprawdę chce, żebym zaczął się

przed nim płaszczyć. Z jego zadowolonej miny wnioskuję, że to właśnie lubi najbardziej w swoim zawodzie. Adwokaci w trzyczęściowych garniturach – na czworakach.

Zaczynam tłumaczyć – prawnik przy pracy – że sytuacja się zmieniła od momentu, gdy podpisałem umowę. Że obie strony wiedzą, iż tylko zastępowałem Ferettiego, który nie żyje. Jak długo trzeba czekać, żeby znaleźć zastępcę?

Siedzi i słucha tego wszystkiego, wyciska z siebie kilka grymasów, by podkreślić, że nie pozostaje obojętny.

– Dobrze by było – podpowiadam – gdybyśmy porozmawiali o moim czasowym udziale w tej sprawie. – Kładę nacisk na słowo „czasowy”. – Gdybyśmy sprecyzowali ten czas...

– Hrabstwo ucierpi, jeśli w środku ważnej sprawy będziemy zmieniać prokuratorów – dodaję. Miałbym ochotę puścić perskie oko i dorzucić: „takiej jak sprawa Putah Creek”, ale on chyba to chwyta. Nie mówi jednak nic, a spojrzenie ma martwe. Ingel jest jak skamielina. Zastanawiam się, po co się tu fatygowałem, skoro mogłem zostać w domu i gadać do siebie.

Kiedy po kilku minutach język zaczyna stawać mi kołkiem, sędzia wreszcie się odzywa:

– A zatem w czym rzecz? Czego konkretnie życzy pan sobie?

– Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno. Pragnę zakończyć wykonywanie moich obowiązków w Davenport.

Patrzy na mnie, jakby mi nie wierzył.

Znów dosiadam mojego konika.

– Skoro w sądzie jest wolna posada, wszystkim wyjdzie na dobre znalezienie stałego pracownika.

Krzywi się i kręci głową, niby że może tak, a może nie. Potem odwraca się z krzesłem i ogląda wiszące na ścianie dyplomy i medale.

– Stawia mnie pan w trudnej sytuacji – oznajmia.

– Jak to?

Odwraca się do mnie.

– Muszę być z panem szczery – mówi. – Nie chciałem pana udziału w tej sprawie.

Świetnie, to daj mi odejść, myślę.

– Jednakże – ciągnie – podpisał pan umowę z hrabstwem. A umowa ta, jak sądzę, jest zawarta na czas nieograniczony.

Czyli że nie określono, po ilu miesiącach czy latach traci moc prawną.

– To prawda. Ale kiedy ją podpisywałem, wszystko było jasne. Obie strony wiedziały,

że tylko zastępuję pana Ferettiego. Dopóki nie powróci do zdrowia. Po operacji – dopowiadam.

– Lecz w umowie tego nie ma?

– Nie wprost.

– Proszę nie kluczyć – warczy. – Tak czy nie?

– Nie.

– Dobrze. – Odchyła się na krzesło, patrzy w sufit. – A teraz życzy pan sobie odejść?

Powinienem potwierdzić, lecz z jego tonu i zachowania wnioskuję, że lepiej się wycofać.

– Proszę o wyznaczenie rozsądnego terminu, w którym hrabstwo zdoła znaleźć zastępstwo. O pomoc ze strony sądu. O coś, co zmusi hrabstwo do szybszego działania zamiast ciągłego zwlekania.

– Co pan uważa za rozsądny termin?

– Miesiąc, sześć tygodni. – Staram się, żeby zabrzmiało to wspaniałomyślnie. Bóg stworzył świat w sześć dni.

– I to wszystko?

Może się uda.

– Tak, wszystko.

– Czy jest coś, co utwierdza pana w przekonaniu, że hrabstwo ociąga się w tej sprawie? W znalezieniu zastępcy Ferettiego?

Krzywię się, jakbym nie chciał podejmować tego tematu.

– No, śmiało – zachęca. Pierwszy uśmiech tego południa. Teraz zaczynam mieć się na baczności.

– Może pan być ze mną szczery – kusi. – Wszystko, co się powie w czterech ścianach tego gabinetu, jest święte.

Mam ochotę oświadczyć, że dorabiam sobie wykonywaniem pokątnych skrobanek. Zamiast tego zaczynam kluczyć.

– Słyszałem plotki – mówię – o pewnych względach budżetowych.

– Co pan słyszał?

– Nic szczególnego.

Patrzy na mnie, jakby mi nie wierzył.

Tak naprawdę wiem coś więcej. Hrabstwo wyciąga od stanu spory zasilek, głównie dzięki mojej pensji. Znalezienie stałego współpracownika położyłoby temu kres. Znając lokalne fundusze, domyślam się, że miejscowi grandowie będą usiłowali zostać przy cycku

stanowej kasy tak długo, jak się da.

– To nie ma nic wspólnego ze sprawą Putah Creek – stwierdza.

– Nie zaprzeczam, że rozważałem taką możliwość. – Krzywię się.

– Oskarżenie może pociągnąć za sobą przedłużenie dochodzenia – kontynuuję. – Nawet o rok lub dłużej. Hrabstwo lepiej na tym wyjdzie, jeśli znajdzie stałego oskarżyciela, zanim będzie za późno.

– A może boi się pan, że nie podoła temu zadaniu? – Pełen wyższości uśmiezek na wargach. Może zastanawia się, czy starczy mi odwagi. Albo, co bardziej prawdopodobne, podaje w wątpliwość moje zaangażowanie agresywnego prawnika, który był już i oskarżycielem, i obrońcą, a teraz jest znów po właściwej stronie. Jak na sędziego ma spore obciążenie oskarżycielskie. Ingel jest chyba jednym z tych sędziów, którzy nie wierzą w sprawiedliwość dla oskarżonych o przestępstwo kryminalne.

– Nie. To nie to. Podołam tej sprawie – zapewniam. – Ale mam inne zobowiązania. – Ciekawe, czy to brzmi aż tak źle, jak mi się wydaje: prawnik szukający wykrętów.

– Oczywiście – potwierdza. I śle mi spojrzenie w nie skrywany sposób uwłaczające mojej dumie.

Przełykam głośno ślinę. Część mojej godności wraca na swoje miejsce. Może jednak pozwoli mi odejść?

– Mam prywatną praktykę – wyjaśniam. – Moja obecność tutaj miała trwać krótko. Parę miesięcy. W przeciwnym razie nie przyjąłbym tej sprawy.

Nie odzywa się słowem. Wie równie dobrze jak ja, że sprawa Putah Creek, raz zaczęta, będzie jak wojna na Bliskim Wschodzie – znacznie łatwiej się w nią wplątać, niż z niej wyplątać.

– Pewne osoby mówiły mi, że jest pan dobrym prawnikiem – oznajmia.

Robię minę oznaczającą, że mi miło.

– Pańska sława wyprzedziła pana – dodaje.

Teraz próbuje mi to jakoś osłodzić. W mgnieniu oka od Hyde'a do Jekylla. Ten człowiek to żywe srebro, w metamorfozie lepszy niż Lon Chaney.

– Ale ja nie mam dobrego zdania o prawnikach, którzy posyłają swoich klientów do więzienia – uzupełnia.

Jakby uszło ze mnie powietrze. Cios z zaskoczenia. Lodowacieję. Wspomina o ciemnym epizodzie z mojej przeszłości, robi aluzje do mojego dawnego romansu z Talią Potter, jeszcze przed jej procesem, kiedy ja i Nikki byliśmy w separacji, stare dzieje. To żadna rewelacja, myślę. Donosiły o tym wszystkie lokalne gazety, mój krzyż, który musiałem

dźwigać w czasie sprawy Potter. A sądziłem, że to już skończone, że umarło w upale i oślepiających światłach opinii publicznej. Teraz znowu Ingel wyciąga to na światło dzienne.

Milczę. Siedzę i znoszę go w milczeniu.

– Sędzia Acosta dzwonił ze stolicy – kontynuuje – kiedy przeczytał w prasie, że został pan tu przydzielony jako oskarżyciel specjalny. Jak pan widzi, sędziowie również ze sobą rozmawiają.

Zupełnie jak sklepikarze. Ingel spiknął się ze Świrusem, z Armandem Acostą, meksykańskim odpowiednikiem Władcy Much. Mogłem się spodziewać, że tak będzie.

Acosta przewodniczył w procesie Talii Potter, oskarżonej o zamordowanie męża, ja zaś byłem jej obrońcą. Przedtem, podczas mojej separacji z Nikki i na długo przed procesem, Talia i ja mieliśmy romans. Wskutek tego moja reputacja legła w gruzach, ponieważ mąż Talii, Ben Potter, był moim przyjacielem i dobroczyńcą. Kiedy podjąłem się jej obrony, nie ujawniłem w sądzie wcześniejszego związku z podsądną, jako że nasz romans należał już do przeszłości. Stare dzieje. Ale na moje nieszczęście Świrus i dziennikarze dowiedzieli się o tym podczas procesu. Na rozprawie Acosta o mało mnie nie wypatroszył i nie poćwiartował. I do dziś nie wybaczył mi tego, że wprowadziłem go w błąd.

– Nie był zachwycony tym, że wybraliśmy pana – ciągnie Ingel. – Miał ku temu powody. – Znaczą się Świrus.

– Wyobrażam sobie.

Teraz jakoś nie zależy mi na zachwycie Acosty. To, że chciało mu się fatygować aż tutaj, żeby zatruć moją studnię, każe mi się zastanowić, czy mam podstawy do złożenia zażalenia w komisji do spraw działalności sędziowskiej, towarzystwa ścigającego sędziów za złe administrowanie. Bez wątplenia mój chwilowy udział w tej sprawie studzi nieco jego zapal do obrony Pierwszej Poprawki.

Kiedy protestuję, Ingel stwierdza, że wszystko to ma swoją przyczynę. Chodzi mu o zaangażowanie Świrusa w sprawę spoza jego jurysdykcji.

– Jedna z ofiar – wyjaśnia – studentka Sharon Collins była jego siostrzenicą.

Siedzę z otwartymi ustami.

– Córnica jego młodszej siostry – uzupełnia Ingel. Robi mi wykład na temat drzewa genealogicznego rodziny Świrusa. Biedni meksykańscy imigranci, którym się udało, choć siostra nie ma tak dobrych układów jak sędzia, więc on z jej upoważnienia wziął sprawę w swoje ręce i postanowił osobiście dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość.

A to skurczybyk, myślę. I ze wszystkich ludzi na świecie wybrał właśnie mnie.

– Z tego, co zrozumiałem, sędzia Acosta zastępował dziewczynie ojca. Jej rodzice byli

rozwiedzeni. To wydarzenie zupełnie go załamało. – Ingel patrzy na mnie, jakby oczekiwał, że muszę z tym wszystkim coś zrobić.

– Przykro mi to słyszeć – mówię. – Zapewne nie jest osamotniony.

Sędzia wpatruje się we mnie.

– Są rodzice innych ofiar, tych innych dzieci – dodaję. Sens moich słów jest jasny.

Niech sędzia wraca do szeregu.

Oczy Ingela lodowacieją.

– Musimy mieć coś ekstra pewnego – oświadczam. – Skoro się tu pan prześliznął i podpisał kontrakt, wypełni go pan albo dopilnuję, żeby zasiadł pan na ławie oskarżonych.

– Na jakiej podstawie?

– Opuśczenie klienta. Jeśli się nie mylę, nadal istnieją podstawy oskarżenia. I niech pan nawet nie myśli o tym, żeby odłożyć sprawę Putah Creek do akt, by później ktoś inny się nią zajął. Jeśli wyczuję jakieś kręctwo czy zaniedbanie, załatwię panu wilczy bilet. Do końca życia będzie się pan zajmował pisaniem streszczeń rozpraw dla prawników z innych stanów. Czy wyrażam się jasno?

– Szalenie. Rozumiem, że hrabstwo nie zamierza zaangażować na stałe oskarżyciela do tej sprawy?

Krzywi się. Nawet jeśli wie, nie powie. Podnosi zegarek.

– Jeżeli mogę coś dla pana zrobić, niech pan śmiało prosi.

Jego spojrzenie jest zimne jak gład. Wstaję, odsuwam krzesło.

– Ostatnia rada – dorzuca. – Wiele osób będzie pana obserwować.

– Ze względu na sędziego Acostę?

– Jest tym zainteresowany z powodów osobistych.

Jasne, że jest. I osobiście dobiera mi się do tyłka.

Laboratorium stanowe to wielki budynek, nowoczesna betonowa forteca oddalona od ulicy o długość boiska do piłki nożnej; mieści się za zielonym trawnikiem przeciętym na pół trzymetrowym żelaznym ogrodzeniem, otaczającym całą posiadłość.

Tą instytucją, największą w swoim rodzaju obok laboratorium FBI w Quantico w Wirginii, zarządza stanowy prokurator generalny.

To spotkanie zorganizował Claude Dusalt. Chce jak najwcześniej zapoznać mnie z przebiegiem śledztwa, na wypadek nakazu rewizji. Morderca z Putah Creek przyciąga coraz większą uwagę prasy, a Claude pragnie ruszyć bezzwłocznie przy pierwszej okazji.

Derek Ingel, miejscowy Roy Bean, śledził każdy mój ruch, zainteresowany postępami dochodzenia. Bez wątpienia może powiadomić o nich Świrusa. Na razie udawało mi się utrzymywać go w niewiedzy, bo ja również w niej tkwiłem. Błogosławiona niewinność.

Wypełniam formularz i dostaję identyfikator od strażnika w dyżurce przy głównym wejściu do laboratorium.

Kilka minut później słyszę stukot obcasów na betonie. Długim korytarzem zbliża się do mnie kobieta. Widzę ją przez pancerne szkło drzwi. Z tej odległości wygląda na sekretarkę. Jej taksujące spojrzenie mówi mi, że to ona będzie moją eskortą. Jest niska, trochę zaniedbana, w wieku powyżej średniego. W jej wyglądzie uderza mnie coś znajomego, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to takiego. – Panie Madriani.

Patrzy na mnie z kamienną twarzą, najwyraźniej pochłonięta czymś innym. Ale po jej tonie poznaję, że nie jest tu pionkiem.

– Kay Sellig – przedstawia się. – Dyrektor prosił, żebym zapoznała pana ze sprawą.

Brązowe oczy schwywane w sieć kilku zmarszczek i przeszywające spojrzenie spod szpakowatej, łatwej do utrzymania grzywki. Nie podaje mi ręki, lecz odgaduje moje myśli.

– Nie tego pan oczekiwał? – mówi. Jest przenikliwa.

– Nie wiem – kłamię.

Nareszcie uśmiech, nie przyjazny, ale wyrażający satysfakcję z prawidłowego odczytania moich myśli.

W zamkniętym świątku prawników nazwisko Kay Sellig obrosło legendą, której przeczy stojąca przede mną osoba.

Gawędzimy ze sobą, kiedy prowadzi mnie labiryntem, gmatwaniną małych gabinetów. I gdy tak widzę ją z tyłu, nawiedza mnie uczucie, którego doznałem już wcześniej.



– Pani tam była – stwierdzam. – Nad strumieniem.

Kiwa głową.

– Przeprowadzałam oględziny terenu.

Dziesiątki razy słyszałem nazwisko Kay Sellig, przeważnie podczas żartobliwych przekomarzań w kuluarach sądowych, w historyjkach o potyczkach prawników, za każdym razem ubarwianych nowymi szczegółami. Zawsze dziękowałem losowi za to, że nie było mi dane spotkać tej kobiety w sądzie. W swoim czasie osadziła za ogrodzonymi drutem kolczastym murami Folsom i San Quentin więcej przestępców niż ktokolwiek inny.

Kolejne trzy zakręty, krótki korytarz, wchodzimy do większego pomieszczenia, a ona zwalnia kroku. Domyślam się, że dotarliśmy na miejsce.

Nie różni się ono od szkolnej pracowni chemicznej na którymś z bogatych przedmieść. Tuzin wielkich nierdzewnych metalowych stołów przymocowanych do podłogi kąpie się w świetle fluoroscencyjnych lamp.

– Czy porucznik Dusalt zapoznał już pana ze szczegółami sprawy? – pyta Kay Sellig.

– Spotkaliśmy się raz – wyjaśniam. – Na razie wiem tylko tyle, ile przeczytałem w gazetach, a także w materiałach, które Mario – pan Feretti – zdążył zebrać przed śmiercią.

– Chce pan zadawać pytania, czy mam rozpocząć monolog?

Skoro nie mogę czytać, wolę słuchać. Mówię jej to.

– Świetnie.

Zaczyna swoje *impromptu*, nie korzystając z żadnych notatek.

– Zabójca nie pozostawia zwykle dokumentów, portfeli i portmonetek. Zabiera je ze sobą. Z wyjątkiem ostatniego morderstwa, nigdy ich nie znajdowaliśmy. Pewnie ma gdzieś swoją kryjówkę, w której je gromadzi. Za każdym razem musimy identyfikować ofiary na podstawie odcisków palców.

Podchodzi do dużej tablicy, jednej z tych na sztalugach z kółkami. Przekręca ją na drugą stronę, o powierzchni z korka. Przypięto do niej lśniąca szeregi kolorowych zdjęć. Przedstawiają twarze, głowy i ramiona na stołach z nierdzewnej stali w kostnicy hrabstwa.

– Pierwszy miał dziewiętnaście lat. Jonathan Snider – wskazuje mi go. Nawet po śmierci rysy chłopca zachowały otwartą pewność siebie młodości. – A jego dziewczyna osiemnaście. Nazywała się Julie Park. – Na zdjęciu widać Azjatkę, młodą i ładną. – Znalezione ich nad Putah Creek dwanaście dni temu. Morderca nie próbował ukryć ciała.

Palec ześlizguje się niżej.

– Następną parę znaleziono cztery dni później. Sharon Collins, dwadzieścia dwa lata, siostrzenica Acosty, i Rodney State, w tym samym wieku. Znowu brak dokumentów. Ciała

porzucone na ziemi.

Wskazuje na kolejne martwe twarze, tym razem starsze, patrzące na mnie z korkowej tablicy.

– Ostatnią parę widział pan na miejscu zbrodni. Abbott i Karen Scofieldowie.

Głowa kobiety z jednej strony jest ciemną, ziejącą dziurą – groteskowy pusty oczodół, kilka głębokich ran na policzku i brew nad otwartą jamą.

– Z jakiegoś powodu tym razem zostawił ich portfele. Może coś mu przeszkodziło, nie wiemy. Scofield i jego żona byli rozwiedzeni. On był pracownikiem uniwersytetu, naukowcem. Chyba ornitologiem. – Po raz pierwszy zerka do notatek.

Robię minę, że dla mnie to czysta chińszczyzna.

– Nauka o ptakach – wyjaśnia.

Podchodzi do jednego ze stołów, na którym piętzą się ubrania. Wyglądałyby jak przyniesione właśnie z pralni, gdyby nie wielkie plamy zaschniętej krwi na białej koszuli i spodniach w jednej ze stert. Są poukładane w wyznaczonych punktach stołu, czekając na umieszczenie w dużych papierowych torbach, ponumerowanych i oznaczonych – część przysłego łańcucha dowodów rzeczowych.

Zauważam, że zniknęły wszystkie guziki od koszuli. Od Kay Sellig dowiaduję się, że odcięła je na miejscu zbrodni i zabezpieczyła, po czym posłała do laboratorium, żeby zbadano je w oparach rozgrzanego kleju. To ryzykowne przedsięwzięcie, ale może morderca zapomniał o ostrożności i dotknął jakiegoś guzika bez rękawiczek.

Lokalni bonzowie nie muszą się martwić o niedopatrzenia na miejscu zbrodni, bo w osobie Kay Sellig otrzymali prawdziwy dar niebios.

Sellig informuje, że plamy na ubraniach zawdzięczamy tylko sile grawitacji – krew dopłynęła po ziemi do ładnie poskładanych części ubrań, umieszczonych przy ciałach. Nie było na nich żadnych cięć czy rozdarć, żadnych oznak fizycznej napaści.

– Zawsze powtarza się ten sam schemat – ciągnie. – W chwili śmierci ofiary są nagie.

Znaleźli jeszcze jeden dowód rzeczowy, na miejscu pierwszego przestępstwa. Policja sądzi, że to morderca mógł nieopatrznie zostawić tę wielką plastikową torbę na śmieci. Leżała obok strumienia; prawdopodobnie przywiał ją wiatr. Była pusta, ale na spodzie miała dziurę. Zdaniem Sellig zabójca mógł w niej przynieść gwoździe i linę, narzędzia śmierci. Być może dziurę przebił jeden z gwoździ.

Nie zdążyła zbadać gwoździ i linki użytych do zamordowania Scofieldów. Linka jest chyba taka sama jak w poprzednich wypadkach. Gwoździe znajdują się na dole, w laboratorium.

– Są dowody sugerujące zabójstwo na tle seksualnym? – pytam.

– Nic konkretnego – słyszę. – Lekarz policyjny stwierdził obecność spermy w pochwie tej dziewczyny, Park, ale ktokolwiek ją tam zostawił, w pochwie była też wydzielina, a grupa krwi wskazuje na jej chłopaka. Na owłosieniu łonowym chłopca z kolei znaleziono włosy, które pasują do włosów dziewczyny. – Zamilkła na sekundę, pozwalając mi dojść do oczywistych wniosków.

– Dzieciaki z obozu mówią, że ci dwoje byli parą. Sądzymy, że umówili się tam na randkę na godzinę lub dwie przed zamordowaniem.

– W jaki sposób załatwia parę? To dość ryzykowne, prawda?

– Przypuszczalnie jest uzbrojony, może ma pomocnika, jeszcze nie jesteśmy tego pewni. Wszystkie ofiary zostały zaskoczone w odludnych miejscach, w opuszczonych parkach późno w nocy. W każdym wypadku to oni ostatni opuścili miejsce pracy czy zabawę. Zbrodnie popełniono na pustkowiu, z wyjątkiem ostatniej. Morderstwo Scofieldów było ryzykowne – kontynuuje Kay Sellig. – Zabójca podszedł za blisko drogi. – Według niej może to wskazywać na pogłębiające się szaleństwo, jakby niestosowne pragnienie dania ofiarom szansy.

– Ale miał szczęście – dopowiada. – Szukamy motocyklistów, którzy mogli tamtędy przejeżdżać późno w nocy; ludzi, którzy mogli coś zauważyć. Jak na razie jednak, na próżno.

Podobno psychologowie, którzy poświęcają życie na badanie obłąkanych umysłów, nie wykluczają – mimo braku dowodów na potwierdzenie teorii o seksualnym podłożu zbrodni – możliwości, że morderca cierpi na psychozę seksualną.

– Niektórzy twierdzą, że te metalowe śledzie namiotowe to symbole falliczne. – Zgodnie z tą teorią to, co z nimi robi, jest jego chorym sposobem odbywania stosunku.

Już opracowano psychologiczny portret mordercy. Kiedyś dawałem temu wiarę mniej więcej tak samo jak tarotowi. Teraz się nawróciłem.

– Oprócz ostatniej pary zabójca nie znał swoich ofiar – stwierdza Sellig. Wydedukowano to na podstawie faktu, że ich twarze pozostały nietknięte, bez skaleczeń i siniaków. Zdaniem psychologów twarze bywają zniekształcone, kiedy napastnik znał swoją ofiarę. Im bliższa znajomość, tym okrutniej zmasakrowana twarz.

– Powiedziała pani: „oprócz ostatniej pary”. Na czym polega różnica?

– Dojdę do tego – odpowiada.

– Prawdopodobnie jest biały – ciągnie. – Ze statystyk wynika, że morderstwo z okaleczeniami popełnia się zazwyczaj wtedy, gdy zbrodniarz jest tej samej rasy co ofiara.

Szacuje się, że jest w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat. Nastoletni

mordercy są zwykle gwałtowni i impulsywni, obcy jest im przemyślany rytuał zabójcy z Putah Creek. A ktoś starszy musiałby stoczyć ciężką walkę z mężczyznami. Przypuszczalnie zabójca mieszka samotnie. Zdaje się, że ta hipoteza jest dosyć słabo umotywowana. Ale psychologowie uważają, że cechy charakterystyczne zbrodni wskazują na alienację – morderca postrzega siebie jako autsajdera, nie czuje się członkiem grupy rodzinnej czy towarzyskiej. Wynika to z faktu, że zawsze poluje na pary – to jego sposób zemsty.

– Sądźmy, że spędza wiele czasu w pobliżu strumienia, może mieszka gdzieś tutaj, może niegdyś tu pracował – mówi Kay Sellig.

Policja doszła do takiego wniosku na podstawie rytualnego charakteru zbrodni: staranne ułożenie ciał na ziemi, schludne rządki ubrań wokół ofiar – wszystko to świadczy, że zabójca nie spieszył się, wiedząc, iż nikt mu nie przeszkodzi.

– Uważa ten rejon za swój teren – stwierdza Sellig. – Tu czuje się bezpieczny.

Teraz gliny skupiają się na tym ostatnim – badają okolicę pod kątem kogoś, kto mógł tu pracować lub mieszkać, na przykład jako robotnik w jednym z gospodarstw czy może turysta, który biwakował tutaj przez chwilę.

Jeden rys tego psychologicznego portretu jest najbardziej niepokojący.

– Mordercy ustanawiający swój rytuał – informuje mnie Kay Sellig – zwykle nie przestają zabijać, dopóki się ich nie złapie. – To otrzeźwiająca myśl, ale pociąga za sobą gorszą.

– Nie wiemy, czy staje się bardziej okrutny – dodaje – czy też może znał tę Scofield.

Patrzę na nią pytająco.

– Zdaje się, że wyłupił jej oko – wyjaśnia. – Ciągłe nie wiemy, dlaczego.

Ponieważ ofiara miała na głowie ściśle spowijające ją majtki, nie zauważyłem tego na miejscu zbrodni.

Rozmawiamy teraz o dochodzeniu bardziej ogólnie. Pomijając portret psychologiczny, gliny błądzą w ciemnościach. Według Sellig policja nie znalazła niczego, co łączyłoby ze sobą którąkolwiek z zamordowanych par.

– Ci ostatni, Scofieldowie, stanowią prawdziwy problem – oznajmia.

Wpatruję się w nią, moje zainteresowanie wzrasta.

– Ich wiek – uściśla. – Rozszerzył granice. Już nie poprzestaje na licealistach.

– Może nie chodzi o wiek – zauważam – lecz o środowisko akademickie, uniwersytet.

Jej mina świadczy, że to niewykluczone. Ale i tak się niepokoi. W wypadku morderstwa seryjnego można uznać za pewnik, że jeśli zabójca odstępuje od ustalonego porządku rzeczy, ścigający go będą mieli powody do zmartwienia. Fakt, że zbrodniarz z

Putah Creek wybiera teraz na ofiary osoby po pięćdziesiątce, wprowadza do tego równania element przypadku. Rozmawialiśmy o tym i Sellig przyznała się, że jest bezradna. Dopóki nie dostanie wyników sekcji zwłok Scofieldów, nie może sformułować żadnych prawdopodobnych wniosków.

– A co z tym czymś na drzewie? – pytam. – Z tą platformą.

Zdejmuje buty i idzie w stronę szafki przy ścianie. Odnoszę wrażenie, że nawet niskie obcasy to ustępstwo na rzecz wymogów konwencji, coś tylko na potrzeby publiczności. Sellig okazuje mi teraz więcej ciepła, jest bardziej swobodna. Przyjmuję to za oznakę zaufania.

Dopytuję, czy platforma na drzewie ma związek z morderstwami.

– Wciąż to badamy – pada odpowiedź.

Usiłuję wysondować, co tam znaleźli.

Krzywi się.

– Trochę piór i krew.

– Zwierzęcą czy ludzką?

– Głównie zwierzęcą, ale były też ślady ludzkiej. I parę drobnych kości. Ptasich, jak sądzimy.

Patrzy na mnie z namysłem, jakby nagle zaczęły jej się układać nie pasujące do siebie części łamigłówek.

– Posłaliśmy te kości i pióra do zakładu medycyny sądowej w Oregonie – informuje. – Do analizy.

Wygląda na to, że w kraju są tylko dwie osoby, które mają doświadczenie w takich sprawach. Jedna z nich to osiemdziesięciosiedmioletnia kobieta ze wschodniego wybrzeża. Drugą jest młoda kobieta, jej protegowana, która przeszła ze Smithsonian Institute do Wydziału Środowiska Naturalnego w Ashland, rodzaju laboratorium kryminalistycznego zajmującego się wykroczeniami przeciw naturze i środowisku.

– Za kilka dni otrzymamy od nich odpowiedź – mówi Sellig.

– A pani przypuszczenia?

– Na podstawie tych drobiazgów, które mamy?

Kiwam głową.

– Wydaje mi się, że nasz znajomy – czyli morderca z Putah Creek – nie ma nic wspólnego z kryjówką na drzewie.

– Więc czyja to sprawka?

– Na razie to tylko domysły. Wolę poczekać, aż dostaniemy coś z laboratorium w Oregonie.

Zgadzam się z tym i przestaję się dopytywać.

– Czy w dwóch pozostałych miejscach zbrodni, w hrabstwie Orange i Oregonie, znaleziono coś podobnego, platformę na drzewie, pióra, kości?

Potrząsa głową.

– Nie. I zamierzamy jeszcze raz sprawdzić teren w dwóch innych miejscach tu, w Davenport. Obawiamy się, że mogliśmy coś przeoczyć. Ale tam też niczego nie było. Żadnych platform czy lin.

Wyjmuje parę białych tenisówek, jakich używają sekretarki w całym mieście, kiedy biegną na lunch – to forma południowego aerobiku.

– Nie weszła tam pani? – pytam. – Na platformę?

Potakuje. Nagle zrobiła się bardzo tajemnicza.

Patrząc na nią, domyślam się w jakiś sposób, że kiedy technik sprawdził platformę, nie mogła sobie darować wdrapania się na górę i rozejrzenia się.

– Ładny widok? – sonduję.

– Mało powiedziane – stwierdza. Uśmiecha się chytrze. Znowu podchodzi do szafki pod ścianą i otwiera drzwiczki. Spodziewam się, że włoży buty, ale kiedy odwraca się do mnie, w jej dłoniach widzę długi cylindryczny przedmiot owinięty w aksamit. Gdy rozwija materiał, moim oczom ukazuje się metal i szkło, a z boku jakiś napis, słowa „Mirador TTB”.

– Znaleźliśmy tę rzecz na platformie – oświadcza. – Właściciel porzucił ją chyba w pośpiechu. – Wręcza mi przedmiot do oględzin.

– To luneta, i to dobra. Kosztowała z tysiąc dolarów. Strzelcy używają takich, żeby wyzerować broń i znaleźć właściwe punkty w odległym celu, bez konieczności przemierzania dwustu metrów.

Obracam lunetę w rękach.

– Zdjęliśmy z niej odciski palców – informuje Sellig. – Mamy jeden, rozmazany, nie do użytku. Są na nim ślady krwi.

– To bez sensu – mówię. Kiedy przyglądam się lunecie, zapada martwa cisza.

– Naprawdę sądzi pani, że ten ktoś na drzewie nie ma związku z morderstwami?

Jej mina wskazuje, że nie wyklucza takiej ewentualności.

– A może widział mordercę?

Uśmiecha się.

– Proszę spojrzeć – odzywa się. Robi gest w kierunku przyrządu.

Patrząc przez lunetę w stronę jednego z okien na przeciwległej ścianie pokoju. Za szerokim zielonym trawnikiem niczym z ogrodów Wersalu sekretarka je lunch, siedząc na

ławce, obok niej widać brązową torebkę. Reguluję ostrość o ułamek centymetra – otrzymuję obraz czysty jak kryształ. Policzek dziewczyny jest wilgotny. Czyta. W jednej ręce trzyma książeczkę w broszurowym wydaniu – tytuł jest wyraźny jak w porannej gazecie: *Love story* Ericha Segala.

Rozważam przez chwilę zaprezentowane mi elementy: ten mały magiczny walec, który trzymałem w dłoni, platforma wysoko w drzewach przy Putah Creek. Zaklinam wynik równania – myśl, że może gdzieś daleko znajduje się mimowolny widz spektaklu śmierci, świadek koronny morderstwa Abbotta i Karen Scofieldów.

Budynek, w którym mieści się prokuratura hrabstwa Davenport, jest klasyczną rządową budowlą powstałą w latach trzydziestych z inicjatywy Zachodniego Towarzystwa Ubezpieczeniowego, które było wówczas niemal równie funkcjonalne i dobrze skonstruowane jak ona. Jest pełen jakiegoś ponadczasowego wdzięku, klasycznego piękna, niespotykanego już w wypadku gmachów użyteczności publicznej. Granitowa fasada i szerokie schody wiodą pod portal, podtrzymywany przez trzypiętrowe kamienne kolumny. Są one świadectwem igrasce demokratycznej władzy, choć fronton budynku przybrał brudno brązowy kolor, a zatłoczone gabinety wewnątrz noszą ślady zaniedbania.

Budynek stoi na wzgórzu, naprzeciw sądu, w kępie wysokich dębów i orzechów posadzonych w centrum miasta w zeszłym stuleciu – w oazie chroniącej przed uciążliwym upałem lata w dolinie, gdzie temperatura zwykła przekraczać trzydzieści stopni Celsjusza.

Biuro prokuratora jest małe, liczy tylko czterech współpracowników. Dwaj z nich są nowi, nie więcej niż dwa lata po studiach, i zajmują się wyłącznie wykroczeniami.

A oto Roland Overroy. Trzydzieści lat w zawodzie. To jedna ze skamielin służby państwowej – wieczne, skamieniałe drzewo. W tym hrabstwie taktyka kwestionowania kompetencji adwokata nazywa się „techniką Rolanda” – przynajmniej wśród tych prawników, którzy zmierzili się z Overroyem. Nigdy w życiu nie przeczytał akt sądowych i nie przepuścił ani jednej sprawy, żeby nie oszukiwać.

Ma szczególną skłonność do bezczelnego lekceważenia przygotowania i talent do przymykania oczu na rzeczy oczywiste.

Odkąd Feretti zwolnił go przed dwoma laty z funkcji starszego aplikanta i zesłał na martwe wody sądu dla nieletnich, Overroy czyhał na każdy skandalik w biurze, żeby móc go rozdmuchać. Plotkował na ten temat, gdzie tylko się dało.

Tego ranka mały zespół prawników nie sprawia wrażenia szczególnie radosnego. Siedzą wokół odrapanego niewielkiego stolika w kawiarnianej sali, służącej zarazem za salę konferencyjną.

Zwykle mijamy się w biegu, w codziennym kołowrocie. To nasze pierwsze formalne zebranie od miesiąca, odkąd podjęliśmy się tego zadania. Zależy mi, żeby zrobić dobre wrażenie.

Kiedy na nich spoglądam, blade uśmiechy pojawiają się tylko na ustach Gary’ego Boudina i Karen Samuels, najnowszych nabytków biura prokuratora.



Overroy usiłuje mnie oszacować, zastanawiając się, ile okazji kryje się dla niego w chaosie powstałym po nagłej śmierci Ferettiego. Lenore Goya rozmawia przez telefon w swoim gabinecie. Wkrótce do nas dołączy.

Roland zagarnął jedyne krzesło blisko mnie, jakby uważał, że może na niego spłynąć mój autorytet, jakkolwiek tylko tymczasowej natury.

Teoretycznie posada pozostawała wolna od dwóch lat. Zamiast zwolnić Rolanda, co pociągnęłoby za sobą nie kończące się przesłuchania i morze papieru, Feretti po prostu pozbawił go kierowniczego stanowiska. Overroy nadal otrzymywał pensję, a Mario liczył na to, że wkrótce odezwie się duma Rolanda. Była to próba dania mu do zrozumienia, że jego kariera w biurze należy do przeszłości. Ale w wypadku Overroya najlepiej formułować komunikaty w czystej angielszczyźnie Western Union.

– Prawdziwa tragedia – mówi Roland. Ma na myśli śmierć Maria. Założę się, że stanął na głowie, kiedy przeczytał rubrykę zgonów. Imię „Roland” to czysta obłuda. Gdyby był politykiem, bez wahania zrąbałby sekwoję, a potem wlaź na ociekający żywicą pień, by wygłosić przemowę na temat rezerwatów.

– Ten człowiek po prostu się zapracował – komentuje. To jego sposób składania kondolencji. – Za dużo wziął na siebie. Nie chciał z nikim podzielić się swoim ciężarem. Wiem to. – Overroy kręci głową z namaszczeniem, po czym następuje gigantyczny truizm: – Ten zawód potrafi wykończyć.

Z pewnością nie taką przyszłość planuje Roland dla siebie. Mimo jego sześćdziesięciu lat nikt by nie powiedział, że jest wykończony. Ma bujną siwą czuprynę, czekoladową opaleniznę i ani grama tłuszczu. Mówiono mi, że trzyma na przystani własną łódź i w lecie regularnie wychodzi z pracy przed trzecią, by zażywać popołudniowych przejażdżek. Nazywa to UCW (urzędowym czasem wypoczynku), pewnie po tych długich godzinach, które spędza w domu, przygotowując się do rozpraw. Stało się to niezawodnym dowcipem, ale Mario patrzył na poczynania Rolanda przez palce, uważając, że łatwiej mu znieść jego nieobecność niż ciągle wtrącanie się i jad, którym zatruewał atmosferę w biurze.

Overroy najwyraźniej usiłuje przewodniczyć temu zgromadzeniu. Przedstawia mnie wszystkim obecnym, „młodszemu personelowi”, jak określa ich w bardziej prywatnej rozmowie.

Polecił Jane Rhodes, sekretarce Ferettiego, by podała wszystkim zimne napoje, kawę i – jeśli zechcę – proponuje posłać ją trzy piętra niżej, do piwnicy, po zimne drinki z automatu.

Dziękuję za nie i pytam Boudina i Samuels, jak się mają sprawy w dziale wykroczeń – taka mała pogawędka na przełamanie lodów.

– Radzimy sobie – odpowiada za nich Overroy. – Ale chyba wszyscy się zgodzą, że potrzeba tu pewnych zmian – dodaje. – Szło nam lepiej, kiedy mieliśmy kogoś u steru. – Roland ma tu na myśli siebie.

– Co do biura – ciągnie – przekona się pan, że wszyscy znamy swój zawód. Brakuje nam tylko kontynuatora. Kogoś, kto wie, gdzie co leży i jak działa. – Śmieje się szeroko. – Pana Kontynuatora.

Feretti ostrzegł mnie, że Roland płaszczy się przed zwierzchnikami. W świecie Overroya długowieczność jest miarą sukcesu.

Do sali weszła właśnie Lenore Goya i stoi między Overroyem a drzwiami. Witam się z nią pospiesznie.

Lenore Goya jest szczupłą, wysoką kobietą, ubraną w ciemnoszary komplet – spódnicę do kolan i jedwabną bluzkę. Wygląda bardzo profesjonalnie. Jej śniada cera w specyficznych okolicznościach pokrywa się pewnie ciemną opalenizną. Ma cienki nos i wysokie kości policzkowe modelki. Gdybym nie czytał jej akt osobowych, wziąłbym ją za jedną z pań z klubu rekreacyjnego Talii. I gdyby nie jej oczy. Są głęboko osadzone, płonące i ciemne, i nie zdradzają zamięłowania do drobnych uciech.

Prowadzi biuro, odkąd Mario poszedł do szpitala. Z plotek personelu i tego, co powiedział mi Feretti, wiem trochę o jej życiu. Zanim tu przyszła, pracowała w dwóch biurach prokuratorskich w południowej Kalifornii, gdzie wywalczyła rekordową liczbę wyroków skazujących. Córka latynoskiego imigranta; wyrwała się z kalifornijskich doków i ukończyła uniwersytet z najwyższym wyróżnieniem, po czym uzyskała dyplom prawnika, przez cały czas korzystając ze stypendium. Jest samotną matką dwojga małych dzieci. Po spędzeniu paru ładnych lat w Los Angeles szuka dla swojej rodziny czegoś lepszego – spokojniejszego i bezpieczniejszego życia w małym miasteczku.

– Nie zamierzam państwu przeszkadzać – mówię. Pierwsze wrażenie utrwała się szybko i nie sposób go usunąć, to coś jak ślady psich łap na świeżym betonie. – O ile to będzie zależało ode mnie, macie przed sobą tylko tymczasowego pomocnika. Jestem kimś w rodzaju ekonoma.

To wywołuje słabe śmieszki.

Roland oblizuje wargi – węszy okazję. Boudin i Samuels kiwają głowami ze zrozumieniem. Ale Goya jest nieprzenikniona. Jej oczy lustrują mnie od stóp do głów, waży każde moje słowo. Ta dama zna chyba smak cynizmu. Może jednak jakoś się dogadamy.

– Podział obowiązków nie ulegnie zmianie – kontynuuję. – Mam nadzieję, że nie zostanę tu aż tak długo.

Nawet to nie robi na niej wrażenia. Jej twarz pozostaje niewzruszona, kiedy tak stoi, oparta ramieniem o framugę drzwi.

– Proszę do nas – zwracam się do niej. – Nie gryzę. Proszę usiąść.

– Mnie tu dobrze – odpowiada.

Rozmowa pająka i muchy.

Skoro jest w takim nastroju, omijam zwyczajową kwestię – zapewnienie o polityce otwartych drzwi. Lenore uznałaby to za biurokratyczną gadkę. Co do Overroya, na całym bożym świecie nie ma takiego zamka, który by zamknął przed nim drzwi mojego gabinetu.

– Jak wygląda pani rozkład zajęć? – Patrzę na Goyę.

– Dlaczego pan pyta?

– Musimy porozmawiać o przebiegu zbrodni – wyjaśniam.

Zerka do małego kalendarzyka. Prawnicy noszą się teraz z nimi wszędzie, jak duchowni baptystów z Bibliami.

– Jestem wolna w poniedziałek rano. Przed rozprawą o dziewiątej. Mój gabinet czy pański?

– Pani. – Małe ustępstwo, by pozwoliła się zjednać.

– Może się przyłączyć? – wtrąca się Overroy. Wie, że jeśli ma odzyskać swoją pozycję, to teraz albo nigdy.

– Chyba nie będziemy zajmować Rolandowi czasu? – Znowu spoglądam na Goyę.

W odpowiedzi słyszę bezbarwne, pozbawione emocji „nie”. Coś mi się zdaje, że ta kobieta nie znosi głupców.

Overroy jest zbity z tropu, posyła Lenorze spojrzenie pełne jadu. Trwa to ułamek sekundy. Po chwili znowu robi dobrą minę do złej gry.

– Fakt – mówi. – Jestem okropnie zabiegany.

Wszyscy wstają i ruszają do wyjścia.

– Och, mam pytanie. – To znowu Overroy. Ponownie uśmiechnięty. – Jeśli go złapią, komu przypadnie Kuba Rozpruwacz?

Patrzę na niego pytająco.

– Chodzi mi o Putah Creek – nie pozostawia wątpliwości. – Kto dostanie tę sprawę?

Nie wiem, czy naprawdę wydawało mu się, że mógłbym mu ją powierzyć, czy chce po prostu wywołać rozdźwięk w biurze i w ten sposób zaszkodzić Goi.

– Jak pan go nazwał? – pytam.

Jest cały w uśmiechach.

– Hmm? – Żartobliwe spojrzenie. – A, Kuba Rozpruwacz.

Kiwam głową.

– Tak go określił jeden z chłopaków z wydziału zabójstw – mówi. – Kiedy się tam pracuje, nabywa się ciekawego poczucia humoru – ciągnie z pewnością siebie. Kreuje swój *image*. Zdaje się narzucać nam ten obraz: on i jego kumple z wydziału zabójstw popijają piwko i omawiają szczegóły spraw, drastyczne szczegóły, same mocne rzeczy.

Wzdrygam się na myśl, co powiedziała by Feretti o nagłówku „Kuba Rozpruwacz”, krzyczącym z pierwszej strony lokalnej gazetki „Dziennik”, którą Mario nazywał „Nocnik Davenport”.

– Nie obchodzi mnie, skąd pochodzi to określenie – oświadczam. – Nie chcę go więcej słyszeć.

W pokoju zapada grobowe milczenie.

– Może pan to przekazać temu mędrkowi z zabójstw. Z szeryfem pomówię sam. Musimy się liczyć z rodzinami zamordowanych. Nie możemy sprawiać im dodatkowego bólu. I tak będą rozdrażnieni, kiedy nie udzielimy im w porę wyjaśnień.

– Dobrze – odpowiada Roland. – Zrobię to. – Ale z jego twarzy znika uśmiech.

Na razie udało mi się wykręcić od odpowiedzi, kto właściwie otrzyma sprawę Putah Creek, lecz Goya przygląda mi się badawczo. Spójrzmy prawdzie w oczy: Overroy zasiał jednak ziarno niezgody.

Moja córeczka ma być płatkami róży, gwiazdą pomiędzy nieśmiałymi fiołkami, siedmio – i ośmiolatkami w fioletowych sukieneczkach.

Sarah ma na sobie różową spódniczkę baletnicy, sterczącą sztywno jak śmigła helikoptera wokół jej wąziutkich bioder, a pod spodem rajstopki tak małe, że nie zmieściłaby się w nich moja ręka. A jednak na jej patykowatych nóżkach tworzą się zmarszczki jak na zimowym jabłku.

Kiedy się ubieram, Nikki szaleje z kamerą, bez ustanku filmując lekkie piruety i pozy przy kominku w salonie. Dzisiaj będziemy oglądać efekt trwających pół roku lekcji i miesiąca prób, z ogromną obsadą. Baletowe kółko dziecięce przedstawia *Alicję w Krainie Czarów*. Do tego celu kierownictwo kółka wynajęło audytorium w liceum. To jedyna sala w mieście na tyle duża, by pomieścić legion dumnych rodziców i dziadków, rodzeństwa i kuzynów, którzy zjechali się specjalnie na tę okoliczność.

Gdy spoglądam z góry na hol, widzę pobojuwisko pozostałe po wczorajszym przyjęciu. Mieliśmy gości, a nasi goście mieli dzieci, które wraz z Sarah zrujnowały nam

lepszą część domu. Korytarz przypomina krajobraz po bitwie. Na podłodze Ken i Barbie, na wpół nadzy. Małeńkie ubranka znaczą drogę do salonu, jakby porzuciło je jakieś konające plemię Liliputów, brnących przez pustynię.

– Masz bilety? – pyta Nikki.

Wyjmuję portfel. Tu ich nie ma.

– Myślałem, że to ty je masz – odpowiadam.

– Dałam ci je, kiedy się goliłeś.

Zaglądam do łazienki. Leżą na szafce koło zlewu.

– Są.

Z pokoju dobiega mnie westchnienie żony mające oznaczać, że wkrótce pewnie zgubię własną głowę. Właściwie ma rację. Wygląda na to, że praca zaczyna dawać mi się we znaki. Rozdarty między kancelarią a biurem, żyję jak w domu wariatów – pół adwokat, pół prokurator, codziennie przemierzając gigantyczną odległość między tymi funkcjami.

– Wziąłeś pieniądze z banku?

– O cholera – mówię to do siebie, po cichu, ona jednak mnie słyszy.

– Prosiłam cię, żebyś pobrał – przypomina mi.

– Wiem, zapomniałem.

– No to skąd je teraz weźmiemy?

– Ze środków na zakupy.

– I już ich nie zobaczę.

Podczas gdy ona mówi, ja przeszukuję koperty w górnej szufladzie naszej sypialnianej komody – trzydzieści dolarów z koperty z napisem „jedzenie”.

– Cholera, Paul. – Nikki staje za mną w drzwiach. – Nie proszę cię o wiele. Prowadzę dom, gotuję, chodzę do pracy. A ty zapominasz wstąpić do banku w drodze powrotnej.

– No dobra, zapomniałem – usprawiedliwiam się. – Skończmy już.

Przepuszczam ją w drzwiach i rozglądam się za krawatem, który wcześniej zostawiłem na krześle w salonie. Sarah ogląda telewizję, CNN z wyłączonym dźwiękiem. To wiadomości, które zostawiam sobie na wieczór. Telewizja nie przeszkadza Nikki, jeśli nie musi jej słuchać. Ostatnio coraz częściej oglądam wiadomości bez głosu, włączając go tylko wówczas, gdy podają informacje o światowych kryzysach. To część ceny za spokój w naszym domu.

Znajduję krawat, przystaję na chwilę i przyglądam się mojej córce. Jej ciemne loki są wyszczotkowane i przystrojone, a w swoim kostiumie wygląda jak zwiewna księżniczka z bajki. Spojrzenie jej błyszczących brązowych oczu przyłgnęło do ekranu. Ja też patrzę.

Zdjęcia głodujących dzieci w jakimś dalekim kraju, wychudzone, obolałe ciała, wzdęte brzuszki i okrągłe głodne oczy. Sarah wpatruje się w nie intensywnie, skupiona – porozumienie niewinnych.

Obraz zmienia się – gadająca głowa. Córeczka spogląda na mnie. Walczę z krawatem.

– Tatusiu, co jest tym dzieciom?

Chyba lepiej stawić temu czoło, niż się wykręcać.

– Nie mają co jeść.

– Czemu? Dlaczego ich ktoś nie nakarmi?

– Tam, gdzie mieszkają, nie ma jedzenia.

– To dlaczego nikt im go nie da?

– Tam są źli ludzie z karabinami – wyjaśniam.

– To czemu nikt nie wyrzuci tych złych ludzi?

W kilku słowach – dyskusja narodów.

– To skomplikowane – stwierdzam.

Patrzy na mnie, po raz pierwszy nie rozumiejąc. Jak większość dzieci, Sarah przejawia egoizm tylko w wypadku instynktownego współzawodnictwa w czasie zabawy z innymi dziećmi. Jeśli zaś chodzi o sprawy bardziej ogólne, Sarah to ocean współczucia. W spokojnych i samotnych zabawach, które chyba bardzo lubi, jej lalki są prawie zawsze chore i wymiotują. Cierpią na choroby z podręcznika dla lekarzy. To dla niej pretekst, by się nimi opiekować.

Dla mnie i Nikki nasza córka to litania małych ofiar, poszarpane płatki i połamane łydgi, zebrania w ogrodzie, strzępki papieru pokolorowanego i podziurkowanego, dowody poświęcenia poskładane i pomięte, w każdym odcieniu produkowanym przez Crayola. Dzisiaj dla Sarah liczy się nie tyle jej występ, ile świadomość, że jest to dla nas prezent. Pięcioletnie dzieci chyba nie mają pojęcia o bezwarunkowej rodzicielskiej miłości. Z ograniczonego punktu widzenia Sarah trzeba nam się ciągle opłacać, wciąż nas wynagradzać za nieustanne okazywanie uczucia. Ona nie wie, że sama jest wystarczającym wynagrodzeniem.

W kuchni dzwoni telefon. Nikki podnosi słuchawkę.

– Chwileczkę. To do ciebie. – Patrzy na mnie wzrokiem, który mówi: „Lepiej, żeby to nie było to, o czym myślę”. Podaje mi słuchawkę.

– Halo.

– Panie Madriani, tu Claude Dusalt.

– Tak.

– Przepraszam, że niepokoję o tej porze, ale to ważne. Nastąpił przełom w

dochodzeniu. Jesteśmy koło uniwersytetu. Mamy dowód rzeczowy w furgonetce. W sprawie mordercy z Putah Creek. Potrzeba nam upoważnienia – wyjaśnia. – Czy możemy spotkać się w pana biurze za pół godziny?

Przełykam ślinę i zerkam na Nikki. Przygląda mi się doświadczonym okiem cynika. Na mojej twarzy widzi wypisaną zapowiedź następnego rozczarowania.

– Rozumiem – odpowiadam. – Będę za pół godziny.

Dusalt odkłada słuchawkę.

– Muszę iść – informuję. – To wielki przełom w śledztwie. Potrzebują upoważnienia.

– I czego jeszcze? – pyta Nikki, wzruszając ramionami.

Już prawie wychodzi, bierze płaszcz i torebkę.

Przez te wszystkie lata naszego małżeństwa nauczyłem się, że słowa mojej żony nie zdradzają jej prawdziwych uczuć. Tak jak jej gesty. W jej tonie nie słyhać zbyt wiele wrogości, raczej rezygnację. Ale Nikki chodzi sztywnym, odmierzonym krokiem – oznaka nadciągającej dzikiej furii.

– Przepraszam – dodaję. – To się zdarza.

– Jasne – mówi. Bierze Sarah i ruszają w stronę drzwi. – Lepiej się pośpiesz. Co by to było, gdybyś się spóźnił – rzuca mi. – Tatuś nie idzie. – Moja córka patrzy na swoją matkę migdałowymi oczami wielkimi jak talerzyki.

– Tatuś ma inne, ważniejsze sprawy – dorzuca Nikki.

Teraz talerzyki Sarah kierują się na mnie.

Mój uśmiech jest dość żaloszny. Kucam przy niej, aby przytulić ją na znak przeprosin. Zanim jednak mi się to udaje, Nikki pociągają za sobą w stronę samochodu w garażu – jak niesforną owieczkę. Są spóźnione i się spieszą. Kiedy drzwi się za nimi zamykają, słyszę jeszcze:

– Tatuś musi dziś pracować.

Kolejny minus na koncie ojcowskiej miłości.

## 6

– Proszę, żeby furgonetka została tam, gdzie jest – wydaję polecenie. – Ma być pod nadzorem, dopóki nie otrzymam nakazu sądowego. Niech nikt jej nie dotyka bez mojej wiedzy. Zrozumiano?

Claude sprowadził Denny'ego Hendersona, który robi notatki, my zaś szybkim krokiem przemierzamy publiczny parking, schodki ratusza i wchodzimy po schodach na piętro. Latarnie na zewnątrz są zapalone, chociaż nie zapadł jeszcze zmrok.

– I będę potrzebować dobrej stenografistki, kogoś, kto umie pisać pod dyktando i wie, jak się sporządza nakaz sądowy. – Patrząc na Hendersona. – Jest ktoś taki? – Ten spogląda na Claude'a, który kiwa głową.

– Sheila Aikens – odpowiada. – Jedna ze starych pracownic w pańskim biurze. Feretti z nią pracował, twierdził, że jest bardzo dobra.

– Znajdź ją i sprowadź tutaj. Furgonetka ma być bez przerwy pod obserwacją. Dowiedz się, na kogo jest zarejestrowana.

– Już to mamy – mówi Claude. – Nazwisko właściciela.

Wpadamy głównym wejściem do biura.

Dusalt wyciąga z kieszeni mały notes.

– Zezwolenie z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Na nazwisko Andre Iganovich. – Szybko recytuje adres z zachodniego rejonu miasta. – Od kilku godzin obserwujemy jego mieszkanie. Policja przysłała nam fotografię z jego prawa jazdy. Bierzemy go, kiedy się pojawi?

– Nie. Musimy działać zgodnie z prawem – stwierdzam. – Najpierw nakaz rewizji furgonetki. Jeśli to, co w niej znajdziemy, jest coś warte, dostaniemy nakaz rewizji mieszkania. I zaaresztujemy ptaszka, jeżeli nie wyleciał z klatki. Dobierzemy się do niego, gdy otrzymamy nakaz aresztowania na podstawie dowodów rzeczowych.

– A jak znajdziemy go w furgonetce? – pyta Claude,

To już bardziej niepokojące. Nie możemy pozwolić, żeby odjechał w furgonetce razem z jej zawartością.

– Zatrzymamy go. Na przesłuchanie. Ale nie wolno nam go aresztować. – Jestem nieugięty. Nie chcę, żeby podczas rewizji procesu jakiś sędzia zakwestionował nasze dowody, bo działaliśmy zbyt pośpiesznie.

Claude patrzy na Hendersona.



– Przekaż to – mówi. I Denny znika jak cień w pochmurny dzień, by w pustym biurze skorzystać z telefonu.

Z dołu, z holu, widzę głowę, skrzydło długich czarnych włosów prześwietlonych światłem z gabinetu i oczy wyglądające zza framugi drzwi. Tak jak przypuszczałem, to Lenore Goya. Głowa znika w głębi sanktuarium równie szybko, jak się pojawiła.

Claude i ja tłoczmy się w dawnym gabinecie Ferettiiego.

Jeszcze mnie nie znał od tej strony. Dotąd byłem bierny, czekałem w kulisach, aż mnie poproszą o pomoc. Ale teraz, kiedy Ingel i Acosta wiszą mi u gardła, stałem się – używając żargonu naszych czasów – bardziej twórczy.

Kiedy wchodziliśmy, zauważyłem kolegów Claude'a w sąsiednim gabinecie – innego policjanta w mundurze, którego nie znam, i barczystego mężczyznę z brzuchem jak Babe Ruth, opiętym koszulą w cienkie błękitne prążki. To nasi naoczni świadkowie, którzy znaleźli furgonetkę z jej przerażającą zawartością.

– Będzie nam potrzebna Sellig. Niech Henderson zadzwoni do Departamentu Sprawiedliwości i ją sprowadzi. – Nie zamierzam ryzykować z miejscowymi technikami. Jeżeli dochodzenie przeciw mordercy z Putah Creek zaczyna się tutaj, musi mieć solidne podstawy, dowody mają być pewne jak beton, żeby żaden podstępny obrońca nie mógł ich zatuszować w okresie przed rozprawą.

– Teraz proszę mi powiedzieć, co się stało.

Dusalt znów zagląda do notesu.

– Nasz przyjaciel Iganovich jest chyba rosyjskim imigrantem, mieszka tu od czterech lub pięciu lat. Sprawdziliśmy jego akta, ale są czyste. Jedyne, co znaleźliśmy, to licencja z października zeszłego roku. Licencjonowany ochroniarz – wyjaśnia. – Bez zezwolenia na broń.

Claude kręci głową.

– Rozumiesz to. Facet prawdopodobnie przebywa w tym kraju nielegalnie i pracuje w ochronie.

– O jego statusie imigranta porozmawiamy później. Jak ją znaleźliście, tę furgonetkę? – pytam. Staram się przewidzieć możliwe kłopoty, mózg prawnika nie próżnuje.

– Wszystko jest czyste jak łąza – zapewnia Claude.

– Śmieszne.

– Oficer Dandrich, ten na zewnątrz, jest z policji uniwersyteckiej – informuje.

To ten mundur, którego nie znam.

– Zauważył tę furgonetkę dwa dni temu na jednym z uniwersyteckich parkingów. Jest

druga w nocy, parking – przeznaczony tylko do użytku dziennego – świeci pustką. Uznaje, że właściciel, kimkolwiek jest, pracuje do późna. Dlatego niczego nie podejrzewa. Patrzy na tylną oponę – zaznaczyła ją pracownica parkingu. Następnego dnia znów ma służbę i furgonetka ciągle tam stoi. Na przedniej szybie bilet. Znowu sprawdza opony: pojazd nie ruszał się stamtąd. Przepisy uniwersyteckie pozwalają parkować dwadzieścia cztery godziny, potem samochód się usuwa. Wzywa więc ciężarówkę z firmy zajmującej się odholowywaniem pojazdów ze śródmieścia.

Według Claude’a jest to płatny garaż, związany kontraktem z uniwersytetem.

Śledzę rozwijający się dramat, opierając stopy na wysuwanym blacie biurka, który specjalnie w tym celu otworzyłem.

– No i tu pojawia się ten Harold – ciągnie. – Pan Goodwrench. – Mówi o tłuściochu w prążkach, czekającym na zewnątrz. – Ale pan Harold jest bardzo ostrożny. Już go skarżyli wściekli właściciele zajętych wozów, więc zanim zabierze samochód z parkingu, stosuje standardową procedurę: sporządza inwentarz przedmiotów znajdujących się w środku. Upiera się, żeby zrobić to w obecności policjantów uniwersyteckich.

– Ufny człowiek – zauważam.

– No więc – kontynuuje Claude – Harold i gliniarz z uniwersytetu – zerka w notatki – Dandrich, zaglądną do furgonetki. Jeden z nich zauważa, że szyba w tylnych drzwiach, po stronie pasażera, jest wybita.

– Policjant nie spostrzegł tego poprzedniego dnia?

Dusalt potrząsa głową, wzrusza ramionami.

– Pytałem go. Samochód był zaparkowany przy jednej z tych cementowych kolumn w garażu. Żeby to zauważyć, trzeba było obejść kolumny.

– A zatem nie wiadomo, kiedy tę szybę wybito?

– Nie.

– No więc kiedy Dandrich i Harold widzą, że w oknie nie ma szyby, robią się naprawdę ciekawi. Sięgają do środka i otwierają drzwi.

– Ciężarówka była nadal zamknięta?

Kiwa głową.

– Jak sądzisz, co znaleźli? – Claude patrzy na mnie, krótka, znacząca pauza.

Potrząsam głową, w życiu nie zgadnę.

– Na miejscu pasażera ręcznik, zaplamiony czymś, co wygląda jak zaschnięta krew. To nie wszystko – dodaje. – Głębiej, całkiem na widoku... – podkreśla to słowo gestem otwartej dłoni, jakby zaklinał się, że nie kłamie – leżą metalowe śledzie namiotowe, te małe

błyszczące przedmiociki w kształcie litery „L” i – bingo – zwinięty na podłodze obok śliczny nylonowy sznureczek do bielizny, dziesięć metrów.

Unoszę brwi.

– Gdzie są teraz gwoździe i lina?

– Niczego nie dotykaliśmy – zapewnia. – Zostawiliśmy je tam, gdzie były.

– Dobrze. Natychmiast sprowadźcie Sellig. Powiedźcie jej, co znaleźliście i w jaki sposób, ze szczegółami. Niech nikt nie dotyka tej furgonetki, zrozumiano? Przekażcie jej, że oczekuję raportu, porównania z gwoździami i liną pozostawionymi na miejscu zbrodni. Tak szybko, jak tylko się da. To jest warunek uzyskania nakazu aresztowania tego typu. – Jeśli mamy przeszukać mieszkanie Rosjanina, raport Sellig będzie podstawą otrzymania nakazu rewizji i ostatecznie aresztowania faceta.

Claude przeszukuje kieszenie. Jego dłoń wynurza się z małą fiolką tabletek, jakimś lekarstwem. Potem Dusalt wychodzi na korytarz, do termosu z zimną wodą. Mija kilka minut. Wstaję, rozprostowuję nogi i też wychodzę. Claude stoi dziesięć metrów dalej, przy termosie. Najwyraźniej połknął już swoje pigułki, ale nie jest sam. Rozmawia z nim Lenore Goya, bardzo ożywiona. Można powiedzieć, że Claude musiałby się namęczyć, żeby wtrącić jakieś słowo. Lenore spostrzega mnie i milknie. Dwie sekundy i znika w biurze, zamykając za sobą drzwi. Głośno.

Dusalt wkłada fiolkę do kieszeni i zbliża się do mnie.

– Co to wszystko znaczy?

Claude krzywi się i wzrusza lekko ramionami, chyba woli o tym nie mówić. Ale ja naciskam.

– To tylko ciekawość. Chce się czegoś dowiedzieć o Putah Creek. Co nowego.

– Powiedziałaś jej?

– Jasne. Dlaczego nie?

– Może powinienem ją do nas zaprosić?

– Nie wiem. – Claude kryje się za maską niepewności. Wyczuwam, że w ich rozmowie było więcej wrogości niż ciekawości.

– Zraniona duma – wyjaśnia.

– Bo mnie wzięto na wolne miejsce?

Kiwa głową.

– Jasne. Feretti choruje, a oni od razu sprowadzają obcego faceta. Nawet z nią nie rozmawiali. Miała na głowie całe biuro nawet wtedy, gdy Mario tu był.

Unoszę brwi.

– Od dawna podupadał – ciągnie Dusalt. – Goya go kryła. Dużo jej zawdzięczał. Teraz czuje się zdradzona.

Pukanie do drzwi.

– Proszę – rzucam.

Pojawia się w nich kobieta, głowa w pierścionkach rzadkich brązowych włosów. Twarz jest znajoma. Może to sprzątaczką – masa zmarszczek, a pod oczami worki wielkie jak torby od Gucciego. Ubranie niczym ze sklepu ze starzyzną. Sto procent megiiery.

– Czym mogę służyć?

– Madriani? – pyta. Mówi z papierosem zwisającym z umalowanych ust.

– To ja.

– Zadzwonili do mnie do sanatorium – informuje.

Spoglądam na nią jeszcze raz i dochodzę do wniosku, że może ona tu pracuje.

– Odwiedzałam matkę.

– A, pani jest...

– Sheila Aikens. Mówili, że mnie pan potrzebuje. – Pod pachą ma wielki skoroszyt, gruby na dziesięć centymetrów, jeden z tych, które rozkładają się jak akordeon. Pod drugą – torebkę. W wolnej dłoni trzyma filiżankę z odcisniętym śladem szminki.

Patrzę na Claude'a wymownym wzrokiem. Czy to wszystko, na co nas stać? Uśmiecha się trochę tchórzliwie.

– Proszę poczekać na zewnątrz – odzywam się. – Znajdę panią, kiedy będę gotów.

Rozsypuje popiół po całym dywanie.

– Aha. Dobra. – Drażniący ton jej głosu przypomina zgrzyt pilnika trącego deskę pełną drzazg. Ten brak modulacji daje do zrozumienia: „No tak, najpierw śpiesz się, teraz czekaj”.

Zamyka drzwi.

– Skąd ją wytrzasnęliście? – zwracam się do Claude'a.

Krzywi się.

– Trzeba by spytać Ferettiego.

– Trochę za późno – zauważam.

Dusalt wzrusza ramionami – takie rzeczy po prostu nie leżą w jego gestii.

Choć nie powinno się źle mówić o zmarłym, żałosna etyka zawodowa Rolanda Overroya, a teraz wizja Sheili Aikens snującej się pod moimi drzwiami jak smród Pepe LePew, rzuca całkiem nowe światło na styl dowodzenia Maria.

– Na czym stanęliśmy? – wracam do tematu.

– Sznur do bielizny i śledzie.

– Tak.

Usiłuję dociec, gdzie dokładnie leżały, kiedy je zauważono.

– Niczego nie dotykaliśmy – zapewnia ponownie Claude. – Wszystko było na samym wierzchu, z tyłu ciężarówki. – Dusalt zaczyna się jakby wycofywać. – Pojazd był opuszczony. Ten facet nie ma żadnego szacunku dla dobra prywatnego. Nie potrzebowaliśmy nakazu, żeby zajrzeć do środka.

Patrzę na niego z uśmiechem.

– Dwa dni na płatnym parkingu?

Claude blednie lekko.

Nie chcę szukać współczującego sędziego, kogoś, kto kupiłby tę historyjkę tylko po to, by ją zbito w sądzie apelacyjnym. W środowisku prawniczym sędziowie wydający nakazy są jak króliki z Talmudu – każdy ma własną reputację. Wybierz jednego takiego, który nie jest wysoko notowany, a zapłacisz za to później. Z nawiązką.

– Rozmawiałeś osobiście z panem Haroldem o procedurze, jaką stosuje, robiąc spis zawartości pojazdu?

Claude kiwa głową.

– Czy za każdym razem, kiedy zabiera samochód, sporządza taki inwentarz?

– Regularnie jak w zegarku.

Krzywię się.

– Bez wyjątku? – Ufam Claude’owi, ale widziałem zbyt wiele spraw, w których policjanci zniekształcali fakty, naginając je do swoich potrzeb.

– Zawsze. Nieodmiennie – potwierdza.

Dusalt wie, o co pytam: czy jest pewien swoich informacji, czy może podpisać oświadczenie, złożone pod przysięgą, pod groźbą krzywoprzysięstwa, w czasie przesłuchania świadków w sądzie.

– Harold czeka na zewnątrz – przypomina. – Chcesz z nim porozmawiać?

Sprawdza mnie. Sprawdza, czy mu ufam, ja, ten przemądrzały obrońca, który zmienił się w oskarżyciela.

– Nie. Oprzemy się na twoich słowach. – Mała inwestycja w zaufanie. – Wszystko w porządku, przynajmniej na razie – dodaje. – Właściwie zarekwirowana furgonetka, zatrzymana jako dowód rzeczowy. Cokolwiek znajdziemy, postępujemy zgodnie z zasadami.

To jeden z wyjątków zastrzeżonych przez prawo. Nie potrzebujemy nakazu rewizji dla ręcznika, liny i śledzi odkrytych w furgonetce. Zakładając, że nasz sędzia zna prawo, Sellig może swobodnie rozpocząć swoje czary.

Claude uśmiecha się do tej myśli. Kapryśni bogowie procesów kryminalnych tym razem go pobłogosławili.

– Wciąż brakuje nam włosów i tkanek z furgonetki – przypominam. – Dlatego musimy mieć nakaz.

Kiwa głową. Jak na razie, dobrze.

– Co godzina otrzymujemy raporty od Hendersona i grupy obstawiającej mieszkanie Iganovicha. Jeszcze się nie pokazał ani tu, ani przy furgonetce. Claude zakłada się, że facet sący margeritę w Meksyku.

– Robi się gorąco – mówi. – Przyjdiesz?

– Nie. – To truizm, że ci, którzy gwałcą prawo, bardzo często popełniają głupstwa.

Jestem zajęty układaniem tekstu, dyktowaniem go Aikens, która garbi się nad starą maszyną IBM Electric, pokrytą grubszą warstwą popiołu niż Wezuwiusz. Ta kobieta kopci niczym komin, wystukując zeznanie Claude'a, gotowe do podpisu. Dusalt potwierdził je w obecności dwóch świadków, których teraz odsyła do domu.

Mam przed sobą jeden cel: przekonać bezstronnego sędziego, że istnieje realne prawdopodobieństwo, iż dowód zbrodni znajduje się w furgonetce Rosjanina. Wtedy można będzie pobrać odciski palców, znaleźć włosy i tkanki, sprawdzić wzór opon i mieć nadzieję, że wszystko to wiąże się z morderstwami z Putah Creek.

Teraz dyktuję odręczne notatki, myśli, które przyszły mi do głowy, kiedy Claude wprowadzał mnie w sprawę, i podczas jego spotkania ze świadkami.

Kiedy mówię, jednym okiem zerkam na papier tkwiący w maszynie do pisania Aiken, a drugim na Dusalta, by upewnić się, że nie odbiegam od związanej relacji uniwersyteckiego gliniarza i pana Harolda.

Claude kiwa głową co kilka sekund, gdy dochodzę do krytycznych punktów w opisie wydarzeń. Musi się zgodzić z tym oświadczeniem. To jego tyłek będzie w niebezpieczeństwie, jeśli jakiś sędzia uzna, że skłamał.

Przez chwilę zamyślam się nad Aikens. Ten papieros i w ogóle, jej palce plamiące klawiaturę. Ale na dwóch stronach pomyliła się tylko raz. Zmieniam moją opinię na jej temat, żałując teraz ostatniej oceny zdolności przywódczych Maria. Ta dama zna swój fach.

– Może Lockyer? – pyta Claude. – Ma dobre podejście. Zawsze można dostać od niego nakaz. Mamy to jak w banku. – Dusalt podrzuca mi nazwiska. Zaczyna się szukanie sędziego, który zgodziłby się wydać nakaz.

Kręcę głową.

– Nie tym razem – odpowiadam. – Lockyer może być świetny, kiedy chodzi o gang złodziei samochodów czy obławę na handlarzy narkotyków. Ale to były oskarżyciel. Na niego sąd apelacyjny będzie patrzył szczególnie krytycznie. Chcę neutralnego, niezależnego sędziego, który przejrzy nasze zeznanie.

Już go nawet wytypowałem i zadzwoniłem do niego, kiedy Claude rozmawiał ze swoimi świadkami. Frances Kerney była niegdyś prezesem sądu w hrabstwie Davenport, a obecnie znajduje się na liście kandydatów do sądu apelacyjnego. Kiedy nasza sprawa dotrze do tego sądu, ona też już tam będzie. Czegokolwiek dotknie, zajmując ławę sędziowską, z pewnością spotka się z dyskretnym wsparciem swych kolegów w togach. Bez wątpienia to cynizm. Ale w ważnej sprawie trzeba się liczyć ze wszystkim.

Namierzyłem tę Kerney. Znam jej rozkład dnia na popołudnie i rano, zdobyłem jej domowy telefon. Jeśli będzie trzeba, mogę się przed nią czołgać.

Wkładając zeznanie do koperty, wyczuwam jakiś ruch za plecami, ruch wahadłowych drzwi przy kontuarze. Odwracam się. To Kay Sellig i policjant, którego wyznaczyłem na jej szofera – uprzejmość wynikająca z potrzeby pośpiechu. Nie zawiodła. Ma wstępną analizę gwoździ i sznura.

Kładzie swoją teczkę, płaską aktówkę, na biurku Aikens i odwraca się ku mnie z uśmiechem satysfakcji.

– Nie wiemy, kim jest – mówi – ale ukręcił sobie stryczek z własnej liny.

Zamieniam się we wzrok. Każę maszynistce przerwać. Aikens wyjmuje z torebki paczkę cameli i wychodzi. Za pięć minut akcje tytoniu skoczą o cztery punkty.

Zwracam się do Sellig:

– Co pani znalazła?

– Musiał używać wszystkiego, co mu wpadło w rękę – oświadcza. – Albo to kretyn.

– Sznur do bielizny – dodaje.

– Zostają na nim ślady?

– Jak okruszki chleba w grocie.

Mój uśmiech staje się równie szeroki jak jej.

– Linka składa się z włókien – wyjaśnia. – Ściśle utkanych i owiniętych osłonką z białego plastiku. Nie ma dwóch powroźników, którzy używaliby takiej samej liczby włókien i rodzaju splotu.

Sięga do aktówki i wyjmuje pojedynczą zadrukowaną kartkę.

– Linka znaleziona w furgonetce ma sto dwadzieścia jeden wewnętrznych włókien,

dziewięć różnych typów włókna plastikowego i jedno metalowe. – Patrzy na mnie. – W każdym szczególe identyczne jak w lince użytej wobec pierwszych czterech ofiar z Davenport.

– Tych dzieciaków? – pytam.

Kiwa głową.

Widzę, że czeka na pytanie: a Scofieldowie? Pomija ich milczeniem. Lepszy rydz niż nic.

– To dobre – przyznaję – ale nie rozstrzygające. Może wystarczy do otrzymania nakazu rewizji, na pewno furgonetki, a może i mieszkania Rosjanina. Czy to popularny towar?

– Ten szczególny typ produkuje się tylko w jednym zakładzie. Jeśli chodzi o punkty sprzedaży, jest gorzej. W tym stanie sprzedaje go co najmniej osiem tysięcy sklepów, czyli w całym kraju około czterdziestu tysięcy.

Mina mi rzednie. Dobry obrońca miałby używanie. Krytyczny sędzia, poproszony o nakaz, mógłby powiedzieć, rozważywszy wszystkie za i przeciw, że obecność śledzi i sznura po prostu sugeruje, iż pan Iganovich lubi biwaki. Wyczuwam jednak z jej zachowania, że jeszcze nie skończyła.

– Biała plastikowa otoczka wokół linki to już inna bajka – dodaje Sellig. – Oplata się ją wokół włókien, kiedy jest gorąca. Stygnąc kurczy się i ściśle przylega do sznura.

Najlepsze zachowała na koniec.

– I?

– Zewnętrzny splot włókien odciska się na wewnętrznej stronie otoczki. Najbardziej uroczy wzorek, jaki widział pan w życiu. Zupełnie jak odciski palców wewnątrz tej plastikowej otoczki.

Zapada nanosekunda absolutnej ciszy. Claude i ja przetrawiamy to, co usłyszeliśmy. Później Dusalt, niemal w transie, wyraża naszą wspólną myśl:

– Ktokolwiek miał tę linkę w furgonetce, jest już nasz.

Sellig kiwa głową. Pokazuje nam zdjęcie – ośmiokrotne powiększenie zbliżenia dwóch kawałków plastikowej otoczki. Każdy z nich wygląda jak gigantyczna słomka, z guzkami i wypukłościami wewnątrz. Nawet moje niewprawne oko dostrzega, że wzór na obu fragmentach pasuje do siebie – guzki i wypukłości są dokładnie w tych samych miejscach.

– To dwa końce tego samego sznura – wyjaśnia Kay Sellig. – Ten po lewej to część linki z zatrzymanej furgonetki. Ten po prawej pochodzi z nadgarstka Sharon Collins, ostatniej zamordowanej uczennicy. Inne kawałki zdjęto z dzieciaków. – Ma na myśli zamordowanych



uczniów. – To jest rozstrzygające – kończy. – Wszystkie idealnie do siebie pasują. Fragmenty sznura odcięte z tego samego zwoju.

Nie będę musiał czołgać się przed sędzią.

Zanim doszedłem z Claude'em i Emilem Johnsonem na trzecie piętro, technik policyjny już rozwinął taśmę, by ogrodzić koniec korytarza przy mieszkaniu Iganovicha.

Chwytam Dusalta i szepczę mu do ucha:

– Niech zaraz przyjdzie tu Sellig.

Kiwa głową i wydaje instrukcje jednemu z policjantów w holu.

Dwaj oficerowie wywiadu, faceci z paramilitarnym przeszkoleniem, w czarnych mundurach i włosami zebranymi w kitkę, wychodzą z mieszkania. Jeden z nich rozładowuje broń – naboje z miękkimi czubkami w magazynku, ołów, który rozpląszczy się jak kit, kiedy uderzą w cel.

Podjezranego najwyraźniej nie ma w domu. Czekamy pod drzwiami. Kilka sekund później zjawia się Sellig, eskortowana przez umundurowanego policjanta. Niesie małą czarną walizeczkę, jak niewielka cegła. Wchodzi do mieszkania, a my za nią. Trzymam ręce w kieszeniach.

Czuję się dość idiotycznie, skrepowany kamizelką kuloodporną, sięgającą mi od pasa do szyi. Emil prosił, żebym tu był, w razie gdyby podczas rewizji powstały jakieś wątpliwości. Chyba próbuje zachować się odpowiedzialnie.

– Sporządziliśmy szczegółowy raport na temat Iganovicha – mówi. – Oparty na nakazie aresztowania, który zdobyłem na podstawie dowodu rzeczowego znalezionej w furgonetce Rosjanina.

– Uważać przy drzwiach – ostrzega Emil.

Pod progiem stoi miska z jedzeniem dla kota, porośnięta białą pleśnią. I muchy, wszędzie muchy. Nad wszystkim dominuje smród. Coś między fetorem gnijącego mięsa i nieszczelnego szamba.

Claude trzyma przy ustach chusteczkę. Brnie przez nagromadzone śmieci do okna po drugiej stronie pokoju. Otwiera je, powstaje słaby przeciąg. Wywiewany przez drzwi odór uderza we mnie z całym impetem.

W korytarzu sarta gazet z kilku dni. Są zwinięte, zrolowane i owinięte czystym papierem gazetowym, ale na dwóch z nich dostrzegam datę. Notuję ją sobie w pamięci.

Mieszkanie jest małe, uczciwy właściciel określiłby je jako kawalerkę. W salonie stoi kanapa, która wygląda, jakby nie składano jej od lat. Pościel zmieniano pewnie również w tamtych odległych czasach. Mały stolik – trudno sobie wyobrazić, by ongiś mógł stać przed

schludnie złożoną kanapą – wepchnięto w kąt. Ginie pod stertą starej korespondencji, gazet i brudnych talerzy, a także resztek jedzenia na tym wszystkim.

Wędruję wśród tego chaosu, uważając, by niczego nie poruszyć, dopóki Sellig nie skończy. Ta otwiera swoją walizczkę i wkłada rękawiczki.

Pomaga jej dwóch miejscowych techników. Robią zdjęcia, utrwalając położenie przedmiotów w pokoju. Jeden z nich ma kamerę wideo, którą filmuje wszystko w każdym pomieszczeniu. Zajmie mu to jakieś trzydzieści minut.

Kilku bardziej dociekliwych sąsiadów snuje się pod drzwiami, usiłując zajrzeć do środka. Jeden z mundurowych każe im się wynosić – do swoich mieszkań albo z budynku. Chce zamknąć drzwi, lecz Emil go powstrzymuje.

– Chcesz nas pozabijać czy co? – odzywa się. Mruczy do siebie: – Śmierdzi tu jak z tyłka mojej ciotki Matyldy.

Sellig wyjmuje ubrania z szafy. Nie jest to szczególnie imponująca garderoba – dwie pary spodni, wystrzępione podkoszulki i cienka marynarka. Pewnie Kay szuka śladów krwi. Wstaje z pustymi rękami. Mówi coś do jednego z techników. Ten odchodzi i po chwili wraca z małym odkurzaczem. Jest to specjalny policyjny odkurzacz, z pojemniczkiem zaopatrzonym w dobry filtr. Technik jeździ ssawką po dżinsach. Skończywszy wyjmuje filtr i umieszcza go w plastikowej torebce. Drugi pomocnik oznacza torebkę i robi to samo z następną parą spodni.

Szukają jakiegoś śladu – ziaren piasku, fragmentów trzciny ze strumienia, czegoś, co dałoby się rozpoznać pod mikroskopem i pozwoliło powiązać Iganovicha z Putah Creek; czegoś, co potwierdziłoby nasze przypuszczenia. Spodnie i kurtkę pakują do osobnych toreb.

Trzymam ręce w kieszeniach, zaciskając je z całej siły, żeby powstrzymać się od dotykania czegokolwiek. Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o Emilu. Dotyka paluchami przedmiotów w szufladzie, osobistych drobiazgów, które uznaje za własność podejrzanego. Wyciąga różaniec i patrzy na niego, a potem na mnie.

– Ten skurwiel jest chyba jakimś ministrantem – komentuje.

Wrzuca różaniec do szuflady, śmiejąc się do siebie. Mam nadzieję, że już sfotografowali jej powierzchnię. W przeciwnym razie psychologowie opracują wkrótce teorię, że mamy tu do czynienia z fanatykiem religijnym, który za każdym morderstwem odmawia zdrowąskę. Johnson i jego wścibskie paluszki znajdą archidiecezję na moim tyłku.

– I co o tym myślisz? – zwracam się do Claude'a, po czym ściszam nieco głos i idę za nim w kąt pokoju.

– Nasz przyjaciel chyba wyszedł i już nie wróci – odpowiada. Marszczę brwi.

– Departament Stanu poinformował nas dzisiaj, że Iganovich ma dwa paszporty – ciągnie. – Jeden sowiecki, który otrzymał przed pieriestrojką, drugi rosyjski, wydany przez obecny rząd. To pierwsze, co sprawdziliśmy. Teraz przeszukują wszystkie szuflady, szafy, to, co zostało z ubrania. Paszportów tu nie ma.

Sellig informuje mnie, że oprócz śladów, których nie sposób ocenić, dopóki nie obejrzy się ich pod mikroskopem w laboratorium, nie znaleźli za dużo.

Henderson dogania nas, sapiąc i dysząc na schodach. Chce wiedzieć, jakie dać instrukcje oficerom na zewnątrz, ludziom wyznaczonym do obserwacji domu Rosjanina.

– Niech nie schodzą do szóstej – decyduje Claude. – Potem są wolni. To i tak nic pewnego.

– Wiadomo, czy ma inny pojazd? – Dusalt zadaje pytanie detektywowi w cywilu.

– Nie.

– Sprawdźmy w departamencie. – W głosie Claude’a brzmi napięcie, jakby wyrzut, że ktoś powinien o tym pomyśleć wcześniej.

Emil podchwytuje to.

– Skurczybyki – mówi. – Dlaczego dotąd nikt tego nie sprawdził?

– Sprawdzić, czy oprócz furgonetki zarejestrował na swoje nazwisko inny pojazd – wydaje rozkaz Claude. – Jeśli tak, przekażcie wszystkim numer jego prawa jazdy, zwłaszcza tym pilnującym domu.

– I pospieszcie się. Ale już! – dorzuca Emil. Dużo tu przywódców.

– Chcę go zobaczyć, zanim on zobaczy nas – ciągnie Claude. – Jeśli zjawi się w domu, musimy go zgarnąć szybko i cicho.

– Właśnie – wtrąca się Johnson. – Nie chcemy jakiejś pieprzonej strzelaniny na ulicy, z przechodniami w środku walki i zakładnikami.

Nie odzywam się ani słowem, ale coś mi mówi, że to nam nie grozi. Wywiadowca, który sprawdził pracodawcę Iganovicha, agencję ochrony Ajax Security, przekazał nam, że ten nie pojawił się w pracy od dwóch dni. Pomimo ostrożnego postępowania Claude’a Dusalta, który próbuje zatuszować naszą tutaj obecność, Rosjanin ma już chyba zszarganą opinię.

Henderson odwraca się, dostrzega telefon wiszący na ścianie za moimi plecami.

– Mogę? – Jest dużym mężczyzną i stracił formę. Wszystko, byle tylko uniknąć kolejnej wspinaczki po schodach.

Claude oddala się w przeciwnym kierunku. Emil spogląda na jednego z techników. Sellig jest w łazience, pracuje nad lustrzaną szafką nad zlewem. Technik wzrusza ramionami.

– Telefon gotowy – mówi.

– Jasne, proszę – dogaduje Emil.

Rzucam okiem na telefon, zanim Hendersonowi udaje się dotknąć słuchawki, i coś przykuwa moją uwagę.

– Chwileczkę.

Henderson patrzy na mnie.

– W takiej spelunie spodziewałbym się raczej telefonu z tarczą obrotową.

Johnson przygląda się aparatowi.

– Można kupić coś takiego w Costco za trzydzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć – informuje.

– Racja – przyznaję. Ale kiedy Henderson znów wyciąga rękę, łapię go za przegub. Mam w kieszeni miniaturowy magnetofon, mniejszy od paczki papierosów, na wszelki wypadek, gdybym musiał coś podyktować poza biurem. Wyjmuję go.

– Proszę wszystko uciszyć. Niech wyłączą ten odkurzacz.

Nagle w mieszkaniu zapada śmiertelna cisza. Sellig wychodzi z łazienki, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Claude zerka na mnie. Przykładam palec do ust, jakbym uciszał dziecko.

Johnson też mi się przygląda – pewnie się zastanawia, czy mi nie odbiło.

Włączam swój magnetofon.

– Paul Madriani, dwudziesty trzeci czerwca. Godzina – zerkam na zegarek – dziewiętnasta czterdzieści trzy. Jesteśmy w mieszkaniu podejrzanego, Andre Iganovicha.

Naciskam klawisz „pauza”, podnoszę słuchawkę telefonu. Ale zamiast wystukać jakiś numer, naciskam tylko jeden guzik otoczony innymi. Trzymam magnetofon przy słuchawce. Słyszę serię cichych trzasków, kiedy cudo za czterdzieści dolców robi to, czemu Andre Iganovich najchętniej by zapobiegł, gdyby mógł – wybiera ostatni numer, pod jaki Rosjanin dzwonił przed swoim pospiesznym wyjściem.

Nagrywam ciche trzaski, dzięki którym dowiem się, jaki to numer, jeśli nikt nie podniesie słuchawki lub jeśli ją odłoży, usłyszawszy mój głos. Ale po trzech sygnałach mój magnetofon rejestruje co innego:

– Tu linie lotnicze Air Canada. W tej chwili wszyscy nasi pracownicy są zajęci. Prosimy o cierpliwość, za chwilę odpowiemy na pański telefon. Proszę nie odkładać słuchawki.

Trzy dni po wycieczce do mieszkania Rosjanina przedzieram się przez papiery na biurku, sortując to, co nie może czekać. Claude wciąż sprawdza listy pasażerów w Air Canada, wszystkie tropy mogące nas doprowadzić do Iganovicha. Po namyśle dochodzi do wniosku, że Rosjanin nie pojechał na południe, w cieplejszą strefę meksykańskiej Rivieri. Uznaje, że o wiele bardziej prawdopodobna jest Kanada, skąd łatwiej mógł dotrzeć do północnych granic swej ojczyzny.

Nagle pada na mnie cień, jak ciemna chmurka w słoneczny dzień. Podnoszę oczy. To Lenore Goya, stoi w drzwiach.

Puka palcem w zegarek na ręce,

– Nasze spotkanie – przypomina. – Pamięta pan?

Z jej tonu wnioskuję, że jest lekko poirytowana – kobieta, która lubi punktualność.

– Tak – mówię. – Trochę się spóźniłem. Papierkowa robota.

Dyspozycje dla biura, miesięczne statystyki dla różnych urzędników – nie jest to optymistyczny obraz. Staje się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że nie mogę pozwolić na odejście Goi. Bez niej biuro byłoby jak łódź bez wiosła.

Wlokę się za nią do jej gabinetu. To tu wyznaczaliśmy nasze spotkanie.

Pokój ma powierzchnię dużej szafy – trzy na trzy plus sterty akt sądowych, piętrzące się do połowy wysokości ścian.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo – zaczyna Goya. – Za czterdzieści minut muszę zadzwonić do sądu.

– Chyba dobrze byłoby przełamać lody – proponuję. – Przydałaby się ogólna dyskusja na temat biura, jakieś pomysły ulepszeń. Mogłoby się tu zmienić, gdyby pani zechciała.

Otwarte szeroko oczy, troszkę błazeński wyraz zdziwienia. Wygląda jak Gilda Radner w roli Emily Litelli.

– Chce pan wiedzieć, co myślę o biurze? – W jej głosie brzmi wyzwanie.

Kiwam głową zachęcająco.

Śmieje się.

– W dwóch słowach: kupa gówna. – Uśmiecha się do mnie zza biurka, perłowo białe równe zęby, marzenie dentysty.

Odwzajemniam jej uśmiech.

– Budujące – odpowiadam. – Może więcej szczegółów?

– Z rozkoszą. – Zaczyna wyliczać na palcach jednej ręki: – Za mało pracowników. Za dużo pracy. W tym roku liczba zabójstw wzrosła o dwadzieścia sześć procent. Od trzech lat nie mieliśmy podwyżki, chodzą słuchy o zwolnieniach i obcięciu zasiłków zdrowotnych.

Twierdzi, że każdy obrońca w północnej części stanu wie, że nie radzimy sobie z naszymi sprawami.

– A jeśli chodzi o mnie, życzyłabym sobie nowego gabinetu z oknem, które wychodziłoby na budynek sądu. – Zastanawia się przez chwilę. – I dobrze by mi zrobiła godzina przerwy obiadowej raz w tygodniu. Ale to już niekoniecznie – dodaje. – No i oczywiście nie pogardziłabym pańską funkcją.

Patrzę na nią zza biurka. Wytrzymuje moje spojrzenie z niezmiennym uśmiechem – meksykańska wersja oporu wewnętrznego.

– Sam pan pytał.

Mario miał rację. Ta kobieta jest szczerą.

– Czy pani się o nią ubiega?

– Niech się pan obudzi – ona na to. – Widział pan ludzi, którzy rządzą tym hrabstwem. Wyobraża pan sobie, że wyznaczą Latynoskę na swojego obrońcę? – Śmieje się na tę myśl.

– Aha, i jeszcze jedno – dorzuca. – Skoro już pan wypytuje, będzie się pan musiał pozbyć Rolanda albo dać mi pozwolenie na popełnienie morderstwa. Bo jeśli pan go nie wyrzuci, to ja zabiję tego skurwiela. Niszczy sekretarki jak zasmarkany dzieciak jednorazowe chusteczki.

To prawda. W ciągu ostatniego roku biuro opuściły trzy wykwalifikowane stenografistki, na co zwrócili już moją uwagę inni pracownicy.

Usiłuję przypocholebić się jej nieco.

– Dzięki pani to biuro trzyma się kupy. Mario, pan Feretti, miał o pani bardzo wysokie mniemanie.

Uśmiecha się lekko.

– Mario był jak książę. Będzie mi go brakować – przyznaje. – Wszystkim nam będzie go brakować. – Wydaje się, że gorycz dotyczy jej położenia, nie osoby Ferettiego. Coś w jej tonie mówi mi, że tu chodzi o prawdziwe uczucie, że śmierć Maria spowodowała wielką lukę w jej życiu zawodowym.

– Pokładał w pani zdolnościach wielkie nadzieje. – Jestem bezwstydnym. Wykorzystuję jej słabe punkty.

Uśmiecha się.

– Tak wielkie, że kiedy zachorował, poprosił pana o zastępstwo.

– Wiedział, że nie może pani zajmować się tyloma sprawami naraz. Wierzył, że dostanie pani tę sprawę po zakończeniu dochodzenia.

– Mariowi nie pozostawiono wyboru. – Miał pełne ręce roboty, a hrabstwo dawało mu do pomocy tylko dzieciaki tuż po studiach, bo im mało się płaci – oświadcza Goya.

Przypominam jej, że Overroy nie jest dzieciakiem tuż po studiach. Że pracuje tu prawie trzydzieści lat. A chociaż jest starszy, to jednak ona otrzymuje poważniejsze sprawy.

– Niech pan sobie daruje – prycha. – Jeśli wróci pan tu za trzydzieści lat, on ciągle tutaj będzie. Wie pan równie dobrze jak ja, że słowo „ulga” nie pasuje do słowa „ROLAND”.

Mówiąc o Rolandzie Overroyu, dotknąłem jej czułego miejsca.

– Jestem tu od siedmiu lat. Dwa razy pomijano mnie przy awansie. Podobno dlatego, że nie ma pieniędzy.

Raczej dlatego, że Roland nie pójdzie na emeryturę. Ale nie mogę tego powiedzieć Goi. Gdyby kierownictwo tylko wspomniało lub cokolwiek zrobiło, by wysłać go na emeryturę, w mgnieniu oka zaskarżyłby hrabstwo za dyskryminację ze względu na wiek. Dla Rolanda byłoby to odejście w wielkim stylu; coś, co pomnażałoby rokrocznie jego sześciocyfrową emeryturę. Ten stan wkrótce zbankrutuje.

Namawiani Goyę, by została tu jeszcze trochę, żeby wytrzymała, a ja zrobię, co będzie w mojej mocy.

– Dobrze – mówi. – Ale tylko wtedy, gdy pojawi się duża sprawa, z pierwszych stron gazet w całym stanie. Cóż... – Jej głos cichnie. Z miny domyślam się, jak kończy się to zdanie.

Gnębi ją rozgłos obecnej sprawy. Kilka cichych rozmówek z sąsiadami – i reporterzy zyskali swój temat i nazwisko Iganovicha. W dzisiejszym porannym „Timesie” jego zdjęcie zajmuje całą stronę tytułową. Goya wie, że taka głośna sprawa zakończona sukcesem to coś, co kształtuje legendarne kariery prawnicze.

– Boli mnie – wyznaje – że nawet ze mną nie pomówili.

Patrzę na nią pytająco.

– Kiedy szukali zastępstwa za Maria, ci z rady okręgu. Po prostu zwrócili się do kogoś z zewnątrz. – Uderza w biurko, jakby stawiała kropkę. Jej spojrzenie jest zimne. – Wie pan, w zeszłym roku chciałam wyjechać. Zgłosiłam moją rezygnację Mariowi. Odwiódł mnie od tego. Popęłiłam błąd. Duży błąd.

O tym nie wiedziałem. Mario nie powiedział mi o wielu rzeczach.

Ale Lenore szybko bierze się w garść. Uśmiecha się sympatycznie, odbijając piłeczkę.

– No, ale może – dorzuca – to był tylko zły tydzień.



– Dopiero poniedziałek – zauważam.

– Teraz pan rozumie?

Trochę się śmiejemy, nałożyliśmy już maski. Widzę w niej wiele frustracji pokrywanej błyskotliwym dowcipem. Nie czuję wrogości skierowanej pod moim adresem i zastanawiam się, czy byłbym tak wielkoduszny, gdybym to ja był na jej miejscu.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecuję.

Patrzy na zegarek.

– Muszę już iść. Rozprawa – wyjaśnia. Zbiera z biurka dokumenty i stertę akt.

– Lenore.

Patrzy na mnie.

– Zrobię wszystko, co tylko będę mógł – zapewniam.

– Jasne.

Jak na urodzonego lenia Roland Overroy przejawia niezwykłą energię w dążeniu do politycznego awansu. Od śmierci Maria poruszył niebo i ziemię, by pozyskać grube ryby w tym hrabstwie. W sobie tylko wiadomy sposób zdołał się wkręcić między kandydatów na posadę Ferettiiego.

Kiedy ze wszystkich sił próbuję trzymać Rolanda z daleka od sprawy Putah Creek, odkrywam, że miał pełne ręce roboty, wypytyując szeryfów o wszystko, co dotyczy tego dochodzenia. To Overroy przekonał Emila, że byłoby wskazane spotkanie krewnych ofiar z prawnikami.

– To wielki błąd – perswaduję Johnsonowi w zaciszu jego gabinetu. Jesteśmy sami. – To będzie katastrofa. – Boję się tego spotkania z krewnymi ofiar, z grupą rozżalonych i oszołomionych rodziców, ludzi, którzy w obecnym stanie są skłonni obwiniać za swoją tragedię każdego.

Overroy okazał się jednak bardziej przebiegły, niż myślałem. Zamiast otwarcie poprosić o pomoc Johnsona przed radą hrabstwa, podłapał funkcję doradcy szeryfa zajmującego się politycznym wydźwiękiem tych morderstw. Teraz bez wątpienia nastąpi prośba o wstawiennictwo.

– Chcą tego spotkania – odpowiada Emil. – No to co mam zrobić? Nie mogę odmówić.

„Oni” to twórcy programu „świadkowie – ofiary”, biurokratycznej maszyny, która produkuje pieniądze dla luźno związanych ze sobą uzdrawiaczy dusz i domorosłych adwokatów. Piszą wspomnienia o ofiarach i wystawiają stanowi rachunki za zbrodnię.

– Roland spotkał się wczoraj z Maggie Wilson – ciągnie Emil. – Wszystko już zaaranżowane. Spotkanie odbędzie się dziś po południu.

Wilson jest koordynatorką programu „świadkowie – ofiary” w tym hrabstwie, Don Corleonem dla ofiar zbrodni. Obrońcom próbującym zapobiec wysokim wyrokom dla swoich klientów znana jest jako „Attyla w spódnicy” – kobieta, która tylko przypadkiem nie trafiła do straży obywatelskiej. Niestety, dla Maggie Wilson sprawiedliwość oznacza ślepią zemstę.

Przewracam oczami.

– Powiedźcie im, że ukręcam sprawie łeb – przekonuję. – Możesz zwalić winę na mnie. Obiecuję, że w stosownym czasie spotkamy się z nimi prywatnie. Jak już będziemy mieć konkrety. Teraz nie mamy nic.

To powstrzymuje go tylko na sekundę, żeby rozważyć alternatywę.

– Roland sądzi, że to dobry pomysł – stwierdza.

– A jakże – warczę. Overroy nie ma pojęcia o wymogach uczciwego procesu. Nie zaświtało mu jeszcze, że publiczne zebranie rodzin ofiar podziela na prasę jak płachta na byka. Zatruje atmosferę wśród sędziów w promieniu tysiąca kilometrów.

Od ostatniego morderstwa życie w Davenport zaczęło przypominać uroczystość na wolnym powietrzu. Jakaś przedsiębiorcza dusza, zaopatrzona w spis studentów uniwersytetu, sprzedaje broń elektryczną o napięciu sześćdziesięciu tysięcy woltów, składaną jak parasol. Nowa wersja *Deszczowej piosenki*.

Emil rozwala się w przeciążonym krześle obrotowym, jego stopy w kowbojskich butach spoczywają na samym środku biurka, na stercie raportów policyjnych i rejestrów przesłanych mu do inspekcji.

– Słuchaj, Paul. – Jego głos brzmi, jakby wygłaszał kazanie. – To żadne wielkie halo. Będziemy trzymać ich za ręce, klepać po tyłkach, zapewniać, że pracujemy przez całą dobę, by znaleźć mordercę, bo to zresztą prawda. Cholera, wszyscy oni potrzebują wsparcia, drobnego dowodu, że ich ból został zauważony.

Zaczynam się martwić. Emil mówi jak ci z programu „świadkowie – ofiary” – wrażliwy prowincjusz z obwisłymi policzkami i południowym akcentem.

– Sędziom się to nie spodoba. Zrobi się cyrk. Nagonka w prasie przed procesem – straszę. – Zwykle sędziowie nie angażują się aż do procesu, ale w wypadku tak głośnej sprawy mogą zrobić wyjątek. Takie spotkanie mogłoby dać podstawy nowym, dodatkowym argumentom w sądzie apelacyjnym. Widzę już stalowe spojrzenie Ingela, przeczuwam rozmowę przez telefon, która z pewnością mnie nie ominie, kiedy sędzia się o tym dowie.

Emil patrzy na mnie, marszczy brwi. Ma to swoją wymowę. Widzi furię w czarnych togach. Przez chwilę się zastanawia, porównuje gniew czterech miejscowych sędziów ze zdolną do linczu mafią, w którą mogą się przeistoczyć członkowie programu „świadkowie – ofiary” i ich zwolennicy.

– Dobrze, załatw to z nimi. Porozmawiaj z sędziami, a zrozumieją – odzywa się. – Oni cię szanują.

Teraz Johnson zastawia sieci na mnie – słoneczne południowe bzdety.

– Słuchaj, Emilu. – Nadaję moim słowom spokojny ton: próba zachowania zdrowego rozsądku. – Miałem już do czynienia z takimi ludźmi, z takimi „świadkami – ofiarami”. To ich nie zadowoli. Dajmy im publiczne forum, a postawią nas obu pod pręgierzem.

– Za bardzo się martwisz – konstatuje Johnson. – To tylko małe prywatne spotkanie. Zaufaj mi. Wszystko będzie dobrze.

Od samego początku spotkanie Emila z uczestnikami programu „świadkowie – ofiary” przybrało charakter zapasów.

Tak jak przewidywałem, Maggie Wilson znokautowała go, zbierając tłum aktywistów społecznych i organizatorów akademickich, każdego zainteresowanego sprawą, a także widzów popołudniowych wiadomości telewizyjnych.

Claude i ja trzymamy się z tyłu, dość blisko Rolanda Overroya, czającego się w cieniu kolumny.

Maggie Wilson zagarnęła dla siebie miejsce w pierwszym rzędzie, dobre do panowania nad tłumem – i do usmażenia południowego hot-doga. Kiedy Emil zaprosił ją do siebie na mównicę, uśmiechnęła się i grzecznie odmówiła.

Pojawiają się dziennikarze. Wilson zachęca facetów z mikrofonami, by podetkali je Johnsonowi pod nos. Reporterzy zasypują go pytaniami o Iganovicha i miejsce jego pobytu. Widzowie są osobiście zaangażowani w śledztwo, domagają się szczegółów dotyczących sposobu zadania śmierci ofiarom i dokładnego opisu miejsca zbrodni. To staje się zbyt bolesne, na te pytania Emil nie może odpowiedzieć w dobrej wierze. Tłum staje się agresywny. Po kilku minutach tych zmagania jego duma południowca znajduje się w odwrocie. Zarządza przerwę – czas na opatrzenie ran we własnym narożniku.

– Sukinsyny – mówi, dołączając do nas siedzących w głębi sali. Dyszy ciężko. Pod każdą pachą ma plamy potu wielkości końskiej upręży. – Cholerni dziennikarze. Dobierają mi się do tyłka.

Mógłbym mu przypomnieć, że go ostrzegałem, ale w obecnym nastroju jest zdolny do mordu.

– Jakież propozycje? – pyta.

Tłum pędzi po kawę i na siusiu. Przez chwilę Johnson ma taką minę, jakby spodziewał się, że to ostatnie zrobię na niego.

Claude zgłasza sugestię:

– Moglibyśmy wyprowadzić stąd rodziny ofiar gdzieś do osobnego pokoju i pozbawić to zgromadzenie głównych bohaterów.

To zmusi Emila do zajęcia się pozostałymi widzami, rzekomymi żałobnikami, i tymi, którzy przyszedli w poszukiwaniu sensacji. Zaaplikuje im dwudziestominutowe przemówienie przeplatane upomnieniami, żeby nie podskakiwali i nie nękali pytaniami wujcia sędziego.

Johnson wysyła Claude’a i jego dwóch pomocników, by wywlekli stąd rodziny ofiar, z dala od prasy i publiczności – jego wersja współczesnej segregacji, sam kieruje się w stronę mównicy, a ja zatrzymuję się, by napić się wody w korytarzu. Kiedy przeciskam się przez

drzwi, ludzie wciąż się tłoczą. Właśnie wtedy wpadam na niego – przez chwilę trzepocemy ramionami. Zatrzymujemy się w pół kroku, on patrzy na mnie ponurymi jak śmierć oczami, przywodzącymi na myśl hiszpańską inkwizycję.

– Pan Madriani – odzywa się mrocznym i głuchym głosem. Wymawia moje nazwisko z afektacją niczym jakiś dawny kalifornijski szlachcic. Włosy Armanda Acosty są zaczesane do tyłu, jego garnitur zdobią nieskazitelne prążki, chusteczka w kieszonce idealnie pasuje do kasztanowego jedwabnego krawata. Mógłbym przejść na emeryturę, mając na własność kruszec z jego spinek, że już nie wspomnę o złotym zegarku za trzy tysiące dolarów na jego przegubie.

Na krótko odbiera mi mowę. Robi się niezręcznie.

– Pan sędzia. – To jedyne, na co mnie stać. Kiwam głową – wyraz wymuszonego szacunku.

Świrus trzyma pod rękę kobietę śniadą jak on, o przeszywającym spojrzeniu. Podejrzewam, że to jego siostra, matka zamordowanej Sharon Collins. Nie przedstawiamy się sobie. Atmosfera nie jest aż tak przyjazna. Zamiast tego sędzia szepcze kobiecie coś na ucho i za chwilę oddala się ona w stronę krzeseł na widowni.

– Musimy porozmawiać – mówi Acosta.

To nie prośba. Kiwa mi palcem przed nosem i przepycha się przez tłum kłębiący się w drzwiach. Znajdujemy spokojny zakątek na zewnątrz, na schodach przed budynkiem. Sędzia odwraca się do mnie szybko – widzę, że nie zamierza niczego owijać w bawełnę.

– Nie wiem, jak się pan tu dostał – zaczyna. Ma na myśli to, że pracuję tutaj jako prokurator. – Miałem nadzieję, że będzie to ktoś – szuka właściwego słowa – bardziej kompetentny – kończy wreszcie. – Sędzia Ingel rozmawiał z panem?

Kiwam głową.

– Więc wie pan, dlaczego tu jestem?

– Tak. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Patrzy na mnie na poły obelżywie, na poły zgryźliwie.

– Mam gdzieś pańskie współczucie – rzuca. Nagle traci gdzieś afektowaną angielską wymowę. – Może pan to mówić tym frajerom w środku. Ja chcę zobaczyć akta, wszystko, czego dowiedzieli się gliniarze w sprawie Collins – oznajmia. Przygląda mi się z kamienną twarzą. Wie, że nie mogę mu dać ściśle tajnych akt nie zamkniętego śledztwa.

– Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy – zapewniam.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mogę panu pomóc – proponuje.

– W jaki sposób?

– Mam dojście do ludzi w stolicy, którzy oferowali mi swoją pomoc. – Napomyka o specjalnym traktowaniu członków ławy sędziowskiej. Informuje, że kilku policjantów, starzy przyjaciele, chce w wolnym czasie popracować dla niego. Kiedy w przyszłości poproszą go o nakaz rewizji albo będą zeznawać w jego sądzie, na pewno ich nie skrzywdzi. Takie są obyczaje w kuluarach władzy.

Oznajmia, że Davenport to prowincja.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że ich środki są ograniczone. Nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć spokojnie i przyglądać się, jak zamykają dochodzenie w sprawie mojej siostrzenicy – stwierdza.

– Nikt nie zamyka dochodzenia.

– Więc nic się nie stanie, jeśli zerknę w akta.

– Wie pan, że nie mogę na to pozwolić.

– Nie może pan czy nie chce? – Zdejmuje mi nitkę z rękawa płaszcza, dając do zrozumienia, że we wszystkim go zawodzę, nawet w kwestii mojego ubioru.

– Panie sędzio. – Odstępuję o krok. To była moja nitka. – Nie szukam zwady ani nie chcę robić panu wstrętów. Ale wie pan równie dobrze jak ja, że akta prowadzonej sprawy są tajne – mówię. – Mają do nich dostęp tylko osoby zajmujące się śledztwem.

Zimne paciorki oczu – jak oczy azteckiego kapłana gotowego do złożenia ofiary na kamiennym ołtarzu. Jestem pewien, że rozważa miliony sposobów, w jakie sędzia może przycisnąć nieszczęsnego prawnika. Podejrzewam, że obiecał siostrze coś, czego teraz, wobec mojej nieprzejednanej postawy, nie może dotrzymać.

– Powinienem się był tego spodziewać – oświadcza – po kimś takim jak pan. – Nagle podtyka mi pod nos palec – długi, wymanikiurowany i trzęsący się z pasji. – Nie spieprzysz mi tego – syczy. Jego wzrok jest lodowaty i nieruchomy.

Słyszę ostry stukot obcasów, a on odwraca się i zostawia mnie samego na schodach.

Wbrew moim najszczęśliwszym chęciom ja i Claude zostaliśmy przydzieleni do zajęcia się rodzinami ofiar w mniejszym pokoju konferencyjnym obok głównego audytorium. W sąsiedniej sali słyszę walenie w stół i podniesione głosy. Emil leje oliwę na wzburzone fale prasy.

Siedzimy wokół wielkiego stołu, jakbyśmy odbywali konferencję. Rodzice Julie Park

– jej ojciec, Kim Park, jest lekarzem z południowej Kalifornii – zajmują szczyt stołu. Sniderowie siedzą obok, dalej państwo Collins i Acosta. Za nim matka Rodneya Slate’a. Podobno jej mąż leży w szpitalu. Jego serce jest w ciężkim stanie, niewątpliwie pogłębionym przez stratę jedyne go syna.

Acosta milczy, ale jego złowieszcze oczy nie opuszczają mnie ani na sekundę. Zawsze uważał, że należy okazywać przyzwoitość. Obchodzić przepisy, zapuszczać żurawia w tajne akta – to jedno, a przyjść tutaj, ślinić się i żądać krwi razem z motłochem – to zupełnie co innego. To drugie byłoby nieprzyzwoite. On będzie szantażował mnie Ingelem. A tu posiedzi, poświęci swój czas i wysłucha innych – zawsze doskonały sędzia, wcielenie rozwagi.

Pani Snider towarzyszy jakiś nastolatek, jest między nimi wyraźne rodzinne podobieństwo. Domyślam się, że to młodszy brat ofiary, Jonathana Snidera. Po drugiej stronie stołu siedzi mężczyzna w garniturze z niebieskiej serży – wyjmując właśnie wizytówki. Jedną posyła w moim kierunku po blacie stołu.

GEORGE CAYHILL

#### PRODZIEKAN DO SPRAW STUDENCKICH

Wprosił się na spotkanie jako reprezentant interesów uniwersytetu.

Kobieta obok Cayhillama ciemne okulary. Zdejmuje je, ukazując wysokie, wydatne kości policzkowe i szeroko rozstawione orzechowe oczy, trochę zaczerwienione – chyba niedawno płakała. Jest wysoka i smukła, wyższa ode mnie, porusza się w kobiecy, ponętny sposób. Ma gęste ciemne włosy, obficie spływające kaskadami na ramiona, i szerokie, wydatne usta z lekko wydętymi wargami. To twarz klasycznie piękna. Nie głupiutka, śliczna buzia modelki, lecz coś bardziej wyjątkowego. Przenikliwe spojrzenie sugeruje, że za tą urodą może się kryć coś więcej. Kobieta prawie się nie maluje. Jest w niej coś zdrowego, jak na zdjęciach wystrojonych wiejskich dziewczuszek z lat czterdziestych. Przypomina mi Geenę Davis w telewizyjnych retrospekcjach. Niespodziewanie rzuca w moim kierunku szybkie spojrzenie i przyłapuje mnie na gorącym uczynku. Uśmiecha się, w zapadniętych policzkach pojawiają się dołeczki. Wyciąga do mnie rękę przez stół – długie, delikatne palce.

– Pozwoli pan, że się przedstawię. Jeanette Scofield. – Rzeczowo, bez podtekstów i pozowania.

Jest wdową po Abbotcie Scofieldzie. Bez wątplenia to on zyskał na tym małżeństwie. Kobieta zajmująca miejsce naprzeciw mnie mogłaby bez trudu uchodzić za jego córkę.

Spogląda na mężczyznę obok niej.

– Mój brat Jess – mówi.

Mężczyzna miażdży mi rękę w stalowym uścisku.

– Jess Amara.

Zauważam, że Claude otwarcie obserwuje wdowę Scofield. Wymieniają ukłony z jej bratem – ci dwaj chyba się znają.

– Panie i panowie – zabiera głos Dusalt. – Szkoda, że nie spotykamy się w sympatyczniejszych okolicznościach. – Claude nie ma żadnych notatek i robi, co może, by zręcznie zacząć w tej niezręcznej sytuacji. Widzę, że jest nieco wkurzony na Emila, iż zrobił go w coś takiego.

– W tej chwili ponad stu współpracowników policji pracuje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, by schwytać mordercę. Na ten cel przeznaczono całą kasę stanu, a my prowadzimy intensywne śledztwo.

Tuzin oczu przeszywa go na wylot, oczekując czegoś więcej niż garści danych statystycznych. Kim Park, ojciec Julie, zaczyna wiercić się niespokojnie na swoim miejscu. Ale przemowę Dusalta przerywa głęboki baryton dobiegający z innej części stołu:

– Poruczniku. – To człowiek przedstawiony mi jako Jess Amara.

– Może darujmy sobie ten wstęp – oświadcza. – Te informacje podały wszystkie gazety. Pański podejrzany, jak on się nazywa? Nie jestem pewien właściwej wymowy...

– Iganovich – podpowiada Claude.

– Właśnie, Iganovich – potwierdza Amara. – Co może nam pan o nim powiedzieć?

Dusalt patrzy na niego, wyraźnie rozdrażniony, jakby go zdradzono.

– Powiniennem państwa zapoznać ze sobą – mówi. – Przedstawiam tym z państwa, którzy go nie znają, sierżanta Amarę, przybyłego do nas z policji w Davenport. – Powód chłodnego stosunku Claude'a do Amary staje się jasny. Od plotkarzy w swoim wydziale dowiedział się, że Jess Amara ma więcej informacji o Rosjaninie, a także o innych aspektach sprawy, niż ogłoszono to w lokalnych gazetach i telewizji.

Wszystkie oczy wpatrują się w Amarę. Nagle gromadka osieroconych żałobników znalazła wspólną deskę ratunku, kogoś zaangażowanego w sprawę, kto tak jak oni poniósł osobistą stratę.

– Jesteście bliscy aresztowania? – docieka Amara.

– Prowadzimy poszukiwania – odpowiada Dusalt. – Opracowaliśmy szczegółowy rysopis.

– A zatem sądzicie, że opuścił teren?



Pozostali obserwują i słuchają, zostawiając zadawanie pytań komuś, kto wie, o co pytać.

– Mamy powody, by tak sądzić.

– Wiecie, dokąd się udał?

– Mamy poszlaki. – Claude znowu stoi na pewnym gruncie.

Informuje, że opierając się na danych z Air Canada, policja uważa, iż Iganovich poleciał na północ. Nie można z całą pewnością stwierdzić, że znajdował się na pokładzie samolotu, i bez wątplenia kupując bilet, podał fałszywe personalia. Granica z Kanadą jest otwarta, nie wymaga się więc na niej paszportu. W mieszkaniu Rosjanina znaleziono dwie karty kredytowe na jego nazwisko. Iganovich wie, że są jak rozrzucone na ścieżce okruszki chleba. Władze rozmroziły jego niewielkie konto bankowe, by zapobiec dalszym transferom. Sądzą, że pobrał z niego pieniądze na bilet lotniczy. Kiedy cię ścigają, forsa jest wszystkim. Policja liczy na to, że bez pieniędzy będzie zmuszony wypłynąć wkrótce na powierzchnię, gotów popełnić dla nich jakieś głupstwo.

– Ale skupiacie się na konkretnym terenie? – dąży Amara. Wraca do geografii.

– Mamy pewną teorię – wykręca się Claude. Widać, że nie zamierza już niczego ujawnić. Jeśli Amara wie coś więcej, będzie musiał się przyznać.

– Czy pan wie, gdzie szukają? – To pytanie Parka. Nie kieruje go do Dusalta, lecz do Amary.

Oficer wzrusza ramionami – to mu nie odpowiada.

Park patrzy na niego ze zdziwieniem, jak pies, którego pan zbyt szybko przerzucił piłeczkę z jednej ręki do drugiej. Widziałem już ten wyraz oszołomienia w oczach bliskich, błagających o odpowiedź tuż po brutalnym morderstwie.

– Ten człowiek – nie daje za wygraną Park – ten Ivan Iganovich...

– Andre – poprawia Claude. – Sądzimy, że nazywa się Andre Iganovich.

Park przyjmuje to bez zainteresowania.

– Gazety podają, że był ochroniarzem na uniwersytecie. Czy to prawda?

Dusalt potakuje.

Park wydaje się nie pojmować, jak podejrzany o morderstwo jego córki mógł pełnić tak odpowiedzialną funkcję.

– Doktorze Park, uniwersytet nie zatrudnił tego człowieka – odzywa się Cayhill z drugiego końca stołu. – Podpisaliśmy umowę z prywatną firmą, która miała się zająć ochroną licznych budynków uniwersyteckich.

Nic z tego nie wydaje się trafiać do doktora Parka i jego żony. Kobieta przebywa

chyba w innym świecie, otoczona kokonem żałoby. Zapewne jeszcze nie dotarło do niej, że dwadzieścia lat czulej miłości leży teraz na zimnej stali stołu koronera o dwa kroki stąd.

– Istotny jest fakt – ciągnie Cayhill – że podejrzany, pan Iganovich, nie był pracownikiem uniwersytetu. Był zatrudniony w firmie ochroniarskiej. – Prodziekan uśmiecha się jak komiwojazer.

– Nie – protestuje Park. – Istotnym faktem jest to, że moja córka nie żyje.

– Och, naturalnie – przyznaje Cayhill. – Nie chodziło mi o... Pan wie, o co mi chodziło.

Cayhill wsiada na konika odpowiedzialności cywilnej, snując teorie obrony nakreślone przez uniwersyteckich adwokatów i starając się zniszczyć w zarodku pomysł pozwania uczelni. W tej chwili myśl o tym jest dla Parka najodleglejszą myślą na świecie.

Spogląda na żonę, krzywiąc się. Kto by teraz zawracał sobie głowę takimi bzdurami. Wyraz ich twarzy wskazuje, że wciąż mają nadzieję, iż może ktoś ulży im trochę w bólu. To stałe zajęcie rodziców ofiar – szukanie jakiegoś wytłumaczenia przypadkowej śmierci, dopatrywanie się przyczyn, które pozwoliłyby usprawiedliwić bezsensowne wydarzenie. Parkowie nie dotarli jeszcze do granicy cynizmu. Przekroczą ją, kiedy dni i tygodnie staną się miesiącami, kiedy przejdą przez powolny mechanizm procesu sądowego.

Nagle z sąsiedniego pokoju dobiega wybuch dzikiego hałasu – echo pogawędki Emila z dziennikarzami. Jeden z zastępców szeryfa przechodzi przez drzwi za naszymi plecami. Zamyka je, odcinając hałas z sąsiedniej sali, pochyla się i podaje Claude'owi wiadomość; ten zaczyna ją czytać.

– Przepraszam – mówi Dusalt. – Pan Madriani zastąpi mnie przez chwilę. Zaraz wracam.

Nagle wszystkie oczy kierują się na mnie.

– Mam pytanie – odzywa się Amara. – Czy wiadomo, w jaki sposób podejrzany znalazł się w naszym kraju?

Robię głupią minę.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Aby znaleźć się u nas, imigrant potrzebuje zwykle poręczyciela – przypomina Amara. – Krewnego, przyjaciela, może pracodawcy.

– Jestem pewny, że ekipa dochodzeniowa bada tę sprawę. – Tak naprawdę wcale nie jestem tego pewien, ale zapamiętuję sobie, żeby zapytać o to Claude'a, kiedy będziemy na osobności.

Powoli odstępujemy od tematu, przy stole nawiązują się prywatne rozmowy – rodziny

łączą się we wspólnym bólu.

Park rozmawia z Amarą, spokojnie poruszając kwestię imigracji, poręczycieli i podobne zagadnienia. Robi notatki na kawałku papieru, który wyjął z kieszeni. Zastanawiam się, po co mu to. Psycholog uprzedził mnie, że rodziny ofiar często reagują w łatwo przewidywalny sposób. Kiedy wreszcie zaczynają wierzyć w śmierć bliskiej osoby, dotychczasowe niedowierzenie zamienia się we wściekłość, a potem w obsesję.

Wraca Claude. Siada i nachyla się nade mną, szepcząc mi do ucha.

– Idź do domu – syczy – i pakuj się. Na kilka dni. Jutro rano lecimy, o dziesiątej.

Patrzę na niego. Nie mówi nic więcej, ale jego mina wyjaśnia wszystko. Gdzieś na tej planecie Andre Iganovich ujawnił swoją obecność.

Po trzech dniach i czterech telefonach umówiłem się wreszcie z Kay Sellig. Przygotowuję się na złe wieści. Widzę je w jej oczach.

– Tyle o specjalnym wyposażeniu i taktyce – mówi. Patrzy na mnie, opierając się na jednym z metalowych stołów w jej królestwie nierdzewnej stali, w którym spotkaliśmy się tego ranka. Komentuje dziwne okoliczności, w jakich ujęto Andre Iganovicha.

Czekam z niecierpliwością na to, co ma mi do powiedzenia, bo czas nagli.

– Muszę jechać na lotnisko – informuję. – Za niespełna dwie godziny mam samolot.

– Vancouver? – pyta.

Kiwam głową.

Ja i Dusalt lecimy do Kolumbii Brytyjskiej. Wygląda na to, że strategia Claude'a – odcięcie finansów Rosjanina – była genialna. Kanadyjska policja konna zgarnęła Iganovicha wczoraj po południu, po awanturze z – kto by pomyślał – ochroniarzem z domu towarowego. Zatrzymano go po konflikcie, w którym główną rolę odgrywał szalik ze sklepu Hudson Bay Company. Chociaż nie wniesiono oskarżenia o kradzież, policjanci rozpoznali w nim poszukiwanego za morderstwo.

– No to mamy przynajmniej jednego. – Sellig oświadcza to z kamienną twarzą.

– Jest i drugi?

Potakuje głową.

Właściwie nie jestem zaskoczony. Zauważyłem coś zastanawiającego tamtego dnia, pod drzwiami mieszkania Iganovicha, kiedy policja przeprowadzała w środku rewizję.

Ścieram z powiek resztki snu. Już o szóstej rano rozmawiałem telefonicznie z Departamentem Stanu w Waszyngtonie, zapoznając się z amerykańsko-kanadyjską umową o ekstradycji. Iganovich grozi wszczęciem prawniczej batalii. Nie godzi się na ekstradycję.

– Postanowiłam powiedzieć o tym panu pierwszemu – ciągnie Sellig. – Nikt jeszcze o tym nie wie. Nie znoszę wrzasku.

Ma rację. Emil i reszta nie spoczęli przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, zapewniając każdego dziennikarza, który chciał tego słuchać, że obywatele Davenport, studenci uniwersytetu, są znowu bezpieczni i że według wszelkich danych mordercę już ujęto. Apelowali do działaczy społecznych, żeby wrócili do tego, w czym są najlepsi – do interesów.

– Jest pani pewna? – zwracam się do Sellig.

– Nie mam żadnego przekonującego dowodu – mówi. – Niczego, co mogłabym

pokazać w sądzie. Ale te sprzeczności, coraz ich więcej... Moim zdaniem odpowiedź brzmi: tak. Ktoś naśladuje naszego mordercę. I nie jest to tylko moje zdanie. Rozmawiał pan z Lloydem Tolarem, lekarzem sądowym?

Kręcę głową.

– A szkoda – zauważa.

– Skąd ktoś inny wiedziałby o takich szczegółach jak poskładane ubrania, rodzaj linki, gwoździe? – pytam. W wypadku śledztwa w sprawie morderstwa seryjnego można uznać za pewnik, że policja zatai pewne szczegóły przed prasą i opinią publiczną. To sposób na sprawdzenie tego, co mówią nieuchronnie pojawiający się rzekomi winowajcy, niewielkie, elitarne stowarzyszenie szaleńców, ujawniających się przy każdej głośnej sprawie.

– W tym wypadku widział wystarczająco wiele fotografii w prasie – wyjaśnia Sellig. – Bóg świadkiem, że miał w czym wybierać.

Ma rację. Opublikowano tuzin fotografii, z tego dwie w prasie centralnej, przedstawiające przygwożdżone do ziemi ofiary z zamazanymi przez cenzurę twarzami i genitaliami. Pokazano też zbliżenia gwoździ i linki, jak również ubrania ułożone wokół głów ofiar niczym aureole.

Sellig podchodzi do jednego z nierdzewnych metalowych stołów. Jego blat dzieli się na trzy oddzielne części; na każdej leży kilka kawałków linki i parę metalowych gwoździ, błyszczących i nowych. Kiedy byłem mały, matka używała takiego sznurka do wieszania bielizny na podwórku – zwykły sznurek w białej plastikowej otoczce.

Kay Sellig bierze cztery gwoździe i podchodzi z nimi do następnego stołu. Wyglądają tak jak inne, tyle że zaostrożono je na szlifierce. Teraz przypominają sztylety.

– Te – informuje – posłużyły do zamordowania czterech osób, studentów.

Dwa pozostałe gwoździe pochodzą z tego samego źródła, ale ich końce są bardziej tępe. Te pozostawiono bez zmian.

– Tych dwóch zaś – ciągnie – użyto do zabicia Scofieldów. – Unosi brwi i idzie na drugi koniec stołu, gdzie na plastikowych tacach leżą wyselekcjonowane kawałki linki.

– Zwykły sznur do bielizny – mówi. – Do nabycia w dziesięciu tysiącach sklepów w całym kraju. Te kawałki – przesuwa dłoń nad pierwszymi tacami z linką, za której pomocą zgładzono studentów – te kawałki pochodzą z tego samego zwoju, odcinane kolejno kawałek po kawałek. Pasują do sznura pozostawionego w furgonetce Iganovicha. A także do linki znalezionej w hrabstwach Oregon i Orange. Na tej podstawie wnioskuję, że to Iganovich popełnił wszystkie te morderstwa.

Pamiętam jej wywód na ten temat, oświadczenie, dzięki któremu otrzymaliśmy nakaz

rewizji.

– Odciski włókien na wewnętrznej stronie plastiku zgadzają się w każdym kawałku – dodaje.

Podchodzi do ostatniej tacy – z linką, która posłużyła do związania Karen i Abbotta Scofieldów.

– Tu zaś mamy inny rodzaj linki – objaśnia. – Sto dwadzieścia siedem plastikowych włókien i odmienny skład chemiczny. Także inny producent.

Odczekuje chwilę, pauza dla efektu. Pozwala mi się zastanowić nad tym, co usłyszałem.

– Nie zgadza się tylko to, czego nie można było dojrzeć na zdjęciach – niewidoczne końce gwoździ i skład linki.

Nie odzywam się ani słowem. Słucham. To nie to, co życzyłbym sobie usłyszeć. Może kupił nową linkę, może zepsuła mu się szlifierka.

Ale ona rozwiewa moje nadzieje.

– Zbyt wiele jest też innych rozbieżności – kontynuuje. – Na przykład to, że przy żadnym z zamordowanych studentów nie było dokumentów, praw jazdy, portfeli ani portmonetek, ale torebka Karen Scofield poniewierała się na widoku, razem z portfelem i dokumentami, a portfel i prawo jazdy Abbotta Scofielda tkwiły w kieszeni jego dzinsów.

Policjanci nie znaleźli w mieszkaniu Iganovicha żadnego przedmiotu należącego do ofiar. A przecież tego szukali przede wszystkim – czegoś, co połączyłoby wszystkie dowody. Teraz sprawdzają, czy nie wynajął innego mieszkania, magazynu, może garażu.

– Nic tu nie pasuje – stwierdza. – Wiek Scofieldów, ułożenie ich ciał, bliskość szosy.

Początkowo Sellig sądziła, że morderca staje się zuchwały. Teraz już nie jest tego pewna.

Jest i coś więcej. Kay Sellig martwi wizerunek mordercy.

– Do złudzenia przypomina Iganovicha – mówi. – W każdym szczególe. Jeśli ma to jakieś znaczenie, zbrodniarz nie znał żadnej ze swoich ofiar. Nigdy się do nich nie zbliżał. – Patrzy na mnie, przykładając palec do odętych warg. A skoro tak, to dlaczego zmasakrował Karen Scofield, czemu wyłupił jej oko? – Rozmawiała o tym z psychiatrami. Zgodnie uznali, że zabójca zmasakrował ciało i wyłupił oko, ponieważ w tym wypadku znał ofiarę, a ona znała jego. To jedyne wytłumaczenie tego zbrocznia.

– Jest coś jeszcze? – pytam.

Wpatruje się we mnie.

– Gazety pod drzwiami Iganovicha w dniu rewizji policyjnej.

Zauważyłem je, kiedy wchodziłem do mieszkania – nietknięta sterta lokalnej prasy pod drzwiami. Dwa numery pochodziły sprzed morderstwa Scofieldów. Zdziwiło mnie, jak Iganovich mógł je tam zostawić, skoro przebywał gdzieś w Davenport. Mówię o tym Sellig.

Prosiłem Claude'a o spis telefonów Rosjanina. Coś mnie w nich uderzyło. To również nie jest nic rozstrzygającego, ale skierowało mnie w określoną stronę. Zdaje się, że Iganovich dzwonił do Air Canada dwa dni przed zabójstwem Karen i Abbotta Scofieldów.

– Albo jest zwolennikiem długoterminowego planowania – konstatuje Sellig – albo nie było go już w mieście, kiedy popełniono morderstwo.

– Poproszę o kopię pani raportu – zwracam się do niej. – Najszybciej, jak się da.

– Przefaksuję go do pańskiego gabinetu dziś po południu – obiecuje.

– Przeczytam szczegółowo po powrocie z Kanady. A do tego czasu powinniśmy to zatrzymać dla siebie. – Oboje się z tym zgadzamy. Prasa zrobiłaby z tego sensację, a bez poszlak prowadzących do drugiego zabójcy znowu znaleźlibyśmy się w polu.

W pokoju zapada na chwilę lodowate milczenie, które przerywa Sellig. Mówi czystym, wyraźnym głosem:

– Potrzebuję pańskiego wsparcia, by przekonać szeryfa i władze lokalne. Musimy zacząć szukać drugiego mordercy.

Vancouver to miasto czystego błękitnego nieba, przestronnych zatok morskich i okazałych starych domów na wietrznych, ocienionych drzewami ulicach. Byłem tu kiedyś, jako dziecko, z rodzicami i zapamiętałem to miasto z powodu jego szerokich zielonych alei przypominających strzyżony aksamit i zaśniedziałych dachów co starszych wspaniałych budynków.

Jest ciepły dzień; brunatna mgiełka, coś pomiędzy mgłą i czymś bardziej złowroźnym, unosi się nad lśniącymi falami zatoki Burrard.

– Jak długo to potrwa? – pyta Claude. Jedziemy taksówką z lotniska i utknęliśmy w śródmiejskim korku.

– Jeszcze nigdy nie załatwiałem ekstradycji – odpowiadam. – Może kiedy Iganovich przejrzy na oczy, zgodzi się na nią.

Dusalt spogląda na mnie z uśmiechem, jakim dorośli zwykli kwitować powiastki dla dzieci.

Lecąc samolotem, wtajemniczyłem Claude'a w moją teorię na temat drugiego mordercy, ale prosiłem go, żeby nie mówił o tym Emilowi, przynajmniej nie teraz. Obiecał mi to. Zważywszy na niefortunne przygody szeryfa w ojczyźnie ofiar, sądzę, że Dusalt dotrzyma obietnicy.

Taksówka zatrzymuje się na parkingu przed imponującym budynkiem, betonowym obeliskiem godzącym czterdziestoma piętrami w niebo.

Jedziemy windą na dwudzieste czwarte piętro, gdzie za szklaną przegrodą spotykamy małą kobietkę, brodą sięgającą ponad biurko.

– Madriani i Dusalt do pana Jacoby'ego. Oczekuje nas – mówię.

– Chwileczkę. – Sięga po telefon.

Herb Jacoby jest radcą koronnym i dyrektorem filii Departamentu Sprawiedliwości w tej prowincji. Na szczęście dla nich nasi bracia z północy nie mają u siebie zbyt wielu seryjnych morderców ze Stanów Zjednoczonych. Jacoby poinformował mnie przez telefon, że ze względu na wagę sprawy musi porozumieć się z Ottawą w kwestii ekstradycji.

– Pan Jacoby zaraz się z panami spotka – odzywa się kobietka. – Proszę tu poczekać.

Spędzamy kilka minut na rozglądaniu się po otoczeniu. Potem słyszę głos, dobiegający z za moich pleców:

– Panowie...



Odwracam się i widzę szczupłego mężczyznę z przerzedzonymi siwymi włosami. Zbliża się do nas wielkimi krokami z ręką wyciągniętą w powitalnym geście.

– Panie Jacoby, jestem Paul Madriani. – Potrząsam jego dłonią.

– O, proszę mi mówić po imieniu – zwraca się do mnie. – Jego akcent można by wziąć za angielski, słowa są precyzyjne i wyraźne.

Przedstawiam Claude'a. Stoimy we trójkę i wymieniamy uprzejmości.

– Panowie muszą być zmęczeni – domyśla się Jacoby. – Chodźmy do mojego gabinetu. Usiądziemy, panowie odpoczną i porozmawiamy.

Prowadzi nas korytarzem obudowanym małymi gabinetami – kanadyjska wersja instytucji rządowej. Meble, jak zwykle w takich instytucjach, wykonane są z imitacji drewna. Ich wygląd świadczy, że pracownicy dbają o nie.

A widok z tych ciasnych klitek jest taki, że Lenore Goya mogłaby dla niego popełnić morderstwo: za każdym oknem panorama na kalejdoskop portu.

Duży narożny gabinet należy do Jacoby'ego.

– Jak się miewa nasz przyjaciel? – zaczyna Claude. – Przesłuchiwaliście go?

– Miewa się świetnie. Jeszcze go nie przesłuchialiśmy – odpowiada Jacoby. – Ale zachowuje się bardzo nerwowo. Natychmiast po aresztowaniu zaczął śpiewać. To jednak jakiś bełkot, który nic nam nie mówi. Notowaliśmy jego zeznania.

Jesteśmy bez reszty pochłonięci słowami Jacoby'ego.

– Musiałbym zerknąć do raportu z aresztowania, żeby przytoczyć szczegóły – dodaje.

Dusalt patrzy na mnie: może tym razem nam się poszczęściło.

– Codziennie spotyka się ze swoim obrońcą i chyba stosuje się do jego zaleceń – ciągnie Jacoby. Ma na myśli Iganovicha. – Odkąd prawnicy wzięli go w obroty, nie powiedział nam ani słowa. – Prawo kanadyjskie jest podobne do modelu brytyjskiego i amerykańskiego – po aresztowaniu mówi się podejrzanemu, że cokolwiek powie, może być użyte przeciw niemu.

Podobno Rosjanin rozgadał się zaraz po zatrzymaniu, w obecności strażników, którzy go schwytali, zanim przybyła policja i ostrzegła go przed gadulstwem.

– Czy ma adwokata? – pytam.

– Ma doradcę prawnego.

Krzywię się. Nie jest to moja koncepcja obrony ubogiego klienta. Jacoby przygląda mi się.

– Nasz system jest nieco odmienny od waszego – informuje. – Ale ma też amerykańskiego adwokata.

Wytrzeszczam na niego oczy. Siedzę jak wielki znak zapytania.

– No tak. Przyleciał dziś rano. Podobno wynajęła go rodzina.

Claude i ja patrzymy na siebie, szukając właściwych słów.

– Kim on jest? Ten amerykański adwokat – chcę wiedzieć.

Jacoby kręci głową.

– Jeszcze się z nim nie widziałem. Ta przyjemność czeka mnie dziś po południu. A skoro wszyscy zajmujemy się tym samym, chciałbym poznać panów z moim partnerem, kanadyjskim adwokatem Iganovicha, panem Lloydem Benson-Harringtonem. Potem pójdziemy do więzienia i będziecie mogli sobie porozmawiać. Obaj adwokaci mają spotkanie ze swoim klientem. Możemy też będziemy mogli rzucić na niego okiem.

Claude jest zadowolony. Jego pierwsze spotkanie z mordercą we własnej osobie.

Jacoby przerzuca kilka stron w aktach.

– No, jest – mówi. – Raport policyjny. – Czyta go, przesuwając palcem po liniijkach dużych, odręcznie napisanych ołówkiem wyrazów. – To nie jest przyznanie się do winy, ale może się przyda. Dla nas to bez sensu.

– Co zeznał? – docieka Claude.

– Tuż po ujęciu przez strażników opierał się – relacjonuje Jacoby. – Trzeba było dwóch mężczyzn, żeby go obezwładnić. – Znowu przesuwając palcem po tekście. – Powalili go, zaobrączkowali i... – szuka w raporcie – a, jest. Kiedy podnieśli go z podłogi, oświadczył: „Macie moją furgonetkę. Jeździłem nią mniej niż tydzień. Pożyczyłem ją komuś. To oni jej używali?”. – I tyle – kończy Jacoby. – Jak uprzedzałem, trochę niezrozumiałe.

Dusalt uśmiecha się do mnie szeroko.

– Nie powiedziałbym – rzuca.

Jacoby zatrzymuje na mnie wzrok. Mówimy mu o samochodzie Iganovicha, który odnaleźliśmy w Davenport i, co najważniejsze, o jego zawartości.

– Och, a więc to dla was ważne – konstatuje.

– Chciałbym, żeby Claude porozmawiał ze strażnikami, którzy go zatrzymali. Niech złożą zeznania – odzywam się. To pozwoli uściślić fakty, zapobiegnie zacieraniu się ich w pamięci, a także ewentualnym zarzutom obrony, jakoby kanadyjskie władze były zaangażowane w wyegzekwowanie zeznań od świadków lub że zeznania te są wymuszone.

Claude będzie odbierał zeznania, więc później może być potrzebny świadek. Jeślibym go nie znalazł, musiałbym zrezygnować z pełnienia funkcji prokuratora w czasie procesu i sam wystąpić jako świadek. Gdyby nie etyka, byłoby to doskonale wyjście z nękającej mnie sytuacji. Nikki pokochałaby mnie za to.

– Oczywiście – zgadza się Jacoby. – Ściągniemy ich tutaj. – Ma na myśli dwóch strażników.

– Jeden z nich jest w kiepskim stanie – uprzedza. – Wasz człowiek stawiał opór.

– Coś poważnego? – Chodzi mi o obrażenia odniesione przez strażnika.

– Nie znam szczegółów. Kontuzja nogi czy coś takiego. I kilka oparzeń.

– Oparzeń? – dziwię się.

– Mhm. Od pistoletu elektrycznego. To taki do ogłuszania, jak mała pałka elektryczna do popędzania bydła – wyjaśnia. – Udało mu się dotknąć nim strażnika, kiedy tarzali się po podłodze.

– Ma go pan?

– Hę? – Patrzy na mnie.

– Pistolet. Czy strażnik mu go odebrał?

– Oczywiście. Jest ze wszystkimi jego rzeczami osobistymi.

– Chcielibyśmy mu się przyjrzeć – wtrąca się Claude. – Może nawet zabrać. – Jego głos wznosi się o oktawę, jakby to była kwestia podlegająca dyskusji.

– Są jeszcze jakieś dowody rzeczowe? – pyta Jacoby.

– Niewykluczone.

– Oczywiście. Zrobimy wszystko, co tylko się da.

– Chcielibyśmy też mieć zdjęcia obrażeń, które odniósł strażnik w zetknięciu z bronią – dodaje Dusalt.

– Jasne. To możliwe. Nie wiem, jak wyglądają te obrażenia, ale sprawdzimy. – I po chwili: – Zapewne zaczęliście kompletować dokumenty? Żeby złożyć prośbę o ekstradycję. – Zmiana biegów.

Zapewniam go, że postępowanie jest w toku. Prosiłem Goyę o pomoc – próba ugłaskania jej, dopóki nie wymyślę czegoś lepszego.

– Dobrze – mówi Jacoby. Patrzy na mnie poważnie, żebym docenił wagę tego zadania.

– W wypadku ekstradycji diabeł tkwi w szczegółach. Dokumentacja jest najważniejsza.

Ma rację. To jedna z najbardziej kłopotliwych zasad. Najsztynniejsze są te reguły, w których od ścisłego przestrzegania prawa i procedury postępowania zależy sukces lub przegrana, niewinnienie lub skazanie.

– To ciekawa sprawa – kontynuuje Jacoby. – Dość drażliwa, ale trzeba by ją poruszyć...

– Jaka sprawa?

– Chodzi o karę śmierci.

Wpatruję się w niego.

– Nie wiem, czy jesteście tego świadomi – ciągnie – że kara śmierci jest u nas bardzo krytykowana. Kanada zniosła ją kilka lat temu. To komplikuje czasami ekstradycję.

Nie odrywam od niego wzroku. Jacoby wie, że pochłonął moją uwagę bez reszty.

– Chyba nie będzie problemu? – pytam. – Nie w tym wypadku.

Jacoby się krzywi.

– Tego bym nie powiedział. To część naszego traktatu, amerykańsko-kanadyjskiej umowy o ekstradycji. Tak jest od lat – informuje. – Państwo może odmówić wydania podejrzanego, jeśli grozi mu egzekucja w innym kraju. Całkowita szczerłość: to kwestia taktyki politycznej, całkowicie niezależnej od oficjalnego procesu ekstradycji.

Zerkam na Claude'a, którego pomarszczona i mroczna twarz niemal dotyka stołu. Prawnicy z Departamentu Stanu w Waszyngtonie nie uprzedzili nas, że możemy mieć kłopot.

– Myślałem, że o tym wiecie – dziwi się Jacoby.

– Wiedziałem o tej umowie – przyznaję – ale nie sądziłem, że nas też dotyczy.

– Och, spodziewam się, że wszystko pójdzie gładko. Dowody rzeczowe wydają się solidne. Możliwe, że wystarczy ustne oświadczenie – pociesza nas Jacoby.

– Uważa pan, że wasza minister sprawiedliwości mogłaby zezwolić na ekstradycję Iganovicha, jeśli zgodzimy się na uchylenie kary śmierci? – drażę.

– Istnieje taka szansa – potwierdza.

– Pan chyba żartuje – wtrąca się Claude. – Ten człowiek zamordował sześć osób, a wy żądacie gwarancji, że nie dostanie w czapę?! Wykluczone!

Trącam go pod stołem kolanem. Jak w wypadku większości jego kolegów z odznakami, dyplomacja nie należy do licznych zalet Dusalta.

– Musi pan zrozumieć. Ta sprawa przyciągnie uwagę prasy i wzbudzi wiele kontrowersji, jeśli będzie się przetaczać przez nasze sądy. – Marszczy brwi.

W ten sposób sugeruje mi, że politycy tego kraju podlegają tym samym siłom politycznego przyciągania co ci na południe od granicy. Pękają pod naciskiem. Patrząc na niego, zaczynam się zastanawiać, jak przekażę te nowiny Emilowi Johnsonowi i ojcom hrabstwa – że być może będą musieli zrezygnować z wyroku śmierci dla patologicznego mordercy. O ile ich znam – a sądzę, że znam ich dobrze – oznacza to, iż zaczniemy międzynarodową zabawę w perskie oko. Pytanie tylko, kto mrugnie pierwszy.

Więzienie w Vancouver to pięciopiętrowy budynek w starym centrum miasta. Sąsiednie budynki, między nimi wiele ceglanych, są już w ruinie.

Jacoby prowadzi. Uprzedził telefonicznie, że przyjdziemy. Wewnątrz załatwia

wszystko ze strażnikiem w schludnie odprasowanym mundurze, błękitnej koszuli z epoletami i ciemnych spodniach.

Przeprowadza nas przez kilkoro grubych na pięć centymetrów pancernych drzwi jak w komorze powietrznej, wszystkie nadzorowane z pokoju za szkłem, które z jednej strony wygląda jak lustro. Przechodzimy przez pomieszczenie dla gości – kilku pensjonariuszy rozmawia z żonami, dziećmi, rodzinami.

– To główna sala spotkań – informuje strażnik. – Tutaj czekają na panów. – Otwiera drzwi. Są tu dwa metalowe stoły, zestawione ze sobą i przymocowane do podłogi, otoczone odrapanymi drewnianymi krzesłami. Kanadyjski adwokat Iganovicha wpadł tu po drodze z sądu, jak doktor w czasie wizyt domowych u pacjentów.

Jacoby przedstawia nas sobie. Wszystko wskazuje na to, że Benson-Harrington jest człowiekiem sympatycznym, o profesjonalnym podejściu i pozbawionym jadu.

Claude obserwuje podejrzanego. Andre Iganovich siedzi u szczytu stołu. Zgryźliwy grymas – nie jest zainteresowany braniem udziału w bzdurnych uprzejmościach. Jestem pewien, że ten dystans odpowiada jego adwokatowi.

Iganovich ma ze trzydzieści pięć lat, krótko obcięte kasztanowe włosy, niczym nie wyróżniającą się twarz o nieco obwisłych policzkach, długą i wąską oraz głęboko osadzone ciemne oczy, nieco niespokojne, jakby był wciąż jeszcze oszołomiony aresztowaniem i wypadkami ostatniego tygodnia.

Tylko jego zęby są odrażające: pokryte szarobrązowym nalotem, rzadkie niczym sztachety w zrujnowanym płocie. Jak wielu mieszkańców ubogich krajów europejskich, przypomina fotografie z zeszłego stulecia: pożółkłe sędziwe dagerotypy przedstawiające farmerów i wiejskich chłopaków, którzy zgłosili się, by walczyć i zginąć w wojnie secesyjnej.

Uśmiecha się do mnie przelotnie. Ten uśmiech sprawia, że przeszywa mnie krótki dreszcz, podnoszący mi włosy na karku. W wyrazie jego twarzy jest jakaś tępota, coś, co przypomina polującego rekina i każe mi poczuć ulgę, że nie jesteśmy w tym pokoju sami.

Słyszę otwierające się drzwi za moimi plecami.

– Ach! – Benson-Harrington ożywia się raptownie. – Wasz amerykański kolega – mówi. – Musicie się poznać. Pozwólcie panowie, że dokonam prezentacji.

Odwracam się. Uśmiech na mojej twarzy gaśnie jak zapalka. Przedemną, obramowaną framugą drzwi, znajduje się znajoma twarz Adriana Chambersa.

– My się już znamy – oświadcza i zupełnie jak jego klient rzuca mi odpychający, pozbawiony wesołości uśmiech.

Mruczenie silników samolotu kołysze mnie do snu. Claude i ja tankujemy whisky od samego Vancouver i teraz dryfuję pomiędzy wizją rechoczącego Adriana Chambersa i krainą snu.

Iganovich oficjalnie sprzeciwił się ekstradycji. Doradził mu to Chambers, przy bardziej powściągliwym udziale Benson-Harringtona. Ze swojego punktu widzenia mają do stracenia jedynie życzliwość kraju, który chce śmierci ich klienta.

Claude wyciąga się w fotelu, odchylając jego oparcie tak daleko, jak tylko się da. Odwraca ku mnie głowę i zadaje pytanie, na które czekałem:

– Skąd się znacie? Ty i Adrian Chambers.

Jak każdy obecny przy naszym spotkaniu, wyczuł niewątpliwą wrogość między nami dwoma.

– To długa historia – odpowiadam.

– Jak to zwykle bywa.

– Taka głośna sprawa przydaje się praktyce – mówię. – Przysparza nowych klientów. A w tym konkretnym wypadku jednym z motywów działania jest nieśmiertelna wendeta. Coś z *Piekle* Dantego.

– Proszę, opowiedz mi o tym. – Z jego tonu wnioskuję, że Claude uważa, iż ma prawo to wiedzieć.

– Trzeba zrozumieć Chambersa – podejmuję temat. – Cierpi na obsesję, jest bliski samozniszczenia. Może stąd się bierze jego awersja do reszty świata, jego chęć przekroczenia wszelkich granic w tej sprawie.

Dusalt patrzy z dystansem, jakby nie rozumiał.

– Jest taka historia – ciągnę. – Nie wiem, czy prawdziwa. Podobno przed laty, kiedy Chambers dopiero zaczynał, reprezentował jakichś motocyklistów. Ludzi po uszy tkwiących w narkotykach, przewożących towar z Meksyku w pustych rurach harleyów. Był to początek jego kariery, zanim odnaleźli go bogatsi klienci. W każdym razie gdy zostali oskarżeni, Chambers podjął się ich obrony, wziął małą zaliczkę i zabrał się do pracy.

– Zwykła rzecz w poważnej sprawie kryminalnej: jeśli adwokat przegrywa, klientowi wydaje się, że sam by sobie poradził, a jeśli wygrywa – że stało się tak, bo był niewinny. A wszystko dlatego, by usprawiedliwić zwłokę w wypłaceniu honorarium. W sprawie motocyklistów Chambers odniósł sukces, zatajając dowody. Wysłał im rachunek, a oni go

zignorowali. Posłał następny. Nic. Wtedy udało mu się zwabić ich do swojej kancelarii, wszystkich trzech. Podobno wówczas odebrał swoje honorarium.

Claude patrzy na mnie.

– Jak?

Krzywię się.

– Ci, którzy rzekomo wiedzą, twierdzą, że miał dwa pistolety: jeden półautomatyczny, z pełnym magazynkiem, którym ich zastraszył, i drugi rewolwer z jednym nabojem. Postawił ich pod ścianą i zaczął grać w rosyjską ruletkę, aż dali mu pieniądze.

Claude przełyka ślinę.

– To lepsze niż pozwanie do sądu – zauważa. – Ile byli mu winni?

– Podobno około czterystu dolarów.

Dusalt otwiera szeroko oczy.

– W tym cały dowcip.

– I udało mu się zachować honorarium?

– Ci klienci nie byli skłonni wnosić skargi do sądu.

– Z takimi klientami nie trzeba się przejmować prawem – dorzuca Claude.

– Dziwisz się, że go nie zabili?

Unosi brew, jakby uważał to za coś więcej niż ewentualność.

– Zdaje się, że dostrzegli, iż Chambers jest zdolny do wszystkiego, że balansuje na krawędzi szaleństwa i że być może następnym razem dopadnie ich uzbrojony w miotacz ognia. Właśnie z tego powodu Indianie nie zabijali szaleńców – wyjaśniam. – Widzieli w nich istoty obcujące z bóstwami. Tamtej nocy motocykliści musieli chyba spojrzeć Chambersowi w oczy i zobaczyli w nich swoją śmierć. Rzecz polega na czystej kalkulacji. Drażnienie tego typu nie jest warte czterystu dolarów.

– Po tym wydarzeniu Chambers nosił się wszędzie z naładowaną dziewiątką – kontynuuję. – Szeryf dał mu pozwolenie, a on rozgłosił to wszem i wobec. Pięć miesięcy później do jego drzwi zapukali ci sami motocykliści. Galopowali między Barstow i Bakersfield niczym jeźdźcy Apokalipsy, rozwożąc biały proszek. Znowu ich przyskrzynili i wyglądało na to, że nie pójdzie im tak łatwo. Ale tym razem pojawili się w gabinecie Chambersa ze zwitkiem banknotów, którym można by udławić konia. Oczywiście z miejsca mu je przekazali.

– Brzmi to jak historia amerykańskiego sukcesu – zauważa Claude. – Jak zadarłeś z tym kowbojem?

– Dziesięć lat temu Chambers był wschodzącą gwiazdą w prawniczym środowisku

stolicy. Zdołał już zgarnąć dla siebie najlepszą część praktyki obrończej w mieście. Jego klientami byli prawodawcy gnębieni przez nadgorliwych oskarżycieli, członkowie różnych lobby, wielu polityków i ich zwolenników. Zbił fortunę. I narobił sobie mnóstwo wrogów, przeważnie wśród policjantów, którzy nie mogli znieść jego nadużywania prawa.

– Jak to zwykle bywa, Chambers przestał zwracać uwagę na szczegóły. Jednym z jego klientów był Walter Henley, księgowy i według pewnych źródeł przedstawiciel grupy lobbystów zabiegających o przychylność Waszyngtonu.

Claude nadstawia uszu, przeczuwając większą aferę.

– Mieliśmy chrapkę na Henleya i dwóch ważniejszych lobbystów oskarżonych o łapówkarstwo i wymuszanie. Chcieliśmy, by Henley ich wsypał.

– Koncepcja obrony Chambersa nie była ani nowa, ani oryginalna. Wydawało mu się, że będzie mógł utrzymać i Henleya, i lobbystów pod wspólnym parasolem obrony, zamiast bronić każdego z osobna. Sądził, że uda mu się przetrzymać ich tak w nieskończoność.

– Zaproponowałem Henleyowi uwolnienie i wezwałem go do zeznawania przed sądem. Nie mógł dłużej zasłaniać się Piątą Poprawką. Musiał nam powiedzieć, co się stało, albo iść do więzienia.

– Tyle o honorze wśród złodziei – komentuje Claude.

– Chambers wpadł, kiedy przyszedł do Henleya z wielką sumą pieniędzy, honorariami od innych klientów, prosząc go, by ten opowiedział sądowi bajeczkę. Tylko że nie wiedział, iż Henley ma pod ubraniem ukryty mikrofon. Policja zastawiła na Adriana pułapkę. Drobną rekompensata za krzywdy, które wyrządził im przez te wszystkie lata.

– Czy Chambers był w to zaangażowany osobiście?

– Miał powody. Zażądałem kary pięciu lat więzienia. Dostał dziewięć miesięcy. Skreślono go też z listy adwokatów, ale wyrok ten złagodzano do pięciu lat zakazu wykonywania zawodu.

– Dostał po łapach – stwierdza Claude.

– On by tego nie nazwał w ten sposób – mówię.

Dusał milczy przez chwilę, pogrążony w myślach, jakby dopasowywał do siebie fragmenty układanki.

– Sukinsyny! – rzuca. – Mieliśmy być zespołem. A teraz otwieram gazetę i widzę, że ukrywacie przede mną tajemnice.

Claude i ja stoimy w gabinecie Emila. Johnson trzyma złożoną gazetę, którą rzuca na



biurko przede mną.

– Kiedy to przeczytałem, poczułem się jak głupol. Dzwonią do mnie dziennikarze, a ja nie mam pojęcia, o czym oni, do jasnej cholery, mówią.

Na stronie tytułowej porannego „Timesa” rzuca się w oczy tytuł artykułu o aresztowaniu Iganovicha w Kanadzie, nagłówek na dwie szpalty:

## POLICJA POSZUKUJE DRUGIEGO MORDERCY

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem, do cholery?

– Sam się dowiedziałem na godzinę przed wyjazdem do Kanady, dwa dni temu – tłumaczę się.

– I tak mogłeś mnie zawiadomić. Z Kanady można się tu dodzwonić, nie wiedziałeś?

Czytam pierwszy akapit artykułu, podczas gdy Emil dalej znęca się nade mną:

*DAVENPORT – Ekipa prowadząca dochodzenie w sprawie morderstw z Putah Creek nie wyklucza, że istnieje drugi morderca, naśladowujący pierwszego. Może on być odpowiedzialny za zabójstwo Abbotta Scofielda i jego byłej żony, Karen.*

*Scofield, profesor uniwersytetu stanowego, i jego eks-żona zostali zamordowani w zeszłym tygodniu. Ich nagie ciała znaleźli dwaj nastoletni chłopcy, polujący nad Putah Creek. W tej okolicy zabito wcześniej czworo studentów. Dobrze poinformowane źródła podają, że policja wysunęła teorię o istnieniu drugiego mordercy na podstawie różnic w dowodach rzeczowych znalezionych na miejscu zbrodni.*

Na szczęście dla nas owe „dobrze poinformowane źródła” nie przesadziły w wyjawianiu szczegółów. Nie wierzę, żeby Kay Sellig miała z tym coś wspólnego. Ciekawe, kto oprócz niej mógł wiedzieć o naszej rozmowie. Zaczynam główkować. Zgodnie z obietnicą Sellig przefaksowała kopię swojego raportu do mojego gabinetu, gdy byłem w Kanadzie. Przez dwa dni mojej nieobecności raport leżał na samym wierzchu innych dokumentów, doskonale widoczny. Każdy mógł go przeczytać.

– Następnym razem, kiedy się czegoś dowiecie – odzywa się Emil – przekażcie to mnie. Jasne?

Patrzę na niego, ale nie daję mu tej satysfakcji i nie potakuję. Johnson jest w gruncie

rzeczy tchórzem lubiącym znęcać się nad słabszymi. Teraz mnie przyciska, wykorzystując swoją władzę, i sprawdza, czy uklęknę. Nie robię tego.

– I jeszcze jedno – dodaje. – Nie zgodzimy się na jakieś bzdury w rodzaju uchylecia kary śmierci. – Claude zreferował mu przebieg naszej rozmowy z Jacobym. – Co, do pioruna, powiemy rodzinom? Że jakiś lalusz w garniturku podpisał w Waszyngtonie traktat, który zabrania nam wykonania egzekucji na mordercy, który zmasakrował ich dzieci? Nie – ciągnie Emil – żadnych układów. – Jedna brew zaczyna mu skakać. – Ten sukinsyn tu wróci i nie wywinie się od śmierci.

Ta decyzja zależy od głównego prokuratora w tym hrabstwie, czyli aktualnie ode mnie. Ale to ważka decyzja, mogąca zaważyć na długości kariery tutejszych urzędników.

Johnson jest już spóźniony na spotkanie. Rozgląda się za swoim małym notesem z przemówieniem dla klubu rotarian.

– Gdzie to jest, do diabła? – mruczy.

Wreszcie znajduje.

– Przekaż im – dorzucą – że nie będzie ugody. I znajdź łobuza odpowiedzialnego za ten przeciek – puka palcem w gazetę na biurku – bo to nikt z moich ludzi, jestem pewien. – Według Emila to jedyna korzyść wynikająca z jego niewiedzy: jego ludzie są czyści.

Rusza do drzwi.

– Mamy już kłopoty z tym sukinsynem Parkiem – dodaje. – Zapoznaj go ze sprawą – zwraca się do Claude'a. – Powiedz mu, co narobił ten skośnooki kutas. – I już go nie ma.

Dusalt patrzy na mnie i kręci głową.

– Park wyraził się w wywiadzie obraźliwie na temat Emila.

– I miał rację – mówię. Nie czuję do Johnsona zbyt wiele sympatii. – Ten facet nie reaguje na dobre rady.

– Park wynajął też kanadyjskiego adwokata.

– Co?

– Dziś rano otrzymaliśmy telefon z Departamentu Sprawiedliwości – wyjaśnia. – Jacoby dostał wiadomość od prywatnego adwokata reprezentującego niektóre ofiary. Chciał wiedzieć, o co chodzi z tym Iganovichem.

– Szykuje się mała afera – stwierdzam.

– Czy Kanadyjczycy mogą nam robić jakieś kłopoty z ekstradycją? – pyta.

– Mogą wkurzyć kilka wysoko postawionych osób.

– Specjalność Maggie Wilson – zauważa Claude.

– To zmniejszyłoby nasze szanse wywabienia Iganovicha z ich kraju i ściągnięcia go

tutaj. Co powiedział Jacoby prawnikom?

– Nie wiem. Nie zagłębialiśmy się w szczegóły.

– Dowiedzmy się – proponuję.

Martwię się, że mogli wspomnieć adwokadowi o traktacie dotyczącym kary śmierci albo że on sam się na niego natknął. Jeśli tak, rozpęta się piekło.

Wpół do dziewiątej rano; przez interkom wita mnie głos sekretarki.

– Telefon do pana – informuje. – Sędzia Ingel.

Podnoszę słuchawkę. Po drugiej stronie słyszę kobiecy głos – to sekretarka Ingela. Mówi mi, że sędzia zgłosi się za chwilę, bo teraz ma ważną rozmowę na drugiej linii.

Chwilę później rozlega się głos skrzypiący jak piasek na drodze.

– Madriani, jesteś tam? – Po tonie poznaję, że Ingel jest wkurzony.

– Panie sędzio...

– Chciałbym wiedzieć, co się tu wyrabia. – Ciężki oddech i jakieś hałasy w słuchawce.

– Przepraszam – odzywam się – ale czy ktoś nas słucha?

– Sędzia Acosta. A któż by inny?

Świrus to trudny przypadek. Skoro nie może szperać w moich aktach, wykorzystuje Ingela i podsłuchuje moje rozmowy telefoniczne.

– Czym mogę służyć? – pytam.

– Dochodzą nas plotki – zaczyna Prusak – że szykujecie się do ugody z Kanadyjczykami w kwestii kary śmierci.

– Kto tak twierdzi?

– Mamy swoje źródła. – Tym razem to głos Acosty.

Wiem, jakie. Johnson rozmawiał z Ingelem. To jego sposób, żeby powstrzymał się od wszelkich układów.

– A więc źródła się mylą – oświadczam. – Ale Emil wie lepiej. Mówiłem mu dzisiaj, że nie będzie żadnego układu. Mam mu to podpisać krwią?

– Proszę się nie unosić – mityguje mnie sędzia. Mała demonstracja władzy na użytek Acosty i danie mi do zrozumienia, że bezpodstawnie zabroniłem Świrusowi dostępu do akt. – Sędzia Acosta nie chciał niczego wynosić, chciał tylko zerknąć – ciągnie. – W końcu jego zainteresowanie tą sprawą jest usprawiedliwione.

– Tak – przyznaję. – Tak jak członków innych rodzin. Może powinienem wywiesić wszystkie raporty dotyczące śledztwa, ujawnić wszystkie kontakty i poszlaki, jakimi

dysponuje policja, na ścianie sądu, żeby wszyscy mogli je przeczytać jednocześnie?

– Wystarczy – ucina Ingel.

– Sam pan widzi – komentuje Acosta.

Na kilka sekund zostaję wyłączony z dyskusji. Sędziowie zgadzają się, że jestem utrudniającym współpracę palantem, a ja tego słucham.

Oto rozmowa, jakiej mogłem się spodziewać po dwóch prawodawcach, którzy nigdy nie musieli ograniczać swojej władzy i przywilejów, a już na pewno nie ograniczali im ich zwyczajni prawnicy.

– Jak zamierza go pan sprowadzić? – Acosta pyta mnie o moją strategię ekstradycji Rosjanina.

– Departament Stanu wywiera nacisk na władze kanadyjskie – informuję. – Jesteśmy przekonani, że oddadzą nam podejrzanego bez konieczności rezygnacji z kary śmierci.

Wyraźne parsknięcie po drugiej stronie linii, jakby bardzo w to wątpił. Zaczynam wierzyć, że Acosta życzy sobie mojej klęski. Być może jego więz z siostrą i rodziną nie jest tak silna jak pragnienie, by dobrać mi się do tyłka.

– Co ma znaczyć ta wiadomość prasowa o drugim mordercy? – sonduje mnie Ingel.

– Na razie to tylko teoria – wyjaśniam. – Niektóre dowody rzeczowe różnią się między sobą.

Na tym kończymy tę kwestię. Bez wdawania się w szczegóły zapewniam Acostę, że to nie wpłynie na sprawę jego siostrzenicy. Znowu mnóstwo średnio bolesnych szyderstw po drugiej stronie linii.

– Będzie nas pan informował o wszystkim? – upewnia się Ingel.

– O wszystkim, o czym mogę – odpowiadam.

– Aha – odzywa się Acosta – Jasne. Jak w wypadku akt.

Ingel pociesza go przez chwilę, po czym żegna się ze mną. Mogę już odłożyć słuchawkę, a oni będą mnie jeszcze przez chwilę obrzucać błotem.

Rozłączam się. Ale uszy palą mnie przez dobrych kilka minut.

Dni mijają, a ja mogę jedynie zastosować się do rady Kay Sellig i porozmawiać z lekarzem sądowym, doktorem Lloydem Tolarem.

Tolar jest etatowym profesorem na wydziale medycznym uniwersytetu. Jako patologa hrabstwo wynajęło go do pełnienia funkcji koronera, które to obowiązki zρέcznie godzi z zawodem nauczyciela. Mówiono mi, że kiedy wykonuje czynności koronera, asystują mu

studenci. Hrabstwo płaci za to uniwersytetowi. Sprytnie pomyślane.

Przybywam do gabinetu Tolara, gdzie zostaję usadowiony na krześle i poinformowany, że doktor jest zajęty w sąsiednim budynku, ale lada moment się zjawia.

Wkrótce wyczuwam czyjąś obecność za moimi plecami. Kiedy się odwracam, widzę chłopca, najwyżej dwudziestopięcioletniego, w fartuchu lekarskim.

– Czy pan Madriani? – pyta.

– To ja.

– Doktor Jamison – przedstawia się. Ściska moją rękę. – Jestem jednym ze studentów, asystuję doktorowi Tolarowi. Dziś nie może się z panem spotkać. Coś wypadło mu w ostatniej chwili – wyjaśnia. – Prosił mnie, żebym go zastąpił, porozmawiał z panem, odpowiedział na pańskie pytania. Proszę do gabinetu.

Zanim udaje mi się coś powiedzieć, Jamison rusza w kierunku oszklonego gabinetu po drugiej stronie recepcji. Wchodzę za nim, a on zapala światło.

– A więc pełni pan funkcje oskarżyciela – stwierdza. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby dokonując szybkiego osądu. – Jest pan tu z powodu Putah Creek?

– Tak. Nie otrzymałem jeszcze kopii raportu patologa z ostatnich dwóch morderstw, Abbotta i Karen Scofieldów. – Napomykam, że Sellig radziła mi przyjść tu i porozmawiać, czy jest jakiś problem, jakieś wątpliwości, które nie pozwalają zakończyć raportu.

Jest nad wiek poważny, pewny siebie i zdecydowanie arogancki.

– To przez nasze wyniki badań – odpowiada. – Zastanawialiśmy się, czy lepiej zamieścić je w raporcie, czy też przekazać je panu ustnie. Kwestia dyskrecji.

Wspomina o procedurze sporządzania raportu eksperta, w tym wypadku dotyczącego sekcji zwłok. Nie powinny się w nim znaleźć informacje, które mogłyby wykorzystać strona przeciwna. Zwykle takie dokumenty są ujawniane.

– O czym pan mówi? – pytam.

– O bezsprzecznym fakcie, że ofiary nie zostały zamordowane w miejscu, gdzie znaleziono ich ciała. – Ma na myśli Scofieldów. – Morderca najpierw zadźgał je nożem, a następnie wbił gwoździe w rany. Dobra robota – stwierdza. – Ale nie najlepsza. – Powód do dumy, myślę.

Jamison nie korzysta z notatek, zna wszystkie szczegóły. Chyba asystował Tolarowi przy sekcji zwłok.

Proszę go o więcej detali.

Dowiaduję się, że odkryli obrażenia na głowie Abbotta Scofielda – dowód na to, że był nieprzytomny, kiedy go zabito. Inaczej było z jego żoną. Oboje zamordowano ostrym nożem

o jednym ostrzu, długości około dwudziestu centymetrów. Gwoździe wbito w istniejące już rany, by wszystko wyglądało tak jak w poprzednich wypadkach.

Sellig ma racje – ta sprawa to dynamit.

– Czy skomentuje pan to w raporcie? – zadaję pytanie.

– Możemy podać same fakty i pominąć wnioski końcowe – oświadczam tak, jakby już to robili.

Zastanawiam się. Kiedy coś znajdzie się w raporcie, nie można tego stamtąd usunąć.

– Na razie – mówię – dopóki nie wiemy, kto będzie miał wgląd w raport, to by mnie urządziło.

Tego ranka notuję w pamięci, by po przyjsciu do biura wprowadzić Lenore Goyę w szczegóły sprawy Putah Creek. Będę potrzebował fachowej pomocy przy sporządzaniu dokumentów związanych z ekstradycją. Mijam uniwersyteckie boisko i wydział sztuki użytkowej. Przejeżdżam dwa kilometry i skręcam w aleję, której sklepienie tworzą gałęzie potężnych dębów. Przypomina mi to park, ale stoją tu okazałe budynki z białymi kolumnienkami w stylu georgiańskim i dostojne domy w klasycznym stylu kolonialnym, oddzielone od drogi kilometrem wypięszonego trawnika. Tak wygląda w Davenport miasteczko akademickie skupiające ludzi z zapewnionymi dożywotnimi posadami, co jest zjawiskiem nie znanym przeciętnemu obywatelowi tego kraju. Tu mieszkają profesorowie opłacani przez uniwersytet, którzy czterdzieści lat temu kupili te posiadłości za bezcen, a teraz żyją w komfortowym odosobnieniu.

Zatrzymuję się przed olbrzymim budynkiem w stylu kolonialnym, którego dymniki są większe niż niektóre znane mi domy. Drzwi otwiera mi starsza kobieta z włosami zwiniętymi w ścisły siwy koczek.

– Czy zastałem panią Scofield? – pytam.

– Mogę spytać o nazwisko?

– Mecenas Paul Madriani. – Podaję jej wizytówkę z urzędowym nadrukiem. Kobieta znika, zostawiwszy mnie na schodach pod zabezpieczonymi łańcuchem drzwiami, których nie zapomniała zamknąć.

Mija kilka sekund, kobieta wraca.

– Proszę wejść.

Prowadzi mnie przestronnym korytarzem do wielkiego salonu, pełnego drobiazgów gromadzonych przez całe pracowite życie. Jeśli jest w nim jakiś motyw główny, to są nim ptaki: ptaszki z drewna, książki o ptakach, litografie ptaków i obraz olejny, oryginał, wiszący nad kominkiem. Orły i kruki, sowy i kolibry – wszystko, co żyje i ma pióra, z pewnością się tu znajduje.

Niegdyś była to wspiana budowla. Ale jej dobre czasy już minęły, a obecni właściciele mieli inne koncepcje trawienia czasu i pieniędzy niż przebudowa i odnawianie.

– Córnka zejdzie za chwilę. – Zanim mam czas się odwrócić i spojrzeć, starsza pani znowu znika.

Dla zabicia czasu wędruję po pokoju, przyglądając się różnym pamiątkom. Na stole

przy kanapie stoi czarno-biała fotografia przedstawiająca ciemnowłosego mężczyznę w bryczesach. Podnoszę ją, by spojrzeć na nią z bliska. Mężczyzna jest młody i przystojny, stoi na polu porośniętym wysoką trawą. Słabo przypomina osobę z ponurych zdjęć z kostnicy. To Abbott Scofield za młodych, szczęśliwych lat.

– To zdjęcie zrobione tuż po ślubie z Karen. – Odwracam się. W drugich drzwiach stoi Jeanette Scofield. – Pierwsza pani Scofield. Pobrali się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym.

– Przepraszam – mówię. – Czasami nie mogę powstrzymać ciekawości. – Odstawiam zdjęcie na stół.

– Nie szkodzi. – Macha lekceważąco ręką. – Był przystojny, nie sądzi pan?

– Tak – potwierdzam. – Przystojny.

– Każdy to zauważał. – Kiwa głową jak dziewczynka. – Mama nie chciała, żebym za niego wyszła. Twierdziła, że jest dla mnie za stary.

Zapada chwila niezręcznego milczenia, jakby te słowa uprzytomniły jej cały ogrom straty.

Potem zmienia temat: przeprasza za swój strój. Jest ubrana w luźny sweter zaplamiony z przodu błotem, błoto ma też na brodzie. Jej tenisówki są stare i zniszczone, a na ręczniku, który przewiesiła przez szyję, widać smugi błota i brudu. Włosy spięła z tyłu w luźny kucyk. Ociera z czoła ślady potu.

– Ogród – wyjaśnia. – Jeden z moich nałogów. – Figlarny uśmiech. – Napije się pan czegoś?

Wymawiam się. Jest wysoka, wyższa ode mnie o kilka centymetrów, nawet na płaskich obcasach.

– Mamo! – woła. Staruszka pojawia się w drzwiach jak spod ziemi. Chyba podsłuchiwała naszą rozmowę. – Czy mogłabyś mi przynieść szklankę mrożonej herbaty? Naprawdę nie chce pan niczego? – zwraca się do mnie.

– Nie. Dziękuję.

Uśmiecha się.

– Proszę usiąść. – Wskazuje mi kanapę, a sama zajmuje miejsce w jednym z dwóch zbyt wielkich klubowych foteli, bokiem do kominka.

– Czym zasłużyłam na wizytę prokuratora? Już rozmawiałam z policją, z pańskim porucznikiem Dusaltem. – Ton jej głosu jest pytający, jakby nie była pewna, czy dobrze zapamiętała nazwisko.

– Tak jest. Czytałem raport – informuję. – Chodzi o kilka nie wyjaśnionych kwestii.



– Czy to nie zadanie dla detektywa?

– Przejeżdżałem w pobliżu.

– Sprawne działanie urzędnika państwowego? – Uśmiecha się.

– Mniej więcej.

Jej policzki tracą już rumieniec wywołany świeżym powietrzem. Zakłada nogę na nogę. Ma na sobie za duże męskie spodnie – z każdej nogawki można by zrobić dwie. Odchyła się w fotelu.

– Czego chciałby się pan dowiedzieć?

– Tylko kilku średnio ważnych szczegółów. Może jakieś informacje o pracy pani męża pomogą nam w dalszym toku śledztwa. Czy zechciałaby pani o niej opowiedzieć? Czym konkretnie się mąż zajmował?

– Ach. – Kiwa głową i składa razem długie, smukłe palce, opierając na nich podbródek.

– Abbott był ornitologiem – zaczyna. Uśmiecha się, jakby chciała przeliterować mi to słowo, ale ja nie robię notatek. – Jego życiem, jego pasją było obserwowanie ptaków. Co zresztą widać. – Ruchem ręki wskazuje na pokój – Czasem zastanawiałam się, czy kochałby mnie bardziej, gdybym urodziła się z upierzeniem.

Unoszę brwi.

– Nie, nie – uprzedza moje pytanie. – Byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem. On miał swoją pracę, a ja miałam jego. Oboje mieliśmy to, czego pragnęliśmy.

Wraca jej matka z herbatą w wysokiej, wąskiej oszronionej szklance. Stawiają na stole obok Jeanette i patrzy wyczekująco, czy nie powinna przysiąść się do nas.

– Za chwilę skończymy, mamó. – Młodsza kobieta przeszywa starszą spojrzeniem.

Ta wychodzi. Kiedy zostajemy sami, Jeanette spogląda na mnie i szepcze zza wysokiej, smukłej szklanki:

– Jest jak cień. Doprowadza mnie do szału. Przekonywałam ją, że nic mi nie jest, może wracać do domu, do Fresno, ale nie mogę jej namówić do wyjazdu.

Uśmiecham się. Jeanette wzrusza pogodnie ramionami.

– Na czym stanęliśmy?

– Na pracy pani męża.

– Ach, tak. Abbott był profesorem na etacie uniwersyteckim. Prowadził kilka kursów dla studentów, ale przede wszystkim kierował wydziałem zoologii. Był dożywotnim członkiem wydziałowej rady senatu. Bardzo aktywnym.

Wszystko to znam już z raportu – szczegóły, które Claude i jego faworyci uznali za

niegodne wspomnienia.

– Powiedziała pani, że nie zna nikogo, kto życzyłby śmierci pani mężowi?

– To prawda. Nie znam. Tylko że pewnie rodzice tych czworga zamordowanych studentów mówią to samo. Mój Boże, kto mógł przewidzieć decyzje takiego szaleńca?

Wspomina o Iganovichu, o artykułach w gazetach. Pyta mnie, czy spotkałem tego człowieka, czy z nim rozmawiałem.

– Widziałem go, ale nie rozmawiał ze mną. Jego adwokaci na to nie pozwolili.

Najwidoczniej jeszcze nie czytała artykułu w „Timesie”. Nie jestem zaskoczony. Gazety z południowej części stanu nie docierają tu zbyt szybko ze stolicy. Wkrótce z pewnością usłyszy o tym w wiadomościach. To dlatego tu jestem. Wołałem z nią porozmawiać, zanim się dowie.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pierwszej pani Scofield – mówię. – Pani mąż nadal się z nią spotykał? – Policja postanowiła nie pytać o to zaraz po morderstwie.

– Dziwi to pana?

Robię minę świadcząca, że tego właśnie dotyczy moje pytanie.

– Powinien pan zrozumieć Abbotta i Karen. Chodziło głównie o interesy. Pracowali razem.

O tym w raporcie nie wspomniano.

– Rozwiedli się, ponieważ rozeszły się ich drogi osobiste. Ale pozostali przyjaciółmi.

– Powiedziała pani, że pracowali razem?

– Tak. Karen nie miała wykształcenia w tej dziedzinie, ale przez dwadzieścia lat pomagała Abbottowi. Ufał jej, przyzwyczał się do jej asysty przy pisaniu niektórych publikacji i pracy w terenie. Świetnie fotografowała, wiele jej zdjęć znalazło się w jego książkach. Niektóre z nich może pan obejrzeć w tym pokoju.

– A pani nie miała nic przeciwko ich dalszej współpracy?

Uśmiecha się do mnie.

– Dlaczego miałabym mieć? – Pytanie brzmi niewinnie.

Nie potrafię określić, czy to zwykła naiwność, czy też Jeanette jest jedną z tych szczęśliwych istot, dla których rywalizacja w życiu nie niesie żadnego zagrożenia.

– Czy wie pani, nad czym pani mąż pracował w dniu, w którym go zamordowano? Czy było to coś szczególnego?

– Nie – odpowiada. – Nie mam pojęcia. Dlaczego to pana interesuje? – Pochyliła się ku mnie, zaintrygowana moimi pytaniami.

– To naprawdę tylko parę nie wyjaśnionych kwestii. Zastanawialiśmy się nad okresem

bezpośrednio poprzedzającym ich śmierć. Czy robili coś, co spowodowało na nich nieszczęście? Może to coś, nad czym pracowali, spowodowało, że weszli w drogę mordercy?

– Niestety, nie wiem, nad czym pracowali. Abbott nie mówił mi, czym się zajmuje. – Gdzieś na tyłach domu słyszę trzaśnięcie drzwi. Jakiś gość. Chwilę później rozlegają się kroki w korytarzu. Jeanette się ogląda.

– O, Jess – odzywa się. – Dobrze, że jesteś. Pan Madriani wpadł, by zadać mi parę pytań.

Amara nie okazuje niczego oprócz uprzejmości. Z wyrazu jego twarzy wnioskuję, że nie uszczęśliwia go moja obecność tutaj.

– Zobaczyłem samochód przed domem i byłem ciekaw, kto złożył ci wizytę – tłumaczy.

Jasne, przypadkiem przechodził ulicą.

– Czy wiecie już, kto i dlaczego zabił Abbotta? – zwraca się do mnie.

– Nie, ale z pewnością będziemy państwa informować o postępach prac.

– Czy Jeanette udało się panu pomóc?

– Wyjaśniła kilka spraw.

– Tuż po popełnieniu morderstwa wszyscy skupili się na Abbotcie i Karen – wyjaśnia Jeanette. – Pan Madriani był ciekaw, nad czym wtedy pracowali. Powiedziałam, że nie wiem.

– A może pan wie? – pytam Amarę.

– Abbott nie rozmawiał ze mną o swojej pracy. Co zaś do Karen, nigdy się nie spotkaliśmy. – Patrzy na mnie. Nie siada.

– Coś jeszcze? – rzuca.

– Nie w tej chwili.

– A więc ma pan to, po co przyszedł?

Kiwam głową.

– Odprowadzę pana do drzwi. – Zostałem odprawiony.

Teraz już wiem, dlaczego Claude odnosi się tak chłodno do tego człowieka – Amara prowadzi dodatkowo jakiś interes, azjatycką spółkę handlową, w której zajmuje się zagranicznymi inwestycjami na terenie hrabstwa. To coś, czego Claude nie lubi: policjant dorabiający na boku, wizja lukratywnych dochodów na lata emerytury.

Na schodach zewnętrznych odwracam się, by ucisnąć dłoń Amary. Nie podaje mi jej.

– Nie chciałbym sprawiać wrażenia niechętnego do współpracy – oświadcza – ale jeśli wybierze się pan tu znowu, proszę mnie zawiadomić. Wolałbym przy tym być. Nie pozwolę, by niepotrzebnie niepokojono moją siostrę.

– Rozumiem – mówię.

Chwilę później zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

Już prawie południe. Po drodze do biura zastanawiam się, dlaczego Amara okazuje mi tyle wrogości. Czy wynika to po prostu z jego charakteru, czy chodzi tu o coś więcej. Nie jest mi dane zbyt długo drażyć ten temat. Kiedy mijam budynek sądu i zbliżam się do gmachu zarządu hrabstwa, przy światłach ulicznych spotykam trzech znajomych mężczyzn. Jeden z nich ma włosy długie do ramion, zebrane w indiański kucyk. To Benny Sanchez. Drugi to jego brat Ernesto. Obaj są właścicielami agencji pożyczającej pieniądze na kaucję sądową. Wyrobili sobie dobre imię i nawiązali współpracę z policjantami po obu stronach rzeki. Widziałem ich w mieście ze strzelbami. Zwabiają kapryśnych klientów obietnicą wspaniałego polowania na jelenie. Ci dwaj są stałym elementem krajobrazu w okolicy tutejszych sądów.

Ich obecność w tym miejscu nie dziwiłaby mnie, gdyby nie trzeci mężczyzna rozmawiający z tym pospolitym ruszeniem. Niski i otyły, stoi tyłem do mnie, kiedy przemykam przez skrzyżowanie. A jednak udaje mi się go rozpoznać. Myślałem, że opuścił miasto trzy dni temu, by wrócić na południe, do domu. To Kim Park.

Prosiłem ją i błagałem, ale ona jest nieugięta. Lenore Goya mówi, że opuszcza biuro, składa wypowiedzenie, choć po wielu namowach zgodziła się przedyskutować to jeszcze raz, zanim jej rezygnacja zostanie wyryta w kamieniu i wysłana do okręgowego wydziału personalnego.

Dziś zebraliśmy się, by odprawić mały rytuał, coroczną uroczystość ku czci sekretarek, oficjalne przyjęcie, które – jak utrzymuje Roland Overroy – jest częścią tutejszego protokołu. Nikt z wyjątkiem Rolanda nie kwapi się do niego, a już najmniej sekretarki.

Jesteśmy po drugiej stronie rzeki, w stolicy hrabstwa. Overroy twierdzi, że w Davenport nie było niczego odpowiedniego na tę okazję. Ma wymagania.

„Saudi” to jedna z najdroższych restauracji w mieście, a Roland zna większość z nich. Zamówił małe naleśniki oblane morelowym syropem oraz ślimaki, przystawkę po osiemnaście dolarów za porcję na talerzyku jak z serwisu dla lalek. Do tego jeszcze trzy butelki wina, importowanego francuskiego bordeaux, z których osuszył już dwie. Twarz mu poczerwieniała i robi się coraz bardziej wredny. Przewraca oczami, kiedy krępa kobieta w obcisłej spódnicy przechodzi koło naszego stolika. Klepie Boudina po ramieniu, wskazuje na tyłek kobiety i komentuje tak, że słyhać go w całej sali:

– Jak dwa koty, co się kotłują w jednym worku. – Po czym raczy nas wybuchem głupiego pijackiego rechotu. Boudin rzuca mi szybkie spojrzenie, a potem uśmiecha się nerwowo do Rolanda.

Byłoby już dostatecznie okropnie, gdyby Overroy płacił za to wszystko, ale on zażądał, żeby na to szaleństwo przeznaczyć fundusz reprezentacyjny biura, nędzne siedemdziesiąt dolarów, które roztrwonił, zanim zaczął się obiad.

Goya usiadła najdalej, jak mogła od Overroya – zapewne dlatego, żeby go nie zamordować.

– No, skoro odchodzisz z firmy, Lenore, to ty powinnaś postawić nam obiad. – Roland mówi głośno, gestykuluje gwałtownie. Słyhać go w drugim końcu sali. Bredzi coś o przysłym związku Goi z jej nowym pracodawcą.

– Jasne, Roland. Jak piekło zamarznie. – Oto odpowiedź Lenore na nagabywania o postawienie obiadu.

Overroy się zaśmiewa. Ona nie.

Rozważa ofertę jednej z dużych firm w stolicy. Chociaż rozgrywa to dyskretnie,

słyszałem plotki, pewnie te same, które dotarły do Rolanda, że zaoferowano jej czterdzieści procent zysków i możliwość współpartnerstwa. Z pewnością dostanie gabinet z widokiem na coś więcej niż poobtlukiwane cegły i zaprawa murarska. Nie mam czym znieść jej z powrotem do naszej trzódki. Podarowałbym Goi usmażone jądra Overroya, gdyby to mogło coś dać.

– Musimy porozmawiać o sprawie Putah Creek. Służę panu pomocą. – Roland oferuje mi swoje usługi.

Po brodzie ścieka mu strużka wina, kiedy z konfidencjonalnym uśmiechem pochyla się ku mnie. Wie, że po odejściu Goi jego pozycja w biurze się umocni, że będzie dostawał ważniejsze sprawy. Zaciskam zęby, nie chcąc wywołać awantury.

Wczoraj przyłapałem go na węszeniu w sprawie Iganovicha. Dzwonił do Departamentu Sprawiedliwości, przez który przechodzą wszystkie listy do Kanady. Amerykański prokurator generalny jest pośrednikiem we wszystkich międzynarodowych postępowaniach związanych z ekstradycją.

Pastwiłem się nad Rolandem przez pięć minut. Zabroniłem mu mieszać się w tę sprawę. Określił to działaniem w nagłym wypadku; według niego to nie mogło czekać. Wsiadłem na niego jeszcze raz, aż wreszcie dotarło do niego i powiedział, że rozumie. Ale przypuszczam, że jego obietnice są ważne do następnej okazji.

Pojawia się menu. Overroy zachwala mi homara.

– Przepyszny – zapewnia, całując trzy stulone razem palce jak kuchmistrz z pięciogwiazdkowego lokalu.

Wnioskując z ceny, tak powinno być.

Jeszcze kilka toastów. Goya pije zdrowie sekretarek za znoszenie w milczeniu cierpień związanych z ich funkcją. Roland, by nie być gorszy, wznosi następny toast.

Unoszę kieliszek w stronę Lenore – bezwstydną próbą wywołania poczucia winy.

– Za wspaniałą prawniczkę – oświadczam – którą wszyscy szanujemy i której będzie nam bardzo brakować. – Skłaniam przed nią głowę.

Goya podnosi swój kieliszek i uśmiecha się do mnie. Po tym wszystkim nadal nie żywi do mnie niechęci.

– Nie mogę uczciwie stwierdzić, że praca z każdym z was sprawiała mi najwyższą przyjemność – mówi. Uśmiecha się. – I są tu tacy, których nie zapomnę, choćbym żyła dwa razy. – Rzuca szybkie, pełne wrogości spojrzenie w kierunku Overroya, operującego spokojnie przy jednym z małych ślimaków czymś, co wygląda jak chromowane skrzyżowanie szczypiec z dziadkiem do orzechów.

Harry Hinds przybył z drugiego brzegu rzeki na moje wezwanie. Sądzi, że może dojrzałem do spakowania manatków. Harry postanowił utwierdzić mnie w tym zamiarze. Siedzimy w moim gabinecie, drzwi są zamknięte. Słyszę, że w pomieszczeniu obok Overroy opowiada jakiś wyblakły dowcip, naśladując meksykański akcent.

– Wpakowałeś się w kłopoty? – pyta Harry.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Za parę miesięcy to miejsce będzie wyglądało jak wymarłe miasto. Zostaniesz ty i puste biuro.

– Nonsens – odpowiadam. – Nikt nie weźmie Overroya.

Śmieje się.

– Mam plan – oznajmiam.

– Hitler też miał – Harry na to. – A skończył koło bunkra jak płonący naleśnik. Dlaczego im nie powiesz, żeby wsadzili sobie swoją sprawę tam, gdzie słońce nie dochodzi, i nie wrócisz tam, gdzie twoje miejsce?

To znaczy na właściwą stronę, do uczciwych sprawców zbrodni. W ciągu ostatnich tygodni bywały chwile, że nęciła mnie ta wizja.

– Władze chcą zaangażować jeszcze jedną osobę – informuję. – Czasowo, do pomocy przy sprawie Putah Creek. Zdaje się, że mają odłożoną na ten cel małą sumkę.

– Dobrze! Jakiś frajer zafunduje sobie krwawe wrzody.

Unoszę brwi i patrzę na niego.

Milczenie – moje myśli przenikają przez niego telepatycznie niczym eter.

– Chwilunia – mówi. – W życiu. Mowy nie ma. Mam własne kłopoty. O, nie! – Jego ton jest nabrzmiały znaczeniem.

Świdruję go wzrokiem wyrażającym pytanie: „Po cóż mamy przyjaciół?”

– Jesteś niesamowity – stwierdza. – Ja szarpie się z tym gównem, robię co mogę, żeby utrzymać w kupie twoją praktykę, dopóki tu jesteś, a ty chcesz, żebym dołączył do ciebie w tym rajku wariatów?! – Harry nadzoruje dwóch młodszych pomocników, których przyjął do prowadzenia łatwiejszych spraw.

– Płacą trzy tysiące miesięcznie. Na pół etatu – nęcę.

Widzę błysk w jego oku, błysk złota. Ale waha się zaledwie przez chwilę.

– Nie ma mowy – rzuca.

Choć kuszę go jak sam szatan, tego właśnie się spodziewałem. Nie ufa niczemu, co ma związek z władzami. Podpisanie umowy ze stanem równa się podpisaniu paktu z diabłem. Nie daje mi wyboru. Muszę się upokorzyć przed Goyą.

Wyzbyłem się godności, ale przynajmniej rozwiązałem mój problem. Minęły dwa dni, na kolanach mam trwale nagniotki od klęczenia na twardym linoleum jej gabinetu, a Harry znowu siedzi w moim biurze, podsuwając mi dokumenty do podpisu – niektóre zamknięte sprawy z mojej kancelarii.

Słyszę pukanie.

– Proszę.

To Overroy wtyka głowę przez szparę w drzwiach.

– Paul, musisz przyjść tu na chwilę – mówi. – Wynikło jakieś nieporozumienie.

Chyba zjawilo się już dwóch facetów i zaczęło mu wynosić meble z gabinetu. Roland, cały w uśmiechach, czeka, aż wyjaśnię to drobne nieporozumienie. Jego gabinet jest wielki jak pałac, większy niż mój. Feretti pozbawił go stanowiska, ale nie gabinetu.

– To nie pomyłka, Roland, musisz się przeprowadzić.

Wygląda jak list dostarczony pod zły adres.

– Co?! – Na jego twarzy nie widać żadnego śladu ludzkiej myśli, wygląda jak łoś na torach pociągu ekspresowego.

Powtarzam wolniej. Czytaj z ruchu moich warg, nakazuję mu w duchu.

– Musisz się przeprowadzić.

– O czym ty mówisz?

– Przeprowadzasz się na drugi koniec holu – oznajmiam. – Do gabinetu Lenore. – Uśmiecham się do niego.

Zapoznaj się z cegłami i dachówkami, palancie. W sprawiedliwszym świecie zajmowałbyś służbówkę z gołą żarówką pod sufitem.

– Och! – Patrzy na mnie krzywo, wreszcie zaczyna do niego docierać.

– Chwileczkę – odzywa się. – Co się tu, do diabła, dzieje?

Harry spogląda na mnie.

– Może wyjdę? – proponuje.

– Nie. – Macham ręką, żeby został.

– To tylko zamiana gabinetów – informuję Overroya. – W miejscach pracy to na porządku dziennym.

– Tylko bez takich – warczy. – Co to ma znaczyć?

– Powiedziałem: to tylko zamiana gabinetów.

– Jasne. Bierzesz mnie za idiotę?

Mój wzrok wyklucza wszelką wątpliwość.

Harry usuwa się na bok, z dala od linii ognia.



– Czym sobie na to zasłużyłem? – Roland zmienia ton, wlepia we mnie wielkie brązowe oczy skrzywdzonego szczeniaka.

– Niczym – odpowiadam. – To nie kara. – Podaję mu to drobne kłamstewko obwiązane wstążeczką.

– W tym gabinecie spędziłem szesnaście lat.

– Więc pewnie tęsknisz za zmianą – zauważam.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie i nie powiedziałeś mi, zanim wezwałeś tych ludzi? To wysoce nieprofesjonalne. – Teraz odgrywa rolę urażonego służbisty.

– To decyzja kierownicza, Roland. Nie wymaga konsultacji.

– Paul – Roland staje się pompatyczny i sentymentalny. – To po prostu nie w porządku. – Słania się w drzwiach, omal nie przydepcze sobie języka.

Wepchnął się do mojego gabinetu i próbuje trafić mi do serca. Drzwi zostawił uchylone, obiema rękami opiera się o moje biurko, usiłując przemówić mi do rozsądku.

– Nie możesz tego zrobić. Jestem tu najstarszy stażem. – Ogląda się, jakby ktoś mógł go usłyszeć. – Słuchaj – podsuwa – jeśli potrzebny ci gabinet, weź ten Goi. Nie, nie. Lepiej Boudina albo Samuels. O, właśnie. Weź jej gabinet. Jest najmniej ważna. – Zniżył głos do najcichszego szeptu, nadal się rozgląda, jakbyśmy odgrywali scenę spisku.

Oto Roland, którego wszyscy kochamy – rządzący się cudzą własnością.

– Nie. Nie sądzę – zaczynam go naśladować, mój głos nabiera niskich, kojących tonów, jak gdybym zdradzał mu tajemnicę stulecia. – Potrzebny mi twój gabinet – szepczę.

– Skurwiel! – wrzeszczy na cały głos. Odskakuje od mojego biurka. Miota się po pokoju. – Cholerny palant. To jakaś bzdura!

– Ależ skądże – zapewniam go z przekonaniem. – Potrzeba nam przestrzeni.

– Na co?

– Och, zapomniałem. Chyba jeszcze o tym nie wiesz. Lenore zostaje.

Patrzy na mnie jak ogłupiały.

– Tak – potwierdzam. – Myślałem, że się ucieszysz. To prawda. Lenore zostaje z nami. Kiedy tylko uzgodnię to z radą okręgu, będzie nowym głównym zastępcą. Razem ze mną zajmie się sprawą Putah Creek. Przejmuje twój gabinet.

Roland potrzebuje sporo czasu, żeby pojąć sens moich słów. Mija kilka sekund, zanim zaczyna mu świtać. I wreszcie widzę to – ogień w oczach Overroya, niezwykle płomienie, jak z rury wydechowej napędzanego alkoholem samochodu.

– Bzdura! – prychnął.

– I jeszcze jedno – dodaję. – Akta w gabinecie Lenore. Teraz są twoje. Masz rozprawę

o dziewiątej rano w poniedziałek. Powodzenia. I nie przepuść niczego.

Harry wpatruje się we mnie złośliwie, wietrzy okazję, może zechce bronić jednego z poniedziałkowych oskarżonych i dokopać Rolandowi z drugiej strony.

Kay Sellig stawia małą walizkę pod drzwiami mojego gabinetu. Przyjechała tu z lotniska taksówką. Wygląda na zmęczoną i wyczerpaną.

– Jak poszło w Ashland? – pytam.

– Byli bardzo pomocni. Teraz niech mnie pan spyta, co to znaczy. – Wzrusza ramionami. – Kilka nowych kawałków do układanki, ale kto może wiedzieć, gdzie pasują?

– Po pierwsze krew – ciągnie. – Ostatnie dwa dni spędziła w południowym Oregonie i rozmawiała z ludźmi z Państwowego Laboratorium Medycyny Sądowej do Spraw Środowiska Naturalnego. Przeprowadzają analizę krwi, kości i piór znalezionych w kryjówce na drzewie ponad miejscem śmierci Scofieldów. – Przeważnie zwierzęca, głównie ptaków – wyjaśnia. – I to nie domowych, te wykluczyli. – To oznacza, że szczątki nie należały do kurcząt czy innych latających stworzeń sprzedawanych w sklepach. – Co podważa pańską teorię o morderstwie rytualnym – ma na myśli morderstwo popełnione na Abbotcie i Karen Scofieldach – bo do tego celu używa się zwykle zwierząt domowych, które można znaleźć w gospodarstwie lub na czyimś podwórku. Dzikie zwierzęta trudno schwytać.

– Jest też coś jeszcze. Trochę krwi ludzkiej, niewiele. Popularna grupa, A. Chyba należała do Karen Scofield. Abbott miał grupę 0.

– Może to krew tego faceta na drzewie?

Kręci głową.

– Zostawił swój ślad. Ma bardzo rzadką grupę, typ B.

– Niech zgadnę – mówię. – Specjalnie dla pani nasiusiał w kącie kryjówki? – Ciekawe, jak pobierają takie próbki.

– Prawie. Żuł tytoń. Małe czarne kulki są na całej powierzchni platformy. Dzięki temu mogliśmy wyodrębnić ślinę.

– Proszę mi przypomnieć, żebyśmy nie oddawał tej sprawy pod pani jurysdykcję.

Uśmiecha się z odrobiną satysfakcji. Rozpakowuje na moim biurku walizkę, szukając notatek.

– Kości należą do piskląt – ciągnie. – Większość z nich nie opuściła jeszcze gniazda, oprócz kości potwierdziła to analiza piór. W badanych próbkach nie było piór dorosłych ptaków; piór, które umożliwiają latanie.

– A więc to pożeracz piskląt?

– Nie wszystkich. Tylko drapieżnych.

Patrzę na nią.

– Sprawdzili pióra. Nie ma wątpliwości: to pióra sokołów wędrownych. Jedno-, może dwumiesięczne pisklęta, jeszcze nie latały. Są zagrożone wymarciem. Pod ochroną rządu.

Dowiaduję się od niej, że teraz i laboratorium jest zaangażowane w sprawę – chcą wiedzieć, kto morduje te ptaki.

– Nieźle posiedzi, jeśli go złapią – stwierdza Sellig.

– Będą musieli stanąć w kolejce.

– Sądzi pan, że zabił Scofieldów?

– A pani?

– Chyba to możliwe. Mogli go na tym przyłapać. Przestępstwo federalne. Ludzie zabijali już za mniejsze rzeczy.

– Ale musi pani przyznać, że szybko się zorganizował. Był nieźle przygotowany.

– Gwoździe i linka? – pyta.

Kiwam głową. Jeśli ten z platformy zabił Scofieldów, nie mógł od razu przyszpilić ich do ziemi – tak jak pierwszy morderca. Chyba bardziej prawdopodobne jest to, że ten ktoś z drzewa nie był przestępcą, lecz świadkiem. Jak na razie za dużo tu pytań bez odpowiedzi.

Na tydzień ugrzęzłem w dokumentach, które przygotowywałem w celu ściągnięcia Iganovicha do kraju. Muszę zdecydować, czy oskarżyć go o zamordowanie Scofieldów. Jeśli tego nie zrobię, a on wróci, mogę mieć kłopoty z postawieniem go przed sądem. Prawo mówi, że w wypadku ekstradycji trzeba wiedzieć, po co się kogoś sprowadza.

– Może jednak Iganovich to zrobił?

Kręci głową. Ma swoje zdanie na ten temat.

– Mnożą się różnice w dowodach rzeczowych – wyjaśnia. – Domyślamy się, jak zdołał obezwładnić swoje ofiary.

– Jak?

– Pistoletem elektrycznym. Jako obcokrajowiec nie miał prawa nosić w pracy broni ostrej. Jego szef pozwolił mu jednak używać pistoletu elektrycznego.

Wytrzeszczam na nią oczy. Już jej mówiłem o pistolecie elektrycznym zabranym Iganovichowi przez kanadyjskich policjantów.

– Właśnie – potwierdza.

Pytam, czy już go jej przysłali.

– Przekazą go nam, jak tylko skończą nad nim pracować.

Według prawa tego stanu niełatwo jest uzyskać licencję na broń elektryczną. Niewiele więc osób ją ma.

- Jak wniósł pistolet na pokład samolotu?
- Jest w nim tylko kilka metalowych części. To pewnie za mało dla wykrywacza.
- Miło wiedzieć, że w powietrzu jesteśmy bezpieczni – zauważam.
- W każdym razie lekarz sądowy uważa, że ofiary ogłuszono tą właśnie bronią.
- Jest skuteczna?

Krzywi się.

– Miejscowy skurcz mięśni, intensywny ból. Ofiara jest powolna, bezradna. Ten stan trwa od trzech do piętnastu minut, zależnie od siły wstrząsu.

- Wystarczy, by przenieść kogoś do furgonetki i związać.

Sellig zgadza się ze mną.

- Czy towarzyszy temu jakiś hałas?
- Jak z łapki na muchy.

Przetrawiam to przez chwilę, a potem zadaję pytanie, którego ona się spodziewała:

- Czy lekarz znalazł podobne ślady na Scofieldach?

Znow kręci głową.

– Nie. – Kolejne potwierdzenie jej tezy, że to nie Andre Iganovich jest mordercą Abbotta i Karen Scofieldów.

– Nie ma sensu dłużej zwlekać ze sprowadzeniem Rosjanina – oświadczam. – Zgromadzę potrzebne do ekstradycji dokumenty na podstawie zabójstwa czworga studentów.

– Muszę powiedzieć Emilowi – dodaję. – Kończymy z domysłami. Niech szuka drugiego mordercy.

Teraz rozpęta się piekło.

Minęło pięć tygodni od mojego pobytu w Kanadzie. Finalizuję sprawę w sądzie okręgowym i umowę z obrońcą. Przynajmniej o to Harry nie będzie musiał się martwić. Kończymy i idę do łazienki.

Myjąc ręce nad umywalką, przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze, upstrzonym cętkami srebrzanki na odwrocie.

Na korytarzu słyszę głosy, jeden z nich jest mi znajomy i w nieuchwytny sposób budzi we mnie awersję. Idą tutaj. Zaczynam pospiesznie wycierać ręce.

Odrapane drewniane drzwi za moimi plecami otwierają się gwałtownie i widzę w lustrze niezdarnego dwudziestolatka z pryszczami i nastroszonymi rudymi włosami. Na jego skórzanej kurtce jest więcej ćwieków niż w sklepie żelaznym. Kiedy przechodzi przez drzwi, zauważam, że wypełnia je sobą szczelnie.

Tuż za nim podąża Adrian Chambers. Na mój widok zatrzymuje się w pół kroku. Jego ocienione wąsami usta układają się w niewyraźny uśmiech. W cętkowanym lustrze przybiera on nierealny wyraz – eteryczna wizja nie z tego świata.

Chambers przerywa w pół słowa rozmowę ze swoim klientem i od drzwi wpatruje się w tył mojej głowy. Czuję, że jeżą mi się włosy na karku.

– A cóż to, panie mecenasie, podupadamy? Pan, z pańskimi wpływami, powinien korzystać ze strzeżonego klopa na zapleczu.

Ma na myśli toaletę ze złotą armaturą i ścianami wolnymi od graffiti, zarezerwowany dla sędziów przybytek w zamkniętym korytarzu za ich kancelariami.

Wreszcie porusza się, robi ćwierć obrotu w stronę pryszczatego, który już stoi przy pisuarach.

– Proszę mi wybaczyć ten nietakt – mówi. – Mój klient, pan James Sloan, Paul Madriani.

Nie obdarzam chłopaka ani jednym spojrzeniem.

– Jestem zaszczycony – burczę.

Rozzochrany to pewnie pedofil przyłapany w ubikacji szkolnej. Bez wątplenia na tym etapie swojej kariery Chambers ma pełne ręce roboty z ponownym pięciem się na szczyt sądowego łańcucha pokarmowego.

– Pan Madriani to nie byle kto – wyjaśnia. – To okręgowy prokurator hrabstwa Davenport.

Chłopak pochyla się nad pisuarami. Chwytam jego spojrzenie, pełne śmiertelnej nienawiści, a potem widzę, że jego ciało przeszywa dreszcz. Nie wiem, czy to wynik jakichś funkcji organizmu, czy też wyraz tego, co sądzi o prawnikach. Jestem pewien, że Chambers chętnie dałby temu punkowi mój adres i numer telefonu, gdyby je znał.

– Miałem do ciebie zadzwonić – mówi. – Co znaczą te pogłoski, że Iganovich nie będzie odpowiadać za dwa ostatnie morderstwa, profesora i jego żony?

Dziś rano podały to wszystkie gazety. Emil i ja zgodziliśmy się, że na razie nabierzemy wody w usta, nie będziemy oficjalnie potwierdzać żadnych informacji o drugim mordercy, tylko mglście wspominać o braku dostatecznych dowodów i kontynuowaniu śledztwa.

– Cóż mogę dodać? Skoro przeczytałeś to w gazecie, to pewnie prawda. – Ciagle stoję plecami do niego. Zgniatam papierowy ręcznik i wrzucam do kosza.

– O co chodzi? – dopytuje. – Czyżby jakieś kłopoty z powiązaniem brakujących elementów? A może coś ukrywacie? Może jeśli spieprzycie te pierwsze morderstwa, naprawicie to, oskarżając go o dwa następne?

Odwracam się i patrzę mu prosto w oczy.

– Coś ty, Adrian, jakżebyś śmiał wchodzić na twój teren? Naprawianie to przecież twoja specjalność.

Jego uśmiech gaśnie gwałtownie. Stoimy twarzą w twarz, mierzymy się wzrokiem, ale żaden nie chce pierwszy mrugnąć czy spuścić oczu.

Najpierw odzywa się Chambers:

– Panie Sloan, muszę to panu powiedzieć. Nasz przyjaciel ma kryształowy charakter. Pan Uczciwy – zwraca się do swojego klienta, lecz nie patrzy na niego.

Chłopak boryka się z rozporkiem. Mając ze sto zamków błyskawicznych w kurtce, nie potrafi sobie poradzić z zamkiem w spodniach.

– Prawdziwy dobroczyńca – ciągnie Chambers.

Wreszcie zerka w stronę pisuarów. Stracił widownię. Chłopak będzie potrzebował chirurga, jeśli szarpnie mocniej.

Chambers przenosi wzrok na mnie, uciekając od porcelitowej komedii na końcu łazienki.

Oto człowiek, który nie tylko chowa urazę. On ją krzewi, hoduje, kultywuje i patrzy, jak rośnie, aż przeżre jego życie na wylot, niczym nie leczony rak.

– Wiesz co – znów mnie atakuje. – Powinieneś się chyba martwić. Występujesz przeciwko statutowi o ekstradycji.

Ma na myśli statut ograniczający rozprawy o ekstradycję w ramach traktatu amerykańsko-kanadyjskiego do sześćdziesięciu dni. Zgodnie z prawem, jeśli rozprawa przebywającego w kanadyjskim więzieniu Iganovicha nie zakończy się w tym czasie, sąd musi go uwolnić.

– Nie sądzę, żebyś musiał się przejmować statutem – mówię.

– O, ja się nie przejmuję. – Patrzy na mnie.

Jego mina wskazuje, że ma na mnie coś jeszcze.

– Powiedz – odzywa się. – Chcesz uchylić karę śmierci?

– Nie gorączkuj się tak.

Przechodzi obok mnie, w kierunku pisuarów.

– Więc to wszystko akademickie spory – komentuje. – Nigdy go tu nie ściągniesz.

– Tego bym nie był taki pewien.

– Śmieszni są ci z Kanady – ciągnie. – Bardzo wrażliwi ludzie. Dumni i uparci.

Jeszcze trochę jadu na użytek klienta, co najwyraźniej spływa po jego zjeżonych włosach jak po kacze:

– Nasz przyjaciel ma prawdziwy problem. Sprawę, której nie może zgłębić. Ale to dla niego z pewnością nic nowego. – Idzie w stronę kabin.

– Na twoim miejscu nie rzucałbym się tak bardzo, Adrian.

Odwraca się i przeszywa mnie wzrokiem z całą siłą, jaką udaje mu się wykrzesać z tych podłych oczek.

– Bo co?

– Bo jeśli nie będziesz uważał, twoja najlepsza część wpadnie w tę dziurę.

Chłopak śmieje się głośno, na całe gardło. Pierwsze, co do niego trafiło.

Zdejmuję aktówkę z pojemnika na ręczniki i wychodzę, zostawiając przyszczaty cud rechoczący do siebie, szarpiący się z rozporkiem i zerkający na drzwi kabiny, które zatrzaśnięto mu przed nosem.

Ale Chambers nie myli się co do jednego, chociaż na razie o tym nie wie. Naprawdę mam problem. Biorąc pod uwagę różnice w sposobie, w jaki popełniono morderstwa, nawet jeśli dowody niezbicie wskazują na Rosjanina, jego obrońca może wystąpić z tezą, że wszystkie zbrodnie popełnił ktoś inny, nie Iganovich, i że policja wciąż szuka prawdziwego sprawcy. Bystry adwokat niewątpliwie znajdzie przekonujące wytłumaczenie obecności sznura i gwoździ w furgonetce. Teraz zabójstwo Scofieldów jest jak pręt, czekający tylko, by trafić między szprychy mojej sprawy.

Mówią, że czas leczy rany. Mój związek z Nikki nie uległ poprawie, o nie, ale chyba ominęliśmy najbardziej niebezpieczną rafę mojego ostatniego potknięcia, czyli próby kontynuowania dzieła Ferettiego. Na osiągnięcie tego potrzebowaliśmy dwóch miesięcy, lecz dziś wieczorem Nikki zaofiarowała się nawet z pomocą w rozwikłaniu jednego z aspektów sprawy Putah Creek. Nazywa to „rodzinną wycieczką”. W tych słowach jest wiele sarkazmu.

Zaproponowałem, że pobawię się z Sarah w gabinecie, podczas gdy żona będzie pracować przy komputerze. Sarah wpadła do mego pokoju, jakby czekała ją wizyta w Disneylandzie.

– Jest tu – zwracam się do Nikki.

Na środku jednego z pustych biurków stoi samotny mały komputer z mieszkania Karen Scofield. Denny Henderson i Claude strawili większą część popołudnia na szukaniu jej domu, by sprawdzić, nad czym ona i Abbott pracowali w dniu swojej śmierci. Nie znaleźli niczego, z wyjątkiem kilku dokumentów, którymi zajął się Dusalt, i komputera – tego właśnie.

Zamiast szperać na oślep w tym małym mechanizmie, ryzykując wymazanie ważnych danych, wezwałem na pomoc Nikki. Wykonując swoje rozliczne funkcje, zetknęła się z każdym znanym ludzkości rodzajem komputera. Ma zamiar pisać pracę doktorską o komputerach, ale na razie ją odłożyła, dopóki nie znajdzie dość czasu na przejęcie części domowych obowiązków.

– Czy wiesz, jakiego używała oprogramowania? – pyta.

Chodzi jej o Karen Scofield i jej mały komputer.

Wzruszam ramionami i wskazuję na kartonowe pudełka i książki, które Claude zabrał z mieszkania wraz z komputerem.

Zaczyna przerzucać kartki, szukając indeksu. Stoję przez kilka minut, czując się jak roślina doniczkowa.

Ogląda się na mnie przez ramię.

– Idź się bawić ze swoją córką – rzuca.

Sarah siedzi na moim biurku ze zszywaczem i dziurkaczem w rękach oraz kolekcją ołówków i kartek w pogotowiu. Co kilka minut jestem przywoływany i uszczęśliwiany pokaznym plikiem kartek, pokrytych dla niej tylko zrozumiałymi gryzmołami, cyframi i nielicznymi literami, z którymi część nadal jest pisana odwrotnie. Dziś bawimy się w bank. Ona jest kasjerką. Mija prawie godzina, zanim ta gra zaczyna ją nudzić. Nikki wciąż męczy się z komputerem w sąsiednim pokoju. Wreszcie moja córka ziewa kilka razy i zdejmuje buciki – znak, że sen już blisko. Kładę ją na kanapie w poczekalni i nakrywam moim płaszczem. Zasypia w ciągu pięciu minut.



Idę do gabinetu i siadam za biurkiem, podnoszę słuchawkę i wykręcam numer. Po drugim sygnale odzywa się Dusalt.

– To ja – mówię. – Znalazłeś coś?

– Niedużo. – Claude siedzi w domu, ryjąc w stercie dokumentów zabranych z mieszkania Karen Scofield. – Przeważnie osobista korespondencja. Kilka listów – informuje.

– O, jest tu coś.

– Co takiego?

– Dwa listy do laboratorium gdzieś na południu. Zamówienie na żywe myszy.

– Myszy? – pytam.

– Tak. Zależało jej na tych myszach.

– Pewnie do eksperymentów. Scofield był naukowcem. – Oto moja głęboka, hermetyczna wiedza na temat naukowców.

– Może. – Głos Claude'a brzmi sceptycznie. – Ale trzy tysiące? W ciągu czterech miesięcy?

– Trzy tysiące?! Na co komu trzy tysiące myszy?

Na drugim końcu linii słyszę chrząknięcie oznaczające „a skąd mam wiedzieć?”

– Może to jedli – podsuwa. – Może to najmodniejsza w college'u przystawka.

– Czy znaleźliście po nich jakiś ślad na uniwersytecie, w gabinecie Scofielda albo w jego laboratorium?

– Nie. Ale to tłumaczy obecność kulek.

– Jakich kulek?

– Z ziarna. Pokarm dla zwierząt. Znaleźliśmy dwa jeszcze zaszyte pięćdziesięciokilowe worki i mnóstwo okruchów ziaren, jakby w tym kącie laboratorium składano znacznie więcej worków.

– Nie rozumiem.

– Myszy to uwielbiają – wyjaśnia Claude. – Mój ojciec karmił tym wieprze. Miał tego na tony. Myszy zawsze znalazły drogę do tych worków w stodole. Zażerały się tym.

– Sądzisz, że Scofield karmił tym myszy?

– Nie wiem. Powiedziano mi, że jest para studentów, którzy od czasu do czasu z nim pracowali. Jutro zawiadomię Hendersona, żeby spróbował ich znaleźć. Może oni nas oświecą.

– Coś jeszcze?

– Koniec – oświadcza.

– W jej gabinecie nie było niczego więcej?

– Przeczytałem wszystko trzy razy – zapewnia.

– Na razie odłóż co się da do dowodów rzeczowych. Spotkamy się rano. Do tego czasu będę już wiedział, czy w komputerze coś jest. Na tym kończę i odkładam słuchawkę.

Słyszę klekot klawiszy: Nikki pracuje w drugim pokoju. Wchodzę, żeby zobaczyć, jak jej idzie. Na małym ekranie roi się od tytułów działów. Pochylam się nad ramieniem żony i zerkam na długie szeregi jarzących się słów, przemykających przez ekran.

– Jak sądzę, szukasz zbioru danych; informacji, które wpisywała, by je przechować w pamięci lub wydrukować?

– Tak.

Nagle gdzieś w środku ekranu coś wyskakuje, coś innego niż zwykle trzy-, czteroliterowe symbole: słowo „WĘDROWNY”, z oznaczeniem twardego dysku małą literką „c”.

– Czy możemy dostać się do katalogu?

– Już w nim jesteśmy. To menu – mówi. – Możemy wejść, ale nic nam to nie da.

– Dlaczego?

– Bo pamięć jest pusta – wyjaśnia.

– Nie rozumiem.

– Gdyby tu coś było, widzielibyśmy nazwy plików.

Jeszcze raz przegląda zawartość pamięci.

– No proszę, wielka jak słoń, ale nie ma żadnych plików – stwierdza. – A to co? – Wskazuje kolejne hasło: „WĘDROWNE 42”.

– Co to?

– Nie ma tego w spisie. Nie ma żadnego oznaczenia. Wygląda jak plik, który gdzieś zaginął – oznajmia. – Może ktoś nacisnął niewłaściwy klawisz i przez pomyłkę wyrzucił go do głównego katalogu?

– Potrafisz to z niego wyciągnąć?

Znowu uderza w klawisze i na ekranie pojawia się list. W nagłówku jest tylko imię „Bill”, bez adresu nadawcy i odbiorcy.

Zaczynam czytać. Zupełnie, jakbym wszedł do pokoju w środku rozmowy. List nawiązuje do tematów poruszanych we wcześniejszej korespondencji, bez słowa wyjaśnienia, czego one dotyczyły. Usiłuję się domyślić.

*Drogi Billu!*

*Odpowiadam na Twój list z 9 lutego. Trzy pary są już na miejscu. Obserwujemy je*

*uważnie. Siedem dodatkowych zostało rozdzielonych. Jeśli wszystko nadal będzie szło dobrze, z początkiem lata osiągniemy pełną liczbę, co da nam możliwość obserwacji na podstawie uzyskanych danych.*

*Jeżeli przed nastaniem wiosny będziesz mógł nam przesłać cztery następne pary, zdołamy umieścić je na miejscu, zanim spadnie śnieg. Czekam na Twoją odpowiedź.*

*Karen*

– Rozumiesz coś? – Nikki patrzy na mnie.

– Nie jestem pewien – odpowiadam. – Byłoby lepiej, gdybyśmy znali wcześniejsze listy. Inne ogniwa z tego łańcuszka korespondencji.

– To tylko domysły – odzywa się moja żona – ale może ten, kto to wpisywał, ponumerował kolejne tematy, każdy plik pod osobnym numerem.

– Czy jest jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, co się kryje pod hasłem „WĘDROWNE”? Żeby odzyskać zagubione pliki?

Jej mina wskazuje, że będzie trudno.

– Zdołasz to zrobić? Tu, na miejscu? – nalegam. – Nie mogę wynieść stąd komputera.

Jej wzrok mówi: „Nie ufasz nawet własnej żonie”.

– Kiedy mogę przyjść do biura, żeby się tym zająć? – pyta.

– Możesz to zrobić w nocy. Ja dopilnuję Sarah. – Zdaje się, że przeciągam strunę. Patrzy, jakby nie rozumiała, muszę więc zaryzykować i ponowić propozycję. Bezcelność prawnika.

Wzrusza gwałtownie ramionami.

– Jeszcze raz – ostrzega – i na tym koniec. A ty masz skończyć z tą sprawą. W następnym semestrze wracam na uniwersytet i niech się dzieje, co chce. Słyszysz?

Kiwam głową.

– Mówię serio. Nie obchodzi mnie, na czym polega twój problem. Wracasz do swojej kancelarii albo koniec z nami – mówi.

Pięć dni później tkwię w starym gabinecie Ferettiego razem z Lenore Goyą i przygotowuję się do ewentualnego procesu Andre Iganovicha. Ci w Vancouver już trzeci dzień prowadzą rozprawę o ekstradycję, choć zakładano, że zajmie to jedynie dwa dni. Co godzina dostajemy szczegółowe i plastyczne raporty od Danny’ego Hendersona, którego Claude w tym właśnie celu wysłał na północ.

Lenore i ja zajmujemy się przygotowaniem do rozprawy wstępnej, podczas której przedstawimy przed bezstronnym sędzią nasze dowody. Chodzi o otrzymanie pozwolenia na sprowadzenie Rosjanina i oskarżenie go o czterokrotne popełnienie morderstwa pierwszego stopnia.

Najprawdopodobniej nastąpi to za cztery do pięciu miesięcy.

Na moim biurku dzwoni telefon, gorąca linia, ktoś z zewnątrz.

– Halo.

To Henderson, zadyszany i przejęty.

– Nie uwierzysz. – Dyszy jak po sprincie. – Jest wolny.

– Kto jest wolny? O czym ty mówisz?

– Iganovich. Sąd zwolnił go pięć minut temu.

– Co?!

– Problemy z dokumentami.

Krew mi lodowacieje. Wszystkie dokumenty wysłane do Kanady powstały w tym gabinecie.

– Wolniej – proszę. – Opowiedz wszystko po kolei.

– Pod koniec sprawy obrona zgłosiła sędziemu wniosek o uznanie braku dowodów, ponieważ w dokumentach znajduje się błąd. Wszystko stało się zupełnie niespodziewanie – informuje. – Jacoby omal nie zemdlał. Adwokat Iganovicha odkrył mianowicie, że poświadczona kopia aktu oskarżenia jest nieważna.

– O czym ty mówisz?

– Część kodeksu karnego, paragraf, na którego podstawie oskarżyliśmy Iganovicha, został unieważniony i opracowany w nowej formie. Wysłaliśmy Jacoby'emu starą wersję.

Jasna cholera. Powiedziałem to do siebie po cichu, w miejscu zarezerwowanym do dyskretnego wpadania w panikę. Oto Henderson oświadcza mi, że ktoś zawałił tak prostą sprawę i wysłał do Kanady poświadczoną kopię starego paragrafu!

– Chwileczkę – rzucam w słuchawkę, po czym przysłaniam ją dłonią. – Kto kopiował dokumenty potrzebne do ekstradycji? – zwracam się do Lenore.

Potrząsa bezradnie głową.

– To było, zanim dopuściłeś mnie do sprawy. Co się dzieje?

– Wypuścili Rosjanina.

Robi wielkie oczy.

– Dowiedz się, kto kompletował dokumenty. Daj mi go tutaj.

Wychodzi do pokoju stenografistek.

Wracam do telefonu.

– Gdzie on jest? – Mówię o Iganovichu.

– Wyszedł z sądu ze swoimi adwokatami. Ruszyłem za nimi. Nie tracili czasu. Wzięli taksówkę i zniknęli. Jacoby posłał za nimi dwóch oficerów z policji konnej. Mają go pilnować.

– Nie wierzę. Nie mogli go zatrzymać?

– Jacoby twierdzi, że nie. Te dokumenty wszystko zmieniły. Cały czas mi powtarza, że diabeł tkwi w szczegółach, cokolwiek ma to znaczyć. – Jego głos odpływa, jakby Henderson odwrócił głowę. – Chcesz z nim pogadać?

Po chwili słyszę Herba Jacoby'ego:

– Słuchaj, przyjacielu. Przykro mi, ale nic nie mogłem poradzić. Ze względu na sześćdziesięciodniowy statut sąd musiał go wypuścić, nie było innego wyjścia. Ciesz się, że cię tu nie ma – dodaje. – Jego lordowska mość był solidnie wkurzony. – Jacoby ma na myśli kanadyjskiego sędziego. – Trzy dni stracił z tym palantem i teraz musiał go wypuścić z przyczyn technicznych. – Średnia radocha, naprawdę.

Przepraszam go za tę wpadkę. Zapewniam, że zbadam sprawę.

Kiedy rozmawiam z Jacobym, mój umysł błąka się w czasie i wraca do złośliwości Chambersa wtedy, w łazience. Nagle uderza mnie, że czaił się w krzakach, od tygodni wiedząc o brakach w naszej dokumentacji i czekając, aż pułapka się zatrzaśnie.

Jacoby chce wiedzieć, ile czasu zajmie mi zdobycie następnego nakazu aresztowania Iganovicha.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż z powodu skłonności tego człowieka lepiej nie pozostawiać go na wolności zbyt długo – zauważa.

– Za godzinę – mówię. – Przefaksuję ci treść. Nota dyplomatyczna z Departamentu Stanu może potrwać trochę dłużej – jest to prośba o tymczasowy areszt do czasu rozprawy.

Lenore jest znów w gabinecie, a z nią Irene Perez, jedna ze stenografistek. Jej mina zdradza strach, instynkt podpowiada jej, że wezwałem ją na dywanik, choć nie wie, za co.

Każę im poczekać.

Przyciskam guzik interkomu. Zgłasza się Jane Rhodes.

– Odszukaj numer Departamentu Stanu w Waszyngtonie; prawników, którzy zajmowali się Iganovichem. Czekam.

Irene Perez zaczyna dygotać. Chyba zaplami mi dywan, jeśli jej nie uspokoję.

– Usiądź – zwracam się do niej. – Spokojnie. Zaraz się tobą zajmę.

Zgłasza się Rhodes.'

– Mam do nich zadzwonić?

Dzięki Bogu za jej sprawność.

– Tak. Zawiadam mnie, jak się dodzwonisz. Przekaż im, że to pilne. Jeśli mają zebranie, niech z niego wyjdą.

Irene Perez ma dwadzieścia pięć lat i samotnie wychowuje małe dziecko, które czasem widuję w biurze. Jest miła i nie umie o nic prosić. W tej chwili, kiedy tak siedzi na krześle przed moim biurkiem, jest wyłącznie przerażona.

– Nie winię cię za to – mówię.

To mój błąd, że nie sprawdziłem dokumentów. Ale muszę wiedzieć, jak do tego doszło. Napomykam jej o zamieszkaniu w Vancouver, wspominam o zakwestionowanych dokumentach.

– Nie powinien pan winić siebie – oznajmia.

– Dlaczego?

– Bo te kodeksy są zaktualizowane. Coroczne wydania kieszonkowe – ma na myśli małe wkładki, drukowane co roku – zawierają zmodyfikowane przepisy i są dołączone do każdego tomu. Wymieniliśmy je. Wszystkie książki zostały oddzielone od innych w bibliotece. – Jej relacja brzmi tak, jakby kierowała tym przedsięwzięciem.

– Więc co się stało? – pytam.

– Zadzwonił jakiś prawnik z Waszyngtonu, chyba z Departamentu Stanu. Powiedział, że potrzebuje na jutro kodeksu do uzupełnienia dokumentów w sprawie ekstradycji, które ma przesłać do Kanady. Przesłaliśmy mu je pocztą kurierską.

Patrzę na nią surowo.

– Takie telefony należy zgłaszać prawnikowi, Irene.

– I zgłosiliśmy – odpowiada. – Pana nie było – w wielkich migdałowych oczach jest sama niewinność – był tylko Roland, pan Overroy. Zajął się tym.

Siedzę i wpatruję się w nią w martwej ciszy, powtarzając w myślach mantrę przeklinającą okrutny los, który odebrał dokumenty kompetentnym rękami Irene Perez.

Światowe Centrum Ptaków Drapieżnych. To dość niezwykła nazwa dla organizacji, ale Nikki podaje mi papier z takim nadrukiem, numerem telefonu i imieniem mężczyzny. Oto informacja, która kryła się pod hasłem „Wędrownie”, w pliku zaginionym w komputerze Karen Scofield.

– Chyba z nimi korespondowała – oznajmia.

Spotykamy się w kawiarni budynku sądu okręgowego w czasie południowej przerwy obiadowej. Na prośbę Harry’ego kończę jedną z moich starych spraw. Po raz pierwszy od miesiąca jestem po drugiej stronie rzeki w sprawach zawodowych i, o dziwo, podoba mi się to.

– Mają swoją siedzibę – kontynuuje Nikki – w Boise, stan Idaho. W informacji podali mi numer telefoniczny. To aktualny adres. Dzwoniłam tam i odpowiedziała mi automatyczna sekretarka.

– Dosyc – przerywam jej. – Miałś tylko sprawdzić komputer.

– Masz to gratis – mówi. Uśmiecha się złośliwie. – Teraz dotrzyмай swojej obietnicy i skończ sprawę.

Na kartce nie widzę żadnego adresu, tylko numer skrytki pocztowej.

– Ile odzyskałaś listów?

– Same strzępy. Dodatkowe pliki są niekompletne.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy poznali treść tych listów.

– Na szczęście masz to – zauważa.

Małymi, delikatnymi kęsami wyjada jogurt z plastikowego kubeczka z napisem „Yoplait”, dokładnie oblizując łyżeczkę. Siedzimy w kawiarni, a wokół nas kłębią się tłumy szukające miejsca, w którym można by usiąść i coś zjeść.

– Jak tam *Trzy małe misie*? – pyta.

Podśmiewa się ze mnie. Dopilnowała, żebym dotrzymał słowa i zabawił Sarah, podczas gdy ona zajmowała się komputerem. Przyniosła ze dwadzieścia tysięcy książeczek, tych z wielkimi literami, a także kasetę wideo, którą odtworzyłem na biurowym sprzęcie. Zostałem uwięziony w swoim gabinecie z Sarah na kolanach, więc czytaliśmy i oglądaliśmy, aż w dwie godziny później zasnęła.

Dziś rano Nikki znalazła wreszcie brakujące części naszych zaginionych plików.

– Natknęłam się na jego imię i nazwę placówki na kopercie. Pewnie były wpisane do

komputera jako część adresu – tłumaczy. – Imię brzmi „William”. Zapewne to ten „Bill” z listu. Wszystko to znajduje się w tym samym katalogu.

Patrzę na nią.

– Niewiele tego, co?

– Lepsze to niż nic.

Rozważam kwestię.

– Po południu przekażę to Dusaltowi.

Nikki spogląda na leżącą przede mną gazetę, próbuje czytać do góry nogami:

### POMYŁKA OBRONY.

### PODEJRZANY ZWOLNIONY Z ARESZTU

Dwie duże, wyraźne szpalty. Jak ołowiany albatros na mojej szyi.

– To w tej chwili najmniej ważne – mówię.

Przeklinam dzień, w którym przekroczyłem rzekę w drodze do Davenport i wziąłem tę robotę od Ferettiego. Nikki i Harry mają rację. Tylko дума nie pozwala mi dać im tej satysfakcji i przyznać to głośno.

– Jeśli to potrwa dłużej, wracam do panieńskiego nazwiska – grozi Nikki. Nie czytała jeszcze „Nocnika Davenport”, który dziś rano ugotował mnie we wrzącym oleju. Poważniejsze gazety z południa oraz radio informują po prostu, że Iganovich pozostaje pod nadzorem i prawdopodobnie będzie ponownie aresztowany, kiedy tylko przygotujemy dokumenty; że są to drobne sprawy administracyjne. To najlepsze, co potrafimy powiedzieć w obecnym stanie rzeczy.

Ale tu jest zupełnie co innego. Lokalne dzienniki tarzają mnie w smole i pierzu. Wina za zwolnienie Andre Iganovicha obarcza się całe biuro, a w szczególności mnie. Dzisiejsza gazeta cytuje słowa Johnsona, który stanowczo stwierdza, że zwolnienie Iganovicha to „zaniedbanie popełnione w naszym dochodzeniu”, coś, co Emil uważa za odległe i nie związane z policją, zwłaszcza z jego wydziałem. Emil ma wrodzony talent dyplomatyczny. Wyborcy nie będą go wiązać z tą katastrofą.

Ingel przejechał się po mnie solidnie. Godzina wrzasku przez telefon. Straszyl, że to szaleństwo będzie się za mną ciągnąć aż do stolicy, że to czarna karta w mojej karierze i że Acosta nie może się mnie doczekać. On sam wścieka się z powodu zamieszania biura prokuratora generalnego w śledztwo w sprawie błędów, które doprowadziły do zwolnienia



Iganovicha.

– Wygląda mi to na poważne zaniedbanie – oświadcza na koniec i odkłada słuchawkę.

Patrzę ponad kasą, piramidami tac z nierdzewnej stali i głowami klientów. Dostrzegam Lenore Goyę. Musiało się stać coś ważnego, inaczej nie byłoby jej tutaj, na tym brzegu rzeki. Porusza głową niczym radar, szukając mnie w dumie. Macham do niej. Zauważa nas i toruje sobie drogę do naszego stolika.

– Usiądź z nami – zapraszam.

Kiwa głową w kierunku Nikki, uśmiecha się ciepło. Przez ramię ma przewieszoną torebkę. Lenore przechyla głowę, odgarniając z policzka ciemne pukle włosów.

– Nie mamy czasu – mówi. – Zaczęły się kłopoty.

– Już gorzej być nie może – zauważam.

– Nie bądź tego taki pewien. Właśnie dzwonił Jacoby. Kanadyjskie gliny zgubiły Iganovicha. Wymknął się im. Wczoraj

Puszczam się pędem w stronę sądowych garaży, spiesząc do Davenport i wiadomości, jakich mogą mi udzielić na temat zniknięcia Iganovicha w Kanadzie. Sędzia zezwolił mi na odroczenie popołudniowej rozprawy.

Dostrzegam mój samochód i stojącą przy nim postać, oświetloną słabym blaskiem jarzeniówki zamontowanej w tym betonowym bunkrze. To Armando Acosta.

– Mój pomocnik powiedział mi, że tu pobiegłeś.

– Plotki szybko się rozchodzą.

– Chcę z tobą pomówić – oświadcza. – Muszę wiedzieć, co się, do diabła, wyrabia w Kanadzie. Jesteś niekompetentny.

Przez moment zastanawiam się, czy już o tym słyszał, czy wie, że Iganovich zniknął. Czy to możliwe, że ma lepsze źródła informacji niż ja?

– Spieszę się – mówię.

– Spieprzyłeś sprawę – ciągnie. – Ekstradycję. Podobno musisz wszystko zaczynać od nowa. Ile ci to zajmie miesięcy?

Spoglądam na niego. Nie wie, jeszcze nie. Myśli, że zwłoka w czasie to najgorsze, co nas spotkało. Niech tylko się dowie, że zginął nam podejrzany. Wtedy dopiero będę miał kłopoty.

– Ostrzegałem ich – dodaje.

Ma na myśli Ingela i radę okręgu w Davenport, u których usiłował odebrać mi tę

funkcję. Zaczynam żałować, że mu się to nie udało.

– Nie mam teraz czasu. – Mijam go i otwieram drzwi mojego samochodu.

Acosta chwyta mnie za ramię. Szarpię się z nim. W tej chwili jesteśmy bliscy wybuchu jak nigdy dotąd. Mierzymy się spojrzeniem, gwałtownym i wściekłym. Po chwili zdejmuję rękę z mojego ramienia. Oczy ma jak dwa płonące węgle. To nie lęk o siostrę gnębi Świrusa. Chodzi o to, że nie uszanowałem jego autorytetu.

– Ostrzegałem cię – grozi mi palcem tuż pod nosem – że jeśli to spieprzysz, dobiore ci się do dupy.

Siadam za kierownicą, zamykam drzwi. Włączam silnik. Acosta wtyka głowę w otwarte okienko, więc muszę uważać, żeby nie przygnieść go do sąsiedniego samochodu, choć mam na to ogromną ochotę.

Zaczynam podciągać szybę. Chwyta za jej krawędź.

– Idę do prokuratora generalnego. Z oficjalną skargą. Zażądam wszczęcia dochodzenia w sprawie twojego zachowania. Prokurator generalny powinien dowiedzieć się o wszystkim. Wykończą cię, słyszysz? Wykończą cię! – krzyczy.

Wyprowadzam auto z garażu. Nie zwracam na niego uwagi, jakby wcale go tu nie było. Jadąc w stronę wyjścia, nadal słyszę jego głos, odarty ze sztucznej artykulacji, pozbawiony elegancji i precyzji, plujący jadem na mój samochód, odbijający się echem od betonowego sufitu.

– Prokurator generalny, ty skurwysynu! Słyszysz? Prokurator będzie cię przesłuchiwać!

Lenore, Claude i ja znajdujemy się w biurze Emila Johnsona. Aparat telefoniczny jest tak nastawiony, że wszyscy mogą słuchać rozmowy. Emil patrzy na mnie surowo zza biurka – zapowiedź znacznie gorszych rzeczy, jakie czekają mnie ze strony prasy. Trzyma na środku biurka nogi w kowbojskich butach z wężowej skóry ze srebrnymi noskami.

Danny Henderson przekazuje nam z Vancouver szczegóły zniknięcia Iganovicha.

– To się stało wcześniej rano – mówi. – Koło czwartej. Wymknął się dwom policjantom, stojącym na zewnątrz hotelu. – Jego głos brzmi, jakby dochodził z końca świata.

– Sądzą, że mogą nam pomóc – dodaje Henderson.

Emil robi wielkie oczy.

– W sprawie ucieczki? – pyta.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Uważają, że było ich dwóch. Policjanci nie mają pojęcia, jak wyglądali, ale ich zdaniem jeden z nich podłożył ogień na śmietniku w głębi ulicy. Strasznie dymiło. Gliniarze, myśląc, że pali się jakiś budynek, na dwie minuty zeszli z posterunku, żeby to sprawdzić. Kiedy wrócili, wszystko wyglądało normalnie. Rano odkryli, że Iganovich zniknął. Recepcjonista widział go z dwoma mężczyznami w najnowszym modelu sedana.

– Cudownie – komentuje Emil. – Niech wynajmą tego faceta do prowadzenia śledztwa. Przynajmniej widzi, co się dzieje. Zostań tam. I dzwoń do nas, jak tylko coś się zdarzy. – Emil uderza w przycisk na telefonie. Głośnik milknie.

– Niech to diabli – rzuca. Zdejmuje nogi z biurka, prostuje się na krześle. – Zdaje się, że to tłumaczy sprawę Scofieldów.

– Hm. – Claude patrzy na niego. – Jak to?

– Było ich trzech. Rosjanin załatwił studentów. Pozostałych dwóch zabiło Scofieldów. Johnson ułożył sobie wszystko w zgrabną całość. Pewnie chce to zaserwować prasie, zanim Kanadyjczycy ujawnią, że Iganovich zniknął.

– Dlaczego? Jaki mieli motyw?

– To szaleńcy – odpowiada. – Widziałeś ciała. Czy to według ciebie dzieło ludzi o zdrowych, logicznie funkcjonujących umysłach?

Lenore zaczyna kpić.

– Skoro działali razem, to dlaczego nie znaleźliśmy dowodów w domu Rosjanina ani w furgonetce? Ci z laboratorium z pewnością wykryliby włosy, odciski palców, cokolwiek. I dlaczego ci mordercy w wypadku Scofieldów użyli innej linki i popełnili ten błąd z gwoździem?

Emil parska, jakby chciał powiedzieć, że skoro przyłączyła się do klubu i gra z chłopcami, powinna przynajmniej popierać jego teorie.

Ale Goya nie traci czasu. W ciągu jednego dnia, odkąd dobiła do naszego zespołu, zdażyła przeczytać wszystkie raporty na temat dowodów rzeczowych. Teraz recytuje Johnsonowi fakty niczym komputer.

Emil sprawia wrażenie, jakby miał ochotę machnąć ręką na te kłopotliwe detale. Ale Lenore ma rację. Tu chodzi o coś innego.

– No więc, co robimy? – pyta Johnson.

– Czekamy – decyduję.

– Na co?

– Aż Kanadyjczycy się czegoś dowiedzą.

– Tobie to pasuje – zauważa. – A niektórzy z nas w tym hrabstwie muszą myśleć o następnej kadencji. – Podkreśla ostatnie słowo.

– Nie w ciągu najbliższych dwóch dni – ripostuje.

– Publiczność jest kapryśna – stwierdza Emil. – Lubi pamiętać o takich rzeczach. – Chodzi mu o przeciwników.

Johnson chce nadać sprawie możliwy do przyjęcia kształt, zanim odcisnie się w opinii publicznej, niczym w świeżym betonie, jako katastrofa.

– A co będzie, jeśli przekazemy to prasie, a nazajutrz Kanadyjczycy go znajdą? Wyjdiesz na głupka – mówię.

– Przecież to oni spieprzyli sprawę – stwierdza. – Uciekł ich policjantom. I nie zamierzam czekać, aż to oni przypomną gazetom, że przestępca został uwolniony tylko dlatego, iż nasze biuro popełniło błąd.

– Mam jeszcze jedno „a co będzie” – odzywa się Claude.

– Tak? – Emil oczekuje wsparcia.

– A co będzie, jeśli popełni następne morderstwo?

Johnson znów robi wielkie oczy. Tego nie wziął pod uwagę.

– O, w mordę. Zwołujemy konferencję prasową i nie dajemy sobie dmuchać w kaszę – oświadcza.

Nakaz aresztowania i nota dyplomatyczna są już w Kanadzie, a napięcie w stosunkach politycznych zaczyna sięgać szczytu. Claude i ja przekonaliśmy Emila Johnsona, żeby wstrzymał się z wszelkimi oświadczeniami, z zapowiadaną konferencją przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Po ich upływie, jeśli Kanadyjczycy nie znajdą Iganovicha, nie będziemy mogli tego dłużej ukrywać.

Na razie muszę skończyć ze sprawami w biurze – z Overroyem i jego brakiem kompetencji.

– To mogło się zdarzyć każdemu – oto komentarz Rolanda w kwestii błędu, który dał wolność Andre Iganovichowi; tego, że to on, Overroy, nie raczył sprawdzić zaktualizowanego kodeksu karnego.

Zbliża się szósta, koniec dnia pracy. Powiadomiłem Rolanda, żeby został na chwilę. Oczekałem, aż większość pracowników wyszła do domu, i wezwałem go na dywanik, by wytłumaczył się ze swojego wtrącania się do sprawy Putah Creek.

– A czego się spodziewałeś? – mówi. – W takich warunkach? Jestem zavalony robotą.

Przeniosłeś mnie do klitki na końcu korytarza i chcesz, żebym dokonywał cudów? Mogłeś przynajmniej kazać Lenore, żeby przejęła część swoich dawnych spraw.

Przypominam mu, że ten fatalny błąd z kodeksem zdarzył się, zanim Roland przejął obowiązki Lenore i gdy miał czas na popołudniowe przejażdżki po Delcie.

Pomija to milczeniem.

– Wiedziałeś, że pracuję nad tą sprawą. Dlaczego nie powiadomiłeś mnie o telefonie z Waszyngtonu? – pytam spokojnie, usiłując opanować odruchową wrogość, jaką czuję do tego człowieka.

– Bo sam to załatwiłem – oświadcza.

Charakterystyczne dla niego – bagatelizuje problem. Dla niego posłużenie się kodeksem sprzed dziewięciu lat to „załatwienie” sprawy. Kręcę głową.

Zastanawiałem się, czy ta katastrofa nie jest bardziej zamierzonym działaniem niż zaniedbaniem; czy w ten sposób Roland nie chciał mi zaszkodzić. Ale ten sukinsyn jest tak tępy, że zaniechałem tych podejrzeń.

Teraz zaczynam się zastanawiać nad czym innym – nad ujawnieniem prasie naszej teorii dopuszczającej istnienie drugiego mordercy. Overroy mógłby to zdradzić. Jest jak rycerz wyruszający na krucjatę w obronie swojej dumy i władzy.

Mówię mu, że ludzie podnoszą krzyk, że domagają się, by prokurator generalny przeprowadził dochodzenie. To nie wydaje się go martwić, może myśli, że zwali na mnie całą odpowiedzialność. Jestem pewien, że stać go na tuzin zgrabnych wypowiedzi, z których każda miałaby na celu skompromitowanie mnie.

Zwolniłbym go natychmiast, ale komisja do spraw administracyjnych nigdy na to nie pozwoli. Lubią tam stopniować kary, rozważać z osobna każdy z milionów błędów, każdy dyskutować i dokumentować, żeby oskarżony wiedział, czym zawinił. Oskarżenia ciągną się kilometrami, a sam proces jest tak czasochłonny i uciążliwy, że Roland i setki jemu podobnych znaczą na oparciach swoich krzesel nacięcia na pamiątkę własnej niekompetencji – coś na kształt orderów.

Rozpatrzenie wszystkich błędów, jakie popełnia w ciągu dnia, zajęłoby mi cały wolny czas. I dlatego właśnie Overroy zdołał przeżyć trzydzieści lat pracy i pięciu prokuratorów.

– Skoro szukasz winnego – mówi – obwiniaj tę kretynkę.

Patrzę na niego pytająco.

– Perez – wyjaśnia. – To ona miała się zająć tymi kodeksami. Nie wywiązuje się ze swoich obowiązków. To po niej powinieneś się przejechać – radzi.

Oto taktyka Rolanda – zwalanie winy na innych.

Na moim biurku dzwoni telefon, połączenie z miasta. Podnoszę słuchawkę. To Claude, z więzienia.

Słuchając go, przyglądam się Overroyowi. Zaczyna przywoływać oznaki gniewu, z wysiłkiem strojąc odpowiednie grymasy. Mówiono mi, że kiedy mu to było potrzebne, odgrywał przed Ferettim wybuchy wściekłości. A gdy było już po wszystkim, sprawa szła w zapomnienie i Roland nadal robił to, co dotychczas.

Słucham Claude'a z zainteresowaniem. Overroy usiłuje poznać po mojej minie, co się dzieje, jaki to smaczny kąsek przechodzi mu koło nosa. Na jego użytek przywdziewam kamienną maskę.

– Będę za pięć minut – kończę i odkładam słuchawkę.

Roland nie traci czasu. Zanim słuchawka dotyka widełek, zaczyna:

– Następnym razem, kiedy ktoś zadzwoni z niecierpiącą zwłoki sprawą, zignoruję go.  
– Pierwszy ruch.

– Obiecujesz?

To rozjątrza go jeszcze bardziej.

– Od samego początku zachowujesz się jak sukinsyn – ciągnie. Trochę epitetów dla rozgrzania atmosfery. – Bałeś się, że mógłbym zająć stanowisko Ferettiego. Bruźdysz mi od pierwszego dnia; stosujesz taktykę ciągłego nękania – tak to nazywa. – Degradowania. Powierzasz ważne sprawy niedoświadczonej pracownicy. Zaczynam myśleć, że ty i ona... – Gryzie się w język i nie kończy. Resztki szarych komórek dorwały się do głosu. Fałszywe oskarżenie o świadczenie usług seksualnych w zamian za awans zawodowy mogłoby dać Goi prawo do oskarżenia go o dyskryminację seksualną. Wie o tym. Zanimby się obejrzał, zawlekłaby go przed sąd federalny. Boli go, że Lenore zajmuje teraz lepsze stanowisko niż on. Chodzi mu nie tylko o to, że musi mu się dobrze powodzić bez żadnego wysiłku z jego strony. Prawdziwą miarą sukcesu jest dla niego to, że kariery innych padają niczym muchy.

– Co mam ci powiedzieć, Roland? Chcesz, żebym szczerze ocenił twoje zdolności? Nie będziesz zachwycony. Ale skoro sobie życzysz. – Wzruszam ramionami. – Bardzo kiepski z ciebie pracownik. W skali od jednego do dziesięciu dałbym ci dwa. Jesteś leniwy, niekompetentny. Brak ci inicjatywy. – Recytuję ten spis ze wzrokiem wbitym w sufit. Listę tę opracowałem sobie zawczasu. – A tak ogólnie, jesteś strasznym nudziarzem. Czy wyrażam się jasno? No, to tyle. Uwiecznię jeszcze wszystko na piśmie, żeby móc dołączyć do twoich akt personalnych. Jesteś zadowolony?

Patrzy na mnie oczkami pełnymi szaleństwa.

– Ty palancie! – rzuca. – Jesteś cholernym palantem.

– Tak – przyznaję. – I właśnie ci to udowadniam. Dlatego radzę ci otworzyć szeroko oczy, zapalić zapałkę i przyjrzeć się dobrze, kim jesteś i dokąd zmierzasz. – Mówię to wszystko takim tonem, jakbym prowadził spokojną konwersację.

Ubiegam go, zanim zdążył otworzyć usta, i oświadczam:

– Wyjdź. Rano dostaniesz moją opinię o tobie. To koniec naszego spotkania.

Ma dramatyczne wyjście, jak aktor po odegraniu roli. Zatrząskuje drzwi tak mocno, że o mało nie wylatują z nich szybki.

Odczekuję, aż jego kroki ucichną za drzwiami wyjściowymi. Wtedy biorę płaszcz i przygotowuję się do spotkania z Claude'em w więzieniu. Jeśli z powodu tego błędu Iganovich popełnił następne morderstwo, natychmiast wyślę Overroya na wczesną emeryturę. Gdyby tak się stało, zły los skupił się dziś chyba wyłącznie na Rolandzie. Claude Dusalt mówił zwięźle i na temat: Andre Iganovich został przed czterdziestoma minutami ujęty i odstawiony w kajdankach do więzienia w Davenport.

Stoją jak Sokole Oko i Chingachgook, bardziej smagli i niezupełnie tak szczupli jak oni. Benny Sanchez i jego brat prezentują swoje orle profile fotografom, którzy tłoczą się wokół nich, szukając dobrych ujęć mogących ozdobić jutrzejsze wydanie porannych gazet. Przybyły już ekipy telewizyjne; rozstawiają światła.

Obserwuję ich przez judasza w drzwiach małego więziennego pomieszczenia, które zajął Claude.

Bracia Sanchez pozują w sali wizyt i opowiadają reporterom, jak zwinęli Andre Iganovicha z jego pokoju w kanadyjskim motelu tuż pod nosem tamtejszych gliniarzy i jak przewieźli go przez granicę, podczas gdy policja w obu krajach odchodziła od zmysłów, by znaleźć zbiega. Nie jest to sprzyjająca chwila na wkroczenie prawa.

Claude mówi, że Emil znajduje się w kłopotliwym położeniu. Nie bardzo wie, co zrobić z tymi dwoma: aresztować za porwanie czy dać medal.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów – informuje Claude. Tyle zapłacił im doktor Park za śledzenie Rosjanina podczas przesłuchań, w słabej nadziei na to, że zdołają go uprowadzić.

– Przesłuchaliśmy Parka – kontynuuje. – Mamy go tutaj, jeśli chcesz z nim porozmawiać. – Dowiaduję się, że Park jest strzępem człowieka. Jest gotów odsiedzieć każdą karę za popełnienie tego przestępstwa. Myślał, że zamierzamy pójść na ugodę w sprawie kary śmierci.

– Powiedział, że nie wierzył, iż potrafimy twardo postawić na swoim. Dlatego wziął

sprawę we własne ręce. Chcesz z nim pogadać? – pyta.

Nie. Stało się.

– Zamierzasz go o coś oskarżyć?

– Chyba nie. – Tu mam ten sam problem co Emil. Jeśli oskarżymy go i postawimy przed sądem, każdy rozsądny sędzia przyzna mu Nagrodę Nobla.

– Czy Jacoby już wie?

– Omal nie urwał mi głowy – odpowiada Claude. – Twierdzi, że władze Ottawy są oburzone. To jego własne słowa. Musiałem złożyć przysięgę krwi, że nie mamy z tym nic wspólnego. Chyba nam tak do końca nie ufa. Spodziewają się oficjalnej noty protestacyjnej z Waszyngtonu z żądaniem oddania podejrzanego w celu przeprowadzenia formalnej ekstradycji. Chce wiedzieć, czy się zgodzimy.

Kilka lat temu taka nota przypieczętowałaby nasz los. Iganovich wróciłby do Kanady na dalszą część rozprawy ekstradycyjnej. Sąd federalny zablokowałby nasze dochodzenie, dopóki nie dobiegłaby końca. Ale Sąd Najwyższy zmienił to wszystko: w sprawie, w którą zamieszany był meksykański lekarz i sadystyczny morderca agenta z komisji do spraw kontroli narkotyków, uznał porwanie za dopuszczalny środek zapobiegający ucieczkom z amerykańskich sądów.

Claude patrzy ponad moim ramieniem przez lustrzane szkło.

– Idzie Emil – informuje.

Odwracam się. Johnson ma na sobie kompletny mundur – lśniący mosiądz, błyszczący chromem pistolet na biodrze i buty, które nie widziały światła dziennego od czasów ostatniej parady.

Wchodzi, jakby to była część jego zwykłego obchodu, po prostu dogłębnie oglądanie aresztowanych pijaków. W drzwiach zatrzymuje się i uśmiecha z udanym zdziwieniem. Co za zbieg okoliczności, tu jest prasa! Jest w tym przebiegłość rodem z kina niemego. Uśmiecha się od ucha do ucha na użytek kamer. Ścisła dłonie Sanchezom, klepią się po plecach. Wpycha się między niższych od niego braci i obejmuje ich za ramiona. Ich szczerzące zęby podobizny znajdują się w porannych gazetach. Dwaj bracia wyglądają, jakby nie spali od trzech dni – pomięte koszule i brudne spodnie, zarost jak opiłki namagnetyzowanego żelaza. Przy Emilu wyglądają niczym ubodzy krewni Pancho Villa w uścisku George'a Pattona.

Nie słyszę ani słowa, ale widzę, że Johnson uprzedza pytanie. Jego usta rozciągnięte w wymuszonym uśmiechu układają się w słowa „bez komentarza”.

Wreszcie zaczyna torować sobie drogę przez tłum w stronę drzwi prowadzących do naszego pokoiku.



– Jutro będę miał więcej do powiedzenia. – Oto pożegnanie Emila. – Jutro – powtarza. Otwiera drzwi. Zatrzaszkują się za nim z mocą, jaką daje im pancerna stal, i odcinają nas od wrzawy w drugim pokoju. Uśmiech znika z jego twarzy.

– Cholerne meksykańce – warczy. – Powinienem zapuszkować te ich funta kłaków niewarte tyłki, zafundować dobry prysznic i posypać im gdzie trzeba DDT. – Mówi to do Claude'a, nadal oglądając się na zamknięte drzwi, jakby bracia Sanchez wciąż przed nim stali.

Potem odwraca się i dostrzega mnie.

– Cześć, mecenasie. – Milknie na kilka sekund, żeby przystosować się do nowej sytuacji. Nie spodziewał się mnie tutaj.

– Wpakowali nas w niezłą kabałę – oznajmia. – Dziennikarze chcą wiedzieć, czy braliśmy udział w tej miłej wycieczce. To tak, jakby mnie pytali, czy nadal biję żonę. Jeśli tak – jestem skończony, jeśli nie – również. Jeżeli powiem, że nie mieliśmy z tym nic wspólnego, wyjdziemy na bandę idiotów. A jeżeli oświadczę, że daliśmy im nasze błogosławieństwo, Park i Sanchezowie nazwą mnie kłamcą. I będziemy wyglądać jeszcze gorzej.

Kręci głową w obliczu takiego dylematu.

– Co pan radzi, mecenasie?

– Chyba poradziłeś sobie z tym całkiem niezle – zauważam.

Nadstawia uszu.

– Zamieszanie na skalę międzynarodową – wyjaśniam. – To najlepsze, co możemy powiedzieć, i najbardziej ogólne. Nie ma sensu zrażać do siebie naszych północnych sąsiadów czy Departamentu Stanu.

Chociaż nie jest to jego elektorat w najbliższych wyborach, zdaje się, że Emil to kupuje, przynajmniej na razie. Zdejmuje swoją paradną czapkę i wyciera z jej środka pot.

– Czy możemy go oskarżyć? – pyta.

Potakuję.

– Za zbrodnie główne? – Chodzi mu o to, czy jest podstawa, żeby odwołać się do kary śmierci.

– Tak.

– Więc może nie leżymy na całej linii.

– Kanadyjczycy bardzo się pieklą – przypominam. – Sensacja w prasie.

– Pieprzyć – mówi. To jego wersja doktryny Trumana.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – wtrąca Claude – kiedy następny zbieg pryśnie nam przez granicę.

- Jeśli będzie pochodził z tego hrabstwa – uzupełnia Emil. Dusalt spogląda na mnie.
- Musisz zadzwonić rano do Jacoby'ego. Przekaż im, że się nie zgadzamy na oddanie podejrzanego.
- Jak cholera – dodaje Emil.

Lester Osgood nie liczy się jako sędzia. Miałby kłopoty wszędzie, gdzie nie sięgają jego wpływy. Ale dzisiejszego ranka Adrian Chambers i ja stajemy przed nim w jego tymczasowym królestwie – obskurnym pomieszczeniu w podziemiach więzienia okręgowego.

Miejsce to służy za salę rozpraw, kiedy w hrabstwie prowadzi się sprawę wymagającą wyjątkowej ostrożności. Jesteśmy tu, by postawić Andre Iganovicha w stan oskarżenia.

Rosjanin siedzi przykuty do metalowego krzesła, które z kolei przymocowane jest do podłogi. Ma na sobie pomarańczowy kombinezon więzienny z wielkim napisem na plecach „Więzień”. Jego ręce są skute w nadgarstkach; jest też skuty w pasie i w kostkach, tak że kiedy idzie, brzęczy niczym renifer świętego Mikołaja. Stoją za nim dwaj potężni, nie uzbrojeni strażnicy.

Chambers siedzi koło swojego klienta, przy małym stoliku. Między nimi znajduje się wyznaczona przez sąd tłumaczka, która będzie szeptać oskarżonemu, o czym mówimy.

Są już stadka dziennikarzy i ekip telewizyjnych, które zostawiły kamery w holu. Wnoszą do sali sądowej atmosferę widowiska.

Osgood porządkuje dokumenty na biurku. Śpieszy się, pamięta, że o ósmej trzydzieści ma rozprawę w sądzie. Uderza młotkiem w metalowy blat stołu i szum rozmów zamiera w ułamku sekundy.

– Panie Chambers, czy pański klient jest gotów?

Stoję samotnie z boku, na tyle daleko, by nie podsłuchiwać szeptanych rozmów Chambersa i Rosjanina.

– Tak, Wysoki Sądzie.

Osgood spogląda na mnie.

– Jesteśmy gotowi – potwierdzam.

– Czy ma pan kopię dokumentów, panie Chambers?

Adrian podnosi je, udowadniając że otrzymał akt oskarżenia.

– Czy możemy pominąć formalne odczytanie aktu oskarżenia? – pyta sędzia.

Chambers wyraża zgodę. Oznacza to, że Osgood może się rozgrzeszyć z obszernego i szczegółowego odczytania każdego słowa zawartego w dokumencie. Ograniczy się do sformułowania głównych zagadnień słowami zrozumiałymi dla laika.

– Panie Iganovich.

Rosjanin wpatruje się w sędziego. Nie wygląda na zbyt zmartwionego

okolicznościami, w jakich się znalazł. Jest chyba mniej przejęty niż Chambers.

– Czy to pan jest Andre Iganovichem?

Tłumaczka nachyla się do jego ucha. Krótka informacja.

– Da.

– Tak – potwierdza tłumaczka.

– Czy używał pan kiedyś innego nazwiska?

Znowu tłumaczenie, potem tępe spojrzenie oskarżonego. Nagle mrugnięcie oka.

– Czasami mówią na mnie „skurwysyn” – odzywa się. Uśmiech. Trochę chichotów ze strony reporterów.

Osgood patrzy na niego surowo. Radzi mu, żeby używał swego ojczystego języka i dał spokój koślawej angielszczyźnie i błaznowaniu.

– To korzystniejsze dla protokołu – wyjaśnia. A po chwili: – Zapytam jeszcze raz. Czy używał pan innych nazwisk?

Rosjanin uśmiecha się przeciągle, potem robi do niego oko; takie mrugnięcie w niektórych krajach mogłoby zostać poczytane za próbę nagabywania innego mężczyzny. Nie wydaje się, żeby ton Osgooda go przestraszył. Chyba widywał już bardziej przerażające przesłuchania, być może w kraju, w którym się urodził.

Po słowie „niet” następuje tłumaczenie: „nie”. Nie ma żadnych pseudonimów, a przynajmniej chce, byśmy w to uwierzyli.

– Andre Iganovich, jest pan oskarżony o cztery morderstwa pierwszego stopnia. – Sędzia odczytuje daty popełnienia tych zbrodni oraz nazwiska ofiar, czworga studentów: Julie Park i Jonathana Snidera, Sharon Collins i Rodneya Slate’a.

– Czy rozumie pan, o co się go oskarża?

Krótką naradą, podczas której tłumaczka pośredniczy między Chambersem a Iganovichem.

– Da – potwierdza Rosjanin. I jest to ostatni wyraz, jaki rozumiem. Nagle wyrzuca z siebie staccato niezrozumiałych słów, z ożywioną mimiką potrząsa głową, usiłuje podnieść skute rękę, by odeprzeć oszczerstwa. A pod koniec tej tyrady zerka na mnie: jadowite szparki oczu. Kończąc spluwa w moim kierunku.

– Dość tego! – ucina Osgood.

– Tak. Hm... hm... – Tłumaczka zwleka, usiłując wybrać właściwe słowa z tego rozległego języka.

– Tak, rozumiem – zaczyna. – Ale to nie... hm... Nie zrobiłem tego. Nikogo nie zabiłem. To zboczone kłamstwa. – Szuka właściwego słowa. – Pomyje – znajduje wreszcie.

Chyba wyraził się mocniej. Kobieta przedstawia nam złagodzoną wersję przekładu. – To nieprawda, co oni mówią, co mówi ten człowiek. To kłamca, to... hm...

Zdaje się, że „ten człowiek” to ja. Tłumaczka szuka właściwego epitetu.

– Pierdolony kłamca.

Tyle o złagodzonych wersjach przekładów. Nie wspomina o splunięciu – wystarczy spojrzeć na flegmę pływającą po betonowej podłodze jak zielone jajeczko we własnym sosie.

– Panie Iganovich, nie zamierzam tolerować w moim sądzie wulgarnego słownictwa. Naszym celem jest dowiedzieć się prawdy. Nie musi się pan niepokoić. Będzie pan miał uczciwy proces – zapewnia Osgood. Jego głos to krynica kojących tonów, a on sam – uosobienie ojcowskiej władzy spowitej w czerń.

Iganovich patrzy na niego łakomie, znowu uśmiecha się uwodzicielsko. Chyba ma słabość do mężczyzn u władzy. Chętnie zdybałby Osgooda samego w pokoju, pochylonego nad stołem, z togą zadartą do góry. Przynajmniej połowa pensjonariuszy więzień w tym hrabstwie pomogłaby mu w tym, gdyby tylko mogli.

Sędzia informuje oskarżonego o tym, co ma dziś w menu: niewinny, winny, niewinny ze względu na niepoczytalność, bierny obserwator. Pyta Iganovicha, czy rozmawiał ze swoim adwokatem o wyroku.

Rozmawiał, wyjawia nam tłumaczka. Nie kończy jednak, bo przerywa jej Iganovich.

– Ja niewinny – wtrąca. Patrzy arogancko, z zadowoloną z siebie miną, jakby były to jego ostatnie słowa, koniec, ostateczne zamknięcie tematu. Potem spogląda na mnie, szczerzy zęby w moim kierunku – niczym płot z połamanymi sztachetami, bezzębne podsumowanie Starego Świata. Ale w jego oczach jest coś takiego, jakby już teraz brał ze mnie miarę na trumnę.

Nikki by się to spodobało. Ostra napaść – i już wyczuwam śmiertelne zagrożenie. Między innymi dlatego właśnie nalegała dwanaście lat temu, żebym odszedł z prokuratury w stolicy. Bała się, że jeden z klientów zdobędzie mój adres i zrobi coś, co uważałem za bezzasadne pogróżki.

– Czy pański klient chciałby złożyć wniosek?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Bardzo dobrze. Osgood zapoznaje oskarżonego z kolejnymi zarzutami przestępstw, z których każde jest morderstwem pierwszego stopnia. Po każdym tłumaczka oświadcza „niewinny”, wysłuchawszy, jak Iganovich kaleczy to słowo, próbując wymówić je po angielsku. Zlekceważył upomnienie Osgooda. Sędzia poddaje się.

– Panie Chambers, czy w kwestii każdego przestępstwa zgadza się pan z wypowiedzią

pańskiego klienta?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Czy porozumieliście się w sprawie przesłuchań wstępnych? – Osgood zwraca się do Chambersa i do mnie.

– Jeszcze nie, Wysoki Sądzie – mówię.

– Wysoki Sądzie, zanim przejdziemy do kwestii przesłuchań wstępnych, oskarżony pragnie zgłosić wniosek o wyznaczenie kaucji – odzywa się Chambers.

Przekreśla notatkę w żółtym prawniczym notesie. Widzę kilka innych pozycji pod sprawą dopiero co odfajkowaną.

Osgood spogląda na mnie. Jest lekko zdziwiony, ale nie tak jak ja. Chambers chyba kpi. Podejrzany prysnął nam do Kanady i ukrył się za chińskim murem ekstradycji, a ten chce go wypuścić! Nie wiem, kto tu jest bardziej niebezpieczny: Iganovich, który może znów zabić, czy Kim Park, który w ciągu godziny od jego wypuszczenia znajdzie na niego płatnego mordercę.

– Wysoki Sądzie, sprzeciwiamy się każdej sugestii na temat wpłacenia kaucji – oświadczam.

Uśmiecham się szeroko, jakbym usłyszał dowcip. Mówię o problemach, o fakcie, że Iganovich stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego, że społeczeństwo jest bliskie hysterii.

– Nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa publicznego – ripostuje Chambers – dopóki nie zostanie mu udowodniona wina. W tym kraju istnieje coś takiego jak domniemanie niewinności. Sądziłem, że pan Madriani, do niedawna obrońca, jest ostatnim, który by o tym zapomniał.

Uśmiecham się do niego krzywo.

– Cieszy mnie, że pan Madriani dostrzega w tym zabawną stronę – ciągnie. – Może dzięki temu okaże w tym względzie zdrowy rozsądek.

– Czy jest na to jakiś paragraf? – pyta Osgood. Szpera w książkach na stole.

Prawo dla każdego w stanie, a nasz sędzia się na nim nie zna. Jak większość prawników w okręgach wiejskich, Osgood jest w tym okręgu jednym z trzech sędziów państwowych znacznie bardziej zainteresowanym polityką niż prawem. W swoim środowisku puszy się niczym kogut na wybiegu, stroniący od każdego, kto nie jest mu równy, co oznacza każdą istotę ludzką poniżej poziomu sądu stanowego. Nie ma najmniejszej szansy, by wypuścił Rosjanina za kaucją. Może nie zna przepisów, ale do perfekcji opanował teorię rządzenia w małym hrabstwie. Nie zgodzi się na to, nawet gdyby miał się oprzeć na doktrynie

szkolnej.

Radzę mu, żeby sprawdził paragraf dwanaście sześćdziesiąt osiem kodeksu karnego.

Zaczyna szperać w księdze, prawniczej Biblii.

– W sprawach głównych – podpowiadam – w których dowody są oczywiste, a podstawy oskarżenia bardzo mocne, oskarżony nie może zostać zwolniony po wpłaceniu kaucji. Możemy uznać, że to jest właśnie taka sprawa.

– Jest! – cieszy się Osgood. – Wiedziałem, że jest tu ten statut. – Jakby dostawał punkty za samo zrozumienie problemu. Traktuje każdy kolejny dzień w sądzie jak nowy egzamin, przy którym kibicują mu prawnicy.

– Ale dowody nie są oczywiste – zauważa Chambers. – I z pewnością podstawy oskarżenia niezbyt mocne.

Osgood patrzy na mnie; jego spojrzenie zdaje się mówić: „On nie chce, żebym dostosował statut do faktów?” W jego oczach widzę błysk paniki, pytanie: „Co teraz zrobimy?”

Próbuję go uspokoić.

– Nie jest to główne kryterium, Wysoki Sądzie. Istotne jest, czy oskarżenie można oprzeć na konkretnym, namacalnym dowodzie, który uzasadniałby wyrok.

Prowadzę go za rękę przez historię o gwoździach i sznurze, znalezionych w samochodzie Rosjanina, o zakrwawionej szmacie na przednim siedzeniu. O tym, że w laboratorium powiązano te przedmioty z czterema morderstwami.

Kiedy kończę, Osgood jest całkowicie przekonany o słuszności mojego rozumowania. Pewny siebie, kiwa głową, jakby to było oczywiste od samego początku. Sędzia, który podjął decyzję.

– Panie Chambers, prokurator okręgowy zapoznał mnie ze swoimi argumentami – oświadcza – i uważam, że w tej sprawie wspomniany paragraf znajduje zastosowanie.

Adrian unosi się z krzesła, usiłuje coś wtrącić.

Osgood ucisza go gestem ręki, niczym dobry policjant z drogówki. Nie chce słyszeć o niczym, co mogłoby zachwiać jego decyzją. Gdyby mógł, zatkałby sobie uszy palcami i zaczął śpiewać.

– Nawet gdybym się skłaniał – dodaje – do zwolnienia pańskiego klienta – spogląda na dziennikarzy, którzy już dostają skurczu pisarskiego – a nie skłaniam się ku temu. – Ostatnie słowa są surowe, pełne znaczenia.

Kręci głową i porusza szczękami jak Richard Nixon, mówi z naciskiem:

– Prawo nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nie mogę wypuścić pańskiego klienta

za kaucją. To jest wzbronione.

Chambers siada i zwraca się do swojego klienta – wymiana szeptów za pośrednictwem tłumaczki. Iganovich usiłujący rozmawiać za pomocą rąk ma więcej kłopotów niż z językiem obcym. Przeszkadzają mu kajdanki i łańcuch krepujący go w pasie.

– Na czym stanęliśmy? – pyta Osgood.

– Na dacie przesłuchań wstępnych – przypominam mu.

– A, tak. – Patrzy na Chambersa.

– Ile czasu potrzebuje obrona?

Adrian go nie słyszy. Nadal rozmawia z Iganovichem.

– Panie Chambers, jeśli można.

W końcu obrońca podnosi wzrok.

– Ile potrzebuje pan czasu, żeby się przygotować do przesłuchań wstępnych? Musimy ustalić termin.

– To formalność – rzuca Chambers.

– Nie w wypadku przesłuchań – protestuje sędzia.

– Data jest już ustalona – zauważa Chambers.

Osgooda zaczyna trafiać szlag. Może nie zna się na prawie, ale z całą pewnością zna zasady obowiązujące w jego własnej sali sądowej. Tego nie uda się zmienić jakiemuś prawnikowi.

– Mecenasio – upomina. – Ustalamy termin przesłuchań wstępnych. Jeśli nie ma pan żadnych sugestii, uważam, że wystarczą panu, powiedzmy – zastanawia się przez chwilę – dwa dni. – Oto cena za olewanie sędziego. – A spotykamy się...

– Przesłuchania muszą się odbyć w ciągu dziesięciu dni – przerywa mu Chambers. – Oskarżony nie zgadza się na zwłokę.

Osgood siedzi w swoim fotelu i przysięgłbym, że z uszu idzie mu dym, jakby uderzył w niego piorun. Patrzy na Chambersa, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Wysoki Sądzie – podchodzę do stołu – nie zdołamy przygotować tej sprawy w ciągu dziesięciu dni. Tu chodzi o ludzkie życie. Czy oskarżony tego nie rozumie?

– Rozumie – odpowiada Chambers. – Ale jeżeli ma czekać w więzieniu na jej rozpoczęcie, nie życzy sobie zwłoki. – Spogląda na mnie z uśmiechem.

– To śmieszne – mówię.

Adrian Chambers wzrusza ramionami.

– Prokurator okręgowy stoi przed wyborem: przesłuchania wstępne za dziesięć dni albo mój klient zostanie zwolniony, a oskarżenie oddalone.



Chambers powołuje się na przepisy. W tym stanie oskarżony, który nie zgadza się na zwłokę, musi zostać przesłuchany w ciągu dziesięciu dni. W przeciwnym razie trzeba go zwolnić.

– Absurd – komentuję.

Osgood wzrusza ramionami, jakby mówił: „Co mogę zrobić”?

– Wysoki Sądzie, proszę porozmawiać z oskarżonym. Proszę go zapytać, czy rozumie, jakie to spowoduje konsekwencje – proponuję. Martwię się o późniejszą rozprawę apelacyjną – proces sknocony przez niekompetentnego prawnika.

Sędzia idzie za moją radą, tłumaczka powtarza jego słowa niczym echo. Chambers i ona uzgadniają coś między sobą. To jasne. Nie potrzebuję tłumaczenia, żeby zrozumieć, że decyzja należy do Chambersa. Iganovich siedzi biernie i potakuje, podczas gdy jego adwokat zwraca się do niego za pośrednictwem tłumaczki. Pod wpływem tego, co słyszy, staje się spokojniejszy. Wypowiada parę słów – jego głos jest teraz pełen rezygnacji.

– Rozumiem – powtarza za nim tłumaczka. – Zgadzam się z moim adwokatem. Nie zgadzam się czekać.

– Panie Chambers, mam nadzieję, że wie pan, co robi – kończy Osgood.

– O, tak. – Adrian uśmiecha się do niego krzywo. – Wiem, co robię, Wysoki Sądzie.

– Ten typ to prawdziwy, kurwa, specjalista od pośpiechu – mówi Claude.

Oto, co myśli o Adrianie Chambersie.

Poprosiłem Dusalta, żeby dowiedział się dyskretnie czegoś o nim, a zwłaszcza o tym, jak udało mu się zostać obrońcą Iganovicha. Ciekawe, w jaki sposób wygzekwuje od niego honorarium. Ale nie ma wątpliwości, dlaczego chciał dostać tę sprawę. Oprócz dobrania mi się do tyłka jest to dla niego również bezcenna reklama, sprawa, która niezależnie od wyników może popchnąć go na długą drogę odbudowy zrujnowanej reputacji.

– Rosjanin ma tu na wsi starą ciotkę – wyjaśnia Claude. – Dzięki niej dostał wizę, a Chambers – klucz do tej sprawy. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, dziesiąta woda po kisielu, ale i tak to jego najbliższa krewna.

– Zdaje się, że jej nazwisko znalazło się w gazetach zaraz po rewizji. Jakiś przedsiębiorczy reporter wyszperał je w umowie o pracę z agencją ochrony, która zatrudniała Iganovicha. Zrobili z nią wywiad. Same banialuki na temat charakteru siostrzeńca.

– Rozmawiałeś z nią?

Claude otwiera notes.

– Zdaje się, że Adrian zjawił się przed jej drzwiami z walizką pełną kontraktów w dniu, w którym ukazała się gazeta. Ten człowiek nie przepuści niczemu – dodaje.

– Podpisała?

Kiwa głową.

– Nie wziął od niej ani grosza.

– Łaskawca – zauważam.

– Prawie święty.

– Co jej powiedział?

– Że może pomóc jej krewnemu. Że jest przekonany o jego niewinności. Że jej siostrzeniec ma uczciwą twarz. Bo gazety tego dnia opublikowały zdjęcie Iganovicha, to z licencji. – Claude ma na myśli licencję wydawaną prywatnym ochroniarzom. Aby ją otrzymać, potrzebna jest fotografia.

– Starsza pani podpisała się na przerywanych liniach – kontynuuje Dusalt – i dała Chambersowi całkowitą swobodę, z jednym tylko zastrzeżeniem: że Iganovich go zaakceptuje i potwierdzi kontrakt.

– Co oczywiście zrobił.

– Oczywiście. Aha, i jeszcze jeden świstek – wyjmuję z kieszeni złożoną kartkę i podaje mi ją. To umowa podpisana przez Chambersa i ciotkę Rosjanina, przekazująca Adrianowi wszystkie prawa autorskie do filmów i publikacji na temat morderstw z Putah Creek i procesu Andre Iganovicha.

– No, to przynajmniej wiemy, jak wyegzekwuje swoje honorarium – stwierdza Claude.

– Dziesięć dni? Nie żartuj. Myślałam, że dadzą nam co najmniej dziewięćdziesiąt. Mam pełne ręce roboty.

Lenore Goya stoi w otwartych drzwiach mojego gabinetu. Szuka pewnych dokumentów, które gdzieś się zapodziały w zamieszaniu powstałym po moim powrocie ze spotkania z Rosjaninem. Odwraca się i znów wychodzi, mrucząc do siebie pod nosem. W ciągu najbliższych dziewięciu dni będzie musiała wziąć na siebie dużą część obowiązków związanych z przygotowaniem do przesłuchań wstępnych, nie zaniedbując przy tym pozostałych spraw i bałaganu, którego zdążył już narobić Roland Overroy, przejąwszy stare sprawy Goi.

– Ja również myślałem, że będziemy mieli więcej czasu – przyznaję.

Pocieszam ją, że nalegając na szybkie rozpoczęcie procesu, Chambers zdradza, iż nie

jest pewny swego.

– Świetnie – mówi Lenore. – To nadaje określeniu „niekompetentny prawnik” nowe znaczenie. Oskarżony zyskuje inne podstawy do apelacji.

Oboje wiemy, że to na nic. Chambers ma fioła jak stąd do nieba.

– On dokładnie wie, co robi – stwierdza Lenore. – Przyparł nas do muru.

Oczywiście Goya ma rację. W jego szaleństwie jest metoda.

– Kto tak postępuje w sprawie o morderstwo? – Kręci głową. – Kiedy go obrzezali, wyrzucili niewłaściwą część – oto, jak ocenia Chambersa jako prawnika.

Siada po drugiej stronie biurka i zaczyna się uspokajać; napięcie opada. To ją ratuje podczas rozpraw. Choć na sali sądowej zdarzają się jej wybuchy gniewu, nauczyła się szybko je opanowywać i maskować.

Wreszcie uśmiecha się i rozpogadza.

– Słuchaj – odzywa się. – Założę się, że Lester Osgood bardzo ci dziś pomógł?

Przewracam oczami, dając jej do zrozumienia, że sędzia rzeczywiście był mniej niż bezużyteczny.

– Musiałem mu podpowiedzieć nawet to, że trzeba zanotować, iż Iganovich rozumie konsekwencje przyspieszenia terminu rozprawy. Zamierzał wyjść, nie zrobiwszy tego.

Skoro Osgood rozpoczął tę sprawę, bez wątpienia będzie musiał poprowadzić przesłuchania wstępne. To kara za to, że dopuścił, by Chambers wtrącał się do kalendarza rozpraw.

Rozważamy tę możliwość, Lenore i ja.

– On sobie z tym nie poradzi – stwierdza Goya. – A ponieważ pierwszą oznaką strachu jest wrogość, będzie się na nas wyzywać.

Ma rację. Już widzę, jak Osgood odgrywa przed prasą spektakl, wielki dramat prawniczy mający ochronić jego tyłek, którego motywem przewodnim będzie śpiewka: to oskarżenie wniosło tę sprawę, a teraz nie jest gotowe. Między aktami usłyszymy interludium o trudach przepracowanego i zapoznanego sędziego.

– Za każdym razem, kiedy się zblamuje, będzie nas winił. – Na chwilę spojrzenie Lenore staje się zimne i surowe. – Osgood może go wypuścić – dodaje.

Nie zgadzam się z nią.

– Tego jednego nie robi. Jeśli będzie musiał, wyda nakaz zatrzymania Iganovicha do sprawy i oskarży nas o popełnienie błędu. Obwini nas o sytuację, w jakiej znalazł się sędzia, będzie stawiał nas pod pręgierzem przy każdej okazji, ale bez wątpienia doprowadzi do procesu.

Martwi mnie jedno: może się okazać, że nakaz zatrzymania ma słabe podstawy, że jest oparty na nie dość mocnych dowodach, których nie zdołamy obronić podczas rozprawy apelacyjnej, i po dwóch latach kosztownego procesu wyrok zostanie unieważniony.

Lenore i ja rozmawiamy o linii obrony, którą Chambers powinien obrać podczas przesłuchań wstępnych. Zgadza się, że nie od razu odsłoni swoje najważniejsze karty. Wszystko, co może nas zgubić, takie atuty jak alibi czy ekspert z laboratorium odczytujący z fusów motywy zbrodni – wszystko to zostawi na później. Przesłuchania wstępne nie są tak ważne, by rzucać wszystko na jedną szalę. Jeśli to zrobi i chybi, byłoby to z korzyścią dla nas. A on woli, byśmy to my zdradzili nasze karty atutowe, pokazali mu swoje najmocniejsze dowody, co – zważywszy na zbliżający się termin – być może będziemy musieli zrobić. Mając dziewięć dni na przygotowanie, nie można sobie pozwolić na finezję.

– Przejdzie się po nas za Scofieldów – odzywa się Goya.

Zgadza się z nią.

– To wymarzona okazja do tego, by zamącić w głowie i tak skołowanemu sędziemu – mówię. – Jeśli Chambers wykaże zrzeczność, Osgood zada nam więcej pytań na temat tych nie rozwiązanych spraw, niż znamy odpowiedzi. Prasa będzie miała używanie.

– Wyjdziemy na dupków – zauważa Lenore.

Podnoszę wzrok i patrzę jej prosto w oczy.

– Chyba że...

Przygląda mi się.

– Chyba że co?

– Chyba że nie dopuścimy do przesłuchań wstępnych – podsuwam.

Przez krótką chwilę na jej twarzy gości zdziwienie, a potem odczytuje moją myśl niczym radar.

– Sąd przysięgłych!

Uśmiecham się i kiwam głową.

Sąd przysięgłych nie był zwoływany w tym stanie w sprawach kryminalnych niemal od dwudziestu lat, od kiedy liberalnie nastawiony sąd stanowy zarządził, że każdy oskarżony ma prawo do przesłuchania przed obiektywnym sędzią – do przesłuchania wstępnego – nawet jeśli oskarża go sąd przysięgłych. Dwa lata temu rozgniewani wyborcy pokazali liberałom w sądzie drzwi i dali zielone światło ich poprzednikom. Głosowali za tym, by przywrócić sądowi przysięgłych jego poprzednie znaczenie.

Widzę w oczach Lenore iskierki.

– Idealne – oświadczam. – Zamkniemy Chambersa, każemy mu czekać pod salą.

Chociaż podsądni mają prawo zeznawać przed sądem przysięgłych, nie mają prawa zasięgać porady. Jak garderoby niegdysiejszych gwiazd, obrady sądu przysięgłych są zamknięte, objęte tajemnicą nie tylko przed obrońcami, ale i prasą oraz publicznością.

– A także – dodaje Goya – pozbedziemy się Osgooda. – Uśmiecha się z satysfakcją. Sądowi przysięgłych nie przewodniczy żaden sędzia.

– Dziękujemy opatrności za drobne łaski – mówię.

Nagle nastrój Lenore się zmienia, jej twarz się rozjaśnia. Wreszcie pojawiła się szansa ucieczki od nudnego i z pewnością bolesnego dla nas otwartego przesłuchania.

– Nie chciałbym być zachłanny, ale jest coś jeszcze.

Spogląda na mnie.

– W tej chwili jesteś bliżej dowodów niż ja – stwierdzam.

Patrzy na mnie nieufnie, jakby spodziewała się, że poproszę ją o coś więcej.

– Czy sądzisz, że istnieje szansa... – przyglądam się jej przez chwilę w zamyśleniu – czy sądzisz, że mamy szansę przedstawić sądowi przysięgłych dowody dotyczące Scofieldów?

W jej oczach maluje się niewymowne zdziwienie.

– To znaczy oskarżyć Rosjanina o te morderstwa? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie. Czy przychodzi ci do głowy jakikolwiek argument, jakaś teoria, która pozwoliłaby nam zaprezentować sądowi przysięgłych dowody w sprawie zabójstwa Scofieldów, nie oskarżając Iganovicha o jego popełnienie?

Wciąż patrzy na mnie z zakłopotaniem, jakby nie rozumiała, po co mi to.

– Nie wiem – odpowiada. – Kontrolujemy dochodzenie, ale żądasz chyba zbyt wiele. Ktoś z sądu apelacyjnego mógłby się zastanowić, jaki to ma związek ze sprawą. Mógłby nawet dopatrzeć się uprzedzenia w fakcie, że wykorzystaliśmy te dowody przeciw Iganovichowi, nie oskarżając go o popełnienie tej zbrodni.

– A zatem nie radzisz mi tego?

Kręci głową, nadal trochę zdziwiona.

– Czemu pytasz?

– Nie, nic. Tak tylko.

Zostawia mnie w gabinecie, pogrążonego w myślach.

Oto coś, co oskarżyciele nazywają policyjną meliną. Dwa piętra pod okręgowym

biurem szeryfa, na końcu długiego korytarza pełnego przestarzałych i spłowiałych znaków obrony cywilnej, znajdują się solidne drewniane drzwi, bez szybek i napisów. Otwieramy je i wchodzimy do środka.

Lenore idzie za mną. Oglądam się za nią.

– I co sądzisz?

Krzywi się.

– Jak na tę imprezę, wygląda nieźle. Ilu policjantów jest na górze? – zwraca się do Claude'a.

– Na dziennej zmianie, w biurze, może dziesięciu – dwunastu.

Jesteśmy w sali obrad sądu przysięgłych. W tym stanie to pewien problem. Zgodnie z decyzją sądu sprzed piętnastu lat sale sądu przysięgłych, o ścianach pozbawionych okien, zostały zapomniane, a później przeznaczone na sale sądowe lub pochłonięte przez rozrastającą się maszynę administracyjną.

Ze względu na bezpieczeństwo zdecydowałem się zwołać sąd przysięgłych w piwnicach biura szeryfa. Odkąd Iganovicha sprowadzono z powrotem do hrabstwa Davenport, otrzymaliśmy kilkanaście anonimów, których autorzy grożą mu śmiercią.

Zamykamy drzwi i wracamy na górę.

W poczekalni czeka na nas Emil Johnson.

– Mecenasiu, ma pan chwilkę? – Kiwa na mnie palcem, potem odwraca się i rusza do swojego gabinetu.

Ciągnę za sobą Lenore i razem wlecemy się za potężnym zadem Emila.

Johnson zamyka za nami drzwi i prosi, byśmy usiedli.

– Co mają znaczyć te pogłoski o sędzie przysięgłych? – pyta. – Czego brakuje naszemu sądowi?

– Z systemem klucznika?

Kiwa głową.

„Klucznik” to system selekcji, który zezwala kilku wpływowym sędziom i politykom na włączanie swoich znajomych i, czasami, członków rodziny do okręgowego sądu przysięgłych.

– To na nic, Emil.

– Dlaczego?

– Bo oskarżony ma prawo do sądu przysięgłych złożonego z przedstawicieli różnych grup społecznych – wyjaśniam. – Widziałeś ostatnio swój sąd przysięgłych? Jest bielszy niż śnieg. Są w nim tylko dwie kobiety. – Nie wspominam, że jedna z nich jest konkubina

członka rady okręgu. – Nie ma w nim Latynosów ani Murzynów.

– Dwie trzecie jego składu wyznaczyli miejscowi sędziowie. Chcesz powiedzieć, że to niedobrze?

– Biali przyjaciele białych sędziów nie zrobią im krzywdy.

To odbiera mu mowę. Z jego miny wnioskuję, że każde moje słowo zostanie przekazane innym, przeżute razem ze szcerstwiałymi bułkami i zwiędłą sałatą w czasie najbliższego spotkania w Lincoln Club z filarami hrabstwa.

– Polityka nie ma z tym nic wspólnego, Emil. Poczytaj sobie akta sprawy „Smith przeciw stanowi Teksas” i „Aleksander przeciw Luizjanie” – radzę. – Wyrok Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Oskarżonemu przyznano prawo do zakwestionowania składu sądu przysięgłych, który ma go sądzić. Może on sprawdzić pochodzenie społeczne członków sądu, a także dowiedzieć się, według jakiego klucza ich wybrano. Jeśli nie ma wśród nich reprezentantów każdej grupy społecznej, akt oskarżenia można unieważnić. Chyba nie chcesz do tego dopuścić?

Potrząsa głową.

– Zrobimy, jak chcesz. – W ostatecznym rozrachunku Emil jest pragmatykiem.

– Spójrzmy, co tu mamy – mówię.

– U mnie nie za wiele. Tak jak wspominałem, to banda drzewołazów. – Oto, jak Claude nazywa swoich informatorów ze Światowego Centrum Ptaków Drapieżnych.

Lenore wróciła z biblioteki, opiera się o moje biurko. Dusalt siedzi na jednym z krzeseł dla klientów.

– Porozumiałem się z policją w Boise. Jest tam zespół badawczy i ptasie sanktuarium. Gliny nie znają ich zbyt dobrze. Znaleźli dla mnie kilka raportów i namierzyli to miejsce na mapie – informuje Claude.

– Czym się właściwie zajmują? – pytam.

– Gliny twierdzą, że hodowlą ptaków drapieżnych. Jastrzębie, sokoły, wszystkie drapieżne. Hodują je od jaja, wychowują i wypuszczają na wolność. Robią to bezinteresownie. To Centrum działa podobno według takiej zasady: zbierają ptaki z całego świata, hodują je, a potem robią, co trzeba, by zachować równowagę w przyrodzie.

– Dzwoniłeś do nich, rozmawiałeś z kimś?

– Tak. – Dusalt znowu zagląda do notatek. – Szukałem tego Williama Rattigana. – Jeśli Nikki ma rację, to właśnie nasz Bill z komputera Karen Scofield.

– Wyjechał w interesach. Chyba to on kieruje placówką. Dyrektor. Tak go tytułowali. Kobieta, z którą rozmawiałem, była chętna do współpracy, ale nie wiedziała za dużo. Abbott Scofield był regionalnym reprezentantem Centrum, wraz z Rattiganem należał do rady nadzorczej. Razem przeprowadzili wiele projektów.

– Czy powiedziała, dokąd wyjechał Rattigan?

– Na wschodnie wybrzeże, na seminarium. Mam numer do hotelu, w którym się zatrzymał. Nie zastałem go, więc zostawiłem mu wiadomość, żeby do mnie zadzwonił.

– Coś jeszcze?

Claude kręci głową i odwraca czystą kartkę w notesie.

Zwracam się do Lenore:

– Coś znalazłaś?

Większą część popołudnia spędziła w bibliotece uniwersytetu.

– Zgadnij, ile pozycji?

Potrząsam głową – nie mam pojęcia.

– Pięć – odpowiada.



Goya zajmowała się komputerową wersją „Przeglądu periodyków”. Sprawdziła, co gazety i inne publikacje mają do powiedzenia o Centrum.

Sięga do torebki i wyjmuje długą, wąską kartkę złożoną na pół. Kiedy ją rozkłada, okazuje się, że to kilka spiętych ze sobą karteluszków.

– To było najlepsze – mówi. – Z „Audubon”.

Otwieram fotokopię artykułu i zaczynam czytać. Zabiera mi ją i przewraca kilka kartek, potem zaznacza je i odkłada artykuł na biurko, pukając palcem w jedną z fotografii.

Przyglądam się jej: drewniana wieża stojąca na skalistym skraju przepaści, jakaś postać wspinająca się po prowizorycznej drabinie. Czytam podpis:

„Grouse Peak, Idaho. Uniwersytecki ornitolog Abbott Scofield wspina się na szczyt karmnika, by dokarmić młode sokoła wędrownego”.

– Jeśli interesuje cię moje zdanie – odzywa się Lenore – to nad tym projektem pracował, kiedy został zamordowany.

Goya wmaszerowała do mojego gabinetu.

– Masz już plany na lunch? – pyta.

Sięgam po płaszcz.

– Moja kolej – oświadcza. To znaczy, że zamierza postawić mi obiad. Dwa ostatnie fundowałem ja.

– Nie odmówię.

– Wiesz co – zaczyna – myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj. O dowodach dotyczących sprawy Scofieldów. Możemy ich użyć. Przed sądem przysięgłych, rzecz jasna.

– Pogadajmy po drodze – proponuję.

Idziemy w kierunku drzwi.

– To będzie w pewnym sensie podstęp – uprzedza.

Marszczę brwi.

– Troszkę nabierzemy stronę przeciwną, ale tylko troszeczkę. – Wyjaśnia mi, że nie popełnimy oszustwa.

– Na tej wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone – przyznaję. – Bez ograniczeń. Więc o co chodzi?

– Przeprowadziłam małe dochodzenie.

Żadne z nas nie zna się zbyt dobrze na sądzie przysięgłych. Szukając kogoś obeznanego z tym tematem, trzeba by się zwrócić do starszego pokolenia prawników, w

większości już emerytowanych.

– Sprawa Johnsona – mówi Lenore. – Tak zwany list Johnsona.

Gdzieś już o tym słyszałem, ale nie przypominam sobie dokładnie, o co chodziło.

Goya wyjaśnia mi. Istnieje przepis, że choć oskarżony nie ma prawa do wystąpienia przed sądem przysięgłych w towarzystwie adwokata, może żądać, by wszystkie dowody, wszystko co zdaje się wskazywać na jego niewinność, zostało przedstawione przysięgłym, którzy albo zechcą się im przyjrzeć, albo nie, jak to zwykle przysięgli.

– Co to jest „list Johnsona” – indaguję.

– To mechanizm, dzięki któremu sąd może sprostać wymaganiom sprawy. Jeśli oskarżony prześle oskarżycielowi list, w którym żąda, by pewne dowody mogące świadczyć o jego niewinności zostały przedstawione sądowi przysięgłych, oskarżyciel nie ma wyboru: musi je ujawnić. W przeciwnym razie wyrok jest automatycznie anulowany, a akt oskarżenia – unieważniony.

Gwiżdżę głośno.

– Prawdziwa srebrna kula – stwierdzam.

Kiwa głową.

Opuszczamy biuro, schodzimy po schodach.

– Gdzie miałabyś ochotę pójść?

– Może na Quiche Alley? – Jest tam restauracja, w której serwują sałatki i zupy, żywność dietetyczną. Ruszamy w tamtym kierunku.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić. Te dowody ze sprawy Scofieldów mogą się okazać dynamitem. Przysięgli będą zdezorientowani, a Chambers obróci to z powodzeniem przeciw nam – mówi Lenore.

– Bardzo prawdopodobne – przyznaję.

– Nie oskarżymy jego klienta o zamordowanie Scofieldów, ale za to potwierdzimy, że prawdopodobnie jest gdzieś drugi morderca, wciąż na wolności. Gdybym to ja była adwokatem, zemdlalabym ze szczęścia – dodaje.

– No właśnie. Myślisz, że Chambers jeszcze się nie zorientował, jaką szansę daje mu sprawa Scofieldów? Musiałby być głupi – stwierdzam. – Ale ciągle jeszcze nie wiemy, jak dalece może nam to zaszkodzić.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. Wreszcie odzywam się:

– Jak zareaguje dwanaścioro uczciwych i obiektywnych ludzi, kiedy zostaną im przedstawione dowody ze sprawy Scofieldów, dokładnie wymieszane z innymi świadectwami i dowodami rzeczowymi? Wybuchną nam w twarz, czy pozostaną obojętni?

Wzrusza bezradnie ramionami.

– No właśnie. – Zerkam na nią z ukosa. – Dlatego chcę to przedstawić sądowi przysięgłych – przyznaję. – Żeby przeprowadzić próbę generalną.

Zatrzymuje się w pół kroku i patrzy na mnie; rozumie, dokąd zmierzam. Śmieje się krótko.

– Interesujące – konstatuje, kiwając głową. Prawie widzę, jak w jej mózgu obracają się trybiki. – Ale jego tu nie ma. Nie zobaczy, jak to robisz.

Uśmiecham się.

– Zupełnie jak w sprawach pozorowanych – dorzucam.

Ruszamy dalej.

Najnowsza moda panująca wśród prawników zajmujących się sprawami potężnych aferzystów polega na tym, że wynajmuje się ludzi, zwykle odpłatnie, i zamyka ich na wiele dni w jednym pokoju z prawnikami, którzy rozgrywają na próbę swoje spory, testują teorie i dowody, aby się przekonać, co się sprawdza, a co nie, i w ten sposób znaleźć najlepszą linię postępowania. Ja tylko nieśmiało usiłuję zastosować to najnowsze narzędzie w sprawie, która mnie czeka.

– Ale nie będziemy za to płacić – ciągnę. – Musimy tylko spowodować, by Chambers poprosił o przedstawienie dowodów ze sprawy Scofieldów przed sądem przysięgłych.

– To nie będzie takie trudne – oświadcza Goya.

Staję. Patrzę na nią.

– To proste – wyjaśnia. – Wyślemy do niego list, informując, że nie chcielibyśmy przedstawiać sądowi przysięgłych dowodów dotyczących Scofieldów, jako że nie mają związku ze sprawą i mogą sprawić sędziom kłopot. Powołamy się na sprawę Johnsona i pozwolimy mu się z nią zapoznać.

Uśmiecham się. Lenore szybko rozszyfrowała charakter Adriana Chambersa i stosowane przez niego chwytły. Jej list podziała na niego jak zapach krwi na rekina. Bez wątplenia będzie to najszybciej napisany „list Johnsona”, jaki kiedykolwiek skreśliła w tym stanie ludzka ręka.

Wciąż się do niej uśmiecham.

– Dzisiaj ja stawiam – mówię. Lenore zasłużyła na obiad.

Wszystko odbyło się piorunem. Chambers tak szybko przysłał nam tak zwany list Johnsona, że trudno uwierzyć, by napisała go ludzka ręka.

Lenore szaleje z radości. To wszystko, czego się spodziewała, a nawet, jak mi się zdaje, jeszcze więcej.

– Pewnie liczy, że zgłosimy sprzeciw.

Goya jest przekonana, że Chambers czeka teraz na nasz ruch, naszą prośbę, by nie przedstawiać w sądzie dowodów ze sprawy Scofieldów.

– Będzie czekał, aż mu wyrosnie długa, siwa broda – komentuję.

Jego list jest niedwuznaczny. Zostawił nam szeroko otwarte drzwi. Żeby później nie narzekał, że dowody dotyczące Scofieldów nie mają związku ze sprawą jego klienta albo działają na jego szkodę.

– Jeśli nie możemy poszczuć na niego przysięgłych, przynajmniej wciągnijmy je na maszt i popatrzmy, jak trzepocą na wietrze. – Mówię o szczegółach, rozbieżnościach pojawiających się w sprawie Scofieldów.

Oboje zastanawiamy się, czy zdołamy przekonać przysięgłych o istnieniu drugiego mordercy, naśladowcę pierwszego. Jeśli szczęście nam dopisze, będziemy mieć próbę generalną, w czasie której się o tym przekonamy.

Lenore przyniosła również złe wieści. Kay Sellig, podsłuchująca, co piszczy w Departamencie Sprawiedliwości, dowiedziała się, że otrzymano tam oficjalną skargę Acosty na mój sposób prowadzenia sprawy o ekstradycję Rosjanina. Nie ma pojęcia, co prokurator generalny zamierza z tym począć, ale na razie to pismo jest jak tykająca bomba zegarowa. Teraz do szczęścia brakuje mi tylko nieprzychylniej opinii wysłannika rządu zagląającego mi przez ramię.

Na razie zgłębiam treść tego, co napisał Chambers.

Jego „list Johnsona” jest niczym wystrzał z karabinu z oberżniętą lufą – trafia w kilka punktów. Adrian sięga do jeszcze ciepłych popiołów wniosku o przyspieszenie sprawy i usiłuje korespondencyjnie przekonać przysięgłych o swojej racji. Według mnie to błąd.

Oprócz dowodów rzeczowych znalezionych w furgonetce Iganovichowi wyrwało się owo demaskujące go zdanie, kiedy aresztowano go w Kanadzie; zdanie, które słyszeli dwaj strażnicy. I choć jest dyskusyjne, czy może ono być uznane za formalne przyznanie się do winy, przysięgli mogą je tak potraktować. Nie byłoby z ich strony łatwowiernością, gdyby

stwierdzili, że oskarżonego martwił nie tyle pojazd, ile raczej jego zawartość.

Chambers wykorzystuje teraz okazję i tłumaczy w liście słowa Rosjanina. Oświadcza, że jego klientowi chodziło o mandat za porzucenie samochodu na parkingu. Według tej bajeczki Iganovich był pewien, że za to właśnie aresztowano go w Kanadzie. Chambers wykorzystuje też argument, że facet kiepsko mówi po angielsku, znalazł się w obcym kraju i czuł się zagubiony. Twierdzi, że ktoś inny zaparkował furgonetkę Iganovicha i nie zapłacił za postój. Rosjanin rzekomo sądził, że to poważne wykroczenie, stąd jego zdenerwowanie. Podobnie Adrian tłumaczy nieopatrzoną wypowiedź Iganovicha na temat furgonetki. Co za fantastyczna historyjka. Muszę przyznać, że Chambers ma bardzo bogatą wyobraźnię, nawet nieco za bogatą.

Nie można jednak pominąć faktu, że Adrian nie zidentyfikował tego tak wygodnego dla niego gościa; faceta, który rzekomo zaparkował furgonetkę na uniwersyteckim parkingu.

– Mam pytanie – odzywa się Lenore.

Spoglądam na nią.

– Jak zamierza zaprezentować tę historię przysięgłym na procesie?

Goya ma rację. Jeśli Iganovich nie potwierdzi tej nieprawdopodobnej opowieści jako świadek, może to być przedstawienie, które zejdzie z afisza po pierwszym spektaklu odegranym przed sądem przysięgłych.

– Może znajdzie innego świadka – próbuję przewidzieć. – Przyjaciela, który potwierdzi, że zaparkował pojazd.

Lenore się krzywi.

– I oskarży sam siebie?

Kręcę głową – nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Trzeba będzie poczekać, aż ujawnią przed sądem listę świadków – stwierdza Goya.

– Może nie. Dowód przedstawiony przed sądem musi być zatwierdzony. Mamy prawo znać jego źródło, zanim przedłożymy go przysięgłym.

– O czym ty mówisz? Chcesz go zmusić, żeby ujawnił tego rzekomego kierowcę furgonetki?

– To jedna z ewentualności.

– Mam inną – ona na to. – Mógłby na razie nie wspominać o tym w liście. – Goya sądzi, że Chambers zrobiłby to, gdyby go przycisnąć.

Chyba ma rację. To powszechna praktyka i jedna z ciemniejszych stron obrony – przedstawianie w ostatniej chwili wygodnego świadka. To zaproszenie do krzywoprzysięstwa równie stare jak samo prawo.

Prawodawstwo tego kraju od lat usiłowało sobie z tym radzić, wydając nakazy wczesnego przedstawiania spisu świadków, aby oskarżenie miało czas na sprawdzenie ich wiarygodności, zanim staną przed sądem. Ale czasami sąd je uchyla, by dać oskarżonemu ostatnie słowo, w imię sprawiedliwości.

– Zażądajmy od Chambersa – proponuję – by dał nam dowód na to, że istnieją świadkowie mogący potwierdzić jego wersję wydarzeń.

– Zawstydzimy go, co?

Kiwam głową.

Widzę, że podoba się jej ten pomysł.

Ale na razie jest w liście Adriana coś, co mnie martwi. Przeczytałem go kilkakrotnie pod każdym możliwym kątem. Teraz, kiedy odczytuję go jeszcze raz, mam nieprzyjemne, mdlące uczucie, że coś się w nim nie zgadza.

– Jego list jest jak mapa drogowa. A mnie niepokoją pewne szczegóły – mówię.

– Skąd wiedział o tych szczegółach? – pyta Lenore. – Też się nad tym zastanawiałam.  
– A więc również to zauważyła, choć mówi o tym dopiero teraz.

– Jak się dowiedział, co się znajdowało w aktach Scofieldów? – myślę głośno. – Były ściśle tajne. Nie oskarżaliśmy jego klienta o te morderstwa. – Krzywię się. – A więc Chambers nie miał dostępu do szczegółów tej sprawy.

– Może zgadł – podsuwa Lenore. – Na przykład wie, że porównywaliśmy końce linki, której użyto do zabicia pierwszych czterech osób, bo podawały to raporty policyjne. Te same, które donosiły, że metalowe śledzie, jakimi posłużył się zabójca studentów, były zaostrome na końcach.

– Niewykluczone – odpowiadam. – Może to zwykła dedukcja, ale fakt, że nie oskarżyliśmy Iganovicha o zamordowanie Scofieldów, świadczy, iż nie znaleźliśmy podobieństwa między śledziami i linkami użytymi w poszczególnych wypadkach.

Tak właśnie rozumowała. To prawdopodobne. Chambers nie przepuściłby czegoś takiego.

– Całkiem sprytne posunięcie – oświadcza. – Stwierdzić w liście, że linka i gwoździe nie pasują, a potem czekać, co zrobimy. Aby przedstawić dowód w sądzie, musimy uwzględnić go w aktach sprawy. On czyta ich kopię i doskonale wie, czym dysponujemy. Nie ma szans, żeby mu się nie powiodło. Jeśli będziemy siedzieć cicho i nie powołamy się na żaden ważny dowód, będzie mógł spokojnie uznać, że nie mamy z czym wystąpić przed sądem.

Patrzę na nią, podążając za tokiem jej rozumowania.

– Więc kiedy staniemy przed sądem, on wykorzysta te nie wyjaśnione morderstwa, te rozbieżności w dowodach rzeczowych do zasiania ziarna wątpliwości?

Lenore potakuje.

– Właśnie. Do tego zmierza. Będzie usiłował wmówić przysięgłym, że ktoś inny popełnił te wszystkie zbrodnie. Zacznie przekonywać, że dopóki nie wiadomo, kto załatwił Scofieldów, istnieje uzasadnione prawdopodobieństwo, iż jego klient nie dopuścił się żadnego z nich.

Ma rację. Dokładnie tak planuje swój atak. Może to nie wystarczy do uniewinnienia, ale sprawi, że przysięgli staną w martwym punkcie, hrabstwo zaś w obliczu następnego kosztownego procesu. Chambers będzie się rozkoszował swoją zemstą. A w razie kolejnego procesu Derek Ingel i Armando Acosta postawią sobie za punkt honoru zniszczenie mojej kariery.

Ponownie patrzę na otwarty list Chambersa, leżący na moim biurku. Uderza mnie w nim jeszcze coś; coś, o czym nie wspomniałem Lenore. To ton tego pisma. Chambers jest zbyt pewny siebie. Jego słowa nie są słowami kogoś błądzącego w ciemnościach, kogoś posługującego się szczegółami opartymi na domniemaniach.

Musiał znaleźć jakieś dojskie, odkryć zbyt wiele. Świadczy o tym wzmianka o śladach opon znalezionych w miejscu śmierci Scofieldów.

Adrian stwierdza bowiem: ślady opon pozostawione na miejscu zbrodni nie pasują do śladów opon furgonetki jego klienta. Rzecz jasna, ma rację. Policja faktycznie odkryła ślady opon i nie stwierdziła żadnego ich podobieństwa do śladów opon pojazdu Iganovicha.

Problem tylko w tym, że w żadnym raporcie dotyczącym wcześniejszych morderstw nie ma mowy o jakichkolwiek śladach opon. To było coś trzymanego w tajemnicy, coś ściśle izolowanego, zamieszczonego wyłącznie w aktach Scofieldów. Ta informacja o śladach opon to nie jakiś tam przypadkowy domysł.

Chambers nie mógł się o tym dowiedzieć w żaden sposób, chyba że ma wtyczkę, chyba że rozmawiał z kimś, kto jest blisko śledztwa.

– Wychodzimy – mówi Nikki.

– Hmm? – Jest sobotnie popołudnie, siedzę przy stole kuchennym i tonę w lekturze sportowych stron gazety. Po raz pierwszy od tygodnia przeczytałem coś nie mającego związku z moją pracą.

– Nawet kiedy tu jesteś, nie ma cię z nami – dodaje.

Opuszczam gazetę, robię skruszoną minę i przepraszam.

Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że żona ma torebkę na ramieniu. Oto moje życie, jako ostatnio wiodę z Nikki i Sarah: nie kończący się łańcuch przeprosin za stracone weekendy i późne powroty z biura.

– Dokąd idziesz? – pytam.

– Mówiłam do ciebie przez pięć minut. Nie słyszałeś z tego ani słowa.

To prawda. Nikki stała przy zlewie, kiedy ja kryłem się za gazetą. Jej głos szemrał w tle, zlewając się z szumem telewizji, którą Sarah oglądała w pokoju obok. Ale ja nie widziałem i nie słyszałem niczego, nawet wyników meczów bokserskich, po których cztery razy prześliznąłem się wzrokiem. Myślami jestem przy Putah Creek, przy choreografii mojego sądu przysięgłych.

– Przepraszam – bąkam. – Myślałem o czymś innym.

– Jasne. – Jej spojrzenie mówi: „żadna nowina”.

– Zabieram Sarah do kina, potem jemy kolację z Laurą Benson i jej dziewczynkami. – Laura Benson to druga wdowa po prawniku, żona ważnej osobistości w światku prawniczym, jednego z miejscowych specjalistów od afer finansowych, który zawsze piecze tyle pieczeni na jednym ogniu, że mógłby nakarmić oddział wojska.

Nikki dołączyła do „sieci wdów” – żon prawników, które już zrezygnowały z nadziei na wyleczenie swoich mężów z obsesji pracy. Widziałem ich powielone na kserokopiarce teksty z mottem w nagłówku:

*Żyj z nim, rzuć go -  
i tak go stracisz.*

Oto najnowsza forma samopomocy między małżonkami prawników.



– Kolacja w lodówce – informuje Nikki. – Pólmisek w folii. Pięć minut w kuchence mikrofalowej.

– Kiedy wrócisz?

– Jeżeli wrócę. – To ich doktryna: bezwstydną niezależność sięgająca do granic bezczelności.

– Byłoby mi miło, gdybyś podała jakąś orientacyjną datę. Dziś? Jutro?

Ignoruje mnie.

– Sarah, wyłącz telewizor! Chodźmy, bo się spóźnimy.

– Nie martw się o nas – rzuca. – Sarah i ja będziemy się świetnie bawić.

Sumienie przestaje mi nieco dokuczać.

– Jak skończysz z tym swoim procesem, możesz do nas dołączyć – dodaje. – Znajdziesz nas tam. Być może.

To jej ostatnia kwestia. Zostawia mnie, z nożem wciąż tkwiącym w świeżej ranie.

Zostały nam trzy dni na przedstawienie dowodów sądowni przysięgłych. Bez ogródek i komplikacji nakarmiłem ich wynikami analiz Kay Sellig dotyczącymi sznura i metalowych śledzi, dowodami wskazującymi na Andre Iganovicha jako mordercę czworga studentów, opisem okoliczności, w jakich znaleziono owe dowody, i szczegółami jego ucieczki z Davenport.

Goya i Sellig pracowały nad szczegółami dowodów ze sprawy Scofieldów. Teraz wyniki ich pracy leżą i czekają na sposobność zaprezentowania przysięgłym.

Zdecydowaliśmy, że – bez względu na okoliczności – nie ujawnimy, iż podczas wyników sekcji zwłok, którą przeprowadził doktor Tolar, wyszło na jaw, że Scofieldowie zostali zabici w innym miejscu, a potem ich ciała przetransportowano nad Putah Creek. Nie chcę, żeby te informacje znalazły się w aktach, które będzie mógł przeczytać Chambers. Tego asa zatrzymam w rękawie do procesu.

Najbardziej obawiam się, że przysięgli potraktują obojętnie dowody ze sprawy Scofieldów, przeczytają „list Johnsona” i ziewną. Ostatnio, gdy Goya i ja dyskutowaliśmy o naszej strategii, postanowiliśmy odegrać niewielką farsę, jeśli sprawy przybiorą zły obrót – parę pytań i odpowiedzi w obecności sądu. Wszystko po to, by zarzucić przynętę, haczyk, by zmusić ich do przyjrzenia się dowodom dotyczącym Scofieldów. Ale nasza pospiesznie sklecona parodia może się jednak okazać zawodna, pusta jak mielizna i niemal równie niebezpieczna. Nie oszukamy nikogo rozgarniętego, zwłaszcza sędziego z sądu apelacyjnego

albo Chambersa, jeśli zdecyduje się sprawdzić akt oskarżenia. Sąd apelacyjny mógłby się zdziwić, co nasza rozmowa robi w aktach sprawy.

Lenore oznajmiła, że ma lepszy pomysł. Słuchałem jej z pewnym drżeniem, ale w końcu się zgodziłem.

Naszym wrogiem nie są – jak na razie – fakty czy prawo ani nawet podstępny umysł Adriana Chambersa, obecnego tu tylko przez swój list. Najbardziej się boję podziału grona sędziów na przeciwstawne frakcje. Między przysięgłymi powstały animozje, i nie ma to nic wspólnego ze sprawą ani dowodami świadczącymi na naszą niekorzyść.

Z punktu widzenia oskarżyciela sąd przysięgłych jest wtedy najlepszy, kiedy jest zamkniętą i broniącą do siebie dostępu grupą, jak rodzina, która w czasie kryzysu zacieśnia swoje więzy. Wprowadzenie do niej członka wywołującego rozdzwięk może spowodować nie lada ferment. A ja takiego członka znalazłem.

William Geddes ma krótko ostrzyżone włosy i wąską, kanciastą twarz. To nabytek z wielkiego miasta, emerytowany policjant. Przeniesiony tu z policji w Los Angeles z powodu niezdolności do pracy, żyje jak ziemianin, wraz ze swymi końmi i czwartą żoną, w posiadłości za miastem. Wszystko wskazuje na to, że to pyskacz pierwszej klasy, obdarzony szalejącym libido.

Między jednym a drugim łykiem dietetycznej coli zaślinił cały stolik, lubieżnie przyglądając się Lenore Goi i jednej z przysięgłych, młodej nauczycielce, blondynce siedzącej naprzeciw niego, przy innym stoliku.

Pierwszego dnia przesłuchań Geddes wodzi spojrzeniem po długich nogach blondynki, okrytych krótką spódniczką. Następnego dnia dziewczyna pojawia się w spodniach i siada tam, gdzie nie może na nią zerkać, nie wykręcając przy tym szyi.

Wczoraj przebrał miarękę. Zaczął uderzać do Goi. Opowiedział parę mdłych żarcików i otwartych aluzji o erotycznym zabarwieniu, nie kierując ich do nikogo w szczególności. Wymruczał je pod nosem niby to do siebie podczas popołudniowej przerwy, jakby chodziło o niewinną chęć rozweselenia towarzystwa. Ale jego oczy przyłgnęły do Lenore niczym radar czuły na odcienie lubieżności.

A potem wykonał niebywale posunięcie. Kiedy szła w stronę drzwi, pochłonięta jakąś sprawą, szepnął jej do ucha na tyle głośno, że usłyszałem to ja i dwoje przysięgłych:

– A może wyskoczmy na jednego po pracy, tylko pani i ja? – Nie jest oryginalny.

Goya zwołniała odrobinę, odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Lubię zdrowe organy – odparła. – Na co mi taki złamany fiut?

Jeden z przysięgłych wprost skręcał się ze śmiechu nad swoim stolikiem. Geddes

rzucił mu nienawistne spojrzenie.

To nie zbiło z tropu przysięgłego, farmera z głębokiej prowincji, z postury przypominającego pług śnieżny. Geddes musiał zatuszować swoje jadowite spojrzenie. Zmienił wyraz twarzy, usiłując nadrabiać miną.

– Jezu. – Potrząsał głową ze śmiechem. – Idę o zakład, że potrafi ssać jak odkurzacz. – To była próba zjednania sobie męskiej części widowni, apel do zdrowych prowincjuszy, którzy jednak nie zareagowali.

Goya wyszła i nie słyszała jego ostatnich słów. Jestem pewien, że przysięgli uznali to za szczęśliwą dla Geddesa okoliczność. W przeciwnym razie musiałyby wyjaśnić żonie, jak to się stało, że jego „pan Doodles”, ten jednooki potwór w golfiku, ma zmiażdżone bąbelki.

Dziś Geddes od samego rana zachowuje się wrzaskliwie, zadaje niesłychaną liczbę bezsensownych pytań, jakby mścił się na zespole.

Trzej farmerzy siedzą blisko siebie przy stole jak chłopcy z Bonanzy, założywszy na piersiach potężne, owłosione ręce.

Profesor z college’u i dwie gospodynie domowe po drugiej stronie stołu zachowują się spokojnie. Nie są skłonni do stawiania pytań ani komentowania, chyba że szeptem, między sobą. Nie mam pojęcia, o czym myślą oni i reszta przysięgłych.

Ravi Sahdalgi, pakistański student, znajduje się najbliżej mnie, na skraju stołu w kształcie litery „U”.

– Szmaciarz – mruknął pod nosem Geddes, kiedy Sahdalgi spróbował się odezwać. Od tej pory rozumny i skryty chłopak zachowuje całkowite milczenie.

Obok Sahdalgiego siedzi Vernon Shupe, student prawa. Młody i wykształcony Shupe też się chyba obawia jadowitych uwag Geddesa.

Geddes, jak magnes wsunięty pod kompas, swoim nieznośnym zachowaniem zupełnie pozbawił mnie orientacji w nastroju przysięgłych. Jego obmierzłe komentarze kazały im zejść do podziemia. Ich milczenie, umykające spojrzenia mówią mi, że osiągnęli porozumienie tylko co do jednego: gdybyśmy znajdowali się w szalupie na pełnym morzu, wniosek o wyrzuceniu Williama Geddesa za burtę zostałby przyjęty przez aklamację.

Mamy teraz przerwę śniadaniową. Zakończyłem przedstawianie naszych najważniejszych dowodów, wszystkiego z wyjątkiem argumentów uniewinniających, przytoczonych przez Chambersa w jego „liście Johnsona”.

Przysięgli opuszczają pomieszczenie, by rozprostować nogi, wypalić papierosa. W pokoju zaczyna robić się duszno, jak zwykle w starych budynkach.

Lenore Goya, siedząca najbliżej drzwi, idzie do telefonu znajdującego się na zewnątrz.

Chce prosić o wyłączenie ogrzewania.

Po dwóch minutach wraca.

– Jesteś gotowy? – pyta. Ma na myśli „list Johnsona”.

Wzdycham głęboko.

– Tak. Zawołaj ich.

Wzywa troje przysięgłych, którzy wyszli na podwórko, żeby zapalić, i wracamy do pracy.

Proszę wszystkich o uwagę i przypominam, że zapoznali się już z dowodami, którymi na razie dysponujemy, i że według mnie to w zupełności wystarcza do postawienia Andre Iganovicha w stan oskarżenia za popełnienie czterech morderstw pierwszego stopnia.

Przysięgli potakują.

– Sądzę, że dowody, jakie państwu przedstawiliśmy, najzupełniej wystarczą do oskarżenia podejrzanego o zbrodnie, za które grozi kara śmierci.

Chodzi mi o dowody świadczące o zadawaniu tortur i o to, że Iganovich zaczął się na swoje przyszłe ofiary. Przyjęcie ich oznacza zgodę na karę śmierci.

– Jednakże – ciągnę – pozostaje jeszcze jedno. – Wyjaśniam, na czym polega procedura związana z „listem Johnsona”. Informuję, że nie jestem odpowiedzialny za treść tego pisma, a oni nie muszą brać pod uwagę żadnego z przytoczonych w nim dowodów. Prawo jednak nakazuje mi je ujawnić, a przysięgli mogą, jeśli zechcą, zapoznać się z nimi. Robię to ze względu na protokół z naszego posiedzenia. Nie chcę sprawiać wrażenia, jakbym naciskał na przysięgłych.

W pokoju jest już zbyt gorąco. Zdejmuję marynarkę.

Goya rozdaje kopie listu, w którym Chambers powołał się na dowody i zgodne z prawem argumenty. Wszyscy pochylają się nad nimi.

Lenore spogląda na drzwi. Chciałaby je otworzyć, wpuścić trochę świeżego powietrza. Ale w wypadku posiedzenia sądu przysięgłych zachowanie tajemnicy jest ważniejsze niż nasza wygoda. Słabo wyczuwalne, lecz gęstniejące wonie zaczynają rozprzestrzeniać się po sali. Po chwili Goya patrzy na mnie. Ona też czuje ten odór, coś jakby zapach gnoju, który zawdzięczamy panującemu w pokoju upałowi.

Mija kilka minut. Kilkoro przysięgłych odwróciło swoje kopie drukiem do dołu lub odłożyło je na znak, że już przeczytali i czekają na moje dalsze słowa.

Ostatni przysięgły odsunął swój list. Szukam w ich twarzach oznak ciekawości, dociekliwości, sprawdzam, czy jest między nimi jakiś przywódca, który razem ze mną zapuści się w ten gąszcz.

– Czy są jakieś pytania? – odzywam się.

Obojętne spojrzenia, nikt nie podnosi ręki.

– Proszę państwa, wiem, że to długi list. Może będzie nam potrzeba więcej czasu, żeby się z nim zapoznać.

Rzucają mi bolesne spojrzenia – dorosła wersja wkurzonych studentów na wykładzie z historii. Wszystko jasne. Są zdecydowani powiesić Rosjanina. Chcą wracać do domu.

Wreszcie jakaś ręka. To Vernon Shupe, student prawa. Dobry chłopak.

– Panie Shupe? – Uśmiecham się z gorliwością sprzedawcy używanych samochodów.

– Czy oskarżyliście podejrzanego o te morderstwa?

– Nie, panie Shupe, nie oskarżyliśmy. – Proszę, proszę. Zapytaj, dlaczego.

– Dlaczego – mówi – mamy zapoznawać się z dowodami zbrodni, o które go nie oskarżyliście? – pyta.

Ty draniu, myślę, nie słuchałeś? Nie przestaję się do niego uśmiechać, mając nadzieję, że nasza rozmowa nie stanie w martwym punkcie.

– Dobre pytanie – chwalę.

Odwzajemnia mi uśmiech, zadowolony, że je zadał.

– Ponieważ jego obrońca uważa, że ostatnie morderstwa i okoliczności, w jakich je popełniono, mogą wykazać niewinność jego klienta. W tym sensie są one bardzo ważne. – To ostatnie zdanie dodaję, by zachęcić go zadania następnego pytania.

– Ach. – Opada z powrotem na krzesło.

„Ach” – i to wszystko? – „Ach!” Siedząca koło mnie Lenore wydaje niemal głośny jęk. Przewiercam Shupe’a wzrokiem na wylot. Jeśli nie wysili umysłu, za chwilę będzie wyglądać jak ser szwajcarski po trzech latach prawa.

– Jakież inne pytania? – zachęcam. – Czy ktoś ma jakieś pytania? – Toczę wzrokiem wokół stołu. Nikt się nie rusza, z wyjątkiem Williama Geddesa. Jego nozdrza nagle zaczynają się poruszać – uparte, wściekle trzepotanie, kiedy wciąga powietrze.

– Tak, ja mam – oświadczam. – Co to, proszę mi wybaczyć, za sztytny?

Patrzy na mnie.

– Nie czuje pan? – dorzuca. – Jakby ktoś umarł.

Kobieta siedząca obok Geddesa spogląda na niego z miną, która obwieszcza światu: „to nie ja”. Ten zaś zerka w dół, pod stół naprzeciw siebie i zaczyna się śmiać.

– Ach, to nasz farmer! – oznajmia.

Wskazuje na parę kowbojskich botków, kosztownego obuwia z wężowej skóry ze srebrnymi noskami. Tkwią, skrzyżowane, pod stołem na wprost Geddesa.

– Powinien pan je przynajmniej oskrobać – mówi. – Niech zgadnę. Konie? – ciągnie Geddes.

Gdaczący rehot.

Jego sąsiad rzuca mu niechętnie spojrzenie. To członek rady wydziału na uniwersytecie, który woli już znosić smród niż Geddesa i jego gadaninę. Boję się, że ta cicha wrogość wśród przysięgłych przedostanie się do wiadomości publicznej.

Sam Holland, farmer z naprzeciwka, to jeden z przedstawicieli tutejszego agrobiznesu. W zwykłych okolicznościach spodziewałbym się, że on i Geddes znajdą ze sobą coś wspólnego, prowincjonalne korzenie. Ale Geddes zniweczył wszelkie na to szanse.

Holland wzrusza ramionami jak prawdziwy kowboj. Ten gest może oznaczać wszystko – od obsceniczności do przeprosin, zależy, jak się na to spojrzy. Później wskazuje palcem na Geddesa. Ze swoją krótko przyciętą brodą i długimi do ramion siwymi bujnymi lokami wygląda jak postać męska ze *Stworzenia świata* Michała Anioła: oskarżycielski palec wskazujący, odrobinę zakrzywiony na końcu, i ramię wyciągnięte na całą długość.

– Ty – zwraca się do Geddesa – ty dupku jeden, mylisz się.

Geddes wpatruje się w niego, zeszywniały, gotów podjąć każde wyzwanie.

– To krowie łajno – ciągnie Holland. – A myślałem, że ty, właśnie ty się w tym połapiesz.

Geddes zrywa się z krzesła.

– Panowie, proszę! – Unoszę obie ręce jak sędzia rozdzielający dwóch zapaśników. – Skupmy się na naszym zadaniu, na liście.

– Mam go dosyć – rzuca Holland.

– Pocałuj mnie gdzieś – ripostuje Geddes.

Farmer robi krok w jego kierunku.

– Dość! – nakazuję.

Uderzam o stół ciężkim tomem. Rozlega się potężny trzask.

Geddes i Holland oglądają się na mnie. Obaj zatrzymują się w pół drogi.

– Teraz siadać! – Umyślnie używam rozkazującego tonu, dla efektu. – Obaj. Mam ochotę oskarżyć was o obrazę sądu i wyznaczyć wam spotkanie z sędzią Fisherem – grozę.

Holland wycofuje się, niechętnie i z ociąganiem, z karkiem zgiętym niczym jeden z jego rodowodowych buhajów. Sadowi się w krzesło i śle Geddesowi ostatnie spojrzenie: tak mógłby spojrzeć na psa, zanim by go kopnął swoim ciężkim butem o ostrym czubku.

Geddes wydaje z siebie coś w rodzaju warknięcia, wygląda jak podejrzaný kundel kręcący się w pobliżu zagrody.

Patrzę na Goyę. Przewraca oczami, jakby pytała: „I co jeszcze?”

– To gremium ma podjąć decyzję – przypominam. – List, który przed nami leży, porusza ważne kwestie. Pytanie tylko, czy zapoznacie się państwo z dowodami ze sprawy Scofieldów, czego domagają się oskarżony i jego obrońca. Musimy się na tym skupić.

To znak dla Lenore, pora na jej wejście.

– Powinniśmy przeanalizować poruszone problemy punkt po...

– Po co? – przerywa jej Geddes. – Już dosyć wysłuchaliśmy i przeczytaliśmy – mówi.  
– Facet jest winny jak sam diabeł.

No i proszę – głos z wysokości. Jakby to wystarczyło do skazania człowieka.

– Co za różnica, czy pošlemy go do gazu za cztery, czy za sześć morderstw? – ciągnie Geddes. – Nie chce mi się. Mam co innego do roboty. Interesy.

Jeszcze raz przywołuję go do porządku i oświadczam zgromadzonym, że musimy przestrzegać określonej procedury.

– Procedura! – prychna. – Strata czasu.

Rozgląda się dokoła, patrzy na Hollanda, Shupe’a i innych. Milczenie.

Wreszcie rozlega się cichy, dystyngowany głos, dobiegający z tyłu po mojej prawej stronie.

– Panie Madriani? – odzywa się Ravi Sahdalgi.

– Tak, panie Sahdalgi?

Geddes wbija wzrok w sufit.

– Te dowody dotyczące zabójstwa Scofieldów. Czy to ważne dla sprawy, w której wniesiono oskarżenie, sprawy morderstwa czworga studentów?

– Być może – odpowiadam. – Zależy, jak je potraktujecie.

– A obrońca – kontynuuje Sahdalgi – uważa, że ten, kto zabił Scofieldów, zamordował też innych, lecz nie jest to jego klient?

– Zdaje się, że takie właśnie jest jego stanowisko.

– A zatem powinniśmy zapoznać się z dowodami – kończy.

Patrzę na niego z napięciem.

– Czy to oficjalna prośba?

– Tak. Proszę o pozwolenie zapoznania się z dowodami dotyczącymi morderstwa Scofieldów. – Zerka na Geddesa.

W jego oczach widzę nieodwołalną decyzję: to spojrzenie proroka, pewnego, że głosi Słowo Boże.

– Na litość boską – mówi Geddes.

Robi ruch, jakby zamierzał wstać.

– Proszę usiąść, panie Geddes. Ta kwestia nie podlega dyskusji, chyba że ktoś chce jej udzielić poparcia.

Geddes pada z powrotem na krzesło, mruczając pod nosem jakieś bluźnierstwa. Zdaje się, że rasistowskie obelgi. Rzuca Sahdalglemu mordercze spojrzenie, rozkracza szeroko nogi, odchyła się z krzesłem do tyłu, opierając je o ścianę. Wygląda jak rozgniewany młokos.

– Gównu – mamrocze cicho, przenosząc wzrok na Hollanda.

Drobny przejaw nikkczemności.

Tego mi było trzeba.

– Popieram prośbę! – woła Holland. Jego spojrzenie mówi: „teraz oberwiesz”. – Proponuję głosowanie – dodaje.

To wyklucza dyskusję i zatrzymuje Geddesa w pół drogi z krzesła.

– Wszyscy – oświadczam – którzy są za przedstawieniem dowodów ze sprawy Karen i Abbotta Scofieldów, proszeni są o podniesienie ręki.

Dwadzieścia dwie ręce wznoszą się ku sufitowi, niczym łodygi kukurydzy z kansaskich pól. Geddes krzywi się, wydaje przeciągły jęk. Na swój sposób oddał mi nieocenioną przysługę. Dzięki jego pomocy grupa przysięgłych znalazła jednomyślność. I odepchnęła Williama Geddesa, zostawiając go na otwartym morzu pogardy.

Spoglądam na Lenore. Uśmiecha się od ucha do ucha – dobrze skonstruowany plan odniósł pożądany skutek. Później, po posiedzeniu, wypijemy za to w „Tories”, barze za rogiem: Lenore Goya, ja i rzecz jasna William Geddes, który perfekcyjnie odegrał swoją rolę. Ten drobny epizod uświadomił mi jedno: Goya dobrze orientuje się w stosunkach społecznych. Jej pomysł rzeczywiście okazał się dobry.

Był to starannie obmyślony plan, bliski granic manipulowania przysięgłymi, lecz nie przekraczający tych granic. Geddes zmusił innych do podjęcia decyzji, ale sam nie mógł jej podjąć, poprzeć jej czy nawet za nią głosować. Zgodził się na to po krótkiej rozmowie z Lenore. Wyjaśniła mu na osobności, dlaczego zależy nam na przedstawieniu tych dowodów. Przerwał jej, nie chciał wiedzieć nic więcej. Cała reszta była wyłącznie jego dziełem. Podobno najlepiej gra się samego siebie. Przypadek Williama Geddesa dał mi do myślenia.

Claude jest zajęty uganiem się za Williamem Rattiganem, nieuchwytnym dyrektorem Światowego Centrum Ptaków Drapieżnych, bez przerwy w rozjazdach. Dusalt zdybał go wreszcie wczoraj w jego gabinecie tylko po to, żeby dowiedzieć się, iż Rattigan wybiera się w następną podróż, tym razem do południowej Kalifornii, na seminarium w uniwersytecie kalifornijskim w Los Angeles.



Claude musiał się niezłe nagadać, powołać na konieczność stawienia się przed sądem pod groźbą kary. Rattigan zgodził się wreszcie nadłożyć drogi i spotkać się z nami dziś rano na lotnisku w stolicy. Zaznaczył jednak, że jest to wyłącznie jego dobra wola.

Tego ranka siedzi przy stole z Claude'em i ze mną w zatłoczonej restauracji na lotnisku i uroczyście kręci głową.

– To były rutynowe działania – mówi. Ma na myśli zadanie, nad którym pracowali Karen i Abbott Scofieldowie. – Podpisali umowę na przeprowadzenie wstępnych badań, w związku z malejącą populacją sokołów wędrownych na wschodnim krańcu waszego stanu – wyjaśnia. – Scofield był jednym z trzech regionalnych dyrektorów grup badawczych, których wyznaczyliśmy do pracy nad tym projektem.

– Nie mam nic do ukrycia – zapewnia. – Żadnych tajemnic. Liczba sokołów wędrownych w Stanach Zjednoczonych maleje od lat. Od ponad dziesięciu są one gatunkiem zagrożonym. Ale mają zdolność regenerowania się. Wierzymy, że uda nam się przyczynić do zwiększenia ich liczby. Jeśli nie do pierwotnej, to przynajmniej takiej, żeby znikła groźba wymarcia.

– Na czym polegał udział Scofielda?

– Robił dla nas wstępne badania. Przeważnie chodziło o zlokalizowanie ich siedlisk. Miejsc, w których ptaki mogą zbudować gniazda, jeśli wypuścimy je na wolność.

– Jakże to były badania? – pytam.

Chcę wiedzieć, czy to zadanie mogło go zaprowadzić na spotkanie z mordercą.

– Sporządzamy protokoły – wyjaśnia Rattigan. – Sprawdzamy wiele czynników: brak naturalnych wrogów, czy w okolicy używa się pestycydów, gęstość zaludnienia, planowaną eksploatację terenu, obecność komunikacji lotniczej, która mogłaby zakłócić rozmnażanie się ptaków.

– Pracowaliśmy według listy. Wszystkie dane umieściliśmy w komputerze, zidentyfikowaliśmy wszystkie prawdopodobne rejony – przeważnie tereny wiejskie, w których można wypuścić ptaki na wolność. Czasem przenoszą się ona na niewielkie odległości i osiadają w innym miejscu. Zwykle niezbyt oddalonym.

– Coś jeszcze oprócz badań? – sonduje Claude.

– Zgodnie z umową doktor Scofield był również odpowiedzialny za wypuszczanie ptaków na wolność i obserwowanie ich przez pewien czas.

– A sokoły. Jak wszedł w ich posiadanie? – dociekam.

– Wychowujemy w Centrum pisklęta. Kiedy osiągały one zdolność do lotu i polowania, a więc i do przeżycia na wolności, przekazywaliśmy je doktorowi Scofieldowi.

Jeden z punktów umowy zobowiązywał go do pomagania nam przy wypuszczaniu ptaków na wolność. Wszystkie były oznaczone. Karmiliśmy je przez pewien czas i obserwowaliśmy, czy przeżyją i przystosują się do otoczenia, będą zdolne do zbudowania gniazda i wychowania młodych.

– To tłumaczy obecność ziarna i myszy – zauważa Claude. Ma na myśli artykuły kupowane przez Scofieldów w wielkich ilościach, których nie znaleźliśmy w laboratorium.

– Czy te ptaki jadają myszy? – pyta Dusalt.

– Żywe, jeśli to możliwe – potwierdza Rattigan.

– Czy wie pan, gdzie doktor Scofield wypuścił ptaki? W którym miejscu przy Putah Creek? – chcę wiedzieć.

– Gdzie? – dziwi się Rattigan.

– Putah Creek.

– Nic mi to nie mówi – odpowiada. – Niech no sprawdzę. – Kładzie na stole swoją aktówkę.

– Mam przy sobie kopie jego map roboczych – informuje. – Ale Putah Creek brzmi jakoś obco. Z tego, co pamiętam z dyskusji z Abbottem, tereny, w których zamierzaliśmy osiedlić ptaki, znajdują się w okolicach wybrzeża.

Wyciąga z aktówki wielką mapę. Rozkładają na stole i przygląda się jej przez parę sekund, wodząc po niej palcem.

– Jest – oświadcza. – To tu. W tej okolicy.

Wskazuje miejsce w pobliżu Napa Valley, jakieś dwieście kilometrów od miejsca, w którym zamordowano Scofieldów i znaleziono platformę na drzewie koło Putah Creek.

Claude rzuca mi jedno z tych spojrzeń zarezerwowanych na okazję dziwnych zjawisk. Potem sięga do kieszeni płaszcza, wyciąga z niej cztery plastikowe kopertki – małe, szczelnie zamykane torebki – i kładzie je na stole.

– Czy mógłby pan rzucić na to okiem i powiedzieć nam, co to jest? – zwraca się do Rattigana.

Ten podnosi je, po jednej, i przygląda się im uważnie. Trzy z nich odkłada na stół.

– Nie mam wątpliwości – stwierdza. – Pióra sokołów wędrownych. Piskląt – dodaje. To potwierdza informację z laboratorium w Oregonie.

Ostatnią torebkę wciąż trzyma w ręce, podnosi ją ku lampie zwisającej z sufitu. Jest to pióro większe, szerokie i faliste, prążkowane.

– Ale nie to – oznajmia.

To jedno z piór, których nie zdołaliśmy jeszcze zidentyfikować. Nadal czekamy na

raport z Oregonu.

– Wie pan, co to jest? – indaguję.

– Czy wszystkie znaleziono blisko siebie? – odpowiada pytaniem na pytanie.

– Tak. Leżały razem. Na ziemi. – Naprawdę znaleźliśmy je na platformie, ale zatrzymuję to dla siebie.

– Nie rozumiem – mruczy.

– Czego pan nie rozumie?

– Planów Abbotta. Nie widzę tu ani śladu tych drapieźników. A to pierwsza rzecz, jakiej zawsze szukamy i którą starannie sprawdzamy.

– O czym pan mówi?

– To pióro – wyjaśnia – należy do puchacza. Ptaka, który w tej okolicy nie występuje.

– Ma pan na myśli teren na mapie? Okolice wybrzeża?

– Mam na myśli ten stan – oświadcza. – Puchacz występuje w lasach na północy, w Kanadzie i na wyspach. Nie tutaj.

Claude i ja wpatrujemy się w niego.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – odzywam się – mógłby on zabić sokoły, gdyby znalazł się w ich sąsiedztwie?

– W mgnieniu oka. – Podnosi wzrok znad stołu i piór uwięzionych w plastiku. – To śmiertelny wróg sokołów wędrownych. Ale proszę mnie nie pytać, skąd się tu wziął.

Ostatnio miejscowi bonzowie zaczęli mnie lekko przyciskać, żebym sformułował akt oskarżenia i obciążył Rosjanina odpowiedzialnością za wszystkie sześć morderstw. To byłoby łatwe. To by uprościło sprawę i zjednało mi wielu przyjaciół w hrabstwie, między miejskimi i uniwersyteckimi znakomitościami. Ale mam jeden problem. Jestem głęboko przekonany, że Chambers kryje w rękawie jeszcze jednego asa; coś, co schował na zapas, do rozprawy. Miałem tego przedsmak tamtego dnia, kiedy policja przeprowadzała rewizję w mieszkaniu Iganovicha. Dwie z gazet leżących na korytarzu pod drzwiami nosiły daty sprzed morderstwa Scofieldów – znak, że Rosjanin już wtedy opuścił dom.

Jest to coś, co wykształcasz w sobie podczas praktyki prawniczej – szósty zmysł. Zbyt często daje o sobie znać jako cień katastrofy, niczym mucha rozgnieciona na szybie.

Nie udało nam się ustalić, kiedy Rosjanin przekroczył granicę kanadyjską. Ale podejrzewam, że Chambersowi się udało. Jeśli się nie mylę, czai się z tą informacją, żeby mnie nią ogłuszyć. Jeżeli oskarżę jego klienta o dwa ostatnie morderstwa, wręczy mi jego alibi na złotej tacy, podając w ten sposób w wątpliwość poprzednie cztery. Oto dlaczego tak mi zależy na znalezieniu jakiegoś punktu wspólnego między zabójstwem Abbotta i Karen Scofieldów a śmiercią studentów.

Pukanie do mojego gabinetu, stukot kostek po szkle. Drzwi się otwierają. To Jane Rhodes, moja sekretarka.

– Ktoś chce się z tobą widzieć – oznajmia.

Trzyma w ręce wizytówkę, patrzy na nią, odczytując nadruk.

– Jakiś pan Golumbine. – Podchodzi bliżej i kładzie wizytówkę na moim biurku.

DENNIS GOLUBINE

PEŁNOMOCNIK PROKURATORA GENERALNEGO

RZĄDOWY WYDZIAŁ PRAWA

– Wprowadź go. Czekałem na niego.

W chwilę później pojawia się przede mną człowiek w nieokreślonym wieku, śmiertelnie wynędzniały, z przerzedzonymi czarnymi włosami i okularami w drucianych oprawkach. Uśmiecha się z wysiłkiem, twarz marszczy mu się jak suszona śliwka.

– Panie Madriani – odzywa się.

Wyciąga do mnie rękę. Wymieniamy uścisk dłoni.

Zerkam na jego wizytówkę.

– Panie Golumbine – mówię.

– Biiin – poprawia mnie. Rozciąga przy tym usta. – To się wymawia Golum-bin.

– Proszę siadać. – Wskazuję mu jedno z krzeseł dla klientów po drugiej stronie biurka.

Chyba wiem, po co tu przyszedł. Powaga zadania maluje się na jego twarzy niczym fresk na renesansowej ścianie.

– Czym mogę służyć?

– Wpłynęła do nas skarga na pańskie biuro, a mnie wyznaczono do zajęcia się tą sprawą – zaczyna.

Moja mina mówi: „ach tak?”

– Tak – potwierdza. Sięga do aktówki, którą postawił na ziemi, i wyjmuje z niej żółty notes. – Skarga dotyczy obecnie prowadzonego dochodzenia w sprawie – zerka do notatek – Andre Iganovicha, tak chyba brzmi nazwisko oskarżonego?

Pismo Świrusa potrzebowało trochę czasu, żeby dotrzeć na wierzch sterty pism w biurze prokuratora generalnego.

– Przepraszam na chwilę – mówię.

Podnoszę słuchawkę i naciskam guzik interkomu, a potem wystukuję kilka cyfr.

– Możesz przyjść na chwilę? – Odkładam słuchawkę.

Odwracam się do Golumbine’a.

– Na czym stanęliśmy?

– Wpłynęło do nas zażalenie w związku ze sposobem prowadzenia tej sprawy, a zwłaszcza błędami popełnionymi w postępowaniu o ekstradycję. Spodziewamy się, że udzieli nam pan pomocy w zebraniu informacji, abyśmy mogli ustalić, czy faktycznie popełniono jakieś błędy.

Robię grymas mający zachęcić go do dalszej przemowy.

– To dość poważny zarzut – stwierdza.

– Poważnie przestarzały – odzywam się. – Czy wie pan, że Andre Iganovich przebywa obecnie w okręgowym więzieniu w Davenport i czeka na proces, oskarżony o popełnienie kilku morderstw?

– Wiemy o tym, mimo to jednak...

– Proszę powiedzieć mi coś o tym zażaleniu – przerywam mu. – Kto je wniósł?

– To wiadomość zastrzeżona – oznajmia.

- Przez prawo?
- Przez politykę departamentu.
- Naprawdę nie może mi pan zdradzić jego treści?

Potrząsa głową.

Otwierają się drzwi, wchodzi Goya. Golumbine patrzy na nią i podnosi się z krzesła. Przedstawiam ich sobie. Facet zaczyna się zachowywać jak wiejski rozpustnik – rzuca jej lubieżne spojrzenia, a ręka, którą do niej wyciąga, jest bezwładna w uścisku.

– Pani Lenore Goya pomaga mi w prowadzeniu tej sprawy. – Lenore odrabiała zadanie domowe z Kay Sellig, która ostrzegła, że nawiedzi nas ktoś ze Sprawiedliwości.

Nie wiedziała, kto. Doniosła nam też, że list Acosty nie spotkał się z ciepłym przyjęciem prokuratora generalnego. Ten człowiek to dalekowzroczny polityk. Dlaczego miałby się dać wciągnąć w małomiasteczkowe porachunki? Zepchnął skargę między inne, bez adresu i nazwiska nadawcy.

– Twierdzi pan, że polityka departamentu nie pozwala panu na zapoznanie nas z treścią tej skargi?

– Właśnie – przyznaje.

Znowu spoglądam na jego wizytówkę.

– Co wydział prawa ma wspólnego z ekstradycją? – pytam. – Sądziłem, że do tego macie osobny wydział.

Golumbine kaszle sucho i poprawia krawat. Zerka na Lenore, której spódnica podjechała na udach o dobre kilka centymetrów.

– Pomagamy im, jeśli możemy – odpowiada.

Kiwam głową z uśmiechem.

– Po prostu pomagacie.

– Właśnie.

– Więc czym mogę panu służyć? – ponawiam pytanie.

– Proszę mi udostępnić wgląd do swoich dokumentów, do akt sprawy.

Unoszę brwi.

– Do wszystkich?

– Tak.

Może i wygląda jak przypalona grzanka, ale jaja ma z kamienia.

– Czy mogę zapytać – wtrąca się Lenore – o pańskie uprawnienia?

– Słucham?

– O pańskie uprawnienia do ingerowania w przebieg śledztwa – wyjaśnia.

– O, to nie jest ingerowanie – poprawia. – To tylko zasięgnięcie informacji w sprawie zażalenia, które otrzymaliśmy.

– Świetnie – mówi Lenore. – Jakie są pańskie uprawnienia w zakresie zasięgania informacji?

Już nie przygląda się jej nogom. Teraz gmera w trzymanej na kolanach aktówce, szamocząc się z nią jak klaun w ciasnej szafie. Wyjmuje jakieś dokumenty, terminarz, wreszcie broszurę w błękitnej okładce, skróconą wersję kodeksu karnego. Przez kilka sekund przewraca kartki poślinionym palcem, aż trafia na właściwy ustęp.

– Mogę? – zwraca się do niego Lenore.

– Proszę. – Podaje jej książkę.

– Czytamy tu, że prokurator generalny ma prawo wglądu we wnioski o ekstradycję „przed i podczas jej trwania” – informuje. – Natomiast słowem nie wspomina się wniosków o ekstradycję oddalonych lub z jakiegoś innego powodu nie zrealizowanych.

– Chyba nie wyraziłem się jasno – odzywa się Golumbine. – Mamy szerszy zakres władzy.

– My? – dziwi się Lenore. – Mówi pan o prokuratorze generalnym? Czy właśnie on zarządził to śledztwo?

– Nie, moi zwierzchnicy.

– Czyli kto? – pytam.

Golumbine zaczyna się pocić.

Podaje mi kilka nazwisk funkcjonariuszy średniego szczebla z wydziału prawa. Popycham go w innym kierunku, na skraj przepaści.

– Domyślam się, że zna pan sędziego Ingela? – naciskam.

Patrzy na mnie z rosnącą nieufnością.

– To mój znajomy.

– Och, domyślam się, że skoro pracujecie w jednym biurze, znacie się całkiem nieźle.

– Znamy się – potwierdza.

Na jego policzki wypełza rumieniec.

– Chyba nie wyznaczył pana do tego zadania przypadkowo, prawda?

Spazmatyczny kaszel, ręka przy ustach. Golumbine wyciąga chusteczkę, ale nie ociera nią ust, tylko pot z czoła.

– Szczegóły oficjalnego śledztwa nie podlegają dyskusji – mówi.

– Aha. Oficjalne śledztwo. – Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Czy ma pan oficjalny nakaz? – chce wiedzieć Lenore.

Facet zaczyna czuć się jak w kleszczach pomiędzy Goya a mną.

– Hmm? – Spogląda na nią.

– Opinię prokuratora generalnego upoważniającą wasze biuro do ingerencji w sprawę ujęte w tym oto paragrafie. – Wskazuje klauzulę w kodeksie karnym, za której pomocą Golumbine usiłuje wtargnąć do naszych tajnych akt.

– Nie wiem – przyznaje.

– No cóż, może pan sprawdzi. – Goya rzuca mu broszurę na kolana. – I prosimy o list podpisany przez pańskiego szefa.

– O czym pani mówi?

– Pani Goya ma zupełną rację – dorzucam. – Zanim otworzymy nasze akta, bylibyśmy wdzięczni – to tylko dla całkowitej pewności – gdybyśmy mogli otrzymać oficjalne podanie podpisane przez prokuratora generalnego. Rozumie pan? – Wstaję z krzesła, wyciągając do niego rękę. Daję mu do zrozumienia, że to koniec naszego spotkania. – Miło mi było pana poznać.

Golumbine guzdrze się, w jednej ręce ma dokumenty i notes, drugą zbiera z kolan kodeks karny. Na jednym różowym palcu balansuje uchwyt teczki. Jutro będzie musiał go leczyć.

Lenore otwiera przed nim drzwi i wskazuje mu drogę. Facet wytacza się na korytarz, uginając się pod swoim balastem. Na razie udało nam się uniknąć ostatniej kuli Świrusa.

William Geddes wycofał się z sądu przysięgłych, podając jako powód dyskomfort psychiczny. Ceną za jego mały występ jest odrzucenie przez kolegów. Odejście z zespołu to pomysł Geddesa, ale ja go od niego nie odwozilem.

Zważywszy na jego jednostronną rozmowę z Goyą, to, jak była krótka, oraz fakt, że nie weźmie udziału w głosowaniu, odpada zarzut manipulowania przysięgłymi. Miejsce Geddesa zajęła kobieta zaznajomiona ze wszystkimi dowodami. Ona i pozostali będą przez dwa dni testować moją teorię dwóch morderców.

Wczoraj Goya i Kay Sellig zabrały przysięgłych, by pokazać im linkę i metalowe ślady, wskazać różnicę między tymi z pierwszych czterech morderstw i tymi, za których pomocą związano i zabito Scofieldów. Goya posunęła się tak daleko, jak tylko mogła – do granicy stwierdzenia, że to ten drugi załatwił Scofieldów.

To coś, co zarezerwowaliśmy dla dzisiejszych świadków.

Harold Thornton uczył kiedyś na kilku prestiżowych uniwersytetach, choć nigdy nie



zasiadał w zarządzie. Tę informację podaje większość jego zyciorysów. Ten był wykładowca psychologii służy teraz pomocą policji w tej części stanu. Jest stałym ekspertem od kreślenia portretu psychologicznego przestępcy.

Dobry ekspert w roli świadka z pewnością pomoże sprawie, nawet jeśli nie świadczy na twoją korzyść. Stanie przed przysięgłymi jako dobry nauczyciel, obiektywny, nie ulegający emocjom, nigdy nie okazujący skłonności do przesady czy zajmowania ekstremalnego stanowiska – najczystszy duch akademickiej prawości. Krótko mówiąc, jest to ziszczenie marzeń, zwłaszcza kiedy ma się, tak jak ja, zgłębiać mroczne otchłanie umysłów ludzkich.

– Proszę podać do protokołu swoje nazwisko.

Spełnia moją prośbę; literuje je dla sądowego protokolanta.

– Czy ma pan jakiś stopień naukowy?

– Doktor filozofii. W dziedzinie psychologii.

– A pańska specjalizacja?

– Psychologia kliniczna.

Daje przysięgłym ogólne pojęcie o swoim wykształceniu, kwalifikacjach, osiągnięciach, publikacjach naukowych – wszystkim tym, co upoważnia go do występowania w sądzie w roli eksperta, kogoś uprawomocnionego do wydawania opinii na tematy z jego dziedziny.

– Czy kiedykolwiek uczestniczył pan jako fachowiec w konstruowaniu portretu psychologicznego mordercy? – pytam.

– Tak.

– Ile razy?

Zastanawia się przez chwilę.

– Chodzi o samo konstruowanie portretu czy o współpracę? – uściśla.

– O konstruowanie.

– Sześć. Nie, nie. Pięć razy.

Krzywię się na to trochę w środku, tam gdzie nie widzą tego przysięgli. Miałem nadzieję na więcej, na większy balast doświadczenia. Kay Sellig wybrała Thorntona z prostej przyczyny: był jedynym ekspertem w okolicy, którego mogliśmy sprowadzić w tak krótkim czasie.

– Czy może pan wyjaśnić przysięgłym mechanizm konstruowania portretu psychologicznego, opowiedzieć, jak się to robi?

– To dosyć proste, bardzo zwyczajne – zapewnia.

W mojej głowie odzywa się cichy brzęczyk. Robi mi się trochę niedobrze, kiedy akademik oznajmia, że coś jest proste.

Thornton nabiera rozpędu.

– Konstruowanie portretu opiera się na pewnych założeniach... – zaczyna.

Tak jak przewidywałem. Przerzywam mu.

– Doktorze Thornton, jesteśmy o kilka stopni naukowych w tyle za panem – mówię. – Gdyby zechciał się pan wyrażać w sposób zrozumiały dla laika... – Uśmiecham się do niego przyjemnie i ciepło.

Obdarza mnie zboloną miną, potem wraca do wykładu:

– Konstruowanie portretu psychologicznego opiera się na jednostkowej obserwacji. Sposób, w jaki wykonywane są pewne czynności, ich rodzaj mogą wiele powiedzieć o osobie, która jest ich wykonawcą.

Dobrze, myślę. Do rzeczy, bez ozdobników.

– W wypadku morderstw – ciągnie – jeśli znamy nawyki i cechy osób, które popełniły określony typ zbrodni, możemy je wykorzystać do wysublimowania pewnych charakterystycznych zachowań właściwych ludziom popełniającym tę szczególną zbrodnię.

Odwracam się, by wziąć ze stołu kilka dokumentów. Thornton wciąż peroruje, tonąc w abstrakcyjnych rozważaniach. Widzę głowy chylące się nad stołami, jakby nadeszła pora popołudniowej drzemki.

– Seks – przerywam mu w pół słowa. – Pomówmy o zbrodniach na tle seksualnym, doktorze Thornton.

Dwaj farmerzy drzemający na swoich miejscach podrywają się, jakby śpieszyli się do udoju i sięgnięcia po wymiona.

– Czy w wypadku zabójstwa na tle seksualnych konstruuje się portrety psychologiczne?

– Oczywiście. Wielokrotny gwałcieł – oto klasyczny przykład. Dziękujemy Bogu za małe radości.

– Ale nie robi się tego w wypadku każdego przestępstwa?

– Nie, nie. Istnieją różne kategorie przestępstw, w gruncie rzeczy w większości z nich portret psychologiczny na nic się nie zdaje.

– Możemy prosić o kilka przykładów?

– Oczywiście. – Zastanawia się przez chwilę. – Każde przestępstwo, w którym występuje ograniczony kontakt z miejscem jego popełnienia – zwykle rabunki, większość kradzieży – to przestępstwa zazwyczaj nie świadczące o jakiejś szczególnej anomalii

psychicznej. W ich wypadku osobowość napastnika w niewielkim stopniu da się odtworzyć na podstawie analizy miejsca przestępstwa. Jeśli ktoś sięga do kasy i zabiera pieniądze, grożąc przy tym pistoletem, z reguły ma się do czynienia z odciskami palców i niczym więcej – wyjaśnia.

Przysięgli zaczynają powoli chwytać, jak mokre drewno zajmujące się ogniem. Widzę w ich oczach maleńkie iskierki zainteresowania. Thornton nabiera maniery nauczyciela, najlepszej dla dobrego eksperta.

– Chciwość jest zbyt powszechną cechą, za mało charakterystyczną?

– Właśnie – potwierdza.

– Jakie więc przestępstwa najlepiej nadają się do kreślenia portretu psychologicznego?

– Zwykle te, których scena zbrodni zdradza ślady aktywności psychicznej, kiedy morderca traktuje swoją ofiarę z niezwykłą gwałtownością. Jak mówiłem, gwałt to dobry przykład. Zabójstwa na tle seksualnym, każda zbrodnia, w której ofiara poddawana jest jakiemuś rytuałowi, torturze, okaleczeniu ciała czy oszpecceniu przed śmiercią lub po niej – oto klasyczne przypadki, w jakich można konstruować portrety psychologiczne.

– Dlaczego?

– Ponieważ sama natura takich aktów wskazuje na patologię psychiczną – oświadczą.  
– Fizyczne dowody na miejscu zbrodni, samo zabójstwo mają często określony wzór dyktowany przez podświadomość. Na tej podstawie wnioskujemy o podobnych morderstwach, popełnionych przez ludzi cierpiących na takie same lub zbliżone zaburzenia umysłowe. To stawia przestępcę daleko poza normą, dlatego musi się on czymś zdradzić. Może nie zwykłemu obserwatorowi, ale specjaliście, który umie odczytać takie znaki.

Pozwalam mu na małą dygresję. Rozmawiamy o cechach i rysach charakterystycznych, o składowych osobowości mordercy popełniającego pewien typ zbrodni.

Eksperti ustalili je po setkach wywiadów z szaleńcami osadzonymi w więzieniach i domach wariatów, czasami nawet podążając za katem do celi śmierci w poszukiwaniu wiedzy na ten temat.

– Czy może pan powiedzieć przysięgłym, w jaki sposób te rysy charakterystyczne, te cechy indywidualne znajdują zastosowanie w przeciętnej sprawie do kreślenia portretu sprawcy?

– Uważamy, że z czasem osobnik taki, w większości mężczyzna, osiąga wiek, w którym musi popełnić określoną zbrodnię lub kilka podobnych zbrodni czy innych poważnych przestępstw, bo tacy ludzie już wykształcili pewne typy zachowań.

Dokładne przesłuchiwanie eksperta jest jak pieśń, rodzaj epepei sądowej. Ma swój rytm. Zaczyna się od ogólnej teorii, a kończy analizą poszczególnych przypadków. Jeśli dobrze się je przeprowadzi, opinia przysięgłych twardnieje na beton. Masz uczucie, że twoje poglądy są częścią realnego świata, nie jakimś ulotnym płomykiem palnika gazowego.

– Pomówmy o konkretach – proponuję. – Jak pan konstruuje portret mordercy w wypadku prawdziwej sprawy?

Thornton namyśla się przez chwilę, skupiony przed przystąpieniem do przykrego zadania.

– Weźmy sprawę z sąsiedniego hrabstwa – zaczyna. – Parę rytualnych morderstw. Jeden ze znaków szczególnych, typowy w takich wypadkach sadomasochizm, co stwierdziliśmy na podstawie wcześniejszych analiz podobnych przestępstw, zdradził nam, że zabójca prawdopodobnie przejawia skłonność do torturowania zwierząt domowych, do znęcania się nad nimi. Mieliśmy czterech głównych podejrzanych. Zebraliśmy więc wywiad na temat każdego z nich, ich nauczycieli, szkół, członków rodzin, ówczesnych przyjaciół.

Thornton opowiada, w jaki sposób prowadzący śledztwo sondują chore podbrzusza, poruszają delikatne tematy bez zadawania pytań: „Czy twój przyjaciel wyrwał kiedyś skrzydła jakiemuś żywemu ptakowi? Czy oblał benzyną i podpalił psa sąsiadów, czy usmażył go na faworek?”

– Skuteczny wywiadowca, najlepszy gliniarz w tej branży – informuje – wygląda jak pocziwina, który skrycie pobleża wybrykom młodości.

Widzę, że przysięgli spoglądają po sobie. Wniosek: strzeż się pocziwca w mundurze.

– Po dwóch dniach wypytywania przez dziewięciu różnych oficerów – ciągnie Thornton – nasz podejrzany doprowadził wywiadowców do rozpacz. Dziewięć godzin później przyznał się do popełnienia wszystkich pięciu morderstw. Tak to wygląda, jeśli się właściwie do tego zabrać i jeśli ma się szczęście.

Patrzę na przysięgłych. Thornton osiągnął masę krytyczną, położył fundamenty, przedstawił konstruowanie portretu psychologicznego jako naukę stojącą wyżej od astrologii, coś bardziej wiarygodnego niż wróżenie z fusów.

Mijam ostatni zakręt i wychodzę na prostą. Pora na najważniejsze.

– Doktorze Thornton, czy spełnił pan naszą prośbę i zanalizował serię zabójstw znaną w tych okolicach jako morderstwa z Putah Creek?

– Tak – potwierdza.

– A zatem, aby uniknąć niejasności, proszę powiedzieć, które przypadki pan zanalizował. Chodzi mi o nazwiska ofiar.

Thornton musi zajrzeć do swoich notatek, by odświeżyć pamięć. Wymienia trzy oddzielne morderstwa, których akta udostępniło mu okręgowe biuro szeryfa w Davenport – dwóch par studentów oraz Abbotta i Karen Scofieldów.

– Czy poproszono pana o sporządzenie portretu psychologicznego zabójcy lub zabójców? – pytam.

– Tak.

Upewniam się, że Thornton nie kontaktował się z Andre Iganovichem, nie robił z nim wywiadu, nie miał szans przeprowadzenia obserwacji, niczego, co Chambers z pewnością by wysłedził, gdyby tu był. To największa słabość tej próby generalnej – nie ma przeciwnika. Dlatego muszę grać rolę adwokata diabła.

– A czy sporządzając ekspertyzę jako wykwalifikowany i dyplomowany psycholog o wieloletnim doświadczeniu sformułował pan jakąś opinię na temat przestępcy?

– Tak.

– Czy zechciałby nas pan z nią zapoznać?

Zerka do notatek.

– Uważam, że Julie Park i Jonathana Snidera, pierwszą parę ofiar, oraz Sharon Collins i Rodneya Slate'a, ostatnich zamordowanych studentów, zabiła jedna i ta sama osoba.

– Co zaś do zbrodni popełnionej na Abbotcie i Karen Scofieldach moja opinia, oparta na naukowych dowodach, brzmi: zostali oni zamordowani przez inną osobę bądź osoby niż zabójca czworga studentów.

Odczekuję chwilę, żeby do wszystkich przysięgłych dotarły jego słowa. To punkt kulminacyjny tej sytuacji. Reszta zależy od ich logicznego rozumowania.

– W jaki sposób doszedł pan do tego wniosku? – dociekam.

– Choć mógłbym wymienić wiele czynników – wyjaśnia Thornton – najbardziej rzucającym się w oczy i najważniejszym faktem było okaleczenie twarzy Karen Scofield. Protokół z sekcji zwłok podaje, że lewe oko usunięto z jej czaszki już po śmierci.

– Analizowane dotąd przypadki – kontynuuje – wykazały, że morderca okalecza swoją ofiarę z jednego powodu: ponieważ znają osobiście. Zwykle im bliższa znajomość, tym bardziej zmasakrowana twarz. Ten przypadek potwierdza regułę.

Wyjaśnia, że symboliczna wymowa tego aktu nasuwa się sama: usuwając oko ofiary, zbrodniarz podświadomie wyraża chęć pozostania nie rozpoznany. Thornton demonstruje nam przy tym jedną z fotografii, kolorowe zdjęcie głowy Karen Scofield leżącej na stole w prosektorium.

– Morderca usunął oko w bardzo brutalny sposób – ciągnie. Pokazuje głębokie rany –

jedną przecinającą brew i dwie głębsze, na policzku pod okiem. – Nie jest to chirurgiczna precyzja – mówi. – Prawdopodobnie wpadł w panikę, robił to w amoku.

– A jaka jest pańska opinia na temat wcześniejszych ofiar, studentów?

– Zabójca ich nie znał. Żadna z wcześniejszych ofiar nie odniosła obrażeń twarzy.

– Czy jest możliwe – podsuwam – że wszystkie morderstwa popełniła ta sama osoba, która nie znała studentów, ale znała Karen Scofield? – Trochę dociekliwości. Pokaz ucziwości, demonstracja dobrych chęci.

– Na podstawie przeprowadzonych analiz mogę dopuścić jedynie minimalny ślad takiego prawdopodobieństwa – odpowiada Thornton. – Raczej jednak wykluczam taką możliwość. – Jako prawdziwy naukowiec, nie znosi uogólnień. To jeden z elementów składających się na wiarygodność.

– W wypadku zbrodni seryjnych obserwujemy pewien schemat – informuje. – Istnieją mordercy, którzy znają swoje ofiary, dobierają je spośród swoich znajomych. Inni zaś zabijają wyłącznie nieznanym, zdając się na przypadek. W zasadzie te dwie linie postępowania nie krzyżują się ze sobą. Analizy popełnionych zbrodni pozwalają nam stwierdzić, że prawie nie zdarzają się przestępcy mordujący jednocześnie znajomych i nieznanym.

Okaleczenie twarzy Karen Scofield to najwyraźniej jego myśl przewodnia, oś teorii o istnieniu dwóch morderców. Chociaż istnieją jeszcze inne dowody, ten tak zdominował umysł Thorntona, że przysłonił mu wszystko inne.

– Czy są jeszcze jakieś inne dowody, doktorze? Jakież oznaki potwierdzające tezę o dwóch zabójcach?

– Tak. Różnica wieku między Scofieldami a studentami. Choć nie jest wykluczone, to jednak przeważnie coś takiego nie mieści się w schematach morderstw – wyjaśnia. – Także narzędzia zbrodni. – Zwykle morderca nie zmienia rodzaju linki i gwoździ, jeśli ma ich duży zapas, wystarczająco duży, a jak podaje raport policyjny, Iganovich miał go w swojej furgonetce. Stanowią element rytuału. Zabójstwa studentów są zabójstwami rytualnymi, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ułożenie części ubrania w łuk wokół głowy ofiary, zakrycie twarzy kobiety bielizną – wszystko to wskazuje na zbrodnię liturgiczną.

Patrzę na niego pytająco.

– Morderstwo rytualne – powtarza. – Natomiast bez wątplenia zabójca Scofieldów jest kimś innym.

– A jak tłumaczy pan podobieństwa, użycie gwoździ i sznurów?

– Niezręczna próba mimikry. – Spogląda prosto na przysięgłych: spokojna pewność kogoś, kto już nieraz przemawiał w ten sposób. – Popularnie mówiąc: naśladownictwo.

– A wnioski, które nam pan przedstawił – podsumowuję – wynikają z pańskiej analizy dowodów rzeczowych, są fachową opinią eksperta?

– Jak najbardziej – potwierdza.

Przyglądam się moim przysięgłym, zastanawiając się, czy spełniłem swoje zadanie, czy wskazałem im różnice między zbrodniami. Opierając się na teorii i przypuszczeniach oraz opinii fachowca, nie mogłem zrobić nic więcej. Jeśli to zawiedzie, moją ostatnią deską ratunku będzie nakrycie mordercy Abbotta i Karen Scofield i ujawnienie jego motywów.

– Witam i gratuluję – mówi Don Esterhauss. Jest przewodniczącym rady hrabstwa Davenport.

Gratuluje mi wczorajszego ponownego oskarżenia Andre Iganovicha o cztery morderstwa pierwszego stopnia, popełnione na studentach. Dziś rano jest to sensacja z pierwszych stron gazet w całym stanie. Iganovicha czeka teraz proces.

Esterhauss uśmiecha się od ucha do ucha, wyciągając do mnie rękę nad płóciennymi serwetkami w „Sibble’s”, o krok od stolicy po drugiej stronie rzeki. To on poprosił o spotkanie na gruncie towarzyskim, jak je określił Emil Johnson, który wszystko zaaranżował, by Esterhauss i inni mogli mnie lepiej poznać.

Ale kiedy przyglądam się zgromadzonym, zaczynam podejrzewać, że mnie wrobiono, że chodzi tu o coś więcej.

Emil już jest, rozparty za wielkim okrągłym stołem, odgradzonym od reszty sali parawanem. Przeżuwa kromkę chleba, posmarowaną taką ilością masła, że można by nim wypełnić maselnicę.

Serwetka, zatknięta za koszulę, rozkłada się na wzgórzach i dolinach jego zapadłej klatki piersiowej i wydętego brzucha, piętrzącego się nad stołem. Johnson prowadzi samotną walkę z anoreksją i, co tu dużo gadać, wygrywa.

– Panie mecenasie. – Kiwa głową, ale nie podaje mi ręki ani nie wstaje.

Zza parawanu wyslizguje się jakaś kobieta i podchodzi do Esterhaussa. Wygląda znajomo – szeroki uśmiech i perłowo białe zęby.

– Czy poznał pan już burmistrza Davenport? – Esterhauss czyni honory domu. – Janice Shaw, Paul Madriani.

Znam ją z widzenia. Nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Związany interesami z hrabstwem, zawsze widywałem ją pełniącą obowiązki, ostatnim razem na pogrzebie Ferettiiego.

Trzydziestoletnia blondynka, nie pozbawiona uroku, ma rysy i figurę chochlika, który stracił ochotę do figli, drobne piegi na zadartym nosie, długie do ramion włosy, podwinięte na końcach do środka. Dziś przywdziała mundur ludzi mających władzę – niebieskie prążki i tak duże poduszki na ramionach, że mogłyby zatrzymać kulę.

Jest cała w uśmiechach, uszczęśliwiona wynikiem posiedzenia sądu przysięgłych.

– Tak wiele o panu słyszałam – zapewniam. – Mamy szczęście, że pracuje pan dla



naszego hrabstwa. Rada miała absolutną rację, angażując pana.

Esterhausss jaśniej.

Janice Shaw uważa chyba za szczęście to, że jestem na garnuszku hrabstwa, nękany przez Nikki, która wkrótce mnie zamorduje, jeśli wcześniej nie opuści.

Po drugiej stronie okrągłego stołu siedzi George Cayhill z uniwersytetu, prodziekan do spraw studenckich. Wyciąga do mnie rękę w kordialnym geście powitania, a potem wraca do swojego menu jak ktoś, kto wie, że za chwilę przystąpi do załatwiania sprawy.

Data tego spotkania jest dla mnie dość niewygodna. Próbowałem negocjować, odsunąć ją o kilka dni, ale Emil nalegał. Podejrzewam, że wiąże się to z tym, że jutro mam zacząć mówić, ogłosić w końcu publicznie informacje na temat sprawy Scofieldów, oficjalnie potwierdzić, że poszukujemy drugiego mordercy. Nie jest to zresztą żadna tajemnica, odkąd wiadomość tę podały gazety. Strony tytułowe roją się od krzykliwych nagłówek i różnych spekulacji. Nie ma sensu ukrywać tego dłużej. Poprosiłem Claude'a, żeby zorganizował rano konferencję prasową. Przypuszczam, że powiedział o tym Emilowi.

Shaw ma wdzięk dobrego polityka. Prawi mi komplementy: wezbrana rzeka szczerości, szersza niż Missisipi – i równie głęboka jak brodzik mojej córki. Przez chwilę ściska moją rękę, jakby to była upragniona nagroda, uśmiecha się i mierzy mnie spojrzeniem przywodzącym na myśl radar naprowadzający broń na cel

– Proszę siadać – mówi. Wraca na swoje miejsce i wskazuje mi moje. Jestem teraz uwięziony za okrągłym blatem, między nią i Esterhaussem.

– Napije się pan? – zwraca się do mnie Janice. Kelner, wyczuwając dobrych klientów, podchodzi do naszego stołu. Pozostali mają już swoje koktajle. Zostałem zaproszony pół godziny później niż inni, może dlatego, żeby zdążyli się porozumieć.

– Kieliszek białego wina – zamawiam. Kelner podaje mi listę win. – Firmową markę.

– I proszę przynieść drugi. – Emil wręcza obsługującemu pusty koszyk wyłożony serwetką. Okruszki chleba, rozsiane gęsto niczym ciała pod Gettysburgiem, znaczą na stole drogę do miejsca Johnsona. Jak dobrze pójdzie, będzie mu potrzebny podnośnik, by mógł się wydostać zza stołu.

– Wszystko toczy się tak szybko – odzywa się Esterhausss. Ma na myśli wniesienie aktu oskarżenia – Rada jest bardzo zadowolona.

– Cieszę się – odpowiadam. – Obyśmy zadowolili również sędziów.

– O tak – przyznaje Esterhausss. Bawi się swoim drinkiem, czymś w małym kieliszku. Jest wysokim, chudym czterdziestoparoletnim mężczyzną. Długie kosmyki siwiejących brązowych włosów są starannie zaczesane na łysiejący czubek głowy. Najwyraźniej jego

łysina powiększa się niczym dziura ozonowa i niemal tak jak ona przeraża właściciela.

Esterhauss prowadzi sklep z towarami żelaznymi. Jest wymowny i dobrze wychowany – typowy produkt uniwersytetu. Dyplomowany historyk, po ukończeniu studiów obniżył loty – cena za przebywanie w zamkniętym świątku uniwersyteckiej społeczności z jej ograniczonymi horyzontami. Jak wielu podstarzałych hippisów, którzy pozakładali sklepy w miastach takich jak Berkeley, przycichł na jakiś czas, sprzedając łopaty i grabie. Ale doszedł do tego, wiodąc podwójne życie męża stanu wśród lokalnych polityków.

– Kiedy zacznie się właściwy proces? – pyta.

– To zawsze trudno określić – informuję. – Dobra obrona szuka wykrętów i wymówek.

– Mam nadzieję, że nie będzie zwlekać zbyt długo.

– Szkoda, że to pan nie jest sędzią – mówię.

Wybucha śmiechem.

– Zna pan obrońcę, tego Chambersa?

– Tak.

– Jest dobry?

Kiwam głową.

– Jest agresywny. Zaskakujący. I zna się na rzeczy.

– A kiedy się zacznie, ile to potrwa? Kilka tygodni? – Ten człowiek bombarduje mnie pytaniami. Powinien przeprowadzać przesłuchania. Za chwilę wyjmie liczydła i obliczy koszty, jakie poniesie hrabstwo.

– Adrian Chambers zna wszystkie powody, dla których może odwlekać rozpoczęcie sprawy – wyjaśniam. – I umie je wykorzystać po mistrzowsku. – Oświadczam, że według mnie nie można nawet w przybliżeniu przewidzieć czasu trwania procesu, dopóki nie dowiem się, ilu świadków powoła Chambers i nie określę różnych linii obrony.

Mógłbym sprawić, że obiad stanąłby mu kością w gardle, powiedzieć prawdę: że przypuszczalnie wszyscy będą już dawno na źle zasłużonej emeryturze, zanim faktycznie dobiegnie on końca, kiedy ustaną wreszcie sprawy apelacyjne.

– Mówią, że może się okazać niekompetentny – wtrąca się Cayhill.

– Niech spróbują sobie z nim poradzić – ja na to. – Pierwszym posunięciem Chambersa będzie prawdopodobnie próba wysłania jego klienta do szpitala psychiatrycznego na długie leczenie, a jeśli to mu się nie uda – skierowanie na badania psychiatryczne.

Słyszę ciężkie westchnięcie Esterhaussa, jakby dostrzegł, że sprawa ciągnie się daleko poza horyzont. Coraz więcej krążków liczydła po stronie deficytu.

– Przestańcie, chłopcy, dajcie panu spokój. Niechże wreszcie zamówi sobie coś do

jedzenia. – Shaw przybiera macierzyński ton. Sytuacja zaczyna przypominać znaną policyjną sztuczkę z dobrym i złym gliniarzem. Zdaje się, że to nie jej przypało zadanie bicia mnie pałką. Ciągłe nie mogę się zorientować, kto z zebranych jest jej partnerem grającym rolę twardziela.

Składamy zamówienie. Wybieram australijskiego homara – „cena rynkowa”. Jestem gościem, mogę więc nieco obciążyć ich budżet. To moja cena za to, co zapowiada się na próbę dyskretnego wymuszenia.

Popijamy nasze drinki i zabieramy się do jedzenia. Jesteśmy pomiędzy sałatą a daniem głównym.

– Kiedy zostanie wniesiona dalsza część oskarżenia? – odzywa się Esterhauss.

Patrzę na niego pytająco.

– Kiedy oskarży się go o zamordowanie Scofieldów? – uściśla. Ma na myśli Andre Iganovicha.

Zaczynają mi działać na nerwy. Przyglądam się im przez chwilę, Cayhillowi i Shaw. Sprawiają wrażenie wcielonej niewinności. Ale mnie się to wydaje podejrzane.

Przenoszę wzrok na Emila. Ze skupieniem nalewa sobie zupę, jakby nie dosłyszał.

Chcę, żebym pomyślał, że im nie powiedział, iż nie zamierzamy oskarżyć Rosjanina o zamordowanie Scofieldów. Uśmiecham się. Odgrywają tę małą farsę, by móc zrobić ze mnie zwiastuna złych wieści. Gdy będę musiał stawić czoło ich furii, stanę się pewnie podatniejszy na argumenty, które niewątpliwie mają przygotowane.

– Nie czytał pan widać gazet – odpowiadam. – Są problemy z materiałem dowodowym, duże rozbieżności. Dziwi mnie, że pan o tym nie słyszał.

– Czytaliśmy te artykuły – przyznaje Esterhauss – ale nie dawaliśmy im wiary.

– A zatem trochę potrwa – zauważa Cayhill – zanim oskarżycie go o popełnienie tych późniejszych zbrodni?

– Nie – stwierdzam. – Nie oskarżymy go.

Patrzy na mnie, szeroko otwierając oczy.

– O czym pan mówi?

– O tym, że nie zamierzam oskarżyć Andre Iganovicha o zamordowanie Abbotta i Karen Scofieldów.

– Mój Boże, dlaczego? – dziwi się Cayhill. Jego ton wyraża przekonanie, że jeśli tylko trochę pougniatam dowody, stracą wszystkie ostre krawędzie. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby dopasować fakty do wymagań sprawy.

– Dlaczego? – pyta Shaw.

– Po prostu – oświadczam – to nie on popełnił te zbrodnie.

Szczęk srebrnych łyżeczek na porcelanie – unisono niczym odgłos łańcucha skuwającego skazańców w kamieniołomach. Nagle przeszywa mnie spojrzenie czterech par oczu.

– Nie mówi pan chyba poważnie? – Cayhill potrząsa głową.

Wokół stołu rozlega się zgodny pomruk, jak chór zestrzajający głosy przy śpiewaniu zwrotki, na ich twarzach maluje się niedowierzanie. Nawet Emil dorzuca swoje trzy grosze.

– Powiem ci coś – odzywa się. – Nie zgadzam się z tobą. To nie jest opinia mojego wydziału, moich ludzi. Oni dostrzegają wyraźne podobieństwa między tymi zabójstwami. To oficjalne oświadczenie. Nigdy nie uważałem, że zbliżenie się do tego miejsca było dobrym pomysłem.

„To miejsce” to stanowe laboratorium policyjne oraz Kay Sellig. Dobra okazja, by ją zrobić.

– Panie Madriani. – Rolą Janice Shaw jest przemówienie mi do rozsądku. – Paul – poprawia się. – Czy mogę tak do pana mówić?

– Tak mam na imię – odpowiadam.

Uśmiecha się szeroko i życzliwie.

– Paul. Wybacz nam, ale jesteśmy trochę zaskoczeni – oznajmia. – Zaparło nam dech w piersiach. Gazety... od gazet można się spodziewać tylko nierozważnych spekulacji. Ale my, sprawujący władzę, musimy być bardziej pracowici, bardziej odpowiedzialni. Skąd masz pewność, że ten człowiek nie zabił profesora Scofielda i jego żony?

– Byłej żony – prostuję.

– Wszystko jedno. – Pomija tę informację jako jeszcze jeden mało ważny szczegół.

– Nie powinienem rozmawiać na temat materiału dowodowego – przypominam im.

Patrzę na Emila. Odwraca głowę, krusząc chleb, byle tylko się czymś zająć.

– Będziecie musieli uwierzyć mi na słowo – dodaję. – Eksperci są zgodni co do tego, że Iganovich nie zabił Scofieldów.

Shaw wbija wzrok w stół, ma niewyraźną minę. Nie wszystko idzie tak, jak sobie zaplanowała.

Próbuje jeszcze raz.

– Musisz zrozumieć, że mamy tu duży problem. – Kładzie nacisk na „d”. – Od czasu tych morderstw staliśmy się społecznością żyjącą na krawędzi. Mieszkańcy mojego miasta chodzą uzbrojeni po zęby. Boją się zasnąć, boją się poruszać w nocy po ulicach, boją się własnego cienia. Miesiąc temu, gdy wróciłam z długiego zebrania, mąż o mało nie strzelił do

mnie w salonie.

Stracona okazja, myślę.

Z pewnością to wszystko nadszarpnęło spokój w jej miasteczku. Pewien urzędnik w sądzie określił kiedyś Davenport jako „Camelot na rowerach”.

Shaw prze dalej.

– Kiedy go złapano, odetchnęłam, że to już koniec. Będzie proces, artykuły w gazetach, ale najgorsze za nami.

– A jeśli jutro to rozgłosisz – ciągnie – powiesz ludziom, że jest jeszcze inny morderca, wciąż grasujący po mieście, to... – kiwa głową z emfazą, przejęta wizją – będziemy mieć wielkie kłopoty. Ludzie przestaną wierzyć, że potrafimy im zapewnić bezpieczeństwo.

– Przestaną wierzyć, diabła tam! – dorzuca Cayhill. – Spanikują jak cholera.

Shaw i Cayhill wypadli ze swoich ról, przestali trzymać się scenariusza. Zdradzili się, że wiedzą o konferencji prasowej i treści mojego przyszłego oświadczenia. Tak to jest z intrygami – wymagają ciągłej uwagi.

– Cóż, zdaje się, że Emil wygadał się, iż planujemy konferencję.

– Słyszałam o tym z innych źródeł – kłamie Shaw: niemrawa próba chronienia Johnsona.

– Nieważne. To nie była tajemnica. Jesteście przywódcami waszej społeczności. Macie prawo wiedzieć.

Wzrok Emila mówi „cholerna racja”.

– Nie zamierzam wywołać hysterii. Ale dalej udawać, że nasze poszukiwania koncentrują się jedynie na Iganovichu, to jak igrać z ogniem – oświadczam.

– A to czemu? – pyta Cayhill. – Co w tym złego? Czy oskarżony chce zaprotestować?

– Zapomnijmy na chwilę o takich detalach jak sprawiedliwość i pomówmy o konkretach – proponuję.

Shaw i Cayhill uśmiechają się. To im się podoba.

– A lekceważąc dowody wskazujące na obecność drugiego mordercy, nie igramy z losem?

– Jak to? – dziwi się Cayhill.

– Co będzie, jeśli ta zjawia, ten drugi morderca, co będzie jeśli on lub ona czy oni znowu zabiją? – stawiam pytanie. – Co wtedy? Nagle na twarzy Emila pojawia się wyraz zakłopotania. Tej możliwości nie brał pod uwagę.

– Kto z was – kontynuuję – powie rodzinom ofiar, że mieliśmy dowody wskazujące na istnienie drugiego zabójcy, ale postanowiliśmy je zataić dla świętego spokoju?

Milczenie. Odczekuję chwilę, licząc na pojawienie się ochotników. Czekam na próżno.

– Pozwolę sobie zapytać – odzywa się Shaw – czy macie już podejrzanego w sprawie Scofieldów?

– Nie. Jeszcze nie.

Spogląda na Emila, żeby się upewnić, czy on coś wie. Johnson potrząsa głową.

– A zatem zgadzam się z George'em – mówi – że nie powinniśmy tego ujawniać. Nie teraz. Jak uważasz, Don? – zwraca się do Esterhaussa.

Zaczynają się zachowywać jak na naradzie, jakby w ciągu sekundy cała sprawa miała stać się przeszłością.

W spojrzeniu Esterhaussa maluje się zakłopotanie świadczące, że wpadł jak śliwka w kompot. Nie potrafi się zdecydować.

– Nie możemy ryzykować większych kłopotów, Don. – Shaw patrzy na niego przenikliwie, twardo, usiłując go ujarzmić. – Więc? – Ma w sobie coś z Małej Nell i lady Makbet.

– Chyba tak – zgadza się niepewnie Esterhauss.

– Postanowione – decyduje Shaw. – Nie będzie konferencji.

– Przepraszam – odzywam się – ale nie przypominam sobie, żebym prosił kogoś o pozwolenie.

Janice Shaw rzuca mi władcze spojrzenie.

– Wyrażę się prościej, żebyś zrozumiał. – Nagle odkrywa ciemną stronę swojego charakteru. – Żeby nie było żadnych nieporozumień. Zostaliśmy upoważnieni przez różne organizacje, ja – przez radę miejską, Don przez radę hrabstwa, by zakazać ci ujawnienia informacji o istnieniu drugiego mordercy.

– Czy to decyzja powzięta na oficjalnym zebraniu? – pytam.

– Oczywiście, że nie. Uznaliśmy to za sprawę sporną podczas wczorajszego tajnego posiedzenia.

– A zatem pogwałciliście ustawę o jawności posiedzeń.

Spogląda na mnie, przelękając ślinę.

– Organizowanie tajnych posiedzeń w razie kwestii spornych jest dozwolone jedynie wówczas, gdy miasto lub hrabstwo są stroną w procesie. Nie wolno wam dyskutować za zamkniętymi drzwiami na temat właściwej strategii w procesie, nawet gdyby na tym polegała wasza rola, a nie polega.

W jej oczach pojawia się gniew zmieszany z dużą dozą strachu. Właśnie zdała sobie sprawę z tego, że naruszyła zasady kodeksu karnego.

– Pominąwszy wykroczenie przeciw prawu – kontynuuję – ostatnio kwestie sporne w sprawie głównej nie leżały w gestii rady miasta czy hrabstwa. Prowadzenie sprawy, wnoszenie oskarżenia należą do oskarżyciela. Nie są częścią debaty politycznej.

Shaw patrzy na mnie zimno; żałuje, że okazała mi tyle serca.

– Rada pana zatrudniła – przypomina mi. – Spodziewam się, że może również pana zwolnić.

– Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej – zapewniam – niż wyrwanie się stąd i zostawienie was z tą sprawą, ale nie mogę na to liczyć, dopóki nie dowiecie się całej prawdy.

Nadal nie rozumie.

– O czym on mówi?

– Nie został oficjalnie zatrudniony – wyjaśnia Esterhaus. – Tak przedstawiały to gazety. Z technicznego punktu widzenia pana Madrianiego mianował sędzia Ingel.

– Jeśli wydamy polecenie sądowi, z pewnością będzie musiał nas usłuchać – oświadcza Shaw.

Widać, że nie zna Dereka Ingela.

– Proszę mnie zwolnić – dodaję – a na moje miejsce zostanie wezwany prokurator generalny.

Shaw i Cayhill trochę przytomnieją.

– Oczywiście możecie mu przedstawić swoje stanowisko – ciągnę. – Ale sąd nie zwolni oficjalnie mianowanego oskarżyciela tylko dlatego, że przeżywacie problemy polityczne. – Ostatnie zdanie mrozi dalszą rozmowę. W tej samej chwili pojawiają się nasze dania.

Operuję ostrożnie przy drogim różowym pancerzu mojego homara. Obok Janice Shaw dławi się białą piersią kurczęcia w winie, jakby to była nie oskubana wrona.

Huk eksplozji naszej konferencji prasowej już przycichł, potwierdzenie istnienia drugiego mordercy-naśladowcy przestało być sensacją. Temat zszedł z pierwszych stron gazet. Dziś rano prasa zamieściła go na dalszych stronach i tak już zostanie, chyba że znajdziemy drugiego zabójcę.

Wczoraj spotkała mnie niespodzianka ze strony Jessa Amary, brata Jeanette Scofield. Widocznie doszedł do wniosku, że lepiej naprawić nasze stosunki i załagodzić zadrażnienia, bo przyznał się, że przesadził, po czym przeprosił mnie za niegrzeczne słowa i zachowanie tamtego popołudnia w domu siostry. Następnie w charakterystyczny dla siebie chaotyczny sposób zdradził właściwy powód, dla którego zadzwonił – chciał zaprezentować swoje stanowisko w tej sprawie i zapytać, dlaczego nie oskarżam Iganovicha o zamordowanie jego szwagra.

– To bardzo trudne dla mojej siostry – stwierdził. – Dopóki ta sprawa nie zostanie zamknięta, Jeanette nie zazna spokoju. Wiem, że pan to rozumie. – W jego głosie brzmiało więcej współczucia, niż byłem skłonny mu przyznać. – Im szybciej zamknie ten rozdział i zacznie żyć dalej, tym lepiej dla niej.

Powiedziałem mu, że jeśli tylko policja znajdzie jakieś fakty łączące Rosjanina z morderstwem Scofieldów, będę wdzięczny za informacje. Po drugiej stronie zapanowało milczenie i nasza rozmowa się urwała. Kto by zawracał sobie głowę dowodami? Zdaje się, że nawet pogrążona w smutku wdowa nie ma nic przeciwko temu, żeby skazać Iganovicha i sprawę zamknąć.

Oprócz tego nadal muszę znosić nie słabnącą furię miejscowych polityków, z których żaden się do mnie nie odzywa. Claude mówi, że dotyczy to również Emila, ale on sam wciąż służy mi pomocą.

Dziś rano spotykamy się w małej bibliotece prawniczej w Davenport. Drzwi są zamknięte, a na kłamce wisi tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ, bez wątpienia rąbnięta z hotelu przez kogoś wysłanego przez hrabstwo w podróż służbową.

Na stole piętrzą się sterty kopii orzeczenia sądu przysięgłych, zeznania świadków i kilka kodeksów.

Kay Sellig przydźwigała dwa pojemne kartonowe pudła z napisem „Marlboro” z boku. Zawierają pełen wybór papierowych toreb, wypchanych dowodami rzeczowymi oraz ich mikroskopowymi powiększeniami – końcówki plastikowej linki powiększono aż



siedemdziesięciokrotnie Na błyszczącej stali śledzi namiotowych widać jeszcze ślady zaschniętej krwi. Jest wśród nich również zakrwawiona szmata, cała w plamach zakrzepłej krwi, wyglądająca tak samo jak w dniu, w którym znaleziono ją w furgonetce Iganovicha.

Sellig opiekuje się teraz tymi dowodami i szuka następnych. Odpowiada za cały materiał dowodowy w tej sprawie. Pełni obowiązki eksperta z zakresu medycyny sądowej, a poza tym będzie zeznawać na procesie, w jaki sposób każdy z tych dowodów znaleziono i opisano – jest to procedura zabezpieczająca prezentowane dowody.

Claude i Lenore Goya uzupełniają naszą grupę. To pierwsze z wielu czekających nas zebrań, na których będziemy opracowywać strategię oskarżenia.

– A więc co słyhać? – zagaduję Goyę.

– Po stronie obrony niezwykle spokój – informuje – ale moje źródła donoszą, że Chambers ma pełne ręce roboty.

Lenore ma swoje wtyczki w stolicy hrabstwa. Prosiłem Harry’ego Hindsa o udzielenie jej pomocy. Choć z zasady nie pomaga żadnemu oskarżycielowi, dla Lenore zrobił wyjątek. Zdaje się, że się zakochał.

– Czego możemy się spodziewać po panu Chambersie? – pytam.

Zanim Adriana Chambersa odsunięto od zawodu, był nazywany „królem zwłoki”. To, co mówi Goya, potwierdza, że nadal zasługuje na to miano.

– Zdaje się, że zamierza uderzyć z dwóch stron – ciągnie Lenore. – Najpierw będzie domagać się badań psychiatrycznych. Pewnie liczy, że mu to wystarczy przynajmniej na rok.

Badania psychiatryczne to standardowe postępowanie w wypadku wyjątkowo brutalnych przestępstw.

Lenore donosi, że Chambers skontaktował się z każdym specjalistą od leczenia psychiatrycznego, który chciał z nim rozmawiać, a przede wszystkim z psychologami i psychiatrami mającymi kwalifikacje do występowania przed sądem jako biegli.

– Zbiera opinie – mówi. – W zeszłym tygodniu uderzył do Forresta Huntera.

Claude zaczyna się śmiać.

– Musi być gotów na wszystko.

– Też tak uważamy.

Forrest Hunter jest najlepszym psychiatrą pośród prawników na północ od Tehachapies. Nigdy nie słyszałem, żeby przesłuchiwał oskarżonego. Jest pierwszorzędnym świadkiem oskarżenia, zdolnym do oświadczenia pod przysięgą ławie przysięgłych złożonej ze strażaków, że Neron nie był wariatem.

– Jak sądzisz – pyta Claude. – Wniosek o niepoczytalności? Goya potrząsa głową.

– Chyba ma nadzieję na długotrwałe badania. Może wynegocjuje leczenie na podstawie orzeczenia, że Iganovich nie jest w stanie uczestniczyć w procesie, towarzyszyć swojemu obrońcy. Jeśli zdoła to przeforsować, same badania potrwać dłużej niż większość procesów.

Lenore ma rację. Nietrudno sobie wyobrazić, jak Chambers sprzedaje tę bajeczkę sędziemu, który zresztą jeszcze nie został wyznaczony.

Jedna z zasad sądowniczych mówi, że oskarżony, który podczas procesu jest niepoczytalny, nie może być sądzony ani skazany za swój czyn. Nie tyle chodzi tu o to, czy był on przy zdrowych zmysłach, kiedy popełniał przestępstwo, ile raczej o poczytalność w czasie procesu.

– Myślisz, że mu się uda? – zastanawia się Claude.

– Opinie biegłych na temat stanu ludzkiego umysłu są do wynajęcia – przypominam.

– Możemy zbić jego argumenty – oznajmia Lenore.

Patrzę na nią.

– Moglibyśmy wnieść wniosek o krótkotrwałe badania w szpitalu stanowym – podpowiada.

Dzięki temu uniknęlibyśmy przedłużenia badań. Chambers nie byłby zachwycony, ale sędzia, postawiony przed dwiema możliwościami, wybierze mniejsze zło.

– Podetniemy mu skrzydła – dodaje. – Dziewięćdziesiąt dni na badania zamiast procesu trwającego rok i, jeśli wygra, leczenia.

Zgadzam się, że dzięki temu moglibyśmy uniknąć znacznej zwłoki. Musimy zacząć gromadzić opinie naszych własnych ekspertów. Decydując się na rozmowę z Hunterem, Chambers zmusił nas do zrezygnowania z kandydatury tego psychiatry, sprawił, że stracił on dla nas wiarygodność ze względu na konflikt interesów, tylko dlatego, że Adrian tknął go palcem. Prawdopodobnie o to właśnie mu chodziło.

Sellig informuje, że Stowarzyszenie Oskarżycieli ma długą listę psychiatrów znanych jako biegli sądowi, ludzi wydających opinie bezpieczne i wygodne dla stanu.

– Mówiłaś, że może uderzyć z dwóch stron. Jaka jest ta druga? – pytam.

– Zmiana miejsca rozprawy – wyjaśnia Goya.

Tego spodziewałem się od samego początku. Zważywszy na nagonkę w prasie, można było spokojnie założyć, że Chambers spróbuje przenieść proces z Davenport do innego hrabstwa, w którym jego klient z pewnością będzie miał uczciwszy proces.

Normalnie byłoby to zwycięstwo bez jednego strzału. Ale gazety tak nagłośniły tę sprawę, że nie ma w tym stanie hrabstwa, które nie tonęłoby w jej szczegółach, codziennie

wzbogacanych o nowe, dokładne ich opisy.

Badaliśmy opinię publiczną w kilku hrabstwach, których wielkość i zaludnienie jest porównywalne do Davenport, w najbardziej odpowiednich miejscach na przeniesienie rozprawy.

Lenore twierdzi, że w czterech z nich, gdyby wysłać do nich oskarżonego, trzeba by od razu załączyć cyjanek. Są to miejsca, w których wyborcy podejrzliwie traktowali Ronalda Reagana za jego liberalne poglądy i w których zezwolenia na broń są wydawane nad wyraz chętnie.

Paradoksem sprawy Putah Creek jest to, że Iganovich wybrał sobie na miejsce mordu inne wiejskie hrabstwo, hołdujące tradycjom linczu, a nie Davenport, w którym nastroje są temperowane przez łagodzący wpływ uniwersytetu.

– W pozostałych trzech hrabstwach – ciągnie Goya – jest tak samo, to znaczy nie ma w panującej w nich atmosferze większych różnic. – Z samych suchych faktów wynika, że Chambers nie powinien oczekiwać o wiele lepszych efektów, jeśli przeniesie proces do innego hrabstwa.

– Ale może spróbować – mówię – z innych przyczyn niż dla zwłoki. Trzeba więc ustalić dane i przygotować je do przedstawienia sądowi, kiedy Chambers wykona swój ruch.

Goya się zgadza. Robi szybko notatki.

Wracamy do Sellig i jej kartonowych pudeł. Patrzę na jedną z powiększonych fotografii przekroju linki, które podajemy sobie z rąk do rąk. Są trochę nieostre, czerń i biel bez wyraźnego kontrastu. Zwracam na to uwagę Kay.

– Moglibyśmy pokusić się o coś więcej, o kolor – oznajmia Sellig. – Ale musiałabym posłać dowód rzeczowy do zwykłego atelier fotograficznego.

Goya i ja rozważamy tę możliwość. Lenore przekonuje, że bardzo ważne jest, aby przysięgli zobaczyli na własne oczy wzór odcisnięty wewnątrz linki. Dlatego uzyskanie wyraźnych powiększeń jest tak istotne. W końcu decydujemy się na lepszą jakość – na wykonanie zdjęć w zwykłym zakładzie fotograficznym.

Kay robi szybki objazd po dowodach rzeczowych. Jej zdaniem sprawa jest dość pewna, ale okoliczności mogą dużo zmienić.

– Kluczem jest furgonetka – twierdzi. – Wszystkie obciążające dowody znaleźliśmy w pojeździe zarejestrowanym na nazwisko oskarżonego. To nasz słaby punkt. Jeśli obrońca udowodni, że przedmioty te nie są własnością Iganovicha, cała sprawa runie.

– A zatem tutaj uderzy Chambers – zauważam.

– Zapewne znajdzie jakieś pomysłowe wytłumaczenie – dodaje Claude.

Najbardziej oczywista jest zbita szyba. Nie ma wątpliwości, że Chambers będzie dowodził, iż obciążające dowody wrzuciła do furgonetki osoba, która stłukła szybę, już po porzuceniu samochodu przez Rosjanina.

Zwracam na to uwagę.

– Skąd wiadomo, że szybę wybito na parkingu? – pyta Goya. – Może stało się to gdzie indziej, wcześniej.

Sellig potrząsa głową.

– Znaleźliśmy odpryski szkła na betonie pod bocznymi drzwiami furgonetki. Rekonstrukcja wykazała, że szybę zbito w garażu. Większość szkła znajdowała się wewnątrz samochodu, a zatem zrobiono to z zewnątrz.

– Czy okruchy szkła były też pod sznurem i gwoździami? – docieka Claude.

Jest to bardzo ważne, bo gdyby odpryski szkła znaleziono tylko na wierzchu, znaczyłoby to, że linka i gwoździe były już w samochodzie, kiedy wybito okno. Wtedy Iganovich nie mógłby się nam wyśliznąć.

– Sprawdziliśmy – potwierdza Kay. – Dowody nie są jednoznaczne. Przedmioty znajdowały się za daleko od okna, by spadło na nie wystarczająco dużo szkła.

Claude robi minę mającą oznaczać, że w każdym razie rozumował poprawnie.

– Jest jeszcze inna możliwość – dodaje Goya. – Że Iganovich sam stłukł szybę, żeby usprawiedliwić potem obecność sznura i gwoździ w jego furgonetce.

To nie przekonuje Sellig.

– Łatwiej byłoby się ich pozbyć – mówi. – Jeśli o tym myślał, mógł je wyrzucić. – Potrząsa głową. – Nie. On chyba nie uważał tych przedmiotów za obciążające go dowody.

– Nawet zakrwawionej szmaty? – dziwi się Lenore.

– Pewnie ją przeoczył – domyśla się Sellig. – Zapewne się spieszył, porzucając furgonetkę.

Claude oświadcza, że zbita szyba to jeszcze inne komplikacje.

– Nasi wywiadowcy – informuje – zidentyfikowali w tym samym czasie, na tym samym parkingu dwa inne samochody, których właściciele żądali odszkodowania za zbite szyby.

– Chuligani? – chcę wiedzieć.

Kiwa głową – to dość prawdopodobne.

– Na pewno dzieciaki – odpowiada.

– Czy z samochodów coś zginęło? – dociekam.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

– Sprawdź – wydaję mu polecenie.

– Po co?

– Jeśli z samochodów coś zginęło, znaczy, że nie były to akty czystego wandalizmu.

Ten, kto wybijał szyby, szukał czegoś cennego. Kiedy dobrał się do furgonetki – jeśli to jego sprawka – z pewnością zajrzał do środka.

Patrzy na mnie z nagłym zrozumieniem.

– Może zauważył sznur i gwoździe.

Uśmiecham się do niego. To ryzykowne posunięcie – poszukiwanie nieletnich, którzy włamują się do samochodów po wszystko, co mogą w nich znaleźć. A jednak bywały sprawy oparte na bardziej ryzykownych poszlakach.

Teraz kolej na mnie. Dziś w południe jadłem obiad z Ravim Sandalgim, pakistańskim studentem z sądu przysięgłych. W restauracji niedaleko uniwersytetu, już przy sałacie, zaprząłem go do oceny wartości naszych dowodów, a zwłaszcza tego, czy Chambers, jeśli będzie miał jakąś szansę, może zbić z tropu przysięgłych, posługując się dowodami ze sprawy Scofieldów.

– Jego zeznanie było dobre. – Oto, jak Sahdalgi ocenia wystąpienie Harolda Thorntona, naszego psychologa i eksperta od sporządzania portretów psychologicznych. Ale zarazem uważa, że przysięgli nie przyjęli przedstawionych dowodów w całości.

Ciekawe, co by powiedział, gdybym podrzucił im dowody z sekcji zwłok. Jestem przekonany, że wiedząc, iż Scofieldów zamordowano w innym miejscu, i to nożem, a nie gwoździami, z pewnością dostrzegliby mnóstwo różnic między tymi dwoma sprawami.

Sahdalgi twierdzi – gestykulując, jakby chciał mnie zapewnić, że nie dokonałem niczego wielkiego podczas prezentacji sprawy – iż nie sposób, by większość przysięgłych przeoczyła podobieństwo okoliczności, w jakich popełniono te morderstwa.

– Zbyt łatwo jest kupić linkę, sznur do bielizny i gwoździe. To, że użyto innego rodzaju, nie jest za bardzo przekonujące – mówi. – A inne aspekty, to, że ta Scofield nie miała oka, podejrzenie, iż zabójca ją znał... – Krzywi się, jakby to nie mogło przekonać przysięgłych, jakby za dużo tu było psychologii. Jednym słowem, Sahdalgi odmawia mi pomocy, ale wyraził się jasno: jeśli oskarżę Iganovicha o zamordowanie Scofieldów, przysięgli nie przejmą się zbytnio rozbieżnościami między tymi przypadkami i nie będą zgłaszać sprzeciwu.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie popełniłem błędu, zaniechawszy oskarżenia Rosjanina o zabicie Scofieldów. W końcu nie jest wykluczone, że to on – nawet w świetle

dowodów medycznych – jest odpowiedzialny również za tę zbrodnię. Te ofiary były starsze, być może bardziej nieufne niż poprzednie. Może dlatego konieczne stało się użycie noża i dopełnienie rytuału gwoździami, kiedy byli już martwi?

Goya spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Myślałam, że zeznanie Thorntona opierało się na solidnych podstawach – przyznaje.

Przewidywanie kaprysów przysięgłych nie jest proste – dziewięć domysłów na dziesięć okazuje się błędne.

– Może powinniśmy go oskarżyć o zamordowanie Scofieldów – odzywa się Claude.

Emil byłby zachwycony. Dusalt nie wspomina o tym, ale to jasne.

Patrzę na Sellig. Ma ochotę zaatakować, przedstawić przeciwstawne poglądy. Ale wyczuwam, że ostatnio jest gotowa ulec zwierzchnikom. To profesjonalistka, dała nam najlepszą interpretację dowodów, ale decyzję zostawia mnie.

Waham się tylko przez chwilę. Claude nie spuszcza ze mnie oka. Jest na tyle rozważny, by cieszyć się na myśl o zaniesieniu szefowi dobrej nowiny.

– Wciąż nie jesteśmy pewni, czy Iganovich mógł zamordować Scofieldów – oświadczam.

Lenore kiwa głową i dodaje:

– Nie wiemy, czy nadal tu był, czy może wyniósł się już do Kanady, kiedy popełniono te morderstwa. Jeśli oskarżymy go o nie, a obrońca przedstawi nam jego alibi, to podważy wiarygodność pozostałych czterech aktów oskarżenia. Co zapewne jest zamiarem Chambersa.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, przeżywając ten problem.

– Tym ważniejszy jest ten świadek z drzewa. – Claude przerywa w końcu naszą zadumę.

– Jakież poszlaki? – pytam go o tajemniczą postać.

Krzywi się, kręci głową.

– Ciągłe szukamy. Idziemy śladem lunety. W zeszłym roku w całym kraju sprzedano sześć tysięcy sztuk tego modelu. Sprawdziliśmy numer serii u producenta. Nic. Ktokolwiek ją kupił, nie zarejestrował jej.

Kolejny ślepy zaułek.

Zwracam się do Goi:

– Ile czasu mamy do procesu?

– Jakież pół roku.

Odprężam się nieco.

– Chambers może odwlekać jego rozpoczęcie przynajmniej o drugie tyle, a jeśli dobrze

się postara – o dziewięć miesięcy – mówi. – Wystarczy, żeby wyjść z impasu, być może znaleźć człowieka z drzewa; osobę, która wydaje się naszym koronnym świadkiem.

Stres torturuje umysł ludzki na tysiąc niewypowiedzianych sposobów. U mnie długotrwałe napięcie wywołuje bezsenność.

Ostatnimi laty, w wirze toczącego się procesu czy wyczerpanej pracy, zacząłem stosować dostępne bez recepty leki nasenne. Kiedy biorą mnie w swoją niewolę, nic, nawet odgłos nadciągających jeźdźców Apokalipsy, nie jest w stanie mnie dobudzić.

Dzisiaj bezustanne dzwonięcie w uszach wybija mnie ze snu i wprowadza w stan półprzytomnego odrętwienia. Potem zdaję sobie sprawę, że to dzwonek telefonu. Nikki wyciąga nade mną rękę i podnosi słuchawkę aparatu, stojącego na mojej szafce. Pogrążony w półśnie, słyszę najpierw milczenie, a potem jej głos:

– Kto mówi? Kim jesteś?

I znów cisza, spokój milczenia. Ponownie ogarnia mnie nicość, sen sprawiedliwego.

Czuję ostry kuksaniec wymierzony w moje plecy. Pali się światło. Walczę z mocno trzymającym mnie lekiem. Z wysiłkiem koncentruję wzrok na zegarku w radiu na mojej szafce. Jest wpół do czwartej rano.

– Kto, do ciężkiej cholery, dzwoni o tej porze? – mówię z trudem, trochę bełkocząc.

Odwracam się, usiłując otrząsnąć się z pajęczyn snu. Nikki nadal trzyma słuchawkę, ale nie przy uchu. Klęczy na materacu, koce i prześcieradła skłębily się w nogach łóżka. Ze słuchawki dobiega mnie ciągły sygnał. Ktokolwiek dzwonił, przerwał połączenie.

– Kto to? – pytam.

– Nie przedstawił się. Dzwonił do ciebie. Nie był sam, ale nie mogli czekać.

– Aha. – Przewracam się na drugi bok i ziewam, przysłaniając usta dłonią. – Pomówimy o tym rano.

Nikki sztywnieje i patrzy na mnie wzrokiem wymagającym większego zainteresowania.

– Czego chcieli?

– Zostawili wiadomość.

– Tak? – Walczę z opadającymi powiekami.

– Ten człowiek powiedział, że jeśli wiesz, co jest dobre dla twojej rodziny, twojej żony i córki, oskarżysz Rosjanina o zamordowanie Scofieldów.

– Niech to – mruczę.

Zaczął się. Telefony od szaleńców, którzy chyba zawsze płaczą się przy głośnych sprawach. W mojej praktyce zdarzało mi się zmieniać numer telefonu, w dodatku zastrzeżony, dwa razy w miesiącu. Do tego stopnia niestrudzone są zastępy armii pomyleńców.

– No, chodź tu. – Uśmiecham się i obejmuję ramiona Nikki, chcąc ją przytulić, ukołysać do snu.

Wyrywa mi się, w jej oczach czai się strach.

– Powiedział, że Sarah – znał jej imię! – powiedział, że Sarah jest bardzo ładna. – Znowu mówi o nieznanym.

– Powiedział, że miała szczęście, iż może się uczyć w prywatnej szkole, w Westchester School. – Patrzy na mnie, a w jej spojrzeniu maluje się ból i pogarda, wyraz, który moja żona zastrzega dla aktów zdrady.

– Wiedzą, do której szkoły Sarah chodzi. – Jej oczy są tak zimne, że mogłyby przeciąć hartowaną stal. – Sprowadziłeś to na nas. Żeby pomóc koledze, który najwyraźniej był dla ciebie ważniejszy niż własna rodzina.



Rano ścieram resztki snu z oczu, ziewam. Kiedy strach Nikki po tajemniczym telefonie zamienił się w furję, nie wróciłem już do łóżka – spędziłem noc na wytartej kanapie w salonie. Była to jedyna droga ucieczki. Nikki nie pozwoliłaby mi zasnąć. Trzy razy, gdy już zapadałem w sen, podrywała mnie na nogi, aż wreszcie gniewnie opuściłem łóżko.

Na razie mam inne problemy. Claude jest w moim gabinecie i melduje mi rewelacje na temat Jeanette Scofield.

– Może uważała, że jej obowiązkiem jest usunąć jego rzeczy z gabinetu – mówię. – Może szkoła potrzebowała przestrzeni.

– Jasne. Dwa dni po pogrzebie? Kiedy mężuś jeszcze nie ostygł? – Twarz Dusalta jest cyniczną maską. – Ta kobieta ma chyba obsesję sprzątań.

Claude wpadł do mnie dziś rano po drodze do pracy. Nie jest w dobrym nastroju.

Myszkował po całym uniwersytecie, szukając wszystkiego, co mogłoby doprowadzić nas do świadka z drzewa. W trakcie swoich wędrówek odkrył, że Jeanette Scofield wyniosła z gabinetu Abbotta Scofielda kilka dokumentów i książek, zanim policja zdążyła przeszukać pomieszczenie.

Wdowa nie wspomniała o tym podczas kilku przesłuchań. I jak przystało na dobrego glineę, Claude jest teraz pełen podejrzeń.

Informuje, że ludzie pracujący w tym samym budynku widzieli, jak Jeanette i Jess Amara wynieśli z biura kilka pudeł pełnych książek i papierów, po czym załadowali je do dwóch stojących na parkingu samochodów.

– Jeden z nich należał do policji miejskiej – zauważa.

Jest przekonany, że tu chodzi o coś więcej niż potrzeba zrobienia porządków.

– Rozmawiałeś z nią? – pytam. – Może nadal to ma.

– No pewnie. Jak tylko się dowiedziałem, zaraz do niej zapukałem. Ma kupę podręczników na temat ptaków, wszystko spleśniałe, trzyma to w pudłach w garażu. Powiedziała, że mogę sobie wziąć, co tylko chcę.

Robię minę: „widzisz, wszystko w porządku”

– Ale wszystkie dokumenty – ciągnie – akta Scofielda, jego notatki i listy poszły na przemiał. – Spogląda na mnie spod uniesionych brwi. – W piecu do spalania odpadków w piwnicy ratusza. – Podchodzi do okna mojego gabinetu i patrzy na wielki budynek z cegły po drugiej stronie placu.

Braciszek Jess nie chciał zanieczyszczać powietrza, jak zwykle schludny i porządny. Być może w listach Abbotta Scofielda znajdowały się jakieś ślady wskazujące na istnienie naszego świadka koronnego. Wszystko, co zanotował, wszystkie jego domysły przeminęły z wiatrem.

– Podała jakieś wytłumaczenie?

– Tysiące. Więcej opowieści niż u Dickensa. Że nie wiedziała, iż te dokumenty są ważne. Że nie miała gdzie ich trzymać. Że zajęcie się nimi sprawiłoby jej zbyt wiele bólu, więc zajął się nimi jej brat. Taki delikatny i wrażliwy facet. – Mina Claude’a wyraża całkowity brak zaufania.

– Znalazłeś jakieś pomocnicze katalogi? – Myślę o komputerze. Jeśli cała dokumentacja znajduje się właśnie tam, być może istnieją dyskietki.

Kręci głową.

– Scofield korzystał z pokoju stenotypistek w departamencie. Nie mamy szczęścia. Jest tam electric starego typu – czyli maszyna do pisania IBM, oczko wyżej od rycia w kamieniu.

– Kiedy wydział potrzebował kopii, musieli je robić sami w centrum kopiowania, gdzie maszyny stoją przez jakiś czas wolne. – Zdaje się, że fundusze na wyposażenie departamentu w jakiś sposób zamieniły się w palisandrową boazerię w kancelarii prezesa sądu i srebrną zastawę, której on i jego żona używają podczas przyjęć.

– Powiedziano mi, że wszystkie odbitki, jakie robił Scofield, powinny być w papierach w jego gabinecie. W tych spalonych. Dom wariatów. – Oto, co sądzi Claude o swojej gonitwie po uniwerku.

Potem uśmiecha się do mnie.

– Ale zapomnieli o tym, łobuzy – dodaje. Wyciąga z kieszeni złożone arkusiki, małe karteczki spięte w jednym rogu, i podaje mi je.

Okazuje się, że to formularz, wniosek do władz uniwersyteckich o zwrot kosztów podróży i utrzymania. Jest wystawiony na nazwisko Abbotta Scofielda, ale nie ma na nim jego podpisu, a opiewa na pięćset dwadzieścia sześć dolarów i pięćdziesiąt sześć centów.

– Skąd to masz?

– Znalazłem u stenotypistek, kiedy pani Porządnicka i pan Pracuś przyszli spełnić swoją powinność. Zdaje się, że Scofield był ostatnio w podróży.

Sprawdzam adres odbiorcy: San Diego. Druk nosi datę o osiem dni wcześniejszą od dnia zamordowania Scofieldów – podróż odbyła się tydzień wcześniej. Cel wyjazdu nie jest określony. Na formularzu pozostawiono puste miejsce.

Patrzę na spięte ze sobą świstki. Jeden z nich to wydruk komputerowy – rachunek z

hotelu, dwie doby po dwieście dwadzieścia pięć dolarów za jedną, w cenę wliczone posiłki i kino. Zdaje się, że nie wszystkie pieniądze departamentu poszły na błyszczący palisander i srebrne łyżeczki.

Do tego coś, co wygląda na kilka rachunków z restauracji, oraz przedarty na pół bilet do Rezerwatu Dzikich Zwierząt w San Diego.

– Więc wybrał się na wycieczkę? – mówię.

– Właśnie. W fajne miejsce. Ale nie sam.

Wskazuje mi pozycję na rachunku z hotelu.

– Pokój dwuosobowy. Profesorek zamieszkał z kimś. W tym samym pokoju.

– Może pojechał z innym członkiem wydziału i oszczędzali? Tak się robi.

– Może. Ale jego przyjaciel nosił spódniczkę.

Spoglądam na niego.

Kolejny rachunek, maczek komputerowych literek: „Wypożyczenie. Damski kost. kap.”

– Dzwoniłem do hotelu – dodaje. – Wypożyczają kostiumy kąpielowe gościom, którzy zapomnieli ich ze sobą zabrać. Szlafroki gratis.

Mruga do mnie. Wiem, o co mu chodzi. Uważa, że skok w bok może być motywem zbrodni.

– O czym myślisz? – Patrzę na niego pytająco.

– Dwoje za jednym zamachem – odpowiada. – Karen i Abbott. Może znowu zaczęli się ku sobie mieć, a komuś się to nie podobało?

Prawo w tym stanie wymaga wydania osobnych aktów oskarżenia na każdą zbrodnię. Lenore i ja pojawiliśmy się tego popołudnia w sądzie w tym właśnie celu, a także po to, by ustalić datę procesu. W budynku sądu zastrzono wymogi bezpieczeństwa – przy wykrywaczu metalu u wejścia pojawili się dodatkowi uzbrojeni strażnicy.

Emmet Fisher, wspomagany przez czterech zaledwie sędziów, pełni w tutejszym sądzie potrójną funkcję. Oprócz prowadzenia sporadycznych spraw zajmuje się ustalaniem kolejności rozpraw oraz rozpatrywaniem próśb skierowanych do sądu – sposób na wczesne zdewaluowanie dowodów.

Dziś Fisher urzęduje na wysokościach ławy sędziowskiej, tonąc w fałdach obfitej czarnej togi. Jego krzaczaste brwi, niczym wędrowne chwasty, są uwięzione za szklami okularów w oprawkach ciemnych jak opony – sędzia przypomina z wyglądu jakiegoś

przerośniętego drapieźnika, pozbawionego jednak zwierzęcej mądrości.

– Co powiesz na dziewięćdziesiąt dni? – proponuje Lenore.

– Wolałbym sześćdziesiąt, ale mogą być i trzy miesiące – zgadzam się.

Rozmawiamy o przewidywanym okresie badań psychiatrycznych, o które prawdopodobnie poprosi dziś Chambers, żeby odwlec datę procesu. Lenore nie sprzeciwi się, lecz spróbuje ustalić termin. Spodziewamy się, że dzięki temu unikniemy decyzji sądu nie określającej czasu trwania badań.

Fisher kończy z dwójkiem prawników, których sprawa odbędzie się wcześniej niż nasza.

– Następni – mówi.

Sekretarka odwraca się na krześle i podaje mu akta.

Sędzia czyta:

– Hrabstwo Davenport przeciw Andre Iganovichowi, sprawa numer czterdzieści pięć trzydzieści dwa osiemdziesiąt siedem.

Reporterzy z pierwszych rzędów zaczynają się przepychać, żeby zapewnić sobie lepszą pozycję. Tłoczą się niczym zawodnicy pod koszem, usiłując wywalczyć jak najwygodniejsze miejsce.

Goya i ja siadamy.

Wprowadzają Iganovicha. Ma na sobie więzienne ciuchy, na rękach kajdanki, jest skuty w pasie. Staje w kącie sali, przy masywnych stalowych drzwiach wiodących do celi. Chambers znajduje się po drugiej stronie balustrady, szepcząc oskarżonemu poprzez tłumaczkę objaśnienia na temat tego, co będzie się tu działo.

– Witam panów – zaczyna sędzia. – I panią – dodaje. Spogląda na Lenore. Ma z siedemdziesiąt lat, pochodzi ze starej szkoły, dla której kobieta w sądzie jest ciągle zaskoczeniem. Nie jest pewien, jak wiele rycerskości wypada okazać.

Przegląda akta.

– Postawienie w stan oskarżenia – oświadcza.

Prosi o przedstawienie się do protokołu.

– Paul Madriani, okręgowy oskarżyciel hrabstwa Davenport, i Lenore Goya. W imieniu hrabstwa – mówię.

– Adrian Chambers, reprezentujący oskarżonego, Andre Iganovicha.

Rosjanin przedstawia się z pomocą tłumaczki.

Fisher nie marnuje czasu. Krótko prezentuje treść aktu oskarżenia – cztery morderstwa pierwszego stopnia. Przez kilka minut monotonicznie odczytuje oskarżenie, przeważnie według

szablonu, wstawiając w wykropkowane miejsca nazwiska ofiar i daty zabójstw – wyliczanka okoliczności pociągających za sobą karę śmierci.

Kończy, rzuca Rosjaninowi z wysokości ciężkie spojrzenie, które przekracza bariery językowe.

– Panie Iganovich. Czy rozumie pan treść oskarżenia?

Szybkie tłumaczenie.

– Da.

– Tak.

– A zatem czy jest pan winny popełnienia morderstwa pierwszego stopnia na Sharon Collins dwudziestego czwartego czerwca bieżącego roku?

Iganovich mówi coś niezrozumiałego do tłumaczki. Krótka rozmowa, wymiana zdań z Chambersem.

Wreszcie:

– Niewinny.

Powtarzają to ćwiczenie jeszcze parę razy. Za każdym razem Rosjanin oznajmia, że jest niewinny.

– Bardzo dobrze – mówi Fisher. – Czy ktoś chce wnieść wniosek?

To pora na prośbę o badania psychiatryczne, to się stanie właśnie teraz.

Lenore zerka szybko na Chambersa. Czuję, jak spina się w sobie, jak zbiera się do skoku. Rozprawa, nawet wstępna, to rodzaj bitwy. Ci, którzy biorą w niej udział, zawsze z niecierpliwością oczekują pierwszych strzałów. To jedyne lekarstwo na drżące kolana i suchość w ustach.

Chambers nachyla się do ucha swojego klienta, gestykułując zawzięcie.

Prostuje się, patrzy w stronę ławy.

– Wysoki Sądzie, proszę o zakaz dostępu do sprawy dziennikarzom – oświadcza.

Fisher uśmiecha się, najwyraźniej zadowolony, że ktoś przejmuje za to odpowiedzialność. Dzięki temu nie musi sam wystawiać się na gniew dziennikarzy. Chambers zyskuje u niego duży plus.

– Ma pan coś przeciwko temu, panie Madriani?

Oczywiście nie, potwierdzam to głośno.

– Bardzo dobrze. Skoro nikt nie zgłasza sprzeciwu, przyjmuję zwykły porządek sprawy – oznajmia Fisher. Notuje coś w aktach – Coś jeszcze? – Najpierw zwraca się do Chambersa.

Goya szturcha mnie kciukiem w udo, co ma oznaczać „teraz się zacznie” – próba

zglębienia bezdennej otchłani psychiki Rosjanina, sposób Chambersa na stałe zatrudnienie specjalistów od podświadomości, psychoanalityków.

– Panie Chambers?

– Wysoki Sądzie, wstrzymamy się do czasu ustalenia daty procesu. – Adrian znów jest pochłonięty rozmową ze swoim klientem. Niczym mistrz szachów, stara się ustawić wszystkie elementy w określonym porządku.

– Panie Madriani. Czy ma pan jakieś zastrzeżenia co do tego, aby powrócić do składania wniosków po ustaleniu daty rozprawy?

– Żadnych, Wysoki Sądzie. – Lenore będzie musiała trochę poczekać.

– A zatem możemy przejść do ustalenia daty.

– Ile dni, panowie? Ile dni przewidujecie na rozprawę?

– Siedem dni dla stanu – mówię.

– Dziewięć dla obrony – rzuca Chambers.

Jeśli to prawda, Adrian przeczesa wszystkie ulice w poszukiwaniu świadków, którzy dadzą alibi jego klientowi. Bez wątplenia znajdzie legion drobnych pijaczków, którzy zechcą powiększyć swój majątek o pewną sumkę przez miesiąc trwania procesu. Takimi metodami posługuje się Chambers. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że odebranie mu prawa wykonywania zawodu nauczyło go, że kara spotyka nie tych, którzy źle postępują, ale tych, którzy dają się na tym przyłapać.

– Biorąc pod uwagę sprawdzenie kompetencji świadków, dyskusje i wnioski, rozszerzamy ten okres do dwudziestu pięciu dni – postanawia Fisher. – Podaj nam kilka wolnych terminów, Betty.

Sekretarka sędziego otwiera księgę, podczas gdy on sam wyciąga pióro, by poczynić w papierach adnotacje, krótkie uwagi do zamieszczenia w aktach, których kopie otrzymają obie strony.

Betty Hamilton, sekretarka Fishera, wertuje opasły tom niczym siwowłosa anioł u bram nieba.

– Czy któraś ze stron życzy sobie spotkania przed rozprawą? – pyta Fisher.

– To chyba dobry pomysł – przyznaje Chambers.

Fisher patrzy na mnie.

– Nie wnoszę sprzeciwu, Wysoki Sądzie.

Sprawdza rubrykę w formularzu. W ten sposób ustanawiamy podstawowe zasady procesu.

– Zgłoszono wniosek – Fisher mamrocze do siebie, sprawdzając po kolei wszystkie

rubryki. Robi to tysiące razy w roku, osiemdziesiąt procent swojego czasu poświęca na stawianie krzyżyków w odpowiednich rubrykach. Fajna robota, jeśli się lubi coś takiego. – Oskarżony wnosi o odroczenie – mamrocze. – Kolejny krzyżyk w rubryce.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Hmm? – Chambers wytrącił sędziego ze skupienia nad formularzem.

– Oskarżony nie wnosi o odroczenie – wyjaśnia Adrian.

Fisher wpatruje się w niego, jakby sądził, że zepsuł mu się aparat słuchowy.

Stoję zdezorientowany, ogłupiały. Mija kilka sekund, zanim udaje mi się spojrzeć na Goyę. Ma otwarte usta.

– Chyba nie dosłyszałem – odzywa się sędzia.

– Oskarżony nie wnosi o odroczenie. – Chambers powtarza to po raz trzeci, wymawiając słowa tak wyraźnie, by Fisher mógł je odczytać z ruchu jego warg.

– Mecenasiu – przywołuje go do rozsądku Fisher. – To sprawa główna. Tu chodzi o życie pańskiego klienta. Nie chce pan chyba powiedzieć, że zdoła się przygotować do procesu w ciągu sześćdziesięciu dni?

– Wysoki Sądzie, jestem zaniepokojony – wtrącam.

– Nie bardziej niż sąd – burczy Fisher.

– Właśnie to chcę powiedzieć, Wysoki Sądzie. Mój klient ma prawo do przyspieszonego procesu i zamierza z niego skorzystać.

– Czy pański klient rozumie, co robi? Jakie ryzyko podejmuje?

– Tak.

– Chciałbym usłyszeć to od niego – oznajmia Fisher. Pochyla się w stronę Iganovicha i mruklawie pogania tłumaczkę, żeby czyniła swoją powinność.

– Panie Iganovich – zaczyna. – Czy rozumie pan, że chodzi tu o sprawę główną, że może pan zostać skazany na karę śmierci, jeśli sąd orzeknie o pańskiej winie?

Odczekuje chwilę.

– Da. – Ponure spojrzenie Rosjanina, któremu nie podoba się, że starzec próbuje go zastraszyć.

– Tak.

– A czy rozumie pan, że pański obrońca właśnie oświadczył, iż żąda pan przyspieszenia procesu? Co oznacza, że musi on się odbyć w ciągu sześćdziesięciu dni od daty dzisiejszej. To niewiele czasu na przygotowanie się do procesu. Może się niekorzystnie odbić na pańskiej sprawie. – Przerzywa na chwilę ze względu na tłumaczkę i czeka na jakąś reakcję Rosjanina. Nic.

– Jeśli pański adwokat nie przygotuje się wystarczająco, znajdzie się pan w bardzo niekorzystnej sytuacji. Czy pan to rozumie?

Iganovich czeka, aż tłumaczka skończy, potem wzrusza ramionami i krzywi się – pomarszczona jak suszona śliwka twarz wyrażająca brak zainteresowania.

– Da. – Jeszcze kilka niezrozumiałych słów do tłumaczki.

– Tak, rozumiem. Co za różnica? – powtarza za nim kobieta.

– Ta różnica – wyjaśnia sędzia – może być różnicą między życiem a śmiercią.

Tłumaczka przekłada. Kolejny grymas, ani słowa odpowiedzi.

– Czy oskarżony to rozumie?

Szybkie tłumaczenie.

– Tak.

Sędzia rezygnuje, zły jak wszyscy diabli.

– Bardzo dobrze – oświadcza. – Betty, co możemy zdziałać przez sześćdziesiąt dni?

Bolesna mina sekretarki. Wzrusza ramionami: to niemożliwe. Słyszę cichą rozmowę jej i Fishera:

– Sędzia Ingel jest na wakacjach. Pan jest zajęty, dwie sprawy.

Znowu szepty, urywane słowa. Jeden z sędziów został wysłany poza granice hrabstwa w jakiejś sprawie. Sędzia Kerney ma wyznaczoną operację, której nie może przełożyć. Fisher nie wie, co zrobić, jest zły, że znalazł się w takiej sytuacji. Patrzy na Chambersa wzrokiem, który mówi: „Świetnie. Chcesz, to masz”.

– Tę sprawę będzie musiał przejąć sędzia Ingel – decyduje. – Niech przełoży wycieczkę na Maui.

Stoję oszołomiony. Derek Ingel, ten pozbawiony humoru pieprzony Prusak, zabierze się do tej sprawy, wściekły, że nie doszła do skutku wycieczka w przyjemniejsze rejony. Jest prawie tak źle, jak gdyby przerzucono mnie na drugi brzeg rzeki, żebym prowadził sprawę pod okiem Świrusa. Wolałbym już tydzień w piekle.



Jeśli uczynki świadczą o człowieku, to Adrian Chambers jest królem łgarzy, mistrzem mistyfikacji.

Jego wizyta u Forresta Huntera, bożyszca psychoanalityków z tego stanu, zaczyna mi wyglądać na dobrze zastawioną pułapkę. Tylko my jesteśmy tu oszukani. Chambers poprowadził nas jak po sznurku, rozmieszczając po drodze przynęty, podczas gdy sam przekopywał się przez sterty dokumentów i niezliczone wnioski, przygotowując się do wcześniejszego procesu.

– Sukinsyn – mamrocze pod nosem Lenore w moim gabinecie. Wertuje górę pisemnych wniosków – więcej stron niż w kodeksie podatkowym. Dotyczą one unieważnienia oskarżenia, wypuszczenia za kaucją, utajnienia dowodów lub ich ujawnienia i są obszerniejsze, niżeli artykuły Konfederacji.

Chambers załatwił nas, wrobił w najgłośniejszą sprawę w historii tego hrabstwa, i to w przyspieszonym terminie.

Derek Ingel, żeby nie być gorszym, przykręcił śrubę jeszcze mocniej. Zdaje się, że nie zamierza odwoływać urlopu. Wczoraj przysłał nam faksem oficjalne pismo. Mamy rozprawę za trzy tygodnie. Sam proces nie zajmie więcej niż trzydzieści dni, postanowił Ingel, łącznie z ogłoszeniem wyroku, w przeciwnym razie będziemy się musieli liczyć z jego gniewem.

Najwyraźniej nie zawraca sobie głowy wcześniejszymi rozmowami z Acostą, faktem, że Świrus zlecił mu nadzorowanie tych spraw.

– Obląkany skurwiel – rzuca Goya.

Nie wiem, czy ma na myśli Chambersa, czy Ingela. Teraz to właściwie wszystko jedno.

Lenore czyta jeden z wniosków o ujawnienie dowodów, który wręczył nam Chambers pod koniec rozprawy z Fisherem.

– Chce, żebyśmy udostępnili mu wszystkie dowody dotyczące Scofieldów – mówi. – Zwariował. To nie ma związku ze sprawą. Oddalimy ten wniosek. – Wojowniczy ton wkurzonego prawnika. W wyobraźni już go załatwiła. Rzuca kartkę na moje biurko. Jest zarazem zmęczona i zła. Nie spała trzy noce z rzędu, przygotowując się do walki o badania psychiatryczne; walki, która nie doszła do skutku.

Bierze następny wniosek, czyta go przez kilka sekund, sycząc ze zdenerwowania.

– *Pendajo* – warczy. W katolickiej szkółce misyjnej we wczesnym dzieciństwie

słyszałem, jak meksykańskie dzieci używały tego słowa jako obelgi.

– Jego ojciec ma *puta* jak baba. – Rozstawia po kątach rodzinę Adriana. W chwilach wyczerpania i stresu jej mroczny latynoski temperament bierze w niej górę. Spod gładkiej powłoki wykształcenia wyziera młodzieńcza szorstkość. Zerka na mnie, czy zauważyłem.

Radzę jej, żeby odpoczęła.

– Nie po raz pierwszy prawnik daje się nabrać. I nie ostatni. – Chyba obwinia siebie za to, że zwiódł ją sztuczki Chambersa.

Uśmiecham się do niej krzepiąco.

– Pogódź się z tym. Gładko to załatwił. – Mówię o strategii Adriana, na którą tak łatwo daliśmy się nabrać.

Przeszywa mnie palącym spojrzeniem migdałowych oczu.

– Tak gładko, jakby robił lewatywę z drutu kolczastego – komentuje.

Goya nie okazuje wielkoduszności w chwili porażki. Robiąc z niej durnia, Chambers dołączył na jej czarnej liście do Rolanda; do ludzi, w których figurki wbija pewnie nocami igły.

– Powinienem był to przewidzieć. – Próbuję ją pocieszyć, biorąc większą część winy na siebie. Ignoruje to i wraca do wniosków.

Kiedy Chambers narzucił nam datę rozprawy wstępnej, myślałem, że po prostu sprawdza nasze dowody rzeczowe, naszą zdolność do szybkiego postawienia Iganovicha w stan oskarżenia. Ponieważ najpierw wszystko się ważyło, a potem pracowaliśmy nad sprawą, ruch Adriana nie pociągał za sobą większego ryzyka. Nie uważałem, by jego domaganie się przyspieszenia rozprawy było jakąś wielką strategią.

Lenore twierdzi, że obrona i Iganovich będą musieli za to zapłacić, że żądanie szybszego procesu nie jest rozsądnym posunięciem, zwłaszcza teraz, kiedy Ingel przejmie tę sprawę.

Nie jestem tego taki pewny, ale zachowuję to dla siebie. Podobno Adrian potrafi szybko oceniać sytuację. Jego umysł chłonie wszystkie fakty, przesiewa je i błyskawicznie podejmuje decyzję – tym razem jest ona błędna. Po części to zasługa naszych dowodów. Wszystkie są dowodami rzeczowymi – kawałki linki, gwoździe i miejsce, w którym je znaleźliśmy, pojazd oskarżonego. Można ich dotknąć, są namacalne, nie przepadną, nie zbledną z czasem, jak świadek albo wspomnienie po nim.

Upływ czasu wszystko pogarsza. Mogą się pojawić nowi świadkowie, wandalę, którzy zbili szybę w furgonetce i widzieli, co było w środku; którzy zeznają, że rzeczy w samochodzie nie podłożył ktoś trzeci. Zwłoka może też sprawić, że policja odkryje

powiązania Rosjanina z pozostałymi morderstwami w Oregonie lub na południu. Z czasem mogą się również znaleźć portfele i portmonetki ofiar z Davenport oraz ślady prowadzące do Iganovicha.

Jest jeszcze zagadka zabójstwa Scofieldów – bliźniaczy scenariusz z innym sprawcą, kłopotliwy dla naszej sprawy. Kiedyś ona także może zostać rozwiązana. To morderstwo – jak sądzę, Chambers zdobędzie tu alibi dla swojego klienta – dla którego wciąż nie znaleźliśmy wytłumaczenia, może być wykorzystane podczas procesu; spowoduje, że przez scenę tego rozwijającego się dramatu przeciągną mgły.

Jedno jest pewne: Adrian Chambers nie jest głupi. Bezbłędnie przewidział, że w tym procesie czas nie działa na jego korzyść.

Wnioski wstępne to pierwsze zastępy rzucające przez prawników na pole bitwy przed właściwą potyczką otwartego procesu. Są ważne, ponieważ kładą fundamenty pod to, co nastąpi później. Wystarczy przepuścić jakiś wniosek, żeby nagle znaleźć się bez ważnego dowodu – to tak, jakby ruszało się do walki, utykając na jedną nogę albo z bezwładną ręką.

Dziś Lenore i ja mamy spotkanie przy drzwiach zamkniętych z sędzią Fisherem, bez oślepiających reflektorów i prasy, i co najważniejsze – bez Adriana Chambersa. Jest tylko sekretarka, która notuje nasze słowa.

Oto coś, co my, prawnicy, nazywamy spotkaniem *ex parte* – jednostronnym, wyłącznie z udziałem sędziego, na które zwykle zezwala się jedynie w wyjątkowych wypadkach.

Fisher zgodził się wysłuchać wszystkich naszych wniosków – ustępstwo na rzecz Ingela.

– W czym problem? – pyta. – To mógłby być dowód uniewinniający.

Ma na myśli świadka, który obserwował z drzewa morderstwo Scofieldów, naszego świadka koronnego. Adrian zarzucił się na tę informację swoim wnioskiem o ujawnienie dowodów.

Nie ma go dziś z nami dzięki luce w przepisach; jest to inicjatywa pominięta milczeniem przez głosujących i powszechnie uważana za zmore obrońców. Dzięki temu możemy porozmawiać z sędzią na osobności, w ścisłym gronie policyjnych informatorów i świadków.

– Mógłby, panie sędzio, ale tego nie wiemy. Nie mamy pojęcia, kim jest ten świadek, czy w ogóle – on czy ona, kimkolwiek jest – coś widział.

– To część prowadzonego dochodzenia – odpowiada Lenore. – Nie powinno się nas zmuszać do ujawnienia tych informacji.

Bierzemy dziś Fishera w dwa ognie – ostatni wysiłek, by nie dopuścić Chambersa do naszych dowodów, żeby nie mógł ich wykorzystać do wzbudzenia w przysięgłych wątpliwości.

– Pozwólcie, że powiem wprost – odzywa się sędzia. – Nie chcecie przyznać, że zeznania tego świadka mogą nie mieć związku ze sprawą?

Goya zagryza wargę, ale nie ustępuje.

– Nie wiemy, czy będą miały związek, czy nie – oznajmia. – Już wspomnieliśmy, że nie mamy pojęcia, co widział, czy w ogóle coś zobaczył.

Fisher obraca się w swoim wielkim czarnym fotelu, odchyła głowę i przygląda w zamyśleniu lampom na suficie.

Nie pozwalam mu na zbyt długi namysł.

– Oskarżony nie jest uprawniony do poznania tożsamości anonimowego informatora, nie znanego policji. Sprawa Callena – podpowiadam mu.

– Ale to nie jest anonimowy informator – ripostuje sędzia. – Tu nie tyle chodzi o tożsamość świadka, ile o to, czy dysponuje on jakimiś wiadomościami na temat naszej sprawy.

– To prawda – przyznaję.

– A zatem prosi mnie pan o ukrycie przed oskarżonym faktu istnienia potencjalnego świadka?

– Tak, panie sędzio.

Potrząsa głową.

– Nie. To zbyt wiele.

Dyskutuję z nim, przekonuję, że to pociąga za sobą prawdziwe ryzyko:

– Pewne okoliczności dotyczące obecności świadka na miejscu zbrodni, tego, co tam robił, mogą nie tylko wystawić dochodzenie na szwank, ale również narazić na niebezpieczeństwo życie świadka.

Fisher mierzy mnie wzrokiem.

– W jaki sposób?

– Niewierny, kim jest morderca lub mordercy – wyjaśniam. – Oni na pewno wiedzą o wiele więcej niż my. Jednakże jak dużo i jakie są motywy popełnionych zbrodni, nie mamy pojęcia.

– I?

– Jeżeli ujawnimy na rozprawie okoliczności, które naprowadziły nas na osobę świadka i to co, jak sądzimy, wydarzyło się na platformie, zabójca może wykorzystać tę informację i odnaleźć naszego świadka szybciej niż my.

Dostrzegam, że Fisher zaczyna pojmować konsekwencje takiego postępowania. Już nie kręci głową. Potem wraca do rzeczywistości.

– Ale nasz oskarżony – mówi o Iganovichu – ma prawo dostępu do każdego dowodu, który można uznać za świadczący o jego niewinności; do wszystkiego, co mogłoby pomóc w udowodnieniu, że jest niewinny. Jak mam mu je odebrać?

– Nie oskarżono go o zamordowanie Scofieldów, więc co te sprawy mają ze sobą wspólnego? – Lenore nie może się powstrzymać.

– Chwileczkę, pani mecenas – Fisher przeszywa ją wzrokiem. – Nie posuniemy się do przodu, kłócąc się, że ten drugi morderca, kimkolwiek jest, to morderca z Putah Creek, a pan Iganovich nie jest tym człowiekiem, o którego nam chodzi. – Unosi brew. – Jeśli tak zamierza pani przedstawić to przysięgłym, świadek, który być może widział tego innego mordercę, stanie się ważniejszy dla tej sprawy. Nie sądzi pani?

Oto cecha, którą najbardziej cenię u Lenore: nie daje się zastraszyć. Patrzy mu prosto w oczy.

– Nie, nie sądzę – odpowiada. – Dopóki pan Chambers nie udowodni, że świadek coś widział, że ma dowody związane z tymi zbrodniami, tożsamość osoby lub osób, które były wtedy na drzewie, oraz wszystkie wiążące się z nimi okoliczności nie dotyczą sprawy.

To powstrzymuje Fishera. Krzywi się, jakby Lenore miała rację, jakby znalazła prawdziwy haczyk.

– A jednak jak można udowodnić, że to, co świadek zobaczył – lub nie – ma związek ze sprawą, skoro żąda pani monopolu na wszystkie informacje?

Wyczuwam, że jest to kulminacyjny punkt naszej dyskusji – to tyle o zezwoleniu, które chcemy wydebić od Fishera. Pora odegrać Salomona, a jeśli to konieczne, zgodzić się na rozcięcie dziecka.

– Nadal szukamy tego świadka – odzywam się. – Wykorzystaliśmy wszystkie dostępne nam możliwości. Proponuję kompromis: zarządzenie ograniczające wszystko, co musimy przekazać obronie na ten temat. Proszę nam pozwolić zataić informację o świadku, o platformie na drzewie, dopóki nie zidentyfikujemy tej osoby, nie otoczymy jej opieką i nie dowiemy się, co ma do powiedzenia.

Sędzia krzywi się, jakbyśmy byli już blisko, ale niezupełnie.

– Musimy ujawnić obronie część informacji – upiera się.

– Dobrze, powiemy zatem Chambersowi, że istnieje potencjalny świadek, ale przemilczymy to, co pozwoliłoby mu ustalić jego tożsamość.

Fisher siedzi w milczeniu, rozmyślając w swoim fotelu. Potem kiwa powoli głową, jakby nie uważał tego za idealne rozwiązanie, lecz i tak najlepsze, jakie w tej chwili można przyjąć. Zdaje się, że na razie udało nam się ująć całość.

Niemal cały ten tydzień przesiedziałem przy telefonie. Musiałem zjeść tyle żab, że zaraz zacznę rechotać. Dzwoniłem do Herba Jacoby'ego z konsulatu brytyjskiego w Kanadzie. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę, o pomoc w znalezieniu jednego z dwóch strażników, którzy aresztowali Iganovicha.

Jacoby nie jest ostatnio skłonny do spełniania dobrych uczynków, nadal żywi urazę za uprowadzenie Rosjanina. Usiłowałem leczyć jego królewską dumę, bez końca zapewniając, że moje biuro, nasze władze nie miały z tym nic wspólnego, że była to prywatna inicjatywa Kima Parka.

Oświadczenie Iganovicha dotyczące opuszczonej furgonetki, które złożył w chwili aresztowania w Kanadzie, mogłoby okazać się istotne dla sprawy. Chcę wykorzystać ten dowód podczas procesu. Chambers zarzucił na niego swoje sieci w jednym ze swoich niezliczonych wniosków.

Dziś rano sędzieja Fisher patrzy w stronę obrony, na Adriana Chambersa.

– Mnóstwo dokumentów – mówi. Ma namyśli górę wniosków obrony. – Mam nadzieję, że są niezbędne.

– Co do jednego, Wysoki Sądzie – Adrian na to.

– Hmm – Fisher nie jest przekonany. – Czy jesteście gotowi? – pyta.

Obie strony kiwają głowami.

– Świetnie, a więc zaczynamy.

We wnioskach Chambersa więcej jest zbędnych zabezpieczeń niż na promie kosmicznym. Są to zapasy dodatkowych argumentów: aresztowanie było bezprawne; klientowi nie odczytano jego praw, zanim zdążył otworzyć usta; jego oświadczenie wymuszono gwałtem.

Rosjanina aresztowano za dokonanie morderstwa, ale Kanadyjczycy zatrzymali go za kradzież. Ponieważ nakaz aresztowania nie odpowiada treści oskarżenia, sąd uzna to aresztowanie za bezpodstawne. Dlatego ciągle czuję konieczność parcia naprzód, prezentowania swoich racji.

W kilku słowach przedstawiam sprawę sądowi. Teraz będziemy walczyć na terenie, którego granice sam wytyczyłem. Wzywam pierwszego świadka.

Reginald Beckworth to wcielenie prawdziwego brytyjskiego konstabla, mimo że jest tylko prywatnym strażnikiem ochrony. Precyzyjnie przystrzyżone wąsy i ciemne bokobrody,

tweedowy garnitur i kamizelka – jest lepiej ubrany niż większość prawników i połowa sędziów w tym budynku. Pracuje w agencji ochrony osiem lat, jest jednym z zarządzających Hudson Bay Company, kieruje ochroną jednego z największych sklepów towarowych.

Świadek zeznaje, że Iganovich jest tym, którego on i jego partner zatrzymali jako podejrzanego w dniu aresztowania.

– Bez przerwy sięgał ukradkiem pod ubranie – opowiada Beckworth.

– A zatem pomyślał pan, że zamierza coś ukraść?

– Sprzeciw, pytanie sugeruje odpowiedź! – Chambers zrywa się na równe nogi.

– Ujmę to inaczej – mówię. – Jak zinterpretował pan poczynania oskarżonego?

– Jako próbę kradzieży.

– Dziękuję. A teraz proszę mi powiedzieć, kto panu zlecił prowadzenie takich obserwacji? Kto wypłacał panu pensję?

– Hudson Bay Company.

– Czy bywał pan już zatrudniany przez jakąś oficjalną agencję policyjną?

– Dwanaście lat temu pracowałem w policji w Vancouver, ale odszedłem osiem lat temu.

Chciałem jak najszybciej poruszyć temat jego uprzedniego zatrudnienia w policji, żeby ubiec Chambersa. Otwieram wszystkie tajniki sprawy jak książkę, by sąd nie miał podstaw uznać, że coś ukrywamy.

– A więc wtedy gdy aresztował pan pana Iganovicha, pańskim jedynym pracodawcą było Hudson Bay Company?

– Tak.

– Zakładam, że dotyczy to również pańskiego partnera, że on również był zatrudniony wyłącznie przez Hudson Bay Company?

– To prawda. Towarzystwo ma swoich własnych pracowników ochrony, specjalnie przeszkolonych.

Chambers będzie twierdził, że strażnicy działali jako agenci rządowi. Aby temu zapobiec, muszę umieścić ich działanie w ściśle prywatnej sferze.

– Czy zatrzymując Iganovicha wiedział pan, że w tym kraju wydano nakaz jego aresztowania?

– Nie, nie wiedziałem.

– Czy miał pan jakieś podstawy, by przypuszczać, że popełnił on jeszcze inne przestępstwo oprócz możliwej kradzieży sklepowej, ze względu na którą go pan zatrzymał?

– Nie.



– A więc zatrzymał go pan wyłącznie jako pospolitego złodzieja?

– Tak.

– Zatem do chwili przekazania oskarżonego policjantom po jego ataku na pańskiego partnera policja nie miała w tej sprawie udziału, nie było jej przy zatrzymaniu?

– Nie.

Zatrzasnąłem te drzwi tak mocno, jak tylko mogłem.

– Czy może pan opisać, co się stało, kiedy po raz pierwszy zbliżyliście się do pana Iganovicha w dniu, o którym mówimy?

Wzdycha z namysłem.

– Myślałem, że nas pozabija – mówi. – Obserwowaliśmy go przez pewien czas, zarówno przez kamery, jak i bezpośrednio, z dwóch punktów na głównym piętrze. Był ubrany w sposób, który od razu zwrócił naszą uwagę.

– Był zaniedbany?

– Tak. Właśnie tak.

Przyglądając się eleganckiemu Beckworthowi, nie wątpię, że to zauważył.

– Ale co najważniejsze – dodaje – miał na sobie długi płaszcz i obszerną, luźną odzież spodnią. Na takie rzeczy zwracamy szczególną uwagę.

– Czy to jest charakterystyczne dla złodziei sklepowych?

– O, tak – zapewnia z gorliwością neofity. – W wypadku mężczyzn są to długie płaszcze, w wypadku kobiet zaś – długie, obfite spódnice i za duże pończochy. Poza tym obie płcie chętnie noszą ostatnio luźne, watowane garnitury. Ludzie ukrywają skradzione rzeczy w niewiarygodnych miejscach.

– Wyobrażam sobie. – Przed oczami miga mi wizja sondowania w poszukiwaniu słuchawek walkmana. Koszmar proktologa.

– To znacznie większy problem, niż się powszechnie uważa – ciągnie. Ma na myśli złodziei sklepowych. – Wasz podejrzany kręcił się koło stoiska z drogimi jedwabnymi szalikami. Sądziłem, że zgarnął jeden z nich...

Przerywam mu.

– Na jakiej podstawie uznał pan, że oskarżony ukradł szalik?

– Trzymał go w ręce, a po chwili szalik zniknął pod jego ubraniem.

– Widział to pan?

– Tak.

– Dziękuję. Proszę mówić dalej.

– Podeszliśmy do niego. Ledwie partner zdążył mu się przedstawić jako strażnik

ochrony, a już się zaczęło i wszyscy trzej kotłowaliśmy się na podłodze.

– Co zrobił pan Iganovich?

– Na początek kopnął mojego partnera. Celował w krocze, ale chybił. Trafił w kolano. Mój partner był nadal zdolny do walki. Zanim zdążyłem dobiec – Beckworth wyjaśnia, że znajdował się za stoiskiem – podejrzany zaatakował mojego partnera tym przyrządem, który nazywacie pistoletem elektrycznym, dwa razy w ramię. Obezwładnił go zupełnie. Wreszcie schwytaliśmy go przy pomocy dwóch klientów. Skaleczył mi twarz, a jednemu mężczyźnie rozdarł marynarkę. Zdołałem zająć go od tyłu i wykręcić mu rękę z pistoletem, tak że go upuścił.

Pokazuję Beckworthowi kopię jego raportu, ustęp, w którym wspomina o tym, co mówił Iganovich na temat furgonetki.

Przyznaje, że napisał to osobiście.

– Czy to wtedy, kiedy walczyliście na podłodze, pan Iganovich wygłosił zdanie przytoczone w pańskim raporcie?

– Chwilę później – informuje. – Kiedy go obezwładniliśmy. Był spanikowany i przejęty.

– Sprzeciw. Proszę o wykreślenie tej wypowiedzi z protokołu! – Chambers zrywa się na równe nogi – To, że oskarżony był przerażony czy przejęty, to czysta spekulacja świadka.

– Nagminne doświadczenie? – Zwracam się do sędziego. Jest to jeden z wyjątków dopuszczający przyjęcie opinii kogoś nie będącego ekspertem.

Fisher patrzy na mnie, jakby mówił „chytrus z ciebie”. Są to subiektywne odczucia, a nie fizyczne oznaki zachowania, i wiem o tym.

– Niedługo przedstawi nam pan świadka, który powie, że był w środku głowy oskarżonego i wie, co oskarżony myślał – zauważa Fisher.

Zrobiłbym to, gdybym mógł. Ale zatrzymuję to dla siebie.

– Sprzeciw podtrzymany, dopóki pan Beckworth nie udowodni, że stenografował wypowiedzi zatrzymanego.

– A co z usunięciem wypowiedzi? – dopytuje Chambers.

Wzrok sędziego nakazuje mi: „Nie bądź zachłanny”.

– Dobrze – mówi, spoglądając na stenografistkę. – Proszę to wykreślić.

Punkt dla strony przeciwnej. Ciągnę dalej.

– A zatem kiedy obezwładniliście oskarżonego, ten złożył pewne oświadczenie na temat furgonetki?

– Tak.

– Czy jako prywatny strażnik ochrony, działający według systemu kanadyjskiego, ostrzega pan zwykle zatrzymanego, że wszystko, co powie, może być użyte przeciw niemu?

– Raczej nie. Zostawiamy to policji, jeśli zachodzi potrzeba wmieszania jej w sprawę.

– Czy w tym wypadku udzielił pan zatrzymanemu takiego ostrzeżenia?

– Nie.

– Dlaczego?

– Cóż, jak już wspomniałem, nie była to standardowa procedura. A zresztą nawet gdybyśmy chcieli go ostrzec, nie mieliśmy na to czasu. On złożył to oświadczenie w trakcie walki. Nie zadawaliśmy mu pytań. Usiłowaliśmy go obezwładnić.

– Czy przytoczone w pańskim raporcie oświadczenie oskarżony złożył dobrowolnie?

– Sprzeciw! – Chambers znowu zrywa się z krzesła. – Oskarżony miał na karku co najmniej trzech mężczyzn, z których jeden wykręcał mu rękę. Oskarżyciel ma zabawne wyobrażenie o dobrej woli.

Fisher przygląda mu się z lekkim zdziwieniem.

– Panie Chambers, czy pański sprzeciw ma jakieś podstawy? Chyba je przeoczyłem.

– Pytanie sugeruje świadkowi odpowiedź – wyjaśnia Chambers.

– Dziękuję panu. Sprzeciw oddalony.

Jeden do dwóch. Adrian siada. Beckworth wpatruje się we mnie, niepewny, czy ma odpowiedzieć.

Niejedna sprawa została spalona, ponieważ któryś z prawników pogubił się na przesłuchaniach wstępnych w pytaniach, dał sobie zawrócić w głowie sprzeciwami i zapomniał powrócić do jakiejś istotnej odpowiedzi.

Proszę stenografistkę, by przeczytała moje ostatnie pytanie. Przerzuca tkwiące w maszynie poskładane karteczki, znajduje właściwe miejsce i czyta:

„Pan Madriani: – Czy przytoczone w pańskim raporcie oświadczenie oskarżony złożył dobrowolnie?”

Patrzę na świadka.

– Jak najbardziej – potwierdza Beckworth. Jeszcze jeden kawałek układanki trafił na swoje miejsce.

– A zatem czy na podstawie pańskiego zeznania można z całą pewnością uznać, że oświadczenie oskarżonego dotyczące jego furgonetki było dobrowolne i spontaniczne?

– Tak. To trafne określenie.

Podchodzę do stolika oskarżyciela. Siedzi przy nim Goya, sprawdzająca notatki w żółtym notesie. Odbywamy małą naradę, zanim zwolnię świadka, by mieć pewność, że

niczego nie przeoczyłem.

– A czy bezpośrednio po starciu z oskarżonym miał pan jakieś podstawy, by przypuszczać, że jest on ścigany za popełnienie innego przestępstwa niż kradzież w sklepie?

– Nie.

– Nawet po zetknięciu się z tak gwałtowną reakcją nadal nie podejrzewał pan, że Andre Iganovich mógł popełnić poważniejsze przestępstwo?

– Zupełnie nie. Złodzieje przyłapani w sklepie reagują różnie – objaśnia. – Niektórzy rezygnują. Po prostu stoją i opróżniają kieszenie. Przyznają się do winy podczas serdecznej pogawędki. Kobiety często płaczą, niektórzy mężczyźni też. A inni znowu wyjmują pistolet lub nóż i usiłują cię zabić. To coś jak z autostopem – dodaje. – Nigdy nie wiadomo, co się trafi.

– Czy zaatakował już pana kiedykolwiek zatrzymany złodziej?

– Kilka razy. Ale ten atak był zdecydowanie najgwałtowniejszy. Gdyby miał przy sobie ostrą broń, na pewno znaleźlibyśmy się w dużych kłopotach. – Ostatnie zdanie Beckworth mówi jakby do siebie.

– Sprzeciw! – woła Chambers. Wstaje. – Świadek znowu snuje domysły.

– Sprzeciw przyjęty – oznajmia Fisher.

– Panie Beckworth, proszę odpowiedzieć ściśle na pytanie.

– Tak jest, wasza lordowska mość.

Sędzia patrzy na niego. Różnie już go nazywano, ale nigdy w ten sposób.

Jak na razie Beckworth wydaje się zdecydowany przyszpilić oskarżonego. Połowa policjantów w tym mieście, zważywszy na czyny Iganovicha, zajęłaby miejsce świadka, kipiąc ze złości i plując jadem. A ten świadek przynajmniej usiłuje zachować pozory.

– Wspomniał pan, że w jego firmie pracownicy ochrony są specjalnie przeszkoleni?

– Tak jest.

– Czy dotyczy to również pana?

– Tak.

– Czy poinstruowano pana, w jaki sposób radzić sobie w sytuacjach, w których występuje przemoc?

– Zwykle staram się unikać takich sytuacji, jeśli to możliwe. Wolę nie ryzykować zdrowia własnego i naszych klientów.

– Ale oczywiście w swojej karierze policjanta, a później strażnika ochrony musiał się pan zetknąć z taktykami, chwytami i sztuczkami, które pozwalają powstrzymać atak podejrzanego?

– O, tak.

Moje pytania mają rozszerzyć zakres incydentu, podnieść całe zajście na bardziej profesjonalny poziom. Wtedy dojdziemy do sedna sprawy.

– A czy nauczono pana, że w razie ataku należy użyć tylko tyle przemocy, ile jest absolutnie niezbędne do powstrzymania napastnika i ani odrobiny więcej?

Nie można tego nazwać sugerowaniem odpowiedzi. Przygotowuję teraz mojego świadka, i Chambers wie o tym. Siedzi czujnie, gotów zgłosić protest. Ale jest już za późno. Już się stało. Adrian opada na krzesło i zerka na mnie kątem oka.

– Tak – potwierdza Beckworth.

– Panie Beckworth, jak określiłby pan rodzaj przemocy, której użył pan rzonego dnia, by powstrzymać pana Iganovicha?

– Jako absolutne minimum – oświadcza. – Tylko tyle, ile było konieczne, by go rozbroić i zatrzymać.

Cud nad cudami.

Wyciągnąwszy ze świadka upragniony wniosek, zabieram go na wycieczkę po mniej wyrafinowanych i wzniosłych zasadach gry wojennej. Przez trzy minuty Beckworth opisuje choreografię swoich ruchów tamtego dnia, wszystkich chwytów, jakie zastosował wobec Iganovicha, co do najmniejszego szczegółu. Być może nie jest to całkowicie zgodne z rzeczywistością, ale dzięki temu w psychice świadka utrwala się wyraźna wersja wypadków; wersja znośna dla sądu; wersja, której raczej nie można przenieć ani przeinaczyć.

Oto dlaczego po wniosku o utajnienie dowodów nie jest źle podjąć się trudu dalszych poszukiwań.

Naradzam się z Lenore przy stoliku. Na jej długiej liście wszystkie pozycje są już skreślone. Przekazuję świadka Chambersowi.

Ten wstaje zza stolika. Utrzymuje grzeczny dystans, ale zanim zada świadkowi jakiegokolwiek pytanie, przesywa go wzrokiem. Wreszcie odzywa się:

– Panie Beckworth. Czy składał pan już zeznania przed panem Madrianim, wyjąwszy dzisiejsze przesłuchanie?

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj. I dzisiaj, przed wejściem na salę rozpraw.

– Czy przeciwiczył z panem swoje odpowiedzi?

– Nie nazwałbym tak tego.

– W takim razie czy powiedział panu, które pytania są ważne, a które nie?

– Jeśli pyta pan, czy ustawił moje odpowiedzi, czy poinformował mnie, co mam powiedzieć, to moja odpowiedź brzmi: nie.

Chambers uśmiecha się. Beckworth to doświadczony świadek. To ktoś, kto ma szansę się nie potknąć.

– Wróćmy do samego początku – proponuje Chambers. – Do chwili, kiedy pański wzrok po raz pierwszy spoczął na moim kliencie, panu Iganovichu. Co on wtedy robił?

– Chodził między naszymi stoiskami, przyglądając się różnym częściom garderoby.

– I widział pan, jak je kradnie i wpycha sobie do kieszeni?

– Nie.

– O... W takim razie musiał pan dostrzec, jak ładuje całe garście ubrań pod płaszcz i w spodnie?

– Nie.

– Wysoki Sądzie, czy ten sarkazm jest naprawdę konieczny? – wtrącam się. – Pan Chambers jest świadom faktu, że aby zatrzymać podejrzanego, nie jest konieczne przyłapanie go na kradzieży. Wystarczy podejrzenie.

W gruncie rzeczy nie mam pojęcia, czy Chambers zna prawo dotyczące kradzieży sklepowych albo jakąś sprawę, w której poruszana była ta kwestia. Ale mój świadek zna je z całą pewnością.

Adrian rzuca mi spojrzenie mówiące, że żarty się skończyły. Manipulowanie świadkiem na osobności to wystarczająca przewina. Nie będzie tego tolerował podczas przesłuchania. Wnosi skargę do Fishera rozpaczliwiej niż Joe McEnroe.

Fisher słyszał już wystarczająco wiele o tym, jak prawnicy drą między sobą koty.

– Proszę o spokój – mówi. – I, panie Madriani, proszę się ograniczyć do oficjalnych sprzeciwów.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – uśmiecha się Chambers. Potem szczerzy do mnie zębami niczym czterolatek, który właśnie nasiusiał mi do piaskownicy.

– Panie Beckworth, co dokładnie robił pan Iganovich, kiedy zwrócił pańską uwagę?

– Jak już mówiłem, chodził między stoiskami, brał do ręki różne towary i się im przyglądał.

– To wszystko?

– Wykonywał też ukradkowe gesty.

Chambers doskakuje do niego.

– Ach, ukradkowe gesty! A jakież one były, te ukradkowe gesty? Może je pan opisać?

– Sięgał pod płaszcz, zapinając go i rozpinając. Mniej więcej tak – Beckworth

wykonuje nieznaczne ruchy dłońmi. – Nauczono nas zwracać na to uwagę.

– Ach, rozumiem. Ukradkowe gesty. – Adrian kiwa głową powoli, z powagą.

– A gdybym to ja był w tym sklepie i zapinał płaszcz, czy byłby to ukradkowy gest?

– Być może.

– I poczułby się pan uprawniony, by do mnie podejść, zatrzymać i zrewidować?

Beckworth przewraca oczami.

– Nie – mówi. – Nie zrobiłbym tego. To kombinacja wielu elementów.

– Aha, kombinacja. – Chambers dotyka palcem nosa, jakbyśmy wreszcie do czegoś doszli.

– Ta kombinacja, czy to jakiś schemat rzeczy, na które zwraca się uwagę, tropiąc złodziei sklepowych?

– Skoro panu to odpowiada.

O, odpowiada mu to: wkładanie w usta świadków właściwych słów.

– Znakomicie. – Głos Adriana pełen jest udawanego entuzjazmu, jakby właśnie znalazł kamień z Rosetty.

– A zatem częścią schematu są te tak zwane ukradkowe gesty? – docieka.

– Tak, można tak powiedzieć.

– Są czy nie?

– Zależy od okoliczności – odpowiada Beckworth.

Chambers patrzy na niego wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

– Myślałem, że zgodziliśmy się co do schematu – ubolewa – a teraz pan twierdzi, że to zależy od okoliczności. Skąd mamy wiedzieć, że schemat pasuje do podejrzanego, skoro ciągle się zmienia?

– Nie powiedziałem, że ciągle.

– Aha. Dobrze. A już zacząłem się martwić. – To szczególny talent Chambersa: zawołana kpina, rodzaj nieuchwytniej drwiny, która potrafi pozbawić trzeźwego osadu najbardziej rozsądnego świadka, wywołać w nim falę wściekłości, a z czasem również sprowokować nierozważne odpowiedzi.

– Spróbujmy sprecyzować resztę tego schematu – ciągnie Adrian. – Powiedział pan, że oskarżony miał na sobie obszerny płaszcz. Czy to też należy do schematu?

Beckworth zaczyna żałować, że pozwolił Chambersowi używać tego terminu.

– Czasami. To zależy od okoliczności.

– No, nie! Czy nigdy nie ustalimy tego schematu? – wykrzykuje Chambers.

Beckworth nie udziela mu na to odpowiedzi, ale obrzuca go takim spojrzeniem, jakie

mu się słusznie należy.

Obrońca rusza do ataku.

– Pozwoli pan, że zapytam. Czy wyglądało na to, że pan Iganovich szacuje towary, kiedy go pan zobaczył?

– Tak.

– Czy zatem można stwierdzić, że oglądanie towarów to również część schematu?

– Skoro to panu odpowiada.

– Zaraz. To nie mój schemat, tylko pański – prostuje Adrian. Uśmiecha się szeroko, jakby sprzedał właśnie Kanadyjczykowi zajeżdżony na śmierć samochód.

– Co jeszcze? – pyta.

– O co panu chodzi? – chce wiedzieć Beckworth.

– Cóż, zatrzymał pan człowieka. Co jeszcze obudziło pańską czujność? Jaka jest dalsza część schematu?

– No więc – Beckworth namyśla się przez chwilę – sposób, w jaki oglądał towary.

– Co było w tym sposobie takiego, że kazało panu zatrzymać Iganovicha?

– Patrzył na daną rzecz, a potem rozglądał się, jakby sprawdzał, czy ktoś go obserwuje.

– Ach! – Chambers kiwa głową, jak gdyby odnalazł brakujące ogniwo. – Miał rozbiegane spojrzenie?

– Można tak to nazwać. – Ton Beckwortha świadczy, że sam nie użyłby takiego określenia.

– Kolejny element schematu – zauważa Adrian. – Rozbiegane spojrzenie. – Wymawia to powoli, jakby uczył się czegoś wartego przekazania potomności. – Niech sprawdzę – dodaje. – Co my tu mamy: ukradkowe gesty, obszerny płaszcz, oglądanie towarów i rozbiegane spojrzenie. – Kiwa głową, jego mina wskazuje, że jest w zupełności przekonany. Znowu kpiny.

– Coś jeszcze? – dorzuca.

– Nie, to wszystko.

– O, świetnie. A zatem otrzymaliśmy nasz schemat. – Chambers podsuwa Fisherowi swoje notatki, potem uśmiecha się.

– I na tej podstawie zatrzymał pan pana Iganovicha?

– Po tym, jak nas zaatakował – wyjaśnia Beckworth.

– Wrócimy do tego później. Do tego, kto właściwie zaatakował pierwszy. Na razie proszę odpowiadać na moje pytania. – Uśmiech znika z twarzy Adriana.



- W końcu zrewidował pan pana Iganovicha, czy tak?
  - Tak.
  - No i co pan znalazł?
  - Co pan ma na myśli?
  - Ile sztuk towaru znalazł pan przy panu Iganovichu, gdy już powalił go na ziemię – pan i trzech pańskich kolegów – i kiedy go zrewidowaliście?
  - Nie znaleźliśmy niczego.
  - Słucham?
  - Nie znaleźliśmy przy podejrzanym żadnych towarów.
- Chambers wzdycha głęboko, przesadnie, wzrusza ramionami i rozkłada je szeroko.
- Jak to, nie znaleźliście niczego? Przecież wykonywał ukradkowe gesty, prawda?
  - Tak.
  - A obszerny płaszcz? Wszak miał na sobie obszerny płaszcz?
  - Tak.
  - I rozbiegane spojrzenie. Powiedział pan, że miał rozbiegane spojrzenie?
  - Tak.
  - To przecież nasz schemat, prawda? – Dziwnym zbiegiem okoliczności Adrian zapomniał o tym, że Rosjanin trzymał w dłoni szalik, kiedy Beckworth zauważył jego zniknięcie.
  - Nie mój – stwierdza Kanadyjczyk.
  - Myślałem, że doszliśmy do porozumienia – ubolewa znów Chambers. – Do tego schematu. Czy mam rozumieć, że po tym wszystkim, po tych krwawych trudach, po tym, jak dostałem skurczu, notując to wszystko, proszę spojrzeć – pokazuje świadkowi notes, gąszcz nieczytelnych bazgrołów – teraz oświadcza pan, że to i tak się nie sprawdza, że pański schemat jest bezwartościowy?
  - Nigdy nie nazwałem tego schematem – ripostuje Beckworth.
  - Ależ nazwał pan. Chce pan, żeby stenografistka to odczytała?
  - Nie.
- Chambers cofa się i ujmuje pod boki.
- I po tym wszystkim nie znalazł pan przy moim kliencie niczego?!
  - Znaleźliśmy jedwabny szalik na podłodze – przypomina mu Beckworth. Blisko naszego miejsca walki.
  - Aha. I policja oskarżyła pana Iganovicha o kradzież tego szalika?
  - Nie.

Adrian dziwi się przesadnie.

– Nie? Dlaczego?

– Brak wystarczających dowodów – wyjaśnia świadek.

– Innymi słowy, szalik mógł spaść z lady, podczas gdy pan i inni znęcali się nad panem Iganovichem?

– Sprzeciw.

– Sprzeciw podtrzymany. Panie Chambers!

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Przejęzyczenie.

Świadek wzdycha ciężko. Czeką go długi dzień. Zanim się skończy, Reginald Beckworth nieraz zada sobie pytanie, gdzie Adrian Chambers podział gumową pałkę i świecący w oczy reflektor.

– O, Wysoki Sądzie! – Ręce wzniesione, cała postać odchyłona do tyłu. Chambers wnosi skargę. Potem tupie niczym sześciolatek, klepiąc się po udach. Ma napad wściekłości, co sędziego Fishera zdaje się raczej bawić, niż irytować.

– To był błąd – stwierdza. – Nie było podstaw, żadnych podstaw!

Adrian sapie i wzdycha przed ławą sędziowską, bardziej zdenerwowany aniżeli zły, wykorzystując poczucie sprawiedliwości Fishera, jakby pogwałcono świętość. Właśnie dowiedział się o moim spotkaniu z sędzią: o konferencji za zamkniętymi drzwiami, na której postanowiliśmy zataić istnienie świadka koronnego. Nikt jeszcze o nim nie napomknął. W związku z tym możemy oczekiwać wybuchu Wezuwiusza.

– To porozumienie *ex parte* – mówi. Ten łaciński termin oznacza porozumienie jednej ze stron z sędzią bez udziału strony przeciwnej, coś uważanego przez prawników za tabu. Chambers oświadczył, że to nieetyczne jak sto diabłów.

Fisher ma na to usprawiedliwienie – drobny przywilej chronienia swojej uczciwości. Przymusza ustęp z kodeksu dopuszczający takie postępowanie w ściśle określonych sytuacjach.

– Został pan powiadomiony – odpowiada. – Wszystko zaprotokołowano. Protokół naszego zamkniętego posiedzenia może udostępnić sąd apelacyjny.

– Świetnie – Adrian na to. – Więc poproszę o kopię najszybciej jak się da.

– Protokół pozostanie zapieczętowany tak długo, jak długo będzie to konieczne.

– A, to już nie tak świetnie – zauważa Chambers.

– To niezbędne – oświadcza sędzia. – Jeśli czuje się pan zawiedziony, proszę złożyć apelację.

Adrian wie, że w ten sposób nie zobaczy ani kawałeczka protokołu. Dostęp do niego będzie miał tylko sąd apelacyjny, który sprawdzi uprzednio, czy Fisher nie nadużył zasady tajności.

Sędzia nie ma ochoty na dalsze tracenie czasu z Chambersem. Dwie trzecie wniosków obrony graniczyło z bezmyślnością. Z punktu widzenia Fishera zmarnował on cztery dni przesłuchań.

Dzisiejszy dzień nie jest szczęśliwy dla Adriana. Większość jego wniosków sąd odrzucił. Zostało zaprotokołowane to, co powiedział Rosjanin podczas bójki w sklepie. Nie udało się też Chambersowi wyłączyć z dowodów pistoletu elektrycznego, który teraz

patolodzy mogą powiązać z oparzeniami na skórze dwóch pierwszych ofiar, studentów.

Ogólnie rzecz biorąc, Adrian nie ma powodów do radości. Wielu obrońców staje wobec dowodów świadczących na niekorzyść ich klienta. Znam to uczucie – ssanie w żołądku, którego Chambers zapewne teraz doświadcza. Po odrzuceniu jego wniosków na samym początku procesu musi się czuć jak w drugiej połowie meczu, gdy jego drużyna przegrywa dwadzieścia jeden do zera.

Fisher zagłębia się w lekturze rozporządzenia z naszej zamkniętej konferencji. Chambers chce otrzymać wszystkie raporty śledcze i raporty z laboratorium, wszystko, co wiąże się z morderstwem Scofieldów, z jednym wyjątkiem, jak mówi.

– Wszystkie informacje na temat świadka lub świadków tych zbrodni są objęte tajemnicą, uznane za ściśle tajne i niedostępne wiadomości publicznej, dopóki świadkom nie zapewni się ochrony policyjnej. Do tego czasu obrona nie będzie miała dostępu do żadnych dowodów dotyczących świadków. – Sędzia podnosi wzrok. – Czy to jasne?

Adrian patrzy na niego w grobowym milczeniu, z otwartymi ustami, porażony nowym odkryciem. Mija kilka sekund, zanim pada ledwie słyszalne pytanie:

– Czy jest jakiś świadek? – Wyraz zdziwienia przywiera do jego twarzy niczym maska.

Tłumaczka skończyła właśnie szeptać. Iganovich usiłuje porozumieć się ze swoim obrońcą. Chambers nie zwraca na niego uwagi. Wreszcie zauważa go i macha ręką, żeby usiadł i zamilkł. Teraz klient Adriana jest równie sfrustrowany jak on sam.

Fisher dodaje, że sąd nie będzie już poruszał tego tematu, i radzi obu stronom, by również spróbowały się opanować.

Sekretarka rozdaje nam kopie rozporządzenia. Chambers patrzy na swoją, odczytuje ją starannie. Potrzebuje dłuższej chwili, by przystosować się do nowej sytuacji, pozbierać, jak znakomity bokser oszołomiony ciosem.

– Wysoki Sądzie – odzywa się. – Czy możemy podejść? Do pana?

Fisher kiwa na nas dłonią.

Chambers, Goya i ja tłoczmy się przy ławie sędziowskiej. Adrian zabiera głos:

– Panie sędzio, to dla mnie zupełna niespodzianka, ten świadek. Zapewne policja wiedziała o nim od dawna?

Spotyka się z kamiennymi twarzami naszej trójki. Zdaje sobie sprawę, że w ten sposób niczego nie osiągnie.

– No cóż, to oczywiście znakomite posunięcie – chwali. – Moje gratulacje – zwraca się do mnie. Próbuje z innej beczki: może ten świadek naprowadzi nas wreszcie na ślad

prawdziwego mordercy z Putah Creek. Mówi bardzo serdecznie, choć jego twarz pokrywa bladość chorego człowieka. Ani chybi, udało nam się go zaskoczyć.

A jednak, co nie ulega wątpliwości, dostrzega tu dogodną dla siebie okazję. Klasyczna linia obrony NIT (Narozrabiał Inny Typek) zawsze bardziej przekonuje przysięgłych, kiedy można skierować podejrzenie na kogoś innego. Między innymi dlatego właśnie zwlekałem jak mogłem z ujawnieniem informacji na temat świadka koronnego.

Gdy tylko Chambers zdoła wysondować, co wie nasz świadek, bez wątpienia dopasuje jego zeznania tak, by służyły obronie. Zetrze ostre kandy rozbieżności między jego relacją a wersją Rosjanina. Znając Adriana, jestem przekonany, że będzie tak długo ugniatał fakty, aż będą przylegały do linii jego obrony jak plastelina. Im dłużej uda mi się utrzymać go z dala od naszych danych, tym lepiej.

– Rozumie pan sędzia, że to dla mnie wielka niespodzianka, ten świadek – powtarza Chambers.

Jednym z głównych celów ujawnienia faktów, tej próby wymiany informacji między stronami przed procesem, jest uniknięcie zaskoczenia. Adrian przypomina nam o tym, wciąż promieniując życzliwością i uśmiechami.

– Ta wiadomość o waszym świadku jest dla mnie punktem zwrotnym – oznajmia.

Potem patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się szeroko niczym bliski przyjaciel.

– Ja oczywiście wszystko rozumiem – mówi. – Ujawnienie tożsamości świadka mogłoby rozpętać piekło w gazetach.

Sądzi, że wiemy, kim jest świadek, ale nie możemy go znaleźć. Pozwalam mu trwać w nieświadomości.

– Wydanie nakazu ochrony – zwraca się do Fishera – to mądre posunięcie.

Sędzia rozpromienia się, zachwycony tą demonstracją tolerancji i zrozumienia.

– A jednak – kontynuuje Chambers – nie byłoby od rzeczy, gdybym został dopuszczony do tych informacji. Jestem przecież pracownikiem sądu obowiązany do chronienia interesów mojego klienta. – Napomyka o dotyczącym nas obowiązku zachowania tajemnicy służbowej.

Fisher nie daje się skołować.

– Otrzyma pan wszystkie informacje, kiedy skontaktujemy się ze świadkiem.

– To bardzo ważny świadek – ciągnie Adrian. – Dopóki go nie znajdziecie... – przerywa w pół zdania, cichnie i spogląda na mnie. – To znaczy, że świadek jest mężczyzną? – Jego szeroko otwarte oczy są jak dwa znaki zapytania.

Jestem równie rozmowny jak ceglany mur.

– Zresztą nieważne – rzuca. Jego ciekawość gaśnie.

– Panie Chambers, czy w związku z tym chciałby pan coś dodać? – wzdycha Fisher.

Adrian zasłania sobie usta żółtym notesem, by stłumić głos. Zerka z ukosa na dziennikarzy w pierwszym rzędzie.

– Zastanawiam się, panie sędzio, czy przynajmniej nie moglibyśmy się dowiedzieć, jak długo mamy czekać na ujawnienie wiadomości o tym świadku? – Pytanie jest skierowane wprost do mnie.

– Dobrze pytanie – zauważa Fisher. – Co pan na to, panie Madriani?

– Pracujemy nad tym, panie sędzio. To numer jeden na naszej liście poszukiwań.

– Ale nie możecie podać nam daty?

– Nie. Jeszcze nie.

– Słyszał pan, panie Chambers. – Fisher patrzy na niego. – Może pański klient wolałby przełożyć proces? Sąd chętnie wyrazi zgodę. W świetle tych informacji...

Adrian krzywi się, wykonuje nieznaczny gest, jakby z góry znał odpowiedź.

– Czy mogę się naradzić z moim klientem? – pyta.

– Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. – Fisher jest bardziej niż chętny. Cokolwiek, byle tylko Iganovich zechciał poprosić o przesunięcie terminu procesu, byle Ingel mógł nabrać różanych odcieni tropikalnej opalenizny i ochoty do jego prowadzenia.

Adrian podchodzi do swojego stolika, kuca za klientem i jego tłumaczką. Rosjanin mówi coś gwałtownie, z ożywieniem, wruszając ramionami i robiąc zdumione miny.

Chambers wraca po niespełna minucie.

– Jest nieugięty – oświadcza. – Uparł się. Chce szybkiego procesu.

– Może ja spróbuję – proponuje sędzia.

– Nie. Nie. To byłby błąd. Proszę pozwolić mi nad nim popracować. Chyba jeśli trochę nacisnę, coś z tego wyjdzie.

Wszystko to jest bardzo interesujące, ta nasza mała szarada: sędzia, oskarżyciel i obrońca konspirujący razem w najlepsze, przyjacielskie zebranie rozsądnych prawników mających wspólny cel – nakłonienie Rosjanina do zwłoki.

– Jeśli zdołam mu wytłumaczyć, jak ważny jest ten świadek – mówi Chambers – być może wiele się zmieni.

Zostawiamy go i wracamy każdy na swoje miejsce.

– Wysoki Sądzie, do protokołu – odzywa się znów Adrian. – Proszę, aby odnotowano mój sprzeciw na wypadek ewentualnej apelacji. To chyba zrozumiałe?

Chodzi mu o nieujawnienie informacji na temat naszego świadka. Zrozumienie, jakie

się ma szansę, to jedno, a przygotowanie sobie gruntu pod późniejszą apelację to zupełnie coś innego.

Fisher kiwa głową.

Adrian przedstawia ogólnie to, co uważa za błędne: orzeczenie sądu, odmowę udostępnienia obronie dowodów wskazujących na niewinność oskarżonego. Wszystko to podaje bardzo uprzejmie, zupełnie nie przypomina dawnego Chambersa. To tylko do protokołu, zapewnia, jak zawsze wyczulony na drażliwe punkty procedury sądowej. Na tym kończy.

– Sprzeciw został zaprotokołowany – oświadcza Fisher – oraz odrzucony. Mój nakaz będzie obowiązywać przez określony czas.

Sędzia zbiera dokumenty, jakby zamierzał zakończyć posiedzenie.

– Czy jest coś jeszcze? – pyta. Wygląda jak prowadzący aukcję, kiedy tak siedzi z młotkiem gotowym do uderzenia.

– Aha, jeszcze jedno – dorzuca Chambers.

– O co chodzi?

Adrian szuka czegoś w swojej aktówce.

– Nie chciałem tego wykorzystywać – jakby się usprawiedliwiał – ale w świetle tych nowych informacji na temat świadka...- Znajduje wreszcie to, czego szukał: pojedynczą kartkę, zadrukowaną z jednej strony.

– Zgłaszam wniosek – oznajmia – aby sąd nakazał poszerzenie aktu oskarżenia mojego klienta o morderstwo popełnione na Scofieldach...

Z pierwszego rzędu dobiegają nas wyraźne szepty: „Co powiedział?”

Fisher patrzy na Adriana, jakby ten postradał rozum.

– Albo też – kończy Chambers – o cofnięcie oskarżenia we wszystkich sprawach przeciw panu Iganovichowi.

– Co?! Prosi pan, aby prokurator oskarżył pańskiego klienta o dwa kolejne morderstwa?! – pyta Fisher.

– Mogę to wyjaśnić.

– Panie Chambers – mówi Fisher – ma pan więcej kaprysów niż kobieta.

– Są ku temu podstawy, Wysoki Sądzie.

Zrywam się z krzesła.

– Pan Chambers miał już okazję, by wnieść taki wniosek i dać nam szansę odpowiedzi – przypominam. – Wnoszę sprzeciw i proszę, aby Wysoki Sąd wykreślił to z protokołu jako niezgodne z przepisami.

– Słusznie – przyznaje Fisher.

– Wysoki Sądzie, nie składałbym tego wniosku, gdyby nie informacja o świadku, którą mnie dziś zaskoczono. Pan Madriani pozostawił stan oskarżenia w sprawie Scofieldów w zawieszeniu, nie chcąc się zadeklarować, czy zamierza oskarżyć mojego klienta, czy też nie. Oświadczył publicznie, że poszukuje innego mordercy, tak zwanego naśladowcy. A teraz, niemal w przededniu procesu, napomyka o jakimś tajemniczym świadku. Świadku, który – jeśli się odnajdzie – złoży zeznania niewiadomej treści.

Adrian krzywi się, jakby nie wiedział, co ma z tym wszystkim począć.

– Stoję w obliczu sprawy, w której oskarżenie jest rozbite na tysiąc kawałków. Stan może oskarżyć mojego klienta o kolejne zabójstwa, a jeśli przegra, jeśli uzyskamy uniewinnienie – jego głos przybiera na sile, jeden palec uniesiony efektownie w górę – wtedy pan Madriani zrobi woltę i oskarży pana Iganovicha o zabicie Scofieldów. Może zmienić zdanie co do drugiego mordercy, stwierdzić, że się pomylił, wytrzasnąć spod ziemi swojego tajemniczego świadka, który pojawił się ni stąd, ni zowąd, i spróbować jeszcze raz.

Fisher zerka na mnie przelotnie – ani chybi zastanawia się, czy rzeczywiście powstał mi w głowie taki diabelski pomysł.

– Nie zgadzamy się na taką obronę na raty – protestuje Chambers. – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie boję się, że mój klient zostanie oskarżony o dodatkową zbrodnię. Ale albo zrobimy to teraz, albo sąd powiadomi pana Madrianiego, że później nie będzie już mógł wnieść aktu oskarżenia.

– Na jakiej podstawie?

– Sprawa Kelletta przeciw Sądowi Najwyższemu, Wysoki Sądzie. Jeżeli dobrze interpretuję tę sprawę – ciągnie – pan Madriani jest obowiązany połączyć wszystkie akty oskarżenia w jeden.

Adrian unosi w górę kartkę, odpis wyroku.

– Sprawa z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, nadal aktualna.

Podaje kartkę sędziemu. Fisher poprawia okulary i czyta. Mija kilka sekund. Potem sędzia unosi brwi i patrzy na mnie.

– Panie Madriani, czy zna pan tę sprawę?

– Nie wydaje mi się, Wysoki Sądzie. – Za moimi plecami Goya szamocze się z tomem kodeksu karnego, jedyną książką, jaką ze sobą zabrała. Szuka wzmianki o tej sprawie – dość karkołomne przedsięwzięcie.

– Może powinien pan to przeczytać – sugeruje Fisher. – Zdaje się, że pan Chambers znalazł precedens...



Kręci głową, jakby zamierzał wydać orzeczenie. Byłby to strzał z biodra.

Ubiegam go.

– Wysoki Sądzie, musimy mieć czas do namysłu, musimy przygotować odpowiedź – tłumaczę. – Przynajmniej tyle, by móc sprawdzić tę sprawę w literaturze prawniczej i przekonać się, czy wyrok nie został zmieniony albo ograniczony do konkretnej sytuacji.

Sędzia kiwa głową, zaniepokojony, że Chambers jeszcze nie skończył z wnioskami.

– Świetnie – postanawia. Ciężkie westchnienie. – Czterdzieści osiem godzin – mówi. – Dwa dni. W ciągu tych dwóch dni spodziewam się od panów pisemnego uzasadnienia podstaw prawnych i podania argumentów. Nie więcej niż pięć stron, tylko na temat tego jednego: sprawy Kelletta. Zrozumiał pan, panie Chambers?

Adrian kiwa głową.

Fisher zwraca się do mnie. Wyrażam zgodę.

– I nie próbujcie się rozpisywać – przypomina Fisher. – Tylko ta sprawa.

Chambers unosi dłoń, jakby uroczyście ślubował uczciwość.

– Tylko ta sprawa – powtarza.

– Musimy się z tym pogodzić – przekonuje Lenore. – To uznane prawo. – Ma na myśli casus „Kellett przeciw Sądowi Najwyższemu”. – Sprawdziłam wszystko, każdą sprawę, w której wymieniany jest Kellett. Dotarłam nawet do *Lexis*.

*Lexis/Nexis* to podręcznik dla prawników, rejestr wpisanych w pamięć komputera spraw od lat czterdziestych – wszystkie ustawy dostępne w ułamku sekundy.

Jesteśmy znów w moim gabinecie, jeszcze nie minęło południe. Lenore strawiła na przeglądaniu spraw większą część nocy, usiłując odszukać najnowszy wynalazek Adriana. Zdaje się, że Chambers trafił dobrze – w sam środek tarczy.

– Wyrok nie został uchylony ani ograniczony – informuje Lenore. – Prawdę mówiąc, na „Kelletta” powoływano się w pewnej sprawie rok temu. Jeśli Chambers się o tym dowie, wykorzysta naszą własną broń – osobne oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia. – Wręcza mi wydruk komputerowy: cztery arkusze papieru są nadal sczeplone ze sobą perforowanymi krawędziami.

– Czytaj i płacz – radzi.

To złe wieści. Miałem nadzieję, że znajdziemy jakąś szczelinę, przez którą uda się nam wyśliznąć.

– Nie możemy się niczym podeprzeć? – pytam. Mamy obowiązek dostarczenia na

jutro argumentów i podstaw prawnych naszemu nieszczęsnemu sędziemu.

Goya krzywi się, jakby każdy dobry prawnik mógł coś wytargować – nawet jeśli to tylko kropla w morzu potrzeb.

– Chambers przeszedł samego siebie – zauważa. Ma na myśli to, że naciągnął podstawy prawne, jakie daje „Kellett”, do ostatnich granic.

Mnie Adrian nie zaskoczył. Zawsze z tego słynał.

– Sąd nie ma podstaw do tego – ciągnie Lenore – by nakazać nam oskarżenie Iganovicha o zamordowanie Scofieldów. To wyłącznie kwestia wolnej woli oskarżyciela. Wszystko zależy od ciebie. Jest tu kilka spraw, które to potwierdzają – pstryka w wydruk komputerowy.

– Przynajmniej możemy go tym unieruchomić – mówię.

– A druga strona medalu jest taka, że przytniesz sobie palce, jeśli nie oskarżysz tego Rosjanina o Scofieldów.

To znaczy, że albo muszę oskarżyć Iganovicha, albo go zwolnić – niezależnie od wszelkich dowodów łączących go z tą sprawą, jakie moglibyśmy znaleźć później. Ojcowie miasta będą zachwyceni.

Chociaż Kay Sellig i mój zdrowy rozsądek podpowiadają mi, że Iganovich nie załatwił Abbotta i Karen Scofieldów, sprawa Kelletta zmusza mnie, abym złowił tę rybkę lub odciął przynętę.

– A to widziałeś? – pyta Lenore. Trzyma w dłoni egzemplarz porannego „Timesa”, jak na razie jedynej gazety, która nie zniekształca tej historii. Przebieg sprawy opisuje dla nich prawdziwy prawnik.

Dziś rano to im się opłaciło: doszli do takich samych wniosków jak Goya.

Reszta bandy wszystko poprzekreśla. Donoszą, że sędzia nakłania mnie do oskarżenia Iganovicha o dwie ostatnie zbrodnie, ale ja się wzbraniam. Pozostawiają czytelnikowi ocenę, czy kieruje mną zwykła niekompetencja, czy korupcja.

Dziś wieczorem, wracając z pracy, zastaję Nikki przy skrzynce pocztowej. Jest ubrana wyjściowo, w ręce ma torebkę, najwyraźniej dopiero co wróciła do domu. Może załatwiła jakąś sprawę.

Sarah stoi przed drzwiami, czekając, aż matka je otworzy, kiedy jej wzrok pada na mnie.

Jeszcze nie zdążyłem wyłączyć reflektorów, a moja córka już jest przy samochodzie i

szarpie się z klamką.

– Tatuś, tatuś! – Nieokielznany entuzjazm dziecka cieszącego się na widok rodzica, jedna z niewielu chwil prawdziwego szczęścia w życiu.

Podnoszę ją i wysłuchuję, co się dziś zdarzyło, gdzie były. Papele coś o przedstawieniu kukiełkowym i koleżankach. W tym okresie życia dziecko średnio zamożnych rodziców jest niemal zawsze szczęśliwe. Nikki i ja zastanawialiśmy się, czy nie rozpieszczamy Sarah.

Nikki wraca. Muskam ustami jej policzek.

– Jak minął dzień? – pytam.

– Dobrze. A tobie?

– Świetnie. – Nie zagłębiam się w chaos spowodowany najnowszym wnioskiem Adriana, w argumenty i podstawy prawne, moje nieustanne perypetie z prasą. Nie znalazłbym u niej współczucia.

Lenore uważa, że Chambers szykuje jakąś wielką strategię. Dyskutowaliśmy na ten temat przed moim wyjściem. Adrian wykorzystuje autorytet sądu, aby wyrzucić na mnie presję, bym oskarżył Iganovicha o dwa ostatnie morderstwa. Jeśli się poddamy, zdaniem Goi rzuci nam pod nogi alibi oskarżonego – godnych zaufania świadków lub absolutnie pewne dowody zaświadczające, że w dniu zamordowania Scofieldów Iganovich był w Kanadzie. To podważy wiarygodność naszego dochodzenia. Jak na razie nie zdołaliśmy zdobyć żadnej pewnej informacji na temat wycieczki Rosjanina na północ.

To stawia mnie przed poważnym dylematem: oskarżyć go o Scofieldów czy nie? Jeśli to zrobię, a okaże się, że istnieje inny morderca, otworzę przed nim wolną drogę. Z wyjątkiem konspiratorów i współoskarżonych nikt w sądzie nie przepada za sprawami, w których ktoś inny był już oskarżony o tę samą zbrodnię. To sprawia, że dochodzenie wygląda na przypadkowe.

– Wcześniej dziś wracasz – zauważa Nikki. Spoglądam na zegarek. Moja żona ma rację: jest nieco po ósmej. Z każdym dniem coraz wcześniej robi się ciemno, nadchodzi jesień.

Nikki przegląda korespondencję, dzieląc listy na swoje i moje. Wraz ze wszystkimi obowiązkami w domu przejęła też płacenie rachunków – kolejną czynność, na którą nie mam już czasu. Coraz więcej ciężarów spada na jej barki. Jedyny adresowany do mnie list ma na kopercie nadruk: „LOKATOR DOMU”.

– Nie jestem pewna, czy się kwalifikujesz – mówi Nikki. Tylko cień uśmiechu. Oboje wiemy, że aż za wiele w tym prawdy.

Żona zatrzymuje list skierowany do nas obojga, bez adresu zwrotnego i znaczka.

Musiał go wrzucić do naszej skrzynki jakiś sąsiad, albo to druk, którego nadawca usiłuje oszukać pocztę.

Kolejna koperta. Nikki patrzy na adres zwrotny.

– Jim i Mary – informuje. Nagle w jej głosie pojawia się weselsza nutka.

Jim i Mary Blaycockowie byli kiedyś naszymi sąsiadami. W zeszłym roku Jima przeniesiono na wschód. Kiedy się przeprowadzili, bardzo nam ich brakowało, był to bowiem jeden z tych związków, które zaczynają kwitnąć, gdy się je pielęgnuje. Mają dziewczynkę w wieku Sarah i nieco starszego chłopca. Czar dziecięcych zabaw jest czymś zupełnie wyjątkowym, czymś, co cementuje ze sobą dwie rodziny niczym bliskich krewnych.

Nikki rozdziera kopertę i czyta, podczas gdy ja otwieram drzwi i włączam światło w przedpokoju.

Żona relacjonuje mi wiadomości, jedna po drugiej: dzieci wróciły do szkoły, Jim dostał awans, Mary nadal szuka pracy.

– Zapraszają nas do siebie na święta Bożego Narodzenia. Och, byłoby świetnie – rozmarza się Nikki. – Śnieg na Gwiazdkę. Dobrzy przyjaciele.

W powietrzu wisi nie wypowiedziane zdanie: „Coś, do czego się tęskni, wiodąc tę jałową egzystencję”.

Wkłada list z powrotem do koperty. Tyle o marzeniach.

– Zastanowimy się – obiecuję.

Patrzy na mnie.

– Naprawdę?

– Mogę wygospodarować trochę czasu. Chyba mi się uda.

Nagle jej twarz staje się bardziej przyjazna, niż udało mi się to zaobserwować od kilku miesięcy. Obejmuje mnie obiema rękami, w jednej mnąc list, i całuje mocno, jednocześnie się przytulając. To pierwszy prawdziwy objaw uczucia, odkąd zdecydowałem się pomóc Mariowi Ferettiemu.

– Powiedziałem: zastanowimy się – usiłuję ją zmitygować, by nie oczekiwała zbyt wiele.

– Jasne. Sarah! Chciałabyś się zobaczyć z Tomem i Susie na święta?

Sarah się rozpromienia.

– Tak! Tak!

Zaczyna skakać wokół stołu w jadalni, popiskując cienko.

– Nie otworzysz swojego? – Nikki wskazuje na list z nadrukiem „Lokator domu”.

– Zostawię to sobie na później. Jako równoważnik dobrych wieści. Co jest na kolację?

– Może wyjmę parę steków z zamrażarki, wsadzę do kuchenki mikrofalowej i upiekę na ruszcie? Do tego pieczone kartofelki i sałata – proponuje. – I trochę wina dla uczczenia okazji. – Podnosi list, jakby nasza podróż była już przesądzona. Moja żona zna się na manipulacji.

– Świetnie. Muszę się przebrać. Będę za chwilę – mówię.

Zostawiam aktówkę w schowku w holu i znajduję moje rzeczy na wieszaku w szafie, tam gdzie je zostawiłem w ostatni weekend. Ostatnio wracałem tak późno w nocy, że przebieranie się w domowe rzeczy było stratą czasu i energii.

Wkładam lekki sweter i drelichowe spodnie, kiedy w kuchni rozlega się hałas – odgłos spadającej salaterki albo talerza. Zdaje się, że rozprysnął się na milion kawałeczków. Nie słyszę żadnych przekleństw ani zamieszania. Nikki musi być w dobrym nastroju, myślę.

Po chwili zapinam pasek i podążam korytarzem do kuchni. Nikki siedzi przy stole, pojedyncza lampa pali się tuż nad jej głową. Reszta kuchni tonie w mroku. Rzucam okiem na kuchenkę mikrofalową – jest wyłączona. Na stole żadnych steków. Setki szklanych okruchów na podłodze – to ręcznie malowana waza na zupe, z porcelanową łyżką i pokrywką, prezent od jej rodziców, którego strzegła jak oka w głowie od dziesięciu lat.

– O Jezuniu, tak mi przykro. – Patrzę na marne resztki wazy.

Nikki nie jest przykro. Siedzi z głową nisko pochyloną nad stołem, obejmując ją dłońmi, wsparta łokciami o blat. Przez chwilę wydaje mi się, że płacze. Ale kiedy podnosi na mnie wzrok, nie widzę łez, lecz jedynie krańcowe przerażenie – czyste i nieskrywane. Jest to coś absolutnie niebywałego u mojej żony; wyraz, który w okresie naszego małżeństwa dostrzegłem u niej ze dwa razy – raz kiedy źle odczytano wyniki badań krwi i postraszone nas, że Sarah może mieć cukrzycę.

– Co się dzieje? – pytam.

Nie może mówić, wskazuje tylko ręką. Na stole przed nią leżą koperta, pojedyncza kartka i błyszcząca fotografia. Nikki nie potrafi wykrztusić z siebie słowa, jakby zadrutowano jej usta, ale popycha list w moim kierunku. Podnoszę kartkę i czytam.

Rzut oka i już wiem, że nie powinienem tego dotykać. Policjanci będą chcieli zdjąć odciski palców. Całe słowa i pojedyncze litery naklejono na papier każde z osobna, ładnie wycięte z gazet, magazynów i tygodników. Tekst ma w sobie elegancję telegramu Western Union:

Ty PieRDOlony SOWiecki PALANCIE

## Oskarżysz RUSkiego ALBO zobaczysz

Sama treść tego listu mogłaby być komiczna, gdyby nie załączona fotografia. Ktoś zadał sobie nie lada trud. Nie jest to zwykła fotka, na jaką można się natknąć w najbliższym sklepie firmowym Kodaka. To zdjęcie bardzo błyszczące, dziesięć na trzynaście centymetrów, czarno-białe – coś, czego nie wywołuje się już w zwykłych zakładach fotograficznych. Nie sposób odmówić mu pewnego artyzmu – ujęcie na tle ciemniejszego nieba, podejrzewam, że to wczesny ranek, a otoczenie wydaje mi się znajome.

To boisko w Westchester, szkole Sarah. Na tle dwojga innych dzieci dostrzegam swoją córkę, bawiącą się na drabinkach. Trudno stwierdzić, z jakiej odległości zrobiono zdjęcie; przypuszczam, że bez teleobiektywu nie z większej niż trzy metry.

Wołam Sarah. Ogląda telewizję w salonie. Przychodzi do kuchni. Pokazuję jej fotografię. Nikki nie rusza się z miejsca, milczy i nie spuszcza ze mnie oczu.

– Sarah, widzisz to zdjęcie?

Poważne kiwnięcie głową. Z tonu mojego głosu poznaje, że stało się coś złego.

Stawiam ją na krześle, żeby mogła widzieć leżącą na stole fotografię, nie dotykając jej.

– Czy pamiętasz, żeby ktoś w szkole zrobił ci to zdjęcie? Kiedy bawiłaś się na drabinkach? – Spogląda na mnie wzrokiem zastrzeżonym tylko na okazję kłopotów.

Wielkie, szeroko otwarte oczy, rezolutne potrząsanie głową na znak, że to nie jej wina. Patrzy na swoją matkę, na jej przestraszona twarz. Dołącza do niej w milczeniu, przerażona moimi pytaniami, wpatrując się we mnie, nie pojmując, co się dzieje z jej bezpiecznym światem.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o telefonie? – Claude jest naprawdę oburzony, że nie powiadomiłem go o telefonicznych pogróżkach.

Rozmawiamy półgłosem nad sałatą i zupą w restauracji „Grządka Sałaty”, miejscu spotkań sekretarek i innych osób dbających o linię. Dusalt jest na diecie, choć nie mam pojęcia, dlaczego.

– Myślałem, że to jakiś wariat – wyjaśniam. – To Nikki odebrała telefon, sam nie słyszałem ani słowa. – Teraz tego żałuję, mojej pierwszej reakcji, tego, że uznałem, iż Nikki za bardzo się tym przejmuję. Zaczynam pomniejszać znaczenie pogróżek i niezadowolonych obywateli.

– To się zdarza częściej niż deszcz w kwietniu i przeważnie jest niegroźne – mówię.

– Uważasz, że to niegroźne? – Claude patrzy na list i fotografię, z których każde włożyłem do plastikowej torebki, zanim mu je przekazałem.

– Nie wiem – odpowiadam. – Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby śmiertelnie przestraszyć moją rodzinę. Ktokolwiek to zrobił, zwrócił na siebie moją uwagę. Jednym słowem, nawet jeśli to wariat, dobiore mu się do tyłka. – Muszę przyznać, że teraz wyłazi ze mnie obce pochodzenie, daje o sobie znać włoski temperament.

Claude się uśmiecha.

– Podchodzisz do tego zbyt osobiście – zauważa.

– No jasne.

– Chcesz mojej rady?

Nadstawiam ucha.

– Jesteś w to emocjonalnie zaangażowany, więc pozwól, że ja się tym zajmę.

– Dlatego w ogóle rozmawiamy – przyznaję. – Nie podoba mi się, że moja rodzina jest niepokojona.

Claude wyciąga do mnie rękę, jakby uciszał wzburzone wody.

– Masz rację, że traktujesz to poważnie. – Przypomina mi, że w tym stanie zastraszanie policjantów i oskarżycieli jest przestępstwem podlegającym zaskarżeniu, nawet bez zgłaszania specjalnych wniosków.

– Jak się czuje twoja żona? – pyta.

Nikki jest teraz kłębkim nerwów. Nie puszcza od siebie Sarah nawet do drugiego pokoju. Nie wspominam o tym, określam po prostu jej stan psychiczny jako „wytrącenie z

równowagi”.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

– Gdzie teraz jest, ona i twoja córka? Nie zostawiłeś ich w domu samych?

– Nie dziś. Są z naszymi znajomymi, facetem, który pracuje w nocy, i jego żoną. Ci ludzie mieszkają po drugiej stronie, w stolicy.

– Dobrze – mówi, jakby pochwalał, że przynajmniej pod tym względem wykazałem rozsądek. – Podaj mi ich adres i numer telefonu.

Zapisuję mu je na serwetce. Claude przeprasza mnie na chwilę i zostawia nad zieleniną. Wychodzi na pięć minut, a kiedy wraca, zastaje mnie nad nietkniętym daniem – dowód na to, jak bardzo napięte są moje nerwy po wydarzeniach ostatnich dni i bezsennej nocy.

– Dzwoniłem na drugi brzeg, na posterunek w stolicy – informuje. – Samochód cywilny już jedzie. Zaparkują przed domem i będą mieli na was oko, dopóki nie wymyślimy czegoś lepszego.

– To znaczy?

– Proponowałbym, żebyś wyprowadził się z miasta z rodziną do zakończenia procesu. Przenieś się w jakieś miejsce, gdzie was nie znajdą. Dla bezpieczeństwa.

Świetnie. To jeszcze pogłębi paranoję Nikki.

– Czy to konieczne?

Patrzy na mnie zdziwiony.

– Moja córka chodzi do szkoły, a żona pracuje.

– Ktoś będzie musiał porozmawiać z władzami szkoły i z pracodawcą twojej żony.

Mam nadzieję, że okażą zrozumienie – stwierdza Claude.

– Jak ja to powiem żonie?

– Porozmawiaj z nią, wyjaśnij jej to.

Nie zna Nikki ani drażliwej sytuacji w mojej rodzinie. Ale z pewnością przejął się tym bardziej niż ja; dla niego to coś więcej niż znikomy pętał z nożyczkami i klejem.

Pytam, czy podobnie reaguje za każdym razem, kiedy ktoś grozi oskarżycielowi. Jeśli tak, to chyba nie ma czasu na nic innego.

Krzywi się.

– Zachowujemy środki ostrożności. Inne dla każdej sprawy. – Przygląda się kopercie przez plastikowe ścianki torebki.

– Ten nadawca nie cierpi na nieśmiałość.

– Chyba nie sądziłeś, że coś takiego robią biedne, nieśmiałe istotki? – Myślę o



robieniu zdjęć mojej córce i ledwie zawołanym grożeniu nam śmiercią.

– Nie rozumiesz – on na to. – Chodzi mi o to, że nie ma znaczenia, że facet własnoręcznie włożył list do twojej skrzynki.

– Ach!

Claude uświadamia mi ostentację, na jaką pozwolił sobie sprawca tego czynu, podchodząc tuż pod nasze drzwi. Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zaczynam rozumieć, że się boję, bo nie potrafię się dłużej skupić na istotnych szczegółach. To się zdarza, kiedy sprawa dotyczy nas samych. To tak, jakby prawnik reprezentował samego siebie – powoli traci się równowagę.

Dusalt unosi list.

– A tu mamy coś ciekawego – zauważa.

– Hmm?

– Odrobina ksenofobii. – Chodzi mu o to, że anonimowy nadawca nazwał Iganovicha „ruskim”.

Uśmiecha się, jakby go to rozbawiło. Jeszcze nigdy nie poruszaliśmy tej kwestii – społecznej strony sprawy. Zastanawiam się, czy to przemawia do ciemniejszej strony charakteru Claude’a. Potem dociera do mnie, że znowu go nie zrozumiałem.

– Wygląda, jakby autor listu miał coś przeciw imigrantom – komentuje. – Być może. Ale dla mnie to podejrzana historia.

– Dlaczego?

– Czy sądzisz, że jakiś prostaczek tak starannie śledzi prasę, iż wie, o ile morderstw oskarżysz Iganovicha? Jest oskarżony o cztery. W końcu ile razy można wykonać egzekucję na jednym człowieku?

Claude uważa, że albo mamy do czynienia z najbardziej skrupulatnym wieśniakiem na świecie, albo nadawca listu i fotografii ma wgląd w nasze działania.

– A więc to nic poważnego? – odzywam się.

– O nie, to bardzo poważne – odpowiada z naciskiem. – Niewykluczone nawet, że nadawca tego listu – puka w plastikową torebkę leżącą na stole – popełnił morderstwo, i to już dwa razy. – Patrzy mi prosto w oczy, przesywając mnie wzrokiem. – A jeśli tak – ciągnie – nie zawaha się przed zrobieniem tego jeszcze raz.

Umysł policjanta zawsze szukający motywów, analizujący działanie pod kątem jego efektów. Komu mogłoby bardziej zależeć na skazaniu Iganovicha za zamordowanie Scofieldów niż temu właśnie, kto jest za to odpowiedzialny? Zaczynam wierzyć, że Claude może mieć rację. Nikki i Sarah muszą opuścić miasto już jutro.

– Moja kolej – przypomina mi Dusalt. Uiszcza rachunek i zostawia napiwek. Torujemy sobie drogę między stolikami, koło kabin telefonicznych i portierni, aż do wyjścia. W pół drogi Claude nieco zwalnia, nachyla się do mojego ucha i szepcze:

– Chciałbyś być tu muchą na ścianie? – Wykonuje dyskretny gest ręką.

Nie mam ochoty na plotki. Myślę o czymś innym – o braku snu. Ale podnoszę wzrok. Przy stoliku rozparł się Adrian Chambers, wystrojony w trzyczęściowy garnitur. Jego twarz, podświetlona od dołu świecą, wygląda jak oblicze złego ducha. Obok, plecami do mnie, siedzi siwowłosa mężczyzna, kiwający głową w pełnej ożywienia rozmowie. Oglądam się jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom. Ale pierwsze wrażenie okazuje się prawdziwe. Mężczyzna towarzyszący Adrianowi, pogrążony w ożywionej pogawędce, to Roland Overroy. Obaj śmieją się w pełnej komitywie. Nie wątpię, że za to zapłacę.

– Zwolnię go! – odgrazam się. – Z miejsca wyleję sukinsyna! – Oczywiście Overroya.

Jestem już po obiedzie i miotam się wokół mojego biurka w gabinecie, niezdolny do zajęcia miejsca i rozsądnej rozmowy. Jestem tak poruszony, że moja nie znajdująca ujścia energia zamienia się we wściekłość.

Głos rozsądku odzywa się z niespodziewanej strony. Lenore Goya każe mi się uspokoić. Siedzi na jednym z krzeseł dla klientów, a ja biegam koło niej jak oparzony.

– Po prostu jedli razem obiad – stwierdza.

– Jeśli w to wierzysz, to ja od jutra wierzę w świętego Mikołaja.

Uśmiecha się, patrzy na mnie.

– No więc to nie był tylko obiad – mówi. – I jak to udowodnisz?

– Przynajmniej teraz rozumiem.

– Co?

– Jak te wszystkie szczegóły przedostały się do „listu Johnsona”, pisma Chambersa przygotowanego dla sądu przysięgłych – wyjaśniam. Chodzi mi o ślady opon na błotnistej drodze obok miejsca, w którym znaleziono Scofieldów. Adrian mógł się o tym dowiedzieć tylko w jeden sposób: musiał mu o tym powiedzieć ktoś spośród nas, mający dostęp do informacji. Na krótkiej liście ewentualnych kandydatów na ludzi mogących narobić nam kłopotów Roland zajmuje teraz pierwsze miejsce.

– Myślisz, że go na to stać?

A czy ten prostak ma jaja z drewna? Nie mówię tego na głos. Ale Lenore przypomina mi, że nie jest to prywatne biuro, z którego mogę wyrzucić pracownika na podstawie samego podejrzenia, choć dla Overroya z rozkoszą zrobiłaby wyjątek.

– W urzędach państwowych obowiązuje przeprowadzenie przesłuchania, a do pracodawcy należy znalezienie dowodów winy podejrzanego. Jeśli nie uda ci się udowodnić mu winy, czeka cię proces o dyskryminację.

– No więc co mam zrobić? Udać, że nie widzę?

– Nie dawaj mu dostępu do sprawy – radzi. – Odgradzaj go od niej niczym chińskim Wielkim Murem, żeby nie mógł nam zaszkodzić jeszcze bardziej.

W małym biurze, gdzie wszyscy ze sobą rozmawiają, to będzie trudne. Lenore reprezentuje szkołę głoszącą, że wszystko jest możliwe, „jeśli stworzyć po temu warunki”. Ma nadzieję, że Roland sam się wrobi, że metal, który ochrania mu jaja i wypełnia pustą

przeźren między uszami, w końcu doprowadzi go do zguby. Ja nie jestem taki cierpliwy.

Zanim udaje mi się powiedziec coś więcej, Goya rzuca na moje biurko jakieś dokumenty – trzy spięte ze sobą kartki.

– Nie chciałabym przysparzać ci zmartwień – oznajmia – ale to nic dobrego.

Zaczynam czytać. To nakaz sędziego Fishera, efekt naszych wysiłków w sprawie Kelletta. Nie jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. Sąd zarządza, co następuje: albo oskarżymy Iganovicha o zabicie Scofieldów, nim przysięgli wydadzą wyrok, albo nie będziemy już mogli oskarżyć go o te zbrodnie w późniejszym terminie.

– Nie owija w bawełnę – stwierdzam.

Lenore potrząsa głową.

– Chambers nas załatwił – mówi. – Nie mamy wyjścia.

To prawda. Jeśli popełniliśmy błąd, jeśli klient Chambersa nie ma alibi na dzień, w którym zamordowano Scofieldów, i jeśli późniejsze dowody wykażą, że to Rosjanin był sprawcą, zrobią ze mnie największego kozła ofiarnego w historii tego hrabstwa.

Goya właśnie zamierza zacząć ze mną dyskusję, kiedy na moim biurku odzywa się telefon. To Sharon z recepcji.

– Sędzia Ingel do pana na pierwszej linii – informuje.

Wciskam guzik na aparacie.

– Panie sędzio – zgrzytam.

Po drugiej stronie odzywa się kobiecy głos.

– Sędzia będzie rozmawiał z panem za chwilę. – To sekretarka Ingela.

Przepadam za takimi zarozumialcami: dzwonią do ciebie, po czym każą ci czekać i wsłuchiwać się w oddech jakiegoś podwładnego.

Lenore patrzy na mnie pytająco. Beźgłownie wymawiam słowo „Prusak”.

Chwilę później słyszę:

– Panie Madriani, ma pan czas? – Jego głos brzmi chłodno.

To nie będzie zwykła pogawędka.

– Na rozmowę zawsze – odpowiadam.

– A nie spotkałby się pan ze mną na krótko w sądzie?

– Oczywiście, z przyjemnością. Kiedy?

– Zaraz. – Jego ton wskazuje, że powinienem był się domyślić.

– Czy to coś poważnego? – pytam.

– Dowie się pan na miejscu – oświadcza i odwiesza słuchawkę.

Podejrzewam, że w ten sposób kończy się większość rozmów telefonicznych z tym

człowiekiem, wywołującym u interlokutora poczucie zagrożenia. Oto, do czego ludzie pokroju Dereka Ingela wykorzystują swoją władzę.

– Czego chciał?

– Wykończyć mnie. Rozkazał mi stawić się u siebie – chwytam płaszcz i kieruję się do wyjścia.

– A może chce, żebyś opóźnił rozprawę wstępną, bo ma ochotę dłużej poswawolić z hawajskimi tancerkami. – Goya mówi o urlopie sędziego, sile zmuszającej nas wszystkich do podporządkowania się.

Budynek sądu Ingela tonie w mroku, ale drzwi są otwarte. Pojedynczy promień światła dobywający się z pokoju sekretarki spowija ławę sędziowską tajemniczym blaskiem. Wydaje się, że pomieszczenie jakby się rozrosło, w półmroku jest pełne powagi i złowieszczonego wyrazu. Dwie flagi na stojakach, ostre okucia ich drzewców i godło państwa za fotelem sędziego wysoko na ścianie nabrały imperialnej wprost wspaniałości, kojarzącej się z władzą Tyberiusza i legionami rzymskimi – czymś, co Ingel ma w zupełnej pogardzie.

Przedstawiam się sekretarce. Pamięta mnie od czasu moich ostatnich odwiedzin, prosi, żebym usiadł, a ona zadzwoni w głąb uświęconego sanktuarium. Zza zamkniętych drzwi dobiegają mnie głosy, niewyraźny szum, odgłos rozmowy. Zdaje się, że sędziego odwiedzili niespodziewani goście, że wyłoniły się jakieś sprawy, które musi załatwić najpierw. Wewnątrz rozlega się buczenie interkomu, rozmowa cichnie, sekretarka anonsuje moją obecność, wreszcie słyszę stłumione: „Powiedz mu, że za chwilę przyjdę”.

Często się zastanawiam, dlaczego architekci budynków takich jak ten przewidują dla sal, w których odbywają się poufne rozmowy, akustykę papierowych ścian letniego pałacu cesarza Chin.

– Za chwilę przyjdzie – powtarza sekretarka.

Kiwam głową, uśmiecham się na tę zwłokę i dalej słucham głosów, które mówią z większą szybkością, choć nadal cicho.

Czekam cierpliwie, spoglądając na zegarek. Mija dziesięć minut. Zaczynam przeglądać magazyny, żałując, że nie wziąłem ze sobą jakiejś roboty. Kiedy znowu patrzę na zegarek, okazuje się, że jestem tu od dwudziestu pięciu minut. Zabieram się do kolejnego artykułu, gdy ponownie odzywa się interkom.

– Tak? – Sekretarka podnosi słuchawkę.

– Panie Madriani, może pan wejść.

Poprawiam krawat i wchodzę.

Ingel siedzi za biurkiem, napuszony i sztywny. Wygląda tak jak zwykle: jak przegrzany trup.

Zdaje się, że zebranie się skończyło i wszyscy opuścili salę wyjściem prowadzącym do holu głównego. Naprzeciw sędziego, na jednym z krzeseł dla klientów siedzi Don Esterhauss, przewodniczący rady hrabstwa. Odwracam się i zamykam drzwi.

Nie jestem przygotowany na młodzieńczą tremę, jaka mnie ogarnia, kiedy odwracam się i widzę twarze pozostałych zgromadzonych. Na kanapie za drzwiami siedzą Adrian Chambers i Roland Overroy, zupełnie jak wtedy, w restauracji. Przyglądają mi się, ciekawi mojej reakcji.

Stoję jak wryty tak długo, że sytuacja zaczyna się stawać niezręczna. Sędzia wskazuje mi wolne krzesło dla klienta. Gdy nie reaguję, wstaje i rozpoczyna ceremonię prezentacji, byle tylko zatuszować moją gafę.

– Zna pan Dona Esterhaussa – mówi.

– Tak – potwierdzam, ale nie patrzę na niego.

Esterhauss, nie wiedząc, czy ma wstać i uściśnąć mi rękę, pozostaje na miejscu, kiwa głową i się uśmiecha.

– I oczywiście zna pan pana Chambersa oraz Rolanda z pańskiego zespołu. – Nadal się w nich wpatruję.

Ingel nie pozwala mi na przeciąganie tej sceny. Chyba wyczuwa kipiącą we mnie lawę.

– Siadać, proszę. – To już rozkaz.

Sadowię się na krześle, przesuwam nieco, by nie odwracać się plecami do kanapy, jakby w przeczuciu zagrażającego mi stamtąd niebezpieczeństwa.

Ingel zaczyna od nieobowiązujących tematów. Coś dla rozluźnienia o tym, że sądownictwo w małych miasteczkach jest mniej sformalizowane niż po tamtej stronie rzeki. Wkrótce oznajmi mi, że to usprawiedliwia pogwałcenie zasad etyki zawodowej. Wie, że stąpa po niepewnym gruncie, że mógłbym wnieść skargę o to, iż tę konferencję za zamkniętymi drzwiami przeprowadzono bez mojego udziału, że to pogwałcenie kodeksu postępowania sądowego. Zmuszony do zeznawania, z pewnością upierałby się, że to Roland reprezentował mój zespół, nie zważając na brak kompetencji Overroya w tej sprawie. I wygrałby. Moje problemy z Rolandem to sprawa wewnętrzna. Jeśli wyjdzie na światło dzienne, winien będę wyłącznie ja.

Ingel częstuje mnie kawą. Odmawiam.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – mówię.

Patrzy na mnie ostro.

– Mam dużo pracy – wyjaśniam.

– A więc przejdźmy do rzeczy. Rozmawialiśmy już o tym przez jakiś czas – oznajmia tonem, jakby obwieszczał nowinę.

– Musimy omówić pewną sprawę – zapowiada.

Przekłada rzeczy na swoim biurku: przycisk do papieru, akta, wreszcie zaczyna bawić się kubkiem. Unika mojego wzroku, ale nie przerywa.

– Roland wpadł na pana Chambersa kilka tygodni temu na przyjęciu; przedstawił ich sobie wspólny znajomy – tłumaczy.

Wyobraźnia podsuwa mi obraz Ewy spotykającej węża, choć oczywiście Roland nie jest tak niewinny.

Sędzia informuje, że mieli już okazję porozmawiać na, jak to określa, „pewne tematy”. Taki szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Jeden wart drugiego – rzucam.

Adrian sztywnieje. Ingel mierzy mnie wzrokiem.

– Co pan powiedział?

– Nic.

Ingel krzywi się i kontynuuje:

– Od słowa do słowa, no i doszło do naszej dzisiejszej dyskusji.

– Na temat? – pytam.

– Hm?

– Ta wasza dzisiejsza dyskusja?

Sędzia wie, że domyślam się, o co tu chodzi. Ale zmuszę go, żeby sam to wyjawiał.

– No... – Rzuca spojrzenie w kierunku kanapy i chyba się zastanawia, czy ci dwaj mogliby mu pomóc. Ale nikt nie zgłasza się na ochotnika.

– No więc panowie znaleźli pewne punkty styczne – ciągnie.

Zerka na mnie z ukosa, potem ucieka wzrokiem.

– Sprawę Putah Creek – wyrzuca z siebie.

Wreszcie.

Wstaję z krzesła.

– Nie. Nie. Proszę usiąść – mówi. – Chcę, żeby nas pan wysłuchał. Wiem, że to drażliwa kwestia. Wiem też od Rolanda, że nikt o tym pana nie uprzedził.

– A zatem Roland powiedział panu więcej niż mnie. Może zechce mi wyjaśnić,

dlaczego rozmawia na temat sprawy, co do której nie ma absolutnie żadnych uprawnień i kompetencji.

Overroy otwiera usta, ale Ingel mu przerywa.

– To do niczego nie prowadzi – ucina. – Nie teraz. Na razie uznajemy, że działał pod moimi auspicjami. Aby sprawdzić, czy możemy dojść do ugody, która zaoszczędzi nam długiego i kosztownego procesu. Co, jak sądzę, leży w interesie nas wszystkich.

Ostentacja dwulicowości, bezczelność, z jaką się do tego przyznaje, poraża mnie.

– Zapewniłem go, że nie spotkają go za to żadne przykrości. – Ingel ma na myśli Overroya siedzącego obok Chambersa z szyderczym uśmiechem na ustach.

Roland wie, że nic mu nie mogą zrobić, że jest nietykalny jak poseł. Teraz już nic go nie powstrzyma.

– Roland – ciągnie sędzia – i pan Chambers spotkali się kilka razy, a ponieważ czas nas nagli, a proces jest coraz bliżej, postanowili ograniczyć swoje wymagania. Sądzymy, że najwyższa pora pomówić o ugodzie, być może o pertraktacjach.

– Jeśli pan Chambers chce pertraktować, powinien porozmawiać ze mną, a nie z jednym z moich pracowników przydzielonym do innej sprawy.

– Zgadza się – potwierdza Ingel. – Nie było to całkiem zgodne z prawem, ale nikt tego nie mógł przewidzieć.

Myśli, że dam się nabrać. Szczyt bezczelności.

– Skoro Roland postanowił reprezentować moje biuro, nie mając do tego uprawnień, mam nadzieję, że zrobił to w imieniu innych.

– Oddał nam wielką przysługę – zapewnia Ingel.

Overroy promienieje.

– A zatem rozumiem, że oskarżony jest gotów zaakceptować karę śmierci?

– Mówiłem ci. – Chambers zaczyna się podnosić. – Ostrzegałem, że to strata czasu. Z nim się nie da rozmawiać – stwierdza. – Dajmy sobie spokój.

Wstaje z kanapy, zabiera aktówkę – wszystkie ruchy przećwiczone tysiąc razy. Gdybym był sam, poczekałbym, by się upewnić, czy naprawdę wyjdzie, przemierzy korytarz i zatrzaśnie drzwi, czy też nadal będzie mnie torturował litanią na temat sprawiedliwości i przepracowanych sędziów.

Nigdy się tego nie dowiem, bo Ingel prosi go, by usiadł.

– Przebyliśmy długą drogę – oświadcza. – Nie przekreślimy tego teraz.

Brzmi to tak, jakbyśmy rzeczywiście do czegoś doszli.

Chambers powoli siada na kanapie, patrząc na mnie spode łba.



Esterhauss wysłuchuje tego w milczeniu: adwokacka gadanina, wiele żółci. Chyba jest trochę onieśmielony i bardzo zażenowany obserwowaniem czegoś, co zaczyna przypominać sądową pyskówkę.

– Panie Madriani – odzywa się Ingel. – Tu chodzi o bardzo istotną sprawę. Nie chciałbym, żeby w jej załatwieniu przeszkodziło nam pańskie ego. Powinien pan z całą powagą rozważyć to, o czym tutaj mówimy. Wymagam tego od pana.

Na wargach Chambersa pojawia się najbledszy cień uśmiechu.

Wszystko jasne: sędzia prowadzący moją sprawę spodziewa się, że przychylę się do jego całkowicie absurdalnej propozycji.

Nigdy nie uważałem, że w tej sprawie można przystać na pertraktacje i ugodę. Nie ma w niej pionków, współników, za których zeznania moglibyśmy pójść na taką ugodę. Z tego, co wiem, Iganovich działał w pojedynkę; sam popełnił wszystkie morderstwa, wobec czego nie ma żadnych okoliczności łagodzących. Wyklucza je zwłaszcza odrażająca uporczywość zbrodniarza. Tych zbrodni nie popełniono w afekcie, przynajmniej nie w takim sensie, jak rozumieją to normalni ludzie – co mogłoby usprawiedliwić mniejszą karę.

– Słucham z uwagą – mówię.

Spojrzenie Ingela staje się ostre jak nóż.

– Panie Overroy, może pan albo pan Chambers... – prosi ich o wprowadzenie mnie w szczegóły sprawy.

Roland porusza się, nie patrzy na mnie, lecz na Esterhaussa. Pewnie zdaje mu się, że jest bliski wskoczenia na miejsce Maria – oskarżyciel dbający o kasę stanu, ktoś, kogo ojcowie hrabstwa mogliby zaakceptować, pragmatyczny i podatny na urabianie jak plastelina.

– Wszystko jest bardzo proste – zaczyna. – Nie ma tu żadnych tajemnic. Opracowaliśmy wniosek oskarżonego. Pan Chambers rozmawiał już na ten temat ze swoim klientem, wyjaśnił mu ryzyko wiążące się z procesem.

Ryzyko to oczywiście kara śmierci, którą Roland proponuje wykluczyć. To podstawa ugody i jego jedyna karta przetargowa. Zwraca się niby do mnie, ale naprawdę chodzi mu o to, by przekonać Ingela i Esterhaussa o rozważności takiego kroku. Mówi o dowodach tak swobodnie, jakby w nocy myszkował w naszych aktach. Według niego wynik sprawy jest w najlepszym razie wątpliwy, a prawdopodobnie przegramy ją ze względu na okoliczności towarzyszące.

Przerywam mu, zanim zdąży zagłębić się w szczegóły.

– Jeśli nasza sprawa stoi tak źle, to dlaczego chcesz pertraktować? – Kieruję to pytanie do Chambersa.

– Porozmawiaj o tym na osobności ze swoim współpracownikiem. – Ma na myśli Overroya i jego ocenę sytuacji.

– Dlaczego mam rozmawiać z małpą, kiedy mogę pogadać z kataryniarzem?

Roland zerka na mnie z nienawiścią, ale Esterhauss nie może się powstrzymać i zaczyna się śmiać.

Overroy usiłuje przełknąć zniewagę, otrząsa się po ciosie i ciągnie dalej:

– Pan Iganovich zgodził się na proponowane mu warunki.

– Czy to prawda? – Ingel zwraca się do Chambersa.

– Mniej więcej – potwierdza Adrian.

– W zamian za co? – pytam.

To zmusza Rolanda do spojrzenia na mnie.

Bierze głęboki oddech, nie wie, jak to ująć, żeby nie przyznać, iż nie ma zbyt wiele do zaoferowania.

– W zamian za gwarancję dożywotniego więzienia. Dla ochrony społeczeństwa.

– To znaczy, że uniknie egzekucji?

– Tak.

Roland prostuje się na swoim miejscu, wypina pierś.

– Zaproponowaliśmy mu „ŻMZ” – wyjaśnia.

W prawniczym slangu oznacza to „życie bez możliwości zwolnienia”.

Zanim udaje mi się coś wykrztusić, Overroy uprzedza mnie.

– Poinformujemy społeczeństwo, rodziny ofiar, że oskarżony spędzi całe życie za kratkami, bez szansy zwolnienia. W pewnym sensie to gorsze niż śmierć.

Chciałbym zobaczyć, jak mówi to Kimowi Parkowi. Pomniejsza praktyczne znaczenie sprawy, naciąga prawdę, dziś Roland miał niewątpliwie pełne ręce roboty. „Życie bez możliwości zwolnienia” to eufemizm. Jak długo istnieć będą sądy i kierujący nimi sędziowie, zwolnienie jest zawsze możliwe. Ludzie znajdujący się w tym pokoju wiedzą, że prawo przewiduje tylko jedną karę, od której nie ma odwołania.

– Dajmy sobie spokój z bezpieczeństwem społeczeństwa – odzywam się. – Jakie są legalne podstawy?

Overroy patrzy na mnie wzrokiem zranionej łani.

– Kodeksy – odpowiada. – Wszystko jest w kodeksach. – Chce powiedzieć, że wszystko to znajduje się w statutach dobrze nam znanych.

Ale gdybym podał mu je teraz, bez wątplenia zacząłby sprawdzać pod hasłem „ŻMZ”. Oto głębia wiedzy Rolanda.

Nadal przyglądam mu się wzrokiem nakazującym: „Spróbuj jeszcze raz”.

– Życie bez możliwości zwolnienia – kontynuuje – to powszechnie przyjęta procedura. Jestem tego pewien. – Teraz jednak w jego głosie pobrzmiewa wątpliwość.

Ciągle nie rozumie.

– On pyta – wyjaśnia Chambers – kiedy taki wyrok jest dopuszczalny. – W przeciwieństwie do Overroya Adrian wie, dokąd zmierzam.

W świetle tutejszego prawa taki wyrok jest dopuszczalny jedynie wówczas, gdy okoliczności łagodzące przeważają nad obciążającymi. To sprawdzian szal wagi Temidy. Nie widzę tu wielu okoliczności łagodzących. Czwórka dzieciaków, przybita do ziemi i brutalnie zamordowana, nie nastraja specjalnie współczująco. Mówię im to.

– Okoliczności łagodzące i obciążające to tylko czynniki rozpatrywane na procesie przez przysięgłych przed wydaniem wyroku – odpowiada Chambers. Co ma znaczyć, że będą to pertraktacje bez procesu. – Sąd natomiast jest bardziej tolerancyjny. Strony mogą dojść do porozumienia ze względów taktycznych, niezależnie od dowodów. – Cytuje sprawę Westa. Najwyraźniej Adrian przygotował się do tego spotkania.

Odwracam się do Ingela. Pora przypiec im pięty.

– Więc jest pan gotów darować? – pytam. – Usankcjonować ugodę na takich warunkach? – W sprawach kryminalnych sąd musi zezwolić na pertraktacje.

Usiłuje mi się wymknąć, krzywi się. Wolałby, żebym najpierw się zaangażował, a on schowałby się za mnie. W końcu do następnych wyborów już mnie tu nie będzie, a wtedy winę za wszystko zrzuci na mnie, nieodpowiedzialnego oskarżyciela, który już tutaj nie pracuje.

Ratuje go Chambers, ubiegając jego odpowiedź:

– W tej sprawie istnieją pewne okoliczności łagodzące, o których powinien pan wiedzieć, panie sędzio. Wynikają z przeszłości oskarżonego. – Opisuje pełne deprawacji i nadużyć dzieciństwo Iganovicha, co, jak twierdzi, może udokumentować.

Ingel uśmiecha się. Oto coś, czego szukał.

– To mi chyba wystarczy – stwierdza.

Oczywiście informacji o dzieciństwie Rosjanina, jego losach nie sposób ze względu na panujący w jego ojczyźnie chaos sprawdzić na tyle szybko, by zdążyć do procesu.

– Panie sędzio, dla stanu to wyjątkowo korzystna oferta – przekonuje Roland. – Oskarżony wyraził zgodę na wniesienie wniosku o uznanie go za winnego morderstw pierwszego stopnia w dwóch ostatnich sprawach.

To na osłodę. Overroy ma na myśli zabójstwo Scofieldów, bagatelizuje wagę

problemu.

Rzucam okiem na Esterhaussa i zauważam błysk w jego spojrzeniu. Szybkie pertraktacje, które położą wszystkiemu kres za jednym zamachem, bez procesu i zakończą ciągłą nagonkę w prasie, to dla niego i innych kacyków wymarzony scenariusz.

Przypominam im, że jeszcze nie wniesiono oskarżenia w sprawie Scofieldów.

– Więc wniesiemy – oświadcza Overroy. – Czy to trudne?

– Mamy tu serię morderstw – przypominam. – „Życie bez możliwości zwolnienia” to absurd. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym na to przystać z czystym sumieniem.

– A jeśli chodzi o Scofieldów – odwracam się do Chambersa – twój klient jest gotów zgłosić wniosek, oficjalnie przyznać się przed sądem, że popełnił tę zbrodnię?

– Zgłosi „wniosek Westa”. Ze względów taktycznych.

Czyli że Iganovich nie stwierdzi przed obliczem sądu, iż dopuścił się tych morderstw, lecz złoży wniosek w celach strategicznych. Prawo tego stanu zezwala na to, choć ja uważam taką politykę publiczną za złą.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – pytam. – Żeby do sprawy włączyć również Scofieldów?

Jeśli oskarżymy Rosjanina o popełnienie tej zbrodni, zamkniemy dochodzenie, nie znalazłszy prawdziwego mordercy.

Chambers wyjaśnia, że dopóki tego nie zrobimy, nie może wykonać następnego ruchu. Zdaje się, że wszystko już obmyślił.

– Bez procesu „Kellett” nie na wiele nam się nie przyda. – Ma na myśli sprawę, którą przytoczył w sądzie. – Co uzyskujemy, nie włączając Scofieldów? Wnosimy wniosek w sprawie czwórki studentów, ale stan nadal może oskarżyć Iganovicha o zabicie Scofieldów. Skazanie go za nich oznacza karę śmierci, a to nie wydaje mi się dobrym rozwiązaniem.

Z teoretycznego punktu widzenia Chambers ma rację. Aby wyeliminować ryzyko posłania klienta na śmierć, musi dołączyć również Scofieldów jako część ugody. Prawnicza kostka Rubika.

Overroy, zawsze usłużny, podpowiada, że moglibyśmy porozmawiać na temat nietykalności Rosjanina w sprawie Scofieldów. Teraz nawet Ingel się krzywi.

– Nie – mówię. – To wykluczone.

– W porządku – zgadza się Roland. – Ale postawimy go w stan oskarżenia.

Najwyraźniej Overroy odbiera na zupełnie innych falach niż my wszyscy.

– Nie – oświadczam. – Nie będzie żadnej ugody. Żadnej.

Ingel zrywa się z krzesła, wyskakuje przed biurko, radzi mi, żebym przyjrzał się

faktom, czyli zrobił to, czego on zaniedbał. Zwraca moją uwagę na niejasne okoliczności towarzyszące, straszy, że przez to przegram sprawę.

– Zaryzykuję – ja na to.

– W procesie, który kosztuje majątek – uświadamia mi Ingel. – To piękne. To bardzo wspaniałomyślne!

Zaczyna być gorąco. Za chwilę wgrzyzie mi się w gardło. Facet słyszy już dźwięk hawajskich gitar, czuje pod tyłkiem ciepłe piaski Waikiki.

Chambers wzdycha głęboko, jakby zależało mu na tym bardziej, niż przypuszczałem. Może jego argumenty nie są tak mocne, jak je przedstawia.

Sędzia zaczyna mnie mocno przyciskać, grozi, że ten proces nie wyjdzie mi na dobre.

Ciekawe, co się stało z uroczystą przysięgą, którą Ingel złożył przed Armandem Acostą, człowiekiem z kulis sądu? Jak wytłumaczy mu pertraktacje w celu uratowania życia człowiekowi, który zamordował siostrzenicę Świrusa?

Hrabstwo z pewnością wypytuje Ingela o postępy sprawy. Rozdarty między solidarnością zawodową a dziwactwami polityków, najwyraźniej dokonał już wyboru. Jeszcze raz wraca do mnie i zapewnia, że jeśli zdarzy mi się choćby najdrobniejsza wpadka, dopilnuje, by widmo tego niepowodzenia wlokło się za mną przez całe życie.

– Sądownictwo w tej części stanu – oznajmia – to zamknięta całość, mały światek. Dam panu radę. – Pochyla się nad moim uchem. – Lepiej sprawdzić, czy da się spać w łóżku, które sobie ściesz.

Zerkam na Esterhaussa, który ucieka wzrokiem. Zdaje się, że to wszystko wywołuje w nim niesmak.

Ingel wraca na swoje miejsce za moim krzesłem, wypalając mi wzrokiem dziurę w potylicy.

Wstaję i odwracam się do niego.

– Dziękujemy Bogu za drobne łaski – mówię.

– Słuchani? – pyta zdziwiony.

– Za to, że nasi zwierzchnicy lubią rozdźwięk między stronami. Jeśli pan pozwoli, ja wniosę oskarżenie, a pan wyda wyrok.

Patrzy na mnie jadowicie.

Wygłosiwszy swoją kwestię wychodzę, cicho zamykając za sobą drzwi. Słyszę za nimi cichnący gwar głosów, płacz i zgrzytanie zębów.

Chociaż grozi mi niełaska ludzi rządzących tym miastem, Claude Dusalt patrzy na mnie wzrokiem pełnym uwielbienia. Tak jak jest to możliwe jedynie w małych miasteczkach, wszyscy policjanci wiedzą już o moim spotkaniu z Ingelem i o tym, że odrzuciłem proponowaną mi ugode, pertraktacje, które uratowałyby Rosjaninowi życie.

– Skąd się dowiedziałeś? – pytam. – Przecież spotkanie skończyło się wczoraj późnym popołudniem.

– Jeśli sędzia nie życzy sobie, żeby wiadomości się rozchodziły – mówi – nie powinien o tym rozpowiadać.

W hrabstwie Davenport biuro szeryfa zatrudnia swoich ludzi w sądach ze względu na bezpieczeństwo.

– Zastępca Ingela? – domyślam się.

Claude nie potwierdza. Ale odpowiedź jest jasna.

Pewnie wie już o tym całe miasto. Plotki rozchodzą się w sądach z prędkością światła, a są wiarygodniejsze niż informacje CNN.

– Myślałem, że tacy ludzie składają jakieś przysięgi – dziwię się. – To znaczy ci, którzy pracują w sądach. Zwykle jest to uważane za przywilej.

– Praca z Derekiem Ingelem nie jest żadnym wyróżnieniem – wyjaśnia Dusalt. – Mój informator po prostu wyciągnął krótszą słomkę.

Od samego początku naszej znajomości Claude wywiązywał się skrupulatnie ze swoich obowiązków, niez mordowany w wysiłkach dostarczenia mi każdego dowodu, jakiego oczekiwałem. Ale odnosił się do mnie z pewną rezerwą, czymś więcej niż zwykły szacunek wobec oskarżyciela. Jako policjant uważał mnie chyba za naznaczonego piętnem Kaina – w końcu przybyłem z szeregów obrońców. Nigdy nie padły na ten temat żadne słowa, lecz jego oczy, nieznaczne gesty podczas rozmów zdradzały wątpliwości Claude'a, czy wytrzymam do końca.

Moje spotkanie z Ingelem i Chambersem, to, że powiedziałem sędziemu, żeby wsadził sobie swoją ugode tam, gdzie słońce nie dochodzi, położyło kres nieufności Dusalta.

Claude siedzi za kierownicą swojego służbowego wozu i pruje niemal sto pięćdziesiąt na godzinę. Wstążka szosy ciągnie się od podnóża gór do stolicy hrabstwa i dalej, do Davenport.

Dzisiejsze zadanie żadnemu z nas nie sprawiło przyjemności. Odstawiliśmy Nikki i

Sarah w miejsce, które Claude nazywa żartobliwie „bezpiecznym domem”. Jest to kompromis, konieczny ze względu na ciągły gniew Nikki.

Dzisiaj rano pobrano od niej w biurze szeryfa odciski palców – było to niezbędne dla wyeliminowania jej śladów na liście, w którym nam grożono, na kopercie i fotografii. Ale policja i tak znalazła tylko jeden rodzaj odcisków – moje własne, które zostawiłem na kopercie, zanim zorientowałem się, co zawiera.

Nikki czuła się osaczona, przebywając w tym celu w małej więziennej klitce, w sąsiedztwie ćpunów i innych zatrzymanych, czekających, aż ich zapuszczają. Wie, że to było konieczne, ale i tak nie przestaje się dziwić, w jaki sposób i dlaczego ona oraz Sarah zostały w to wszystko wplątane. Musiała wziąć urlop, dopóki proces nie dobiegnie końca. Jej pracodawca chciał udzielić jej urlopu bezpłatnego, bo wszystkie płatne już wykorzystowała, w tym również ten zarezerwowany na wspólne rodzinne wakacje. Tak więc teraz to już nieaktualne.

Nikki wyznaczyła cenę za to wszystko.

– Skoro jestem na wakacjach – oświadczyła – zamierzam zamieszkać w kurorcie.

Na szczęście dla mnie mojej żonie wystarcza do szczęścia jedynie wąskie łóżko i śniadanie w miasteczku Coloma, w którym Sutter znalazł niegdyś złoto i rozpętał w tym stanie szaleństwo trwające aż do dzisiaj.

Trzy lata temu obchodziliśmy tam rocznicę naszego ślubu. Teraz Nikki jest uwięziona z Sarah i stertą przedszkolnych podręczników, zastępując mojej córce nauczycielkę, w pokoju z mosiężnym łóżkiem w Vineyard House. Ten budynek to biały pseudo wiktoriański mamut z dziewiętnastego wieku, obrośnięty wistaria i innymi pnączami. Podobno nawiedza go duch poprzedniego właściciela, skutego łańcuchem szaleńca trzymanego przez żonę w piwnicy. Taki sam los spotka mnie, jeśli szybko nie położę kresu tej sprawie. Gniew Nikki przybiera straszne rozmiary.

– Nie jestem pewien tego miejsca – mówi Claude.

– Nic im nie będzie. Jest tu wygodnie i bezpiecznie – zapewniam go.

– Za dużo ludzi – stwierdza. – Prywatne mieszkanie albo własny dom byłyby lepsze. Ale zorganizowałem okresową ochronę. Szeryf hrabstwa El Dorado będzie patrolował ten teren. – Zaraz potem dodaje, że to prawdopodobnie zbędne.

Nikki mieszka w Colomie pod przybranym nazwiskiem. Zapłaciliśmy za pokój gotówką. Przez cały czas trwania procesu będę stąd dojeżdżał, pokonując niemal godzinną drogę. Nie będzie więc w nocy sama.

Claude uważa, że to przesada, niepotrzebne środki ostrożności.

Patrzę na niego wzrokiem mówiącym: „to po cholere to robimy?”

– Ale ważne dla spokoju ducha – dorzuca.

Po chwili przesuwa ku mnie po siedzeniu samochodu jakiś przedmiot. Sięgnął po niego pod płaszcz, tam gdzie przebiegają pasy bezpieczeństwa. Wygląda na to, że tylko czekał, aby to wyjąć.

– Pomyślałem, że może ci się przydać. – Spogląda na mnie z zakłopotaniem, z nieco zmartwioną miną.

Kiedy unosi rękę, widzę lśniąca błękitem stal małego rewolweru w skórzanej kaburze.

– W skrytce na rękawiczki masz pozwolenie, możesz więc nosić to bez przeszkód.

Emil podpisał je wczoraj wieczorem.

Tyle o spokoju ducha.

O tym, że w czasie każdego procesu coś musi nawalić, wie każdy, chociaż nie zawsze zdarza się to w przeddzień pierwszej rozprawy, tak jak w naszym wypadku. Dziś działanie tej reguły odczułem na własnej skórze.

Atelier fotograficzne, któremu Kay Sellig powierzyła nasze dowody w celu uzyskania lepszej jakości zdjęć, jakie zamierzamy przedstawić przysięgłym, zgubiło ważny dowód rzeczowy – krótki odcinek linki użytej do morderstwa. Sellig informuje mnie o tym przez telefon.

– Co się stało, do diabła? – pytam.

– Szukają. Przewracają wszystko do góry nogami. – Usiłuje mnie uspokoić, mówi, że na pewno znajdą.

– Kiedy?

– Oto jest pytanie.

– Ujęcia wszystkich dowodów wyszły czyste jak kryształ – informuje. Zdaje się, że ten fragment zagubiono już po zrobieniu jego zdjęcia.

Zastanawiam się głośno, czy go po prostu odruchowo nie wyrzucili.

Sellig nie jest pewna, ale raczej w to nie wierzy.

– Wiedzieli, do czego jest nam potrzebny. Że jest ważny.

– Mimo to mogli go zgubić.

Po drugiej stronie linii zapada cisza. Kay sprzeciwiała się wypuszczeniu dowodów poza nasz teren, ale mnie zależało na lepszych powiększeniach. Teraz płacę za zlekceważenie jej ostrzeżenia.



– Jeśli tego nie znajdziemy, może sąd uzna same fotografie za wystarczający dowód – wyraża nadzieję.

Nie brzmi to prawdopodobnie i nie pozostawiam jej złudzeń:

– Obrona będzie miała niezbite prawo żądać, by linkę obejrżeli jej rzeczoznawcy. Nie liczyłbym na to.

Dziś rano zaczynam najważniejszą część sprawy – moje pierwsze wystąpienie. Przez dwa dni dobieraliśmy skład ławy przysięgłych, a właściwie zajmował się tym sędzia Ingel. Zgodnie ze swoją obietnicą przyparł nas do muru, nalegając na osobiste zaprzysiężenie członków ławy; wskazał przy tym na kwestie, które poddaliśmy pod rozagę w naszym piśmie, przynajmniej te, które wydały mu się istotne. Sędziowie mają do tego prawo w sprawach kryminalnych – kilka lat temu wprowadzono taką zasadę, ale w przeciwieństwie do Ingela większość sędziów zezwala na zadawanie tylko najważniejszych pytań.

Chambers omal nie złamał sobie ręki, waląc pięścią w barierkę. Chodzi mu o to, że nie dopuszczono go do procedury wybierania przysięgłych. Niczego nie uzyskał, może z wyjątkiem kolejnych powodów do apelacji. Fakt, że Ingel zdołał się z tym uwinąć w ciągu dwóch dni, jest bez wątpienia dużym osiągnięciem, a może nawet nowym rekordem. W sprawie głównej przysięgli muszą mieć „atest śmierci” – należy się upewnić, czy jeśli oskarżony zostanie skazany, zespół nie zawaha się przed wydaniem wyroku śmierci.

Pośpiech, z jakim kompletowano skład ławy przysięgłych, zamienił tę czynność w czystą formalność. Ani Goya, ani ja nie wiemy o tych ludziach – naszych dwunastu przysięgłych i sześciu zastępcach. Podejrzewam, że Chambers również porusza się tu po omacku, choć nie do tego stopnia co jeden z kandydatów na przysięgłych.

Kiedy na ławie przysięgłych pojawił się mężczyzna z białą laską, zaoponowałem. Zwróciłem uwagę Ingela, że dowody w naszej sprawie są typowo wizualne, wymagają więc od przysięgłego dobrego wzroku. Zbył mnie, przytaczając przepis zabraniający dyskryminacji ze względu na wadę wzroku. Byłem zmuszony zrezygnować z mojego stanowczego wniosku o wycofanie kandydatury tego człowieka. Ingel uśmiechał się, jakby ratował mnie przed wściekłością Związku Niewidomych.

Wiedział równie dobrze jak ja, że nikt nie może opisać niewidomemu, co widać na zdjęciach i czy faktycznie przedstawiają one to, o co chodzi.

Wstrzymuję oddech i zadaję Sellig najważniejsze pytanie na temat naszego zaginionego dowodu, fragmentu linki:

– Który to kawałek, ten zagubiony?

Odcinki sznura do bielizny, szesnaście użytych do popełnienia morderstwa, a

siedemnaście, jeśli liczyć zwój znaleziony w furgonetce Rosjanina, to nasze najważniejsze dowody. Razem tworzą całość łączącą zabójstwa czworga studentów z osobą Iganovicha. Pytanie tylko, w którym miejscu tej całości brakuje jednego elementu. Od tego zależy, ile aktów oskarżenia może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Po drugiej stronie linii Sellig szpera w swoich notatkach, sapiąc w słuchawkę. Oznakowała fragmenty linki cyframi i liczbami. Dzięki temu znajduje to, czego szukała, w ciągu paru sekund.

– Chyba to. Tak. 2-D – odpowiada.

Nic mi to nie mówi.

Wyjaśnia, że morderca przeznaczył cztery kawałki linki na każdą osobę: dwa na skrępowanie przegubów, dwa na związanie kostek. Każdy z tych odcinków oznaczyła literami od A do D.

– Numery wskazują na kolejność ofiar – informuje. – Ten sznurek posłużył do związania drugiej, jako ostatni w kolejności.

– Julie Park – podpowiadam.

– Tak.

Z tego wynika, że nasz łańcuch dowodów został przerwany pomiędzy Park a trzecią ofiarą. Dopóki nie znajdziemy brakującego kawałka linki, będę musiał wycofać oskarżenie w sprawie morderstwa Julie Park i pierwszej ofiary, jej chłopaka Jonathana Snidera. Bez tego dowodu nic ich nie łączy z Iganovichem, z wyjątkiem zbieżności raportów z sekcji zwłok. Chambers, który uczepił się zabójstwa Scofieldów i jego podobieństwa do poprzednich zbrodni, pozre mnie żywcem, jeśli zacznę z nim dyskutować.

Opieram się wygodnie w fotelu, oddycham głęboko i patrzę na perforowany sufit. Zastanawiam się, jak zdołam zebrać w sobie tyle odwagi, żeby tego nie robić.

– Informuj mnie o wszystkim – proszę Sellig. – Zadzwoń natychmiast, jak porozumiesz się z ludźmi z atelier. – Odkładam słuchawkę.

Lenore czeka cierpliwie po drugiej stronie biurka; przysłuchuje się mojej rozmowie.

– Zgubili fragment linki? – pyta.

Kiwam głową.

– Może będziemy musieli wycofać oskarżenie o zamordowanie Julie Park i chłopaka Sniderów – mówię.

– Jasna cholera. – Goya krzywi się boleśnie. Potem szybko ocenia wyniki tego równania, jak sądzę na moją korzyść.

– Chyba mogło być gorzej – stwierdza. – Mogli zgubić ostatni fragment. – Ma na

myśli mały kawałek sznura wiążący pozostałe ze zwojem liny z furgonetki. Bez niego cała nasza linia oskarżenia ległaby w gruzach.

– To jeszcze nie koniec – ciągnę. – Kurczy nam się materiał dowodowy.

– Jak to?

– Chambers już nam odebrał sprawę Scofieldów. Jeśli będziemy zmuszeni wycofać oskarżenie w sprawie Park i Snidera, pozostaną nam dla przysięgłych tylko dwa morderstwa.

Twarz Lenore zaczyna się zmieniać, kiedy dociera do niej, o co chodzi. Możemy tylko porównać drugą parę morderstw do zabójstwa Scofieldów. W obu wypadkach morderca posłużył się kolejnymi odcinkami linki, ale fragmenty użytego sznura nie pasują do siebie. Gwoździe z drugiej pary zabójstw są takie same, podobnie jak te ze sprawy Scofieldów. Lecz gwoździe z tych dwóch spraw nie są identyczne.

– Wygląda na to, że morderca za każdym razem zmieniał narzędzia zbrodni – konstatuje Lenore.

– Możemy zapomnieć o naszym ekspercie od portretów psychologicznych – mówię. – Bez Park i Snidera nie mamy już zbrodni popełnionych według jakiegoś klucza, tylko pojedynczy przypadek makabrycznego zabójstwa. A jeśli Chambers wykaże, że w czasie gdy zamordowano Scofieldów oskarżony przebywał w Kanadzie... – przerywam, bo wniosek jest oczywisty. Oto, na czym polega problem z teoriami opartymi na dowodach rzeczowych: wystarczy usunąć którykolwiek z wiążących je elementów, a wszystko rozsypuje się w drobny mak.

Tego ranka, przed rozprawą, Lenore odbyła wstępną rozmowę z Lloydem Tolarem. To nasze pierwsze spotkanie z nim osobiście. Facet jest trudniej osiągalny niż papież, a przy tym zdecydowanie lubieżny.

Według opisu Goi jest wysoki, siwowłosy i dystyngowany – typ, za jakim szaleją przysięgli. Przejrzeli jego dowody, nawiązali lekką pogawędkę o ranach w kształcie litery „Y” znalezionych na ciałach zamordowanych, od krocza do mostka, a gdzieś pomiędzy wątroba i śledzioną on zaprosił ją na obiad.

– Stary, rozpustny cap – określa go Lenore.

Powinienem być to przewidzieć już w czasie poszukiwań Tolara. Lenore uważa, że mogłem mu po prostu wysłać jej fotografię przypiętą do wizytówki i zaoszczędzić sobie dziesiątków rozmów telefonicznych.

– Twierdzi, że kiedy przedstawi swoje dowody, biegli nie będą już potrzebni. Podobno są miażdżące – mówi Goya.

Łatwo poznać, gdzie nauczył się arogancji młody aplikant, dzieciak, którego spotkałem kiedyś, gdy szukałem Tolara. Jest to obowiązkowy kurs w akademiach medycznych. Ale z dobrym doktorem nikt się nie spiera. Według Lenore Tolar ma tyle tupetu, że przemawia pewnie jak sam Bóg, i rozporządza wiarygodnymi dowodami.

Dziś muszę przedstawić nasz brakujący dowód – linkę zgubioną przez ludzi z zakładu fotograficznego.

Rozglądam się. Strona obrony pęka w szwach. Chambers i Iganovich tworzą coś na kształt kanapki, z tłumaczką ściśniętą pośrodku. Po drugiej ręce Rosjanina siedzi Bob Haselid, w ostatniej chwili dokooptowany do zespołu obrony.

Haselid to młody prawnik, zdobywający rozgłos debiutant. Posłuży Chambersowi za doradcę, kiedy ważył się będzie wyrok; będzie walczył o życie Rosjanina, jeśli ten zostanie skazany, a przysięgli dostrzegą jakieś okoliczności łagodzące.

Zanim zaczniemy, proszę Ingela i Adriana o chwilę rozmowy na osobności. Zastępca sędziego kiwa na mnie palcem, a potem chwyta Chambersa za marynarkę i prowadzi nas za ławę sędziowską, gdzie dołączamy, stłoczeni, do sędziego.

Ingel jest zajęty usuwaniem pyłków z togi za pomocą jakiegoś przylepca rozciągniętego między palcami – życie zapracowanego sędziego.

Patrzy na mnie.

– Co to ma być? – pyta. – Zmiana założeń w ostatniej chwili?

– Problem – mówię.

Odkłada czarny przyodziewek na brzeg biurka.

– Zginął pewien dowód rzeczowy – informuję.

Zostają obdarzony spojrzeniem wskazującym, że nadciąga nawałnica.

– Powiedziano mi, że to jakieś niedopatrzenie, że go znajdą – usiłuję ominąć huragan bokiem.

– Jaki dowód? – Ingel przeszywa mnie lodowatym spojrzeniem.

– Kawałek linki z dwóch pierwszych morderstw, zewnętrzna plastikowa osłonka. – I zanim zdąży się odezwać, dodaję, że mamy szczegółowe fotografie. Rzucam mu przynętę, nim on rzuci się na mnie.

– Zdjęcie dowodu nie jest dowodem – oświadczają. – Nie u mnie.

Na nieszczęście dla mnie Ingel, w przeciwieństwie do Świrusa, nie używa swojego egzemplarza kodeksu dowodowego wyłącznie jako podstawki pod filiżankę.

Obrywam szybki ochrzan: wypomina mi, że ostrzegł mnie podczas dyskusji na temat ugody, iż nie będzie pobłażliwy. Pyta niezbyt delikatnie, kogo dotyczył dowód. Bez wątpienia usiłuję dociec, jak wpłynie to na sprawę Sharon Collins. Ani myśli informować Armanda Acostę, że jesteśmy zmuszeni oddalić oskarżenie w sprawie jego siostrzenicy. Kiedy widzi, że Chambers zaczyna rozumieć, jaki jest cel jego pytań, urywa je raptownie.

– Jak do tego doszło? – docieka.

– Atelier fotograficzne – wyjaśniam. – Używali swojego sprzętu. Najwyraźniej zgubili dowód przy wywoływaniu filmu.

– Wyrzucili?

– Twierdzą, że nie. Podobno to niemożliwe, panie sędzio.

– To pan jest odpowiedzialny za wszystkie potknięcia, mecenasie. – Brzmi to tak, jakbym szukał wymówek.

– Są pewni, że go znajdą – dodaję.

– Lepiej, żeby znaleźli – warczy Ingel. – Co zrobimy do tego czasu?

Chambers wyczuwa szansę dla siebie, niespodziewany dar losu. Kiedy chodzi o karę śmierci, kodeks honorowy jest obcy obrońcom. Adrian opiera się o biurko Prusaka.

– Nie zgadzamy się na odroczenie – odzywa się. – Obrona jest gotowa do procesu. – Przypomina sędziemu, że oskarżony nie wyraził zgody na zwłokę.

Zostało niewiele więcej niż tydzień z wyznaczonych nam sześćdziesięciu dni. Potem obrona wniesie o oddalenie oskarżenia. Ale Ingel daje mi wyraźnie do zrozumienia, że nie

będzie się bawił w żadne wnioski o odroczenie.

– Wybraliśmy ławę przysięgłych – oznajmia. – Nie będą się męczyć nad tą sprawą, podczas gdy oskarżyciel szuka zaginionego dowodu.

Ktoś mniej miłosierny mógłby zarzucić Prusakowi, że spieszo mu do hawajskich gitar, ale akurat w tym wypadku przyznaję mu rację. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż bezczynność ławy przysięgłych. Kiedy zostawi się ich samych sobie, zaczynają bez końca snuć domysły na temat sprawy, którą się mają zajmować, spekulować o dowodach, czym mogą narobić mnóstwo szkód.

Większość przysięgłych czytała doniesienia prasowe o tych morderstwach, widziała przykryte białymi prześcieradłami ciała, oglądała na ekranach telewizorów miejsca zbrodni.

– Jesteśmy gotowi – mówi Ingel. – I będziemy gotowi dzisiejszego ranka na rozprawie.

– Nie proszę o odroczenie – wyjaśniam – tylko o trochę zrozumienia.

Patrzy na mnie, jakby nie znał tego słowa.

Powody, które mną kierują, nie są skomplikowane. Sznur jest ważnym dowodem w naszej sprawie. Został zaprezentowany sądowi przysięgłych i dokładnie opisany w protokóle, który Chambers przeczytał i przeanalizował. Adrian nie przemilczy faktu zaginięcia tego fragmentu i natychmiast zażąda oddalenia oskarżenia w sprawie dwóch zabójstw – Julie Park i Jonathana Snidera. Znając Prusaka i jego stosunek do mnie, wołałem poruszyć ten problem na osobności, bez protokółantki, by nie pozwolić mu na szybkie podjęcie decyzji. Proszę go o wyrozumiałość, dopóki nie znajdziemy linki, a do tego czasu – o danie mi nieco swobody w prezentowaniu dowodów.

Nie zgadza się.

Przypomina mi, że mogłem pójść na ugodę, że proponowano mi wniesienie aktu oskarżenia obejmującego sześć morderstw. Gdyby mógł, kazałby mi wdziać włosiennicę, kiedy tak wysypuje mi na głowę tony popiołu. Przez chwilę wydaje mi się, że miałby ochotę wznowić negocjacje, ale podejrzewa, że Adrian, zwietrzywszy krew, nie będzie już taki uczynny. Na razie Chambers zachowuje milczenie.

– Jak ważny jest ten dowód? – pyta Ingel. Chce, żebym wyznał tu, przed Adrianem, jak dalece zaginięcie dowodu pomieszało mi szyki.

Podaję mu wszystkie fakty, ale powstrzymuję się przed ich podsumowaniem, przed wyznaniem, że dwa morderstwa wiszą teraz na niebezpiecznie cienkim włosku.

Widzę ulgę na jego twarzy, kiedy dowiaduje się, że zabójstwo Sharon Collins jest nadal nietknięte, niemal namacalne. Nie będzie musiał iść do Acosty ze złymi wieściami,

przynajmniej nie teraz.

Adrian przystępuje do walki.

– Panie sędzio, wnoszę wniosek o oddalenie oskarżenia w sprawie morderstwa Park i Snidera, dwóch pierwszych ofiar.

Ingel powstrzymuje go gestem ręki.

– Czy jest to jedyny dowód łączący oskarżonego z tymi zbrodniami? – pyta. – Ten fragment linki?

Zaprzeczam.

– To, że możemy połączyć dowody znalezione w furgonetce oskarżonego z zabójstwem drugiej pary studentów, oznacza – wobec faktu, iż wszystkie cztery morderstwa popełniono w podobny sposób – ich związek z oskarżonym.

– Z takim ciosem zostałbyś mistrzem wagi ciężkiej – zauważa Chambers. Chce przez to powiedzieć, że naciągam fakty. Ma rację, ale na razie to wszystko, co mogę zrobić.

– Fragmenty linki użytej we wszystkich czterech przypadkach pochodzą od tego samego producenta, podobnie jak gwoździe – wyjaśniam Ingelowi.

– Do nabycia w tysiącach sklepów, odwiedzanych przez miliony ludzi – rzuca Chambers.

– To kwestia, którą rozstrzygną przysięgli – zwracam się do Ingela.

Sędzia robi niezdecydowany grymas. Przynajmniej skierowałem jego rozumowanie na właściwy tor.

Adrian miota się przed jego biurkiem, wykrzykując, że Scofieldów zamordowano w podobny sposób, ale jego klient nie został o to oskarżony. Przeciwnie, policja milcząco uznała, że tę zbrodnię popełnił kto inny.

– Jak na razie to jedyne, co im się udało – konstatuje.

Zaśpiewa inaczej, kiedy przedstawię mu dowody Tolara, wyniki sekcji zwłok, opis ran od noża oraz udowodnię, że Scofieldów zabito w innym miejscu. Ciekawe, jak sobie z tym poradzi.

– Dwa dni temu chciałeś pertraktować w sprawie Scofieldów – przypominam.

– Ze względów taktycznych – odpowiada. Wie, że nie mogę ujawnić przysięgłym szczegółów naszych negocjacji dotyczących ugody. Wspominanie niepowodzeń jest surowo zabronione – stara policyjna maksyma mówi, że prawo opiera się na porozumieniu. Jeśli oskarżony będzie wiedział, że przysięgli usłyszą o jego staraniach w tym kierunku, ta szacowna tradycja umrze śmiercią naturalną.

Wreszcie Ingel podnosi głowę. Ma dość.

– Nie umieścimy tego w protokole – postanawia.

Idzie mi na rękę wbrew własnemu przekonaniu, ale co do jednego nie mam wątpliwości: z rozkoszą rzuci mnie na żer dziennikarzom. Prasa i telewizja będą miały używanie, wiadomości i dzienniki poranne zapełnią się opowiastkami o tym, jak oskarżyciel zgubił swój najważniejszy dowód rzeczowy.

Pomijając wszystkie moje problemy, Adrian ma ciągle jeden poważny kłopot: musi wyjaśnić, w jaki sposób mój sznur, teraz powiązany z ostatnią parą morderstw, znalazł się w furgonetce jego klienta. To najważniejszy punkt obrony.

Na razie Ingel oddalił jego wnioski o wycofanie oskarżenia w sprawie Park i Snidera. Zrobiliśmy to bez udziału przysięgłych, by zaoszczędzić im domysłów na temat dowodu – zaginionego fragmentu linki, który być może jeszcze się znajdzie.

Nie mogę patrzeć w oczy Kimowi Parkowi, który siedzi na widowni. Wiem, że w czasie pierwszej przerwy dopadnie mnie na korytarzu i zapyta, jak można mówić o sprawiedliwości wobec takiego niedbalstwa.

Aby uniknąć wrogości Ingela, w mojej mowie do przysięgłych ograniczyłem się do minimum: poprzestałem na suchym wyliczeniu dowodów rzeczowych oraz wspominałem o furgonetce i znalezionych w niej dowodach obciążających Iganovicha.

– A teraz przedstawimy państwu opinię eksperta dotyczącą socjopatycznych powiązań między tymi czterema morderstwami, wskazując na charakterystyczne metody i zasady funkcjonowania chorego i niebezpiecznego umysłu. W ten sposób wykazemy ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony Andre Iganovich popełnił wszystkie cztery zbrodnie na zimno i z premedytacją.

Wyciągam zakrwawioną szmatę znaną z furgonetki. Analizy krwi wykazały jej zbieżność z kodem DNA Sharon Collins i Rodneya Slate'a. Kilku przysięgłych robi wielkie oczy.

Mówię o tym, że linka jest powszechnie dostępna, że jej odcinki, użyte do związania drugiej pary ofiar, specjaliści uznali za pasujące do dużego zwoju z samochodu Rosjanina. Tak oto uwypuklam rozmiary mojej straty. To najważniejszy argument oskarżenia.

Następnie napomykam o zbitej szybie tak szybko, że nawet nie wygląda to na pomijanie okoliczności tego faktu.

Wspominam o elektrycznym pistolecie, odebranych Iganovichowi w czasie aresztowania, oraz o śladach oparzeń na ciałach Julie Park i Jonathana Snidera, o których będzie mówił lekarz sądowy.

Kiedy wreszcie przechodzę do morderstwa Scofieldów, Ingel zaczyna zdradzać oznaki



rosnącego zdenerwowania.

– Obrona – kontynuuję – będzie zapewne usiłowała zbić państwa z tropu trzecim i ostatnim zabójstwem, którego ofiarą padli Karen i Abbott Scofieldowie. Dysponujemy jednak dowodami wskazującymi na to, że sprawcą w tym wypadku jest kto inny.

Oto moje podstawy do tego, by – nie rozgrzeszając Iganovicha i zostawiając sobie pole manewru, jeśli odnajdziemy w końcu zaginiony dowód – oskarżyć i skazać Rosjanina przed zamknięciem tej sprawy. Lenore bardzo się tym niepokoi. Chce pomówić o czymś, co dotyczy Scofieldów, podczas przerwy obiadowej.

– Dowody – ciągnę – wykażą znaczne różnice w sposobie popełnienia tego morderstwa. Opierając się na nich, uważamy, że Andre Iganovich go nie popełnił.

Usiłuję wywołać obraz bezstronnej sprawiedliwości, nie powiełać stereotypu wściekłego oskarżyciela. Ale faktem jest, że muszę poruszyć ten temat, by uniknąć wrażenia, iż uchylam się przed pytaniami dotyczącymi tej nie rozwiązanej zagadki mordercy, najwyraźniej wciąż pozostającego na wolności.

Skończywszy siadam na swoim miejscu.

Chambers nie zamierza zaczynać od przedstawienia linii obrony. Wstaje, niemal jeszcze zanim Ingel go o to poprosił. Chce naprawić to, co być może już mu popsulem, więc nie traci czasu.

Zaczyna od Scofieldów i tego, że prawdziwy morderca wciąż pozostaje wolny, nieuchwytny, podczas gdy jego klient jest wygodną ofiarą, obcokrajowcem nie umiejącym poprawnie mówić, kimś budzącym nieufność, kogo łatwo oskarżyć.

Ingel go powstrzymuje:

– Panie Chambers, to już mowa obrończa. Proszę tylko przedstawić swoje dowody.

– Tak jest – reflektuje się Adrian, przywołany do porządku. – Ta sprawa – oświadcza – w całości opiera się na poszlakach. W gruncie rzeczy mojego klienta nie byłoby tu teraz, gdyby nie zwój linki, parę metalowych gwoździ i fragment materiału ze śladami ludzkiej krwi: To, że znaleziono je w samochodzie pana Iganovicha, ma według oskarżenia oznaczać, że do niego należą. Tak przedstawia się w skrócie cała sprawa.

– Na pierwszy rzut oka – ciągnie – może się to wydawać okolicznością obciążającą. Ale proszę się przyjrzeć przez chwilę reszcie dowodów, rozważyć temat, nad którym pan Madriani nie rozwodził się zbyt, jako że sam go nie zna.

Odwraca się i patrzy na mnie.

– Dowody te wykażą – mówi – że szyba w furgonetce rzeczywiście została zbита, co oskarżyciel tak chętnie podkreśla. Przemilczał on jednak, że chodzi tu o całkowicie wybite

okno, wskutek czego każdy, kto tylko zechciał, miał dostęp do wnętrza pojazdu. Furgonetka stała na parkingu przez wiele dni, wszyscy mogli się do niej dostać, dopóki policja jej nie zajęła i nie znalazła w niej zdecydowanie obciążających dowodów.

– Tak więc od kiedy mój klient zaparkował swój pojazd, każdy mógł wrzucić do środka obciążające go dowody.

– Znowu pan dywaguje – upomina Ingel. – Proszę się trzymać tematu. Żebym nie musiał tego jeszcze raz powtarzać.

– Właśnie do tego zmierzałem, Wysoki Sądzie, do najważniejszego dowodu.

Ingel patrzy na niego i kiwa głową, jakby nakazywał: „Więc zrób to”.

– Przez jakiś czas policja utrzymywała – ciągnie Chambers – że szybko wybił jakiś wandal, ewentualny świadek, który mógł zajrzeć do środka i zauważyć obecność – zawiesza głos na chwilę, by zwrócić uwagę na to, co powie dalej – albo brak wspomnianych ważnych dowodów.

– Policja miała powody, by przypuszczać, że jej teoria jest słuszna. W toku dalszego postępowania hipoteza ta jednak się nie sprawdziła. Policja zjawi się tutaj – wskazuje na miejsce dla świadków – i opowie państwu o tym.

Spoglądam na Lenore. Skąd się dowiedział?

Nachyla się do mojego ucha.

– Roland – szepcze.

Ma rację: Roland Overroy maczał w tym swoje wścibskie paluszki. Zapewne chciał w ten sposób udowodnić Adrianowi swą dobrą wolę.

– Ale policjantom nie udało się – kontynuuje Chambers – znaleźć tego ważnego świadka. Może powinni się bardziej starać. Ponieważ nam się to udało.

Goya znów nachyla się ku mnie, by coś dodać, ale kiedy dociera do niej to, co mówi Adrian, zastyga i wpija w niego wzrok, zaciskając palce na barierce.

– Przedstawimy państwu świadka – zapowiada Adrian – który zezna, iż to on jest odpowiedzialny za wybicie szyby w furgonetce; człowieka, który nie wdawał się w żadne układy z prokuratorem i gotów jest odpowiedzieć za swoje wykroczenie.

Jakby mogło to być rękojmią wiarygodności – jeden akt wandalizmu.

– Nasz świadek – ciągnie Chambers – zezna pod przysięgą, że zbił szybę, otworzył drzwi i wszedł do środka, zamierzając ukraść co cenniejsze rzeczy. Zezna również w jednoznaczny sposób, iż bardzo się zawiódł, nie znalazł tam bowiem nic wartościowego – ani radia, ani magnetofonu, ani żadnych narzędzi – nic szczególnego.

Adrian odwraca się od przysięgłych i patrzy wprost na mnie. Zanim otworzy usta,

wiem już, co powie. Za chwilę potwierdza moje przeczucie.

– Zezna także pod przysięgą – oświadcza – iż w dniu, w którym włamał się do furgonetki oskarżonego, nie znalazł w niej ani sznura, ani gwoździ, ani też zakrwawionej szmaty.

Chambers uśmiecha się do mnie krzywo.

Lenore i ja siedzimy nieruchomo jak dwa głazy, usiłując wyglądać tak niewzruszenie, jakby jedynym interesującym nas tematem był obiad.

Wewnątrz aż się gotuję. Ręce mnie swędzą, chciałbym położyć je na liście świadków Chambersa, zakopanej gdzieś w stercie papierów na moim stoliku.

Adrian siada. Ingel zerka na zegarek.

– Już za późno – oznajmia – na wezwanie świadka. Pora na przerwę obiadową. Panie Madriani – zwraca się do mnie – proszę przygotować swojego świadka na drugą część naszego spotkania – znów spogląda na zegarek – kwadrans po pierwszej.

– Tak, Wysoki Sądzie.

Przypomina przysięgłym, by nie rozmawiali na temat tej sprawy, po czym opuszcza młotek na drewnianą podstawkę.

Dziś Lenore i ja zamawiamy obiad na wynos: kanapki w papierowych torebkach z pobliskiej knajpy. Pobiegła po nie jedna z sekretarek, a my omawiamy strategię i analizujemy listę świadków Adriana. Coś, co zgodnie z prawem obie strony muszą wymienić między sobą.

Zaczynamy dostrzegać zastawiony na nas haczyk. Obrona w sprawie kryminalnej jest zawsze wariacją na znany temat; w tym wypadku jest to śpiewka „to zrobił ktoś inny”.

Adrian nadaje jej swój własny wyraz. Opierając się na nie rozwikłanej zagadce morderstwa Scofieldów, wysuwa hipotezę: sprawcą jest kto inny. Zgadza się, że można tu dostrzec cień uzasadnienia.

Na podstawie analizowanej listy świadków, głównie różnych ekspertów, domyślamy się, jaki będzie cel jego ataku – różnice w sposobie zamordowania Scofieldów oraz pozostałych ofiar. Jeśli Scofieldów załatwił ktoś inny, a rozbieżności między tą zbrodnią i pozostałymi okażą się mało istotne, Adrian jest już w pół drogi do domu.

Pierwszym jego ruchem było wytrzaśnięcie tajemniczego wandal. Zaplanowany *coup de grace* prosto w nas. Jeśli ten świadek okaże się wiarygodny, zerwie jedyne ogniwo łączące Iganovicha z obciążającymi go dowodami w furgonetce.

Lenore i ja wpatrujemy się w listę niczym para jasnowidzów wróżąca z fusów. Wiele tu fałszywych tropów. Obie strony umyślnie zatarły ślady, rozmieściły mnóstwo pułapek i ślepych uliczek, powołały ludzi, z którymi zetknęły się podczas śledztwa, ale którzy nie wnoszą do sprawy nic nowego. W ten sposób można ocalić kilku właściwych świadków i zmusić przeciwnika do ciężkiej pracy nad procesem.

Jeśli o mnie chodzi, zaoferowałem Adrianowi nazwisko byłej fryzjerki Julie Park oraz faceta z gazowni, jak również dwa tuziny innych osób, których wiedza o szczegółach tej sprawy sprowadza się do tego, co przeczytały w gazetach albo widziały w telewizji.

Ale jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Lektura listy Adriana to daremny wysiłek. Nazwiska i adresy, najmniejsza wymagana liczba. Mamy także prawo dostępu do wszystkich kopii zeznań świadków, ale Chambers poprzestał na relacji ustnej..

Termin rozprawy nie pozwala nam na sprawdzenie świadków Adriana, na wysłanie Claude'a i jego chłopców, żeby pogadali z tymi ludźmi i odsiali plewy. Błądzimy po omacku w ciemnościach, nie wiedząc, pod którym z tych nazwisk kryje się faworyt Chambersa, jego tajemniczy wandal. Przesuwam leniwie piórem wzdłuż kolumny nazwisk, aż wreszcie natrafiam na jedno wyglądające znajomo.

– James Sloan. – Patrzę na Goyę. – Coś ci świta?

Kręci głową.

Przeglądam kartkę do końca. Nic.

Wracam do „Sloan”. Ciekawe, gdzie natknąłem się na to nazwisko. To coś świeżego, coś z ostatnich tygodni.

Podnoszę słuchawkę, wykręcam numer. Odzywa się kobiecy głos.

– Ester, tu Paul Madriani z przeciwka.

Ester Peoples jest odpowiedzialna za rejestr spraw wniesionych do sądu. Zajmuje się aktami spraw kryminalnych w sądzie okręgowym w Davenport. Słyszę, że właśnie coś je. Kolejna urzędniczka poświęcająca swoją przerwę obiadową.

– Mogłabyś sprawdzić dla mnie w komputerze pewne nazwisko?

– Jasne. Jaki okres?

– Rok.

Przeliterowuję nazwisko Jamesa Sloane’a. Słyszę stukanie klawiszy, a potem:

– Którego chcesz?

– Jest ich więcej?

– Jeden facet, trzy wyroki.

– Za co?

– Podpalenie uznane za złośliwy wybryk oraz dwa akty wandalizmu...

– Bingo – mówię. Ester podaje mi numer jego polisy ubezpieczeniowej, dziękuję jej i przechodzę na następną linię.

Tym razem nie wykręcam numeru, telefon sam go wybiera. Claude nie podnosi słuchawki, ale po trzecim sygnale odzywa się Denny Henderson.

Dowiaduję się, że Claude jest w drodze do mnie. Dusalt to mój pierwszy świadek. Przygotowujemy się do rozprawy na chwilę przed jej rozpoczęciem.

– Denny. Przejrzyj akta Jamesa Sloane’a – odczytuję mu numer sprawy, który dostałem od Ester.

– Natychmiast?

– Nie, na wczoraj.

W słuchawce rozlega się mruczenie, potem zapada cisza. Czekam jakieś dziesięć minut i znów słyszę głos Denny’ego:

– Mam.

– Zdjęcie?

Szelest po drugiej stronie.

– Śliczny – odzywa się Denny.

– Masz?

– Mhm.

– Niech zgadnę. Rude włosy postawione na jeża, dziobaty na gębie?

– Znasz go? – pyta Denny.

– W pewnym sensie.

Mój porcelanowy książkę, myślę. Męski wychodek w sądzie, w którym spotkałem Adriana, punk z intereseem przyciętym zamkiem błyskawicznym, były klient Chambersa.

Kurtka z suwakami i dziwaczna fryzura. Nazwisko James Sloan wydało mi się jakoś niestosowne, kiedy Adrian przedstawił nas sobie. Dzięki temu moja pamięć zatrzymała je niczym komputer.

– Chcę dostać wszystko, co na niego macie, protokoły każdego aresztowania, natychmiast jak tylko je otrzymasz. Potem pójdziesz do sądu i wydobędziesz z archiwum zeznania i akta tych spraw.

– Nie dadzą mi oryginału – protestuje Henderson.

– To odbijesz na ksero. Oblicza liczbę aresztowań.

– To zajmie mi cały dzień – oznajmia.

– A co masz innego do roboty? – Proponuję, żeby on i Claude ciągnęli słomki. Jego jęk zdradza, że z góry wie, kto wyciągnie krótką. Słyszę gderanie, zdaje się, że zamierza odłożyć słuchawkę.

– Aha, Denny.

– No?

– Zdobądź aktualne akta faceta. Sprawdź, czy gdzieś indziej też nie popełnił jakiegoś przestępstwa. – Kończymy rozmowę.

– Byłoby miło – zwracam się do Lenore – gdyby udało nam się wsadzić go za jakieś przestępstwo. – W ten sposób podważylibyśmy jego wiarygodność w oczach przysięgłych. Recydywiści noszą piętno przez całe życie.

– Więc go znasz? – dziwi się Lenore. – Świadka Chambersa?

– Jak jego samego.

– Ale jak go znalazł, skoro nam się nie udało?

– Myślisz, że to zrobił?

Goya patrzy na mnie.

– Adrian jest znany z tego, że zawsze znajduje wygodnych świadków – wyjaśniam. – Lepiej tuszuje słabe strony swojej sprawy niż zawodowa charakteryzatorka.

Obserwując Chambersa w sądzie przez te wszystkie lata, przekonałem się, że sukces zależy często od krzywoprzysięstwa świadka.

Lenore wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Że też jakiś prawnik może to robić z całą świadomością, na zimno! Mimo całego balastu pochodzenia Lenore, wystarczy tylko trochę poskrobać jej twardą skorupę, a wyłoni się spod niej romantyczka.

– Gdyby Adrian żywił się gwoździami – dodaję – srałby korkociągami. On nie przekreśla faktów, on je torturuje. – Ponieważ widziałem już, jak to robi, mogę przewidzieć jego następny ruch.

– Kiedy powołamy Claude’a – ciągnę – żeby położył fundamenty pod nasz materiał dowodowy, Chambers zapyta nas o wandalę, który wybił szybę w furgonetce, i o nasze daremne próby znalezienia tego świadka. Dzięki Rolandowi zbuduje linię obrony, urzeczywistniając nasze własne przewidywania i zmieniając ich wymowę.

Jego wersja będzie taka, że świadek wybił szybę, ale może przysiąc, iż wewnątrz pojazdu nie było żadnego z naszych dowodów. Oto zasady etyczne Adriana – wszystko, byle tylko obronić interesy możliwych tego stanu.

Pukanie do drzwi.

– Proszę.

To Claude. Trzyma pod pachą gruby plik akt zawierających raporty policyjne i inne dokumenty, zebrane podczas naszego dochodzenia. Będzie się nimi posługiwał, by odświeżyć pamięć, gdyby go zawiodła.

– Gotów? – pytam.

Krzywi się lekceważąco.

– Mam tu coś dla ciebie – oznajmia. Bierze jedną z teczek i wyciąga kartkę papieru: raport laboratorium ze stanowego Departamentu Sprawiedliwości.

– Prezent od Kay Sellig – wyjaśnia.

Czytam, ale nie staję się od tego mądrzejszy.

– Jej ludzie przeprowadzili analizy tego papieru z anonimem, który dostałeś. – Ma na myśli ten z fotografią Sarah.

– Ktokolwiek go wysłał, sfuszerował robotę – kontynuuje. – Jedno ze słów, wyciętych z gazety i przyklejonych na kartce, zawierało na odwrocie znak handlowy i logo w jednym rogu. Mikroskopijne, ale mieliśmy szczęście. Asystent z laboratorium rozpoznał fragment tego logo.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Często je widywał – mówi. – Wycinek pochodzi ze strony tytułowej policyjnej

gazety stanowej „Reporter Kryminalny”.

Znam tę gazetę. Czytają ją gliny z całego stanu, by dowiadywać się na bieżąco o ostatnich aresztowaniach, dochodzeniach i dowodach rzeczowych. Ja też ją prenumeruję, to samo dotyczy coraz większej grupy prawników zajmujących się tymi sprawami.

– No i? – dociekam.

Claude marszczy brwi, jakby miał na ten temat własne zdanie.

– Może moglibyśmy sprawdzić, czy policja w Davenport to prenumeruje – podsuwa. Wiem, o kogo mu chodzi: o Jessa Amareę.

– To jazda.

Potem zmieniamy temat, czas nam się kończy. Ostrzegam, że Adrian go przycisnie, że będzie usiłował wydusić z niego szczegóły naszej teorii na temat wandalą, który mógł wybić szybę w furgonetce, i uprzedzam, że długi jęzor Rolanda sprawił, iż będzie się o tym mówiło na sali sądowej.

Claude rzuca kilka epitetów pod adresem Overroya. Potem informuje mnie, że Roland ma teraz własne problemy. Jeden z wywiadowców, których Dusalt przydzielił Sellig, by pomagali jej w poszukiwaniu zaginionego fragmentu linki, rozmawiał z fotografem pracującym przy wywoływaniu filmów owego feralnego dnia.

– Facet twierdzi, że tamtego dnia ktoś kręcił się po twojej bibliotece, kiedy on robił zdjęcie linki. Interesował się aparatami, gładząc, że to jego hobby, dotykał wszystkich soczewek. Potem facet wyszedł, a godzinę później, gdy zwijali kram, zauważyli brak linki.

– Niech zgadnę: Roland?

– Nagle zrobił się z niego fotograf – komentuje Claude.

Nie jestem zdziwiony. To całkiem podobne do Rolanda: kiedy odrzuciłem jego propozycję ugody, uszczuplił mój materiał dowodowy. Nie zabrał jednak linki wskazującej na związek wszystkich morderstw z Rosjaninem, tylko taką, która łączy z nim jedynie część z nich. Uderzyć tak, żeby nie zaboląło za mocno, usiąść spokojnie i patrzeć.

Linka znajdzie się pewnie tuż przed zamknięciem sprawy. Żebym musiał błagać Ingela na kolanach o pozwolenie włączenia tego dowodu.

Claude patrzy na Goyę.

– Powiedziałaś mu? – pyta.

– Jeszcze nie.

Rzucam im ciężkie spojrzenie.

– Co znowu?

Chodzi o to, że przez dwa dni analizowała z Claude'em listę Adriana, poszukując



osoby lub osób, które mogłyby zeznać, że w dniu, w którym zamordowano Scofieldów, Iganovich przebywał w Kanadzie. Jeśli bowiem będziemy chcieli skazać jego klienta, Chambers musi wezwać tego świadka. A nawet i bez tego może zechcieć go wykorzystać, by zatrzeć różnice między morderstwami i udowodnić, że w chwili popełnienia ostatniej podwójnej zbrodni jego klient był poza hrabstwem.

– I nikt nam nie pasuje – przyznaje Lenore.

Przyglądamy się liście. Goya wysuwa przypuszczenie, że świadek mieszka w Kanadzie; że to ktoś, kto widział tam Iganovicha i może to zeznać. Ale na liście nie ma ani jednego Kanadyjczyka.

– A może to ktoś z tutejszego biura podróży? Ktoś miejscowy, kto sprzedał mu bilet i mógł go zapamiętać?

Lenore kręci głową.

– Już sprawdziliśmy. I coś więcej – dodaje. – Parę tygodni temu Claude zadzwonił na lotnisko. Wczoraj oddzwonili. Każdego dnia mają cztery kursy ze stolicy do Kanady. Jedna z urzędniczek w Air Canada twierdzi, że widziała kogoś podobnego do Iganovicha. Poznała go na zdjęciu.

– Więc to ona – decyduję.

– Problem w tym – mityguje mnie Claude – że kiedy panienka sprawdziła rejestr, okazało się, iż ten konkretny lot odbył się nazajutrz po zamordowaniu Scofieldów. A do tego dnia była na urlopie macierzyńskim.

Krew uderza mi do głowy. Chwila osłupiałego milczenia. Od początku opieraliśmy się na przeświadczeniu, że Iganovich może przedstawić murowane alibi na dzień, w którym zamordowano Scofieldów, że był tysiące kilometrów stąd. Teraz, w dniu rozpoczęcia procesu, Claude i Lenore oświadczają, że się myliliśmy. Nasza hipoteza zaczyna się rozsypywać, kruszą się fundamenty psychoanalitycznych teorii na temat seryjnego mordercy. To, że Rosjanin był w mieście w dniu zabójstwa Scotfieldów, uważam za więcej warte niż tysiąc testów Rorschacha.

– To chyba tłumaczy – odzywa się Lenore – dlaczego Chambers tak nalegał na włączenie sprawy Scofieldów do aktu oskarżenia. Może wie, że załatwił ich jego klient.

– Niech to! – Zrywam się z krzesła, zaczynam spacerować za biurkiem – Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?!

– Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby znaleźć tę kobietę. Nie było jej w mieście. Jest tu raz na trzy tygodnie. – Claude ma tysiące usprawiedliwień. – Poza tym jest niezdecydowana. Wydaje jej się, że to on, ale nie ma absolutnej pewności.

– A jednak – mówię – trzeba było pogadać z nią wcześniej.

– Może powinniśmy go oskarżyć? – Lenore zaczyna się denerwować.

Patrzę na Claude'a.

– Jakie mogłyby być jej zeznania?

– Szczerze?

– Do bólu.

– Niezbyt się kwalifikują – przyznaje. – Chambers by ją połknął na obiad. „Może to on, może nie on”.

Opieram się o biurko, spoglądam na nich z góry.

– Możecie być pewni, że jeśli postawimy go w stan oskarżenia, Adrian wyciągnie z cylindra następnego świadka. Jakiegoś typa, który zezna, że wsadził Iganovicha do samolotu, ucałował go w oba policzki i zapiął mu pasy, a wszystko to na dwa dni przed Scofieldami. – Milczenie opada na naszą grupkę niczym czarna chmura. Z tymi dowodami wolałbym zasiadać na miejscu obrońcy.

– Ile czasu da nam Ingel na wniesienie poprawki? – pyta Lenore. Ma na myśli włączenie do oskarżenia morderstwa Scofieldów.

– Może do zakończenia naszej rozprawy głównej. Nie więcej – odpowiadam. Albo nawet nie tyle. To zależy od dowodów. Musielibyśmy mieć coś naprawdę mocnego.

– Naocznego świadka – stwierdza Lenore. – Kogoś, kto na własne oczy widział zabójstwo Scofieldów.

Oboje patrzymy na Claude'a. Wie, o co nam chodzi. Nasz świadek koronny.

– Dajcie mi jakiś ślad, a wytropię go.

– Co masz na niego?

– Lunetę. Nie zdołałem dociec, kto mu ją sprzedał, nie ma na niej śladów palców, z wyjątkiem jednego, ledwie widocznego. Wygląda jak ślad kciuka – informuje. – To samo dotyczy sprzętu do wspinaczki – jest zbyt popularny. Co do tego Rattigana z Centrum Ptaków Drapieżnych, uważa, że być może nasz świadek to kłusownik polujący z puchaczem na sokoły wędrowne, pisklęta i dorosłe. Przypuszcza, że ten ktoś musiał pracować pod osłoną nocy, a to wyklucza strzały, które mogły obudzić sąsiadów. Ale dlaczego ktoś miałby zabijać te ptaki, Rattigan nie ma pojęcia. Mówi, że potrafiłby jeszcze zrozumieć, gdyby ktoś je łapał. Te ptaki są cenne. Rattigan twierdzi, że za okaz w dobrym stanie dostaje się za granicą pięćdziesiąt tysięcy.

– Dolarów? – upewniam się.

Kiwa głową.

– Ale to nie to. Sądząc na podstawie szczątków – ciagnie – kości i piór, znalezionych na platformie oraz na ziemi, ten ktoś położył tamtej nocy zimnym trupem latające pół miliona.

Dla nas, poszukujących świadka, nie znaczy to nic.

– Chcę, żebyś coś sprawdził – zwracam się do Claude'a. – Niech jeden z twoich chłopaków poszpera w aktach i dowie się, na czym terenie zamordowano Scofieldów. Chcę wiedzieć, kto jest właścicielem tej ziemi.

Claude zapisuje sobie.

– Po co? – wyraża zdziwienie.

– Tak sobie – rzucam. – Może zaczęliśmy od niewłaściwej strony.

Dusalt przygląda mi się.

– Może powinniśmy zacząć od drugiego końca, od Scofieldów leżących na ziemi – dodaję. – Co tu mamy?

– Myszy i kulki z ziaren, którymi karmi się ptaki, jak twierdzi Rattigan – wyjaśnia Claude. – Góry dokumentów, niestety zniszczonych przez Jeanette Scofield i Amarę. I podanie, które ci dałem. To wszystko. Nie za wiele.

Obracam się na krześle, przeszukuję stos papierzyk na kredensie za moimi plecami i wracam z papierową teczką. Kładę ją na biurku i otwieram. Jest w niej nie podpisane podanie Abbotta Scofielda o zwrot kosztów podróży oraz załączone do niego rachunki. Przeglądam je. Rachunek z hotelu i restauracji. Kiedy Lenore przenosi na mnie wzrok, podaję jej dwa przedarte bilety z nadrukiem „Rezerwat Dzikich Zwierząt w San Diego”.

– Zoo? – zapytuję.

Robi minę wyrażającą całkowitą nieświadomość.

Wyciągam przewodnik, który Mario zostawił w dolnej szufladzie biurka. Zaglądam pod „San Diego – atrakcje”. Nic. Szukam pod „Inne”. Znajduję „Rezerwat Dzikich Zwierząt patrz Escondido”.

Wracam pod „E”. Jest, tuż pod „Ogródkowym Teatrem Lawrence'a Welka”.

Czytam na głos:

*Rezerwat Dzikich Zwierząt w San Diego zajmuje obszar osiemnastu tysięcy akrów. Leży około ośmiu kilometrów od drogi I-15, u wylotu rancza Parkway. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy zwierząt, w tym słonie, tygrysy, nosorożce, zebry i żyrafy zamieszkują tereny, przypominające ich siedliska w Afryce i Azji.*

*Goście zwiedzający rezerwat mogą podziwiać zwierzęta podczas pięćdziesięciminutowej przejażdżki kolejką jednoszynową bądź też skorzystać z punktów obserwacyjnych wzdłuż dwukilometrowej trasy. Zwierzęta i ptaki...*

Urywam w pół zdania.

*...i ptaki są pokazywane codziennie w Nairobi Village...*

Milknę. Patrzę na Claude'a.

– Mam zarezerwować miejsce w samolocie do San Diego? – pyta.

Claude Dusalt musi tu zostać i zeznawać.

– Polecą Henderson – decyduję. – To bez wątpienia spodobą się Denny'emu bardziej niż kopiowanie dokumentów uwieczniających kryminalną przeszłość Jamesa Sloane'a.

Claude Dusalt znakomicie wywiązuje się z roli świadka. Nawet jeśli jego zeznania trochę mnie zaskakują. Ma surową, szlachetną twarz, arystokratyczny cienki, zakrzywiony nos, przenikliwe szmaragdowe oczy. Na tę okazję ubrał się w swój najlepszy trzyczęściowy garnitur, szary w prążki. Nie potrzebuje munduru, jego pozycja zawodowa mówi sama za siebie.

Chyba jest dość zmęczony. Przyjechaliśmy tutaj z mojego biura w pośpiechu. Claude chciał zadzwonić na posterunek policji w San Diego, zanim Henderson wybierze się w podróż, wymienić grzeczności i poprosić o udzielenie Denny'emu pomocy, w razie gdyby jej potrzebował. Wpadliśmy tu niemal biegiem.

Pytam go o życiorys. Trzydzieści lat na służbie i, jak twierdzi, więcej niż sto dochodzeń na koncie. Ma położyć podwaliny pod całą sprawę.

Za mną ciągły szum głosów, tłumaczka szepcze Iganovichowi do ucha.

Wymieniamy morderstwa w porządku chronologicznym, najpierw Julie Park i Jonathana Snidera. Claude zeznaje, że znalazł się na miejscu zbrodni w niespełną godzinę po odkryciu ciała, że natychmiast polecił ogrodzić cały teren wzdłuż Putah Creek i osobiście nadzorował zbieranie dowodów.

– Czy zarządził pan robienie zdjęć? – pytam.

– Tak.

Podchodzę do stolika, przy którym Goya przygotowuje je dla mnie. Wręcza mi teczkę. Wewnątrz znajdują się trzy komplety fotografii, jeden dla sędziego. Proszę zastępcę, by mu go podał. Drugi komplet trafia do Chambersa – rzucam mu go na stolik, trzeci otrzymuje Claude. Daję Ingelowi i Adrianowi czas na przyjrzenie się zdjęciom i czekam, aż Chambers zacznie zawodzić i zgrzytać zębami.

Fotografie są naprawdę wstrząsające; kilka ujęć ciał ofiar, przybitych do ziemi, może sprawić, że przysięgli pożałują, iż cokolwiek jedli.

Chambers przegląda je, każdą obejrzaną odkłada na stół obrazem do dołu. Nie odzywa się. Kończy i patrzy na mnie. Jego pozbawiona wyrazu twarz oznacza dla mnie sygnał do akcji.

Trochę mnie zaskoczył, ale zaczynam rozumieć jego strategię. Po co rozwodzić się nad okrucieństwem zbrodni, skoro jego klient jej nie popełnił? Pierwsze przykazanie sądowego dekalogu brzmi: Nigdy nie narzekaj, chyba że coś na tym zyskasz. Wydziwianie nad tymi zdjęciami, czepianie się ujęć mogłoby zasugerować przysięgłym, że Adrian usiłuje usprawiedliwić niewybaczalną zbrodnię. A on przeciwnie – chce odciąć Rosjanina od tych morderstw. Oczywiście okaże współczucie rodzinom ofiar i nie będzie szczędził wyrazów oburzenia policji i oskarżeniu za nieumiejętność znalezienia prawdziwego sprawcy tych straszliwych czynów.

Claude szybko przegląda fotografie, identyfikując każdą jako zrobioną na miejscu zbrodni. Oznaczyłem je i teraz zgłaszam wniosek o włączenie ich do materiału dowodowego.

Ingel spogląda na Chambersa.

– Czy obrona ma coś przeciw temu? – Sędzia sprawia wrażenie nieco zdziwionego, ale Adrian wyraża zgodę. – Zaczekam z oceną zdjęć, dopóki nie obejrzę ich wszystkich – mówi Ingel. Chce, żebym zgłosił jeden wniosek co do fotografii wszystkich czterech ofiar.

Powtarzamy tę samą procedurę ze zdjęciami Sharon Collins i Rodneya Slate'a. Zauważam, że Ingel wpatruje się intensywnie w fotografię dziewczyny, siostrzenicy Acosty.

– Czy to konieczne? – pyta. – Takie szczegółowe ujęcia?

Tego się nie spodziewałem – sprzeciwu sędziego.

– Popełniono tu brutalne morderstwo – przypominam mu. – Nie jest chyba od rzeczy udokumentowanie tego faktu.

– A jednak – upiera się Ingel – powinniśmy pomyśleć o uczuciach krewnych. – Przerzuca zdjęcia w poszukiwaniu Collinsówny. – To tutaj – stwierdza – jest szczególnie

szokujące. – Patrzy na mnie, upewniając się, czy wiem, o które chodzi.

– I kilka innych. – Sięga w kierunku kupki przejranych już odbitek. – Chyba możemy się bez nich obejść.

Sąd ma prawo, choć rzadko z niego korzysta, do ograniczenia liczby dowodów w szczególnie uzasadnionych wypadkach. Ingel cytuje odpowiednie paragrafy i zaczyna odrzucać niektóre zdjęcia, by odwrócić uwagę od tego jednego, na którym naprawdę mu zależy – nagiej Sharon Collins. Jego starania, żeby nie urazić delikatnych uczuć Armanda Acosty, są wprost bezwstydne. Sądowa mafia.

Zgłaszam sprzeciw, co nie daje pożądanego efektu. Ingel oddała go szybkim kłapinięciem młotka i w ten sposób oszczędza przysięgłym widoku najbardziej szokujących fotografii.

Patrzę na Chambersa, który uśmiecha się od ucha do ucha. Sędzia mu się przysłużył, a on nie musiał nawet kiwnąć palcem.

Claude zaczyna opisywać szczegóły zbrodni. Wyjaśnia, co zobaczył przybywszy na miejsce, w jaki sposób ofiary przywiązano plastikową linką do wbitych w ziemię gwoździ i jak piąty gwóźdź wbito w brzuch każdej ofiary. Pomija pewne detale, na przykład odciski włókien na wewnętrznej stronie plastikowej powłoki. To zostawiamy Kay Sellig – z nadzieją, że do tego czasu znajdziemy brakujący dowód.

Claude przedstawia pozostałych świadków: policjanta z miasteczka uniwersyteckiego, kierowcę, który zjawił się, by odholować furgonetkę i ją otworzył, oraz Sellig, która wyjaśni za nas całą sprawę. Po szczegółowym odpytaniu Claude'a przechodzę do ostatniego punktu.

– Poruczniku Dusalt – mówię – czy w tym samym czasie zetknął się pan z podobnym podwójnym morderstwem, przypominającym zbrodnie popełnione na studentach?

– Tak – potwierdza Claude. – Z zabójstwem Abbotta Scofielda, nauczyciela akademickiego, i Karen Scofield, jego byłej żony.

Nie mogę pozwolić, żeby Chambers wywłókł to na światło dzienne od razu na początku swego wystąpienia. Pomijanie podobieństw między tymi zbrodniami wywołałoby u przysięgłych podejrzenie, że mamy coś do ukrycia.

– Poruczniku, proszę powiedzieć przysięgłym, czy kiedy znaleziono ciała Scofieldów dopuszczał pan możliwość, że sprawcą jest ten sam osobnik, który zabił studentów?

– Tak. Początkowo – przyznaje.

– Ale w miarę jak rozwijało się śledztwo, odkrył pan pewne fakty, które kazały panu skorygować tę teorię, czy tak?

– Tak.

– Sprzeciw! – Chambers się podrywa. – Pytania sugerują świadkowi odpowiedź.

– Proszę inaczej sformułować pytanie – poleca Ingel. Oddala sprzeciw.

Powtarzam:

– Czy zmienił pan teorię na temat jednego mordercy?

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ w toku śledztwa wyszły na jaw pewne fakty, które wskazują, że się pomyliliśmy. Że istnieje jeszcze jeden morderca.

– Jakie to są fakty?

– Zabójstwo Scofieldów różni się nieco od wcześniejszych zbrodni. Po pierwsze, nie zgadza się wiek ofiar – te są starsze niż zamordowani studenci. Sposób, w jaki ich zabito, też był nieco inny. Poza tym twarz Karen Scofield została okaleczona, co nie spotkało żadnej z poprzednich ofiar.

Mógłby napomknąć o czymś jeszcze – o platformie obserwacyjnej i szczątkach ptaków, i o tym, że ma to coś wspólnego z zabójstwem Scofieldów. Ale Claude jest ostrożny. Zdecydowaliśmy, że przez jakiś czas nie będziemy o tym wspominać.

– I do czego pan doszedł, biorąc pod uwagę rozbieżności?

– Że istnieje drugi morderca, niezależny od pierwszego, odpowiedzialny za śmierć Scofieldów i naśladujący tego pierwszego. Ktoś najwidoczniej starał się dokładnie skopiować wszystkie szczegóły zbrodni, ale niezbyt mu się to udało.

– Czy podczas swojej wieloletniej służby zetknął się pan już z takim przypadkiem?

– Nie jest to nic wyjątkowego – odpowiada Claude. – Nigdy nie prowadziłem osobiście śledztwa w podobnej sprawie, ale znam takie przypadki.

– A czy policjanci prowadzący dochodzenie w sprawie Scofieldów też uważają, że zabójcą jest ktoś inny, nie pan Iganovich?

– Tak. Chyba że jakieś nowe dowody czy informacje skłonią nas do zmiany zdania.

Claude i ja uważnie omijamy ten temat, który pozwoli nam oskarżyć Rosjanina, jeśli znajdziemy naszego świadka koronnego. Wracam na swoje miejsce, przekazuję Claude'a Chambersowi.

Adrian powoli, ostrożnie kieruje się w stronę świadka.

– Mogę podejść? – pyta. Chce, żeby Ingel udzielił mu pozwolenia na zbliżenie się do Dusalta. W ręce trzyma zdjęcia.

– Proszę – zgadza się sędzia.

– Poruczniku Dusalt, chciałbym pokazać panu pewne fotografie i poprosić, aby je pan

zidentyfikował. – Podaje Claude'owi trzy odbitki osiem na dziesięć centymetrów. Niemal jednocześnie Bob Haselid, jego doradca, przekazuje drugi zestaw sędziemu, a trzeci rzuca mnie. Są to fotografie policyjne z miejsca, w którym zamordowano Scofieldów. Adrian wyjął je z akt po złożeniu wniosku o ujawnienie materiału dowodowego. Dostał wszystko, z wyjątkiem zdjęć kryjówki na drzewie. Zarządzenie sędziego Fishera nadal broni mu do nich dostępu, przynajmniej dopóki nie znajdziemy świadka.

– Czy poznaje pan te fotografie? – zaczyna Chambers.

Claude przygląda się im, odwraca je i sprawdza pieczęć.

– Zrobili je ludzie z naszego departamentu – oświadcza.

– Z okręgowego biura szeryfa w Davenport?

– Tak.

– I co one przedstawiają? Co na nich widzimy?

– To różne zdjęcia ofiar, Karen i Abbotta Scofieldów, na miejscu zbrodni.

– Czy zrobiono je na pańskie polecenie?

– Tak.

– Tutaj są jeszcze inne fotografie. – Adrian wskazuje na odbitki, które już włączyłem do materiału dowodowego. Wyciąga jedną z nich. – To jest niezłe – mówi. Pokazuje zdjęcie z daleka sędziemu i mnie. Jest to zbliżenie ręki: pięść zaciśnięta w spazmie agonii, ciało koloru błękitnej stali wskutek zadzierzgnięcia linki wokół nadgarstka.

– Co przedstawia to zdjęcie?

Claude patrzy na nie, odczytuje podpis na odwrocie.

– To prawa ręka Jonathana Snidera.

– Dobrze. A teraz proszę spojrzeć na tę fotografię.

Dusalt bierze od niego następne zdjęcie, znowu odczytuje podpis. Spogląda na swojego rozmówcę.

– Czy potrafi pan zidentyfikować tę fotografię, poruczniku?

– To prawa ręka Abbotta Scofielda.

– Czy przyglądając się obu tym zdjęciom, może pan stwierdzić – pyta Adrian – że sposób zawiązania linki na przegubach ofiar czymś się różni?

– Nie, to zwykła pętla – oznajmia Claude.

– A węzeł, czy widzi pan tu jakieś różnice?

– Nie.

– Ale jest pan oficerem śledczym i gdyby węzły były zawiązane inaczej, zauważyłby pan to, prawda?



– Tak sądzę.

– A więc czy jest tu jakaś różnica?

– Nie, to zwykły węzeł. Sam też bym taki zrobił.

– Zatem nie ma żadnych różnic?

– Nie. Nie dostrzegam żadnych różnic.

– Czy oprócz węzłów i sposobu, w jaki ofiary zostały przywiązane do ziemi, zauważono różnice w pozycji tych ofiar?

Claude zastanawia się przez chwilę.

– Żadnych szczególnych – odpowiada.

– Czy w ogóle były jakiegokolwiek różnice?

– Nie – przyznaje Dusalt niechętnie.

– A ten metalowy gwóźdź, którym zadano śmierć każdej z sześciu ofiar, studentom i Scofieldom, czy był jakoś inaczej wbity w ciała?

– Sprzeciw. Świadek nie jest znawcą w tej dziedzinie. – Próbuję osłonić Claude’a.

– Nie proszę o ekspertyzę medyczną – wyjaśnia Chambers. Odwraca się do mnie. – Świadek umie chyba odróżnić głowę od brzucha? Czy wszystkie gwoździe wbito w brzuch mniej więcej w ten sam punkt, pod tym samym kątem?

– Świadek może odpowiedzieć – pozwala Ingel.

Chambers uśmiecha się do mnie z napięciem.

– Tak. – Jedno słowo, ale pełne treści.

Adrian wypytuje następnie o położenie części ubrania tworzących łuk nad głowami wszystkich sześciu ofiar i upewnia się, że pod tym względem też nic nie odróżnia wyraźnie sprawy Scofieldów od pozostałych.

Potem cofa się o kilka kroków.

– A teraz okaleczenie twarzy – oznajmia. – Robi pan wielkie halo z okaleczenia twarzy Karen Scofield.

– Taki już jestem dziwny – odparowuje Claude. – Wylupienie komuś oka z głowy to dla mnie wielkie halo.

Ingel patrzy na niego ostro, ale się nie odzywa.

– Wie pan, co mam na myśli – ciągnie Chambers. – Czy to naprawdę aż tak istotna różnica?

– Tak twierdzą niektórzy. Psychiatrzy i psychologowie zajmujący się takimi sprawami.

– Ach, więc jeśli o to chodzi, polega pan na opinii innych?

– Tak.

– A sam pan nie wiedziałby, że okaleczenie twarzy jest czymś wyjątkowym, czymś różniącym te sprawy?

– Chyba nie.

Adrian sprawia wrażenie zadowolonego.

– A gdyby okaleczenie twarzy nastąpiło przypadkowo, było konsekwencją niezamierzonej agresji, czy wtedy straciłoby nieco na ważności lub może w ogóle stało się nieważne? – docieka.

– Jak to?

– Czy jest możliwe, że to okaleczenie powstało przed śmiercią ofiary, która została uprzednio zaatakowana lub obezwładniona, że nie było to działanie zamierzone?

– Nie wiem.

– Poruczniku, z pewnością w czasie swojej kariery zetknął się pan z obrażeniami powstałymi w wyniku napaści, fizycznej przemocy. Czy nigdy nie zdarzyło się panu widzieć obrażeń oka?

– Chyba mi się zdarzyło – potwierdza Claude.

– A gdyby napastnik zaatakował sześć osób i w jednym wypadku uszkodził oko ofiary, może wybił je podczas szarpaniny, czy przywiązywałby pan jakąś wagę do tego faktu?

– Nie wiem.

– Gdyby to było działanie nieumyślne? – naciska Adrian. – Gdyby wiedział pan o tym, chyba nie założyłby pan, że tę zbrodnię popełniła inna osoba?

– Nie, gdybym wiedział, że okaleczenie było przypadkowe.

– Wtedy ten fakt byłby zupełnie bez znaczenia, prawda?

– Raczej tak.

– Poruczniku Dusalt, czy pańskim zdaniem pozbawienie Karen Scofield oka zostało spowodowane umyślnie, czy przypadkowo?

Claude patrzy na mnie.

– Zgłaszam sprzeciw – mówię. – To wymaga medycznej ekspertyzy.

– Nie. Nie – prostuje Chambers. – Nie proszę pana o wydanie opinii. Chcę tylko wiedzieć, czy zna pan jakieś fakty, ma informacje z dowolnego źródła, które mogłyby potwierdzić, że wyłupienie oka Karen Scofield było efektem zamierzonego działania lub dziełem przypadku.

– Świadek odpowie na pytanie – zarządza Ingel.

– Nie wiem.

– Więc nie wie pan, czy był to skutek czynu dokonanego z rozmysłem, czy

przypadkowo?

– Nie.

– A zatem nie wie pan również, czy jest to rzeczywiście ważny fakt?

Claude krzywi się boleśnie. Tak to już jest z logiką – potrafi podejść cię od tyłu i ugryźć w tyłek.

– Więc? – nalega Adrian.

– Nie – przyznaje Dusalt. – Nie wiem na pewno, czy jest ważny.

– Czyli możemy go pominąć, prawda?

Martwe milczenie i wściekłe spojrzenie Claude'a.

Chambers zaciągnął go aż tak daleko, metodami stosowanymi raczej przy rwaniu zębów trzonowych.

– Pomówmy teraz – zaczyna – o lince, którą związano ofiary, i o metalowych gwoździach. Najpierw zastanówmy się nad linką. – Adrian zerka na mnie.

– To dość popularny wyrób, prawda? Pan lub ja moglibyśmy stąd wyjść i w dowolnym sklepie kupić podobną, gdyby nam na tym zależało.

– Nie liczyłem sklepów, które sprzedają taką linkę.

– Ale nie sprzedają jej tylko w jednym sklepie, prawda?

– Nie.

– Ten typ linki nazywany jest popularnie sznurem do bielizny, czyż tak?

– Tak słyszałem.

– Czy składa się z wewnętrznych włókien i białej plastikowej osłonki?

– Tak.

– A metalowe gwoździe, czy są to zwykłe śledzie namiotowe w kształcie litery „L”, zaostrome na końcu, które mógłbym dostać w każdej składnicy harcerskiej?

– Chyba tak.

– Zeznał pan – ciągnie Chambers – że jednym z czynników, które skłoniły pana do zmiany teorii o mordercy odpowiedzialnym za pozbawienie życia wszystkich ofiar, łącznie ze Scofieldami, było to, że do zabicia tych ostatnich użyto innych gwoździ i linki.

– Tak jest.

– Czym się one różniły?

– Pochodziły od różnych producentów.

– To się rzuca w oczy?

– Nie. Poinformowało mnie o tym laboratorium.

Adrian patrzy na niego pytająco.

– Stanowe laboratorium kryminalne – uściśla Claude.

Mógłbym zgłosić sprzeciw ze względu na zdradzanie szczegółów sprawy, ale to, co się tu dzieje, nie wyrządza nam żadnej szkody. Może jedynie stanowić poparcie tego, co zezna później Sellig.

– A więc linka, której użyto do zamordowania studentów, została wyprodukowana w jednej fabryce, to samo dotyczy gwoździ, natomiast ta, którą związano Scofieldów, powstała w innym zakładzie, co można również powiedzieć o gwoździach?

– Tak.

– I nie ma nic więcej, nic ponadto nie różni tych przedmiotów?

Claude spogląda na mnie, pełen wątpliwości. Oczywiście wolałby ujawnić, że linka, którą związano studentów, została odcięta ze zwoju znalezionej w furgonetce oskarżonego, ale nie jest to takie proste. Nie może o tym wspomnieć, nie mając zaginionego fragmentu sznura.

Wstaję ze swojego krzesła.

– Wysoki Sądzie, czy możemy podejść?

Ingel macha ręką.

Adrian i ja podchodzimy do ławy sędziowskiej.

Sędzia jest bardzo drobiazgowy. Nie może sobie pozwolić na umieszczenie w protokole zeznania wzmianki o dowodzie, którego być może nie uda się nam znaleźć.

Oczywiście Adrian zdaje sobie z tego sprawę i zrobił wszystko, by poruszyć ten temat i odkryć nasze słabe miejsca.

– Panie sędzio, pan Chambers wie, że nie mamy czasu na szukanie zaginionego fragmentu linki. Wie, że jest to element łączący trzy inne części. Usiłuje zaprezentować ten aspekt przysięgłym, zanim zdołamy odzyskać dowód.

Chambers patrzy na mnie.

– Zgubiłeś linkę – stwierdza.

Ignoruję go, zwracając się wyłącznie do sędziego.

– Ale nasz świadek nie może odpowiedzieć na to pytanie w pełni kompetentnie – ciągnę.

Ingel zaczyna przyciskać Chambersa, sugeruje mu delikatnie, żeby zachował pytania o linkę dla następnych świadków, może dla Sellig.

– To uczciwe pytania – oświadcza Adrian. – Nie ma w nich nic niestosownego. Co innego prosić sąd o więcej swobody, a co innego kazać mi warować i czołgać się.

Sędzia zwraca się do mnie:

– Czy pański świadek znalazł zaginiony dowód?

– Przecież wie pan, że nie, panie sędzio.

– A zatem odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. – Powstrzymuje mnie, zanim zdążę coś powiedzieć, i kończy naszą naradę. Wycofujemy się.

Chambers prosi, by odczytano jego ostatnie pytanie.

Claude siedzi na swoim miejscu. Kiedy my rozmawialiśmy, on się namyślał.

– Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: tak – mówi. – Ale istnieje jeszcze jedna znacząca różnica – dodaje.

Ingel o mało nie złamał sobie karku, odwracając się gwałtownie w stronę świadka, niemal gotów wyskoczyć z fotela na samo wspomnienie linki.

– Metalowe gwoździe – ciągnie Claude – które posłużyły jako narzędzie mordu w wypadku studentów, były zaostrzone na końcach, prawdopodobnie na szlifierce. Te zaś, których użyto do zabicia Scofieldów, nie były takie.

Adrian ma żądzę mordu w oku.

– Chodziło mi o linkę – przypomina. – Czy oprócz innego producenta zauważono jeszcze jakieś inne cechy odróżniające linkę użytą wobec studentów od linki, którą związano Scofieldów?

Claude zagryza wargę.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – nakazuje Ingel.

– Nie w tym wypadku – mówi Claude.

– Tak czy nie? – naciska Chambers. – Czy były jakieś inne...

– Nie.

– Dziękuję.

Adrian odchodzi od miejsca dla świadków, zastanawia się przez chwilę, po czym wraca do Claude'a.

– A zatem, poruczniku, czy w opisanych przez pana okolicznościach możliwe jest, by jeden sprawca zamordował wszystkie rzeczony ofiary, studentów i Scofieldów, a do zabicia tych ostatnich po prostu użył innej linki i gwoździ?

– To możliwe – przyznaje Claude.

– Te artykuły są powszechnie dostępne dla każdego, kto chciałby je nabyć w którymś z licznych sklepów, prawda?

– Tak.

– A jeśli się już je nabyło, nie ma żadnej pewności, że pochodzą one z tej samej wytwórni co linka i gwoździe użyte w wypadku pierwszych czterech morderstw, czy tak?

– Przypuszczam, że tak.

– Skoro tak sobie przypuszczamy – kontynuuje Adrian – to przypuśćmy też, że zabójca studentów pozbył się swoich zapasów linki i gwoździ po drugim podwójnym morderstwie. Wyrzucił je na przykład do śmietnika albo jeszcze lepiej: wrzucił przez uchylone okno do samochodu. Przypuśćmy, że tak było. Czy w takim razie nie musiałyby kupić nowej linki i gwoździ, zamierzając zamordować Scofieldów?

Już chcę wstać i zgłosić sprzeciw, kiedy słyszę Claude'a:

– Chyba że miałby dostęp do pojazdu, w którym je porzucił. Wtedy raczej wróciłby i je zabrał.

– Załóżmy, że nie miał dostępu. Wówczas musiałyby kupić nową linkę i nowe gwoździe, tak?

– Sprzeciw, pytanie dotyczy domysłów świadka.

– Sprzeciw podtrzymany.

Claude nie odpowiada. Nie musi. Obraz, jaki wykreował Adrian na użytek przysięgłych, jest czysty, przejrzysty, klarowny i równie subtelny jak rysunek dziecka. Ale robi swoje – jak każda dobra obrona, nieskomplikowana i spójna.

– Poruczniku, wspomniał pan o furgonetce oskarżonego, pozostawionej na parkingu w miasteczku akademickim. Czy wie pan, że kiedy policja ją znalazła, szyba z tyłu po stronie pasażera była wybita?

– Wiem.

– Czy podczas śledztwa pan, pański wydział lub oskarżyciel snuliście jakieś domysły na temat okoliczności, w jakich ją wybito?

Tak to jest, kiedy podąża się jakimś śladem, szuka dowodów i wraca z pustymi rękami. Przysięgli mają teraz okazję się o tym dowiedzieć.

– Najpierw sądziliśmy, że być może szybę stłukł zwykły wandal. – Claude stara się jak może, żeby słuchacze odnieśli wrażenie, iż porzuciliśmy tę hipotezę. Nie odnoszą.

– Czy wszczął pan śledztwo, opierając się na tym założeniu? Czy szukaliście tego wandala?

– Tak.

– I czy udało się wam znaleźć tę osobę, człowieka, który wybił szybę w furgonetce?

– Nie.

– Nie mam więcej pytań do świadka – oświadcza Chambers.

Zza tłumaczki wyłania się gęba wyszczerzona w szerokim uśmiechu – połamane pieńki, zażółcone do samych dziąseł. Andre Iganovich patrzy na mnie.

Rzucam okiem na Lenore, na jej zmarszczone czoło, na którym maluje się strapienie. Jeszcze kilka takich dni i Adrianowi nie będzie trzeba niczego więcej. Parę zręcznych kłamstw złamie kręgosłup naszej sprawie.

Od rozpoczęcia dzisiejszej rozprawy dzielą nas już tylko minuty. Goya i ja jesteśmy pochłonięci opracowywaniem dokumentów i dowodów rzeczowych, które przedstawi dziś nasz świadek, doktor Lloyd Tolar, patolog. Stoi w holu, na uboczu i przegląda notatki. Zdecydowaliśmy, że zajmie się nim Lenore. Być może będzie miała na niego większy wpływ niż ja. W czasie procesu człowiek wykorzystuje wszystkie punkty dające mu przewagę.

Lenore zapomina o tłumacze i Andre Iganovichu przy sąsiednim stole. Jest skupiona na swoim zadaniu. Jediną osobą, która zwraca na nas uwagę, jest Rosjanin, obrzucający nas lodowatym spojrzeniem. Chyba nie całkiem rozumie rodzaj obowiązujących tu kontaktów, grzeczny i pogardliwy spokój profesjonalistów. Zdaje się nie pojmować, dlaczego w chwili gdy znaleźliśmy się w sali sądowej sami, jego reprezentanci nie rzucają się na nas z maczugą.

Strażnicy stoją na korytarzu, przy tylnym wejściu – dwóch osiłków sprawiających wrażenie, jakby potrafili gryźć żelazo.

Claude wchodzi do pustej sali, za barierkę. Dziś usiądzie razem z nami. Zgodnie z prawem tego stanu każda ze stron może zaprosić przedstawiciela policji, który w odpowiednich momentach będzie podrzucał jej odpowiednie szczegóły sprawy.

Dzisiejszego ranka Claude wygląda na ożywionego. Siada na krześle obok mnie i mówi, że ma coś nowego.

– Parę dowodów – szepcze ledwo słyszalnie.

Najpierw sprawdził w policji w Davenport. Okazało się, że prenumerują tam „Reportera Kryminalnego” – gazetę, z której wycięto litery do anonimu. Podobno stare egzemplarze idą na makulaturę – dogodna okazja wykorzystania ich do robienia wycinanek.

– Zgadnij, gdzie trzymają stare numery? – pyta Claude.

– Powiedz.

– W piwnicach ratusza. W tych samych, w których nasz przyjaciel, Jess Amara, spalił wszystkie notatki po Scofieldzie.

Zdaje się, że Dusalt staje się coraz bardziej podejrzliwy.

– Ale to jeszcze nie wszystko – ciągnie Claude. Nachyla się do mojego ucha, tak że nawet Lenore nie słyszy dalszych wiadomości. – Chodzi o tego właściciela terenu, na którym znaleziono ciała Scofieldów. Nie mamy go jeszcze, ale natrafiono na parę ciekawych informacji.

Właściciel, którego jeszcze nie zidentyfikowali ze względu na różne sfingowane



transfery, otrzymał wsparcie pieniężne od obcego kapitału.

– Bank z Tokio – wyjaśnia Claude. – Konsorcjum japońskich inwestorów. – Znacząco unosi brwi. Drobne uboczne interesy Jessa Amary, azjatyckie towarzystwo handlowe.

Nie wspominałem o tym jeszcze, ale dziwiło mnie, że ciała czwórki studentów znaleziono na gruntach publicznych, otwartych i nie ogrodzonych, natomiast Scofieldów – na terenie prywatnym, ogrodzonym, jeśli można tak to określić, i zabezpieczonym przed inwazją intruzów. Przyszło mi do głowy, że może zabójca Scofieldów wybrał to miejsce, ponieważ je znał. Może czuł się tu swobodnie, wiedział, że nikt mu nie przeszkodzi.

Claude dopytuje mnie, co zamierzam z tym zrobić.

Mówię mu, żeby znalazł w końcu właściciela posiadłości i od razu mnie o tym powiadomił.

– Mogę kogoś za nim posłać? – Ma na myśli Amarę.

– Zaraz by się zorientował i go zgubił.

Dusalt zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym uznaje, że mam rację. Może nie szanować tego człowieka, ale podejrzewa, że jest fachowcem w swojej dziedzinie i zauważyłby, iż jest śledzony. Przewiduje, że do wieczora powinniśmy mieć wyniki poszukiwań właściciela terenu. Najpóźniej jutro rano.

Doktor Lloyd Tolar ma dowody na istnienie kłopotliwego dla Adriana świadka. Jego opinie opierają się na mocniejszych podstawach niż wyдумane mrzonki psychiatrów i ich teorie na temat portretów psychologicznych. Zbadał ciało każdej z ofiar, dokładnie obejrzał rany. Zanim zaginął nam fragment linki, uważałem Tolara za mojego drugiego najważniejszego świadka, po Sellig. Ale teraz, jeśli Kay nie znajdzie naszej zguby, doktor może być moim głównym atutem.

Lenore prosi go o zajęcie miejsca dla świadka. Wysoki i imponujący, o przenikliwych błękitnych oczach i prezencji szanowanego przedstawiciela prawa, Tolar wygląda niczym patriarcha medycyny.

– Doktorze, jest pan lekarzem sądowym w Davenport, prawda?

– Tak.

– Ma pan również wykłady na wydziale medycyny tutejszego uniwersytetu?

– Tak jest.

– I co pan wyklada?

– Prowadzę kilka kursów, ale kieruję katedrą patologii, mam uprawnienia w dziedzinie patologii kryminalnej.

Przez cały czas rzuca Lenore uwodzicielskie spojrzenia. Nie spuszcza z niej oka, z jej

dopasowanego błękitnego kostiumu i bluzki z falbankami, śledzi jej kocie ruchy.

Goya odpowiada mu mrocznym śródziemnomorskim spojrzeniem, pełnym zamyślenia, które rozwiewa jego iluzje.

– Proszę wyjaśnić przysięgłym, co to jest patologia sądowa.

Lenore podchodzi do barierki, za którą siedzą przysięgli, i opiera się o jej najdalszy róg, starając się usunąć z pola jego widzenia, stworzyć przynajmniej złudzenie, że świadek mówi do przysięgłych.

– Patologia zajmuje się chorobami ludzkimi – wyjaśnia Tolar. – Anormalnymi zmianami tkanek bądź czynności, spowodowanymi przez chorobę. Patologia kryminalna zaś – głównie zgonami: nagłymi, niespodziewanymi bądź będącymi efektem przemocy.

– Wykłada pan ten przedmiot, pełniąc jednocześnie obowiązki patologa praktyka w tym hrabstwie?

– Tak.

– Jakie są pańskie osiągnięcia na tym polu?

– Przyniosłem ze sobą moje *curriculum vitae*. – Pokazuje nam życiorys, tom gruby jak książka telefoniczna.

Tolar wykładał w trzech różnych szkołach medycznych w tym hrabstwie, ma dwie specjalizacje i należy do kilkunastu związków i stowarzyszeń medycznych. Poza tym opublikował tomy artykułów z zakresu patologii, z których ostatni ukazał się cztery miesiące temu w „New England Journal of Medicine”. Pod koniec czytania zaczyna mu brakować oddechu i wygląda, jakby urósł o kilka centymetrów. Męskie ego w akcji.

Lenore gładko przechodzi nad pospolitymi okolicznościami zbrodni.

Tolar wyjaśnia, że jako lekarz sądowy osobiście przeprowadził wszystkie sekcje zwłok, zarówno studentów, jak i Scofieldów.

Zauważam, że kiedy dochodzimy do szczegółowego omawiania sposobu, w jaki ofiarom zadano śmierć, Kim Park i jego żona opuszczają salę. To już dla nich zbyt wiele. Dwoje innych rodziców przestało pojawiać się na sali sądowej po drugim dniu procesu, ale przysyłali swoich zastępców, wuja i kuzyna. Dziś z przedstawicieli najbliższych rodzin są obecni tylko Jess Amara i Jeanette Scofield.

– A zatem, doktorze, osobiście wykonał pan sekcję zwłok Julie Park, Jonathana Snidera, Sharon Collins i Rodneya Slate’a?

– Zgadza się.

– Zechce pan podać daty tych autopsji?

Tolar zerka na coś leżącego na jego kolanach – chyba na kopię raportu z sekcji zwłok.

Podaje Lenore odpowiednie daty.

– Przeprowadził pan również sekcję zwłok Abbotta i Karen Scofieldów?

– Tak.

Goya wraca do swojego stolika, zastanawiając się nad czymś.

– Być może nie jest to nic ważnego – mówi – ale czy znał pan doktora Scofielda?

– Wiem, że był wykładowcą na uniwersytecie. Być może spotkaliśmy się kilka razy przy okazji pełnienia różnych obowiązków na wydziale. Wiem, kim był. Uniwersytet jest ogromny – czterdzieści sześć tysięcy studentów, sto dwadzieścia wydziałów.

– Co do autopsji Scofieldów, czy przypomina pan sobie jej datę? Tolar znów zerka na swoje kolana.

Nagle Chambers zrywa się z krzesła.

– Jeśli świadek coś czyta, chcielibyśmy wiedzieć, co to jest.

– Doktorze, czy pan coś czyta? – pyta Lenore. – Jakież notatki?

– Tak – potwierdza patolog. – Moje notatki. – Podnosi je ponad barierkę otaczającą miejsce dla świadka, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. – I kopię raportu z sekcji zwłok Scofieldów.

– Czy te notatki zrobił pan sam w dniu autopsji?

– Tak.

– Co do raportu z sekcji zwłok, czy to pan go sformułował w chwili jej przeprowadzania lub tuż po?

– Tak.

– A czy dokładnie pamięta pan tamte wydarzenia, każdą z autopsji i datę jej przeprowadzenia?

– Tak.

– Czyli te dokumenty jedynie pomagają panu odświeżyć pamięć co do szczegółów, czy tak?

– Właśnie tak.

Lenore patrzy na Chambersa. Ten siada. Goya powtarza pytanie. Tolar zapewnia, że obie sekcje przeprowadził tego samego dnia, dwunastego lipca bieżącego roku.

Lenore twardo zmierza do celu – ujawnienia faktów nie wymienionych w raportach, ale potwierdzonych przez Tolara: tego, że Scofieldów zamordowano gdzie indziej. To nieźle utrudni Adrianowi udowodnienie, iż ktoś inny jest sprawcą wszystkich zbrodni.

Podnoszę wzrok: Chambers pochłonięty jest rozmową z partnerem, on i Haselid wiodą gorącą dyskusję – wynikły jakieś problemy. Zdaje się, że Haselid usiłuje ocalić swoje zasady

moralne, oczyścić je z błota sztuczek Adriana. Wyobrażam sobie, co się tam teraz dzieje. Wreszcie burzliwe szepty przerywają zadumę Ingela.

– Panie Chambers, proszę pozwolić przysięgłym słuchać – upomina go sędzia.

Adrian patrzy na niego. Czuję, że sprzeczka między nim a jego partnerem dotyczyła sposobu, w jaki chce potraktować świadka.

– Wysoki Sądzie – odzywa się Adrian – chcieliśmy sprawdzić kwalifikacje świadka. Jego ekspertyzy.

Lenore spogląda na mnie z lekkim rozbawieniem, jakby pytała, czego chce ten król kanciarzy. Nie ma tu do czynienia z jakimś wiejskim lekarzyną.

A jednak Adrian ma do tego święte prawo – do sprawdzenia kwalifikacji świadka, jego zawodowego rodowodu. Ma prawo przerwać mu i zadać pytania dotyczące tego właśnie ograniczonego tematu.

Goya wzrusza ramionami, jakby mówiąc „a niech ci będzie”, ale nie siada. Opiera się o barierkę. To nie potrwa długo.

Chambers wstaje zza stolika.

– Doktorze, stwierdził pan, że osobiście przeprowadził sekcję zwłok czworga studentów oraz Abbotta i Karen Scofieldów. Zgadza się?

– Tak.

– I zeznał pan, iż autopsji Scofieldów dokonał dwunastego lipca. Czy tak?

Tolar krzywi się.

– Tak.

Patrzę na Lenore. Myśli to co ja: co to ma wspólnego z kwalifikacjami?

Daję jej znak – lekki ruch ramienia, psychiczny szturchaniec.

– Wysoki Sądzie – mówi Goya – zgodziliśmy się na sprawdzenie kwalifikacji świadka. Tymczasem obrońca w ogóle o nich nie wspomina.

Ingel zwraca się do Adriana:

– Co pan na to, panie Chambers?

– Wysoki Sądzie, proszę pozwolić mi na jeszcze kilka pytań, a wykażę, że mają one na celu sprawdzenie kompetencji świadka co do składania zeznań przed sądem.

Ingel się krzywi.

– Jeszcze kilka pytań – przyzwala. – Ale proszę się streszczać i trzymać tematu.

– A zatem utrzymuje pan, że sekcję zwłok Scofieldów przeprowadził dwunastego lipca, czy tak?

Tolar ponownie zerka do raportu.

– Tak.

Adrian wraca do swojego stolika, bierze z niego kilka kartek, ale trzyma je w pewnym oddaleniu od doktora.

– Czy to pan robił autopsję Scofieldów? – pyta.

Widzę, jak strużka potu zaczyna ściekać ze skroni Tolara na jego policzek. Ale lekarz nie zmienia wyrazu twarzy.

– Zgadza się – potwierdza.

– Ponieważ zawarł pan z hrabstwem umowę zobowiązującą go do przeprowadzania wszystkich sekcji zleczanych mu przez policję w tym hrabstwie, prawda?

– Tak.

– I ma pan wykonywać oględziny zwłok i sekcje sam, czy tak?

– Tak.

– Kontrakt nie dopuszcza pomocy żadnego innego lekarza, mającego odpowiednie uprawnienia, prawda?

– Tak.

– Może to robić tylko pan, wspomagany czasem przez niektórych swoich studentów. Czy to się zgadza? – Adrian wie, że tak. Trzyma w dłoni kopię kontraktu doktora.

– Tak jest.

– A więc, doktorze, czy może pan wyjaśnić, w jaki sposób mógł pan wykonać sekcję zwłok Abbotta i Karen Scofieldów dwunastego lipca tego roku, od godziny ósmej do szesnastej, skoro w tym samym czasie był pan w Los Angeles i przemawiał na seminarium Amerykańskiego Związku Lekarzy? Seminarium na temat kryminologii.

Czuję pustkę w głowie. Na pewno mam w tej chwili strasznie głupią minę, ale nic nie mogę na to poradzić. Ostatni ratunek diabli wzięli. Idziemy na dno jak cedzak w pomyjach.

– Musiał pan pomylić datę – mówi Tolar.

– Datę sekcji zwłok? – pyta Adrian.

– Sprzeciw! – Lenore jest szybsza ode mnie. Wyskakuje na środek sali, oderwawszy się od barierki. Sunie niczym krążownik, usiłując zdławić ogień kryjący się pod kłębami dymu.

– To nie ma nic wspólnego z kwalifikacjami świadka – oświadcza. – Jest dyplomowanym lekarzem, uprawnionym do wydawania opinii o medycznej stronie sprawy.

W ten sposób pomija fakt, że świadek został prawie przyłapany na kłamstwie.

– To ma bardzo dużo wspólnego z kompetencjami lekarza zeznającego jako bezpośredni świadek sekcji zwłok, której nie przeprowadził – sprzeciwia się Chambers. – Ani

nawet nie obserwował.

Ingel patrzy ostro na Tolara – jest to spojrzenie zarezerwowane dla sytuacji tracących oszustwem.

– Pozwalam na dalsze zadawanie pytań – oznajmia.

We wzroku Lenore widzę błaganie opatrności o interwencję, o krótkie trzęsienie ziemi, o zawalenie się Góry Świętej Heleny – o cokolwiek.

– Doktorze, czy jest prawdą, iż dwunastego lipca, w dniu, w którym przeprowadzono sekcję zwłok Scofieldów, przebywał pan w Los Angeles, pięć tysięcy kilometrów stąd, na seminarium Amerykańskiego Związku Lekarzy?

– Byłem na seminarium – odpowiada Tolar – ale nie pamiętam daty.

– A więc odświeżę pańską pamięć. – Adrian zbliża się do miejsca dla świadków. Podaje patologowi jeden z dokumentów, które wziął ze swojego stolika. – Czy poznaje pan ten podpis? – Wskazuje go piórem. – Tutaj.

Tolar nie odzywa się, ale podnosi oczy na Lenore. Znam tę minę – nieudolne, próżne wysiłki, by powściągnąć panikę: jabłko Adama podskakujące niczym jakieś epileptyczne jo-jo. Wszystko to utwierdza mnie w przekonaniu, że wpadliśmy jak śliwka w kompot.

– Czy poznaje pan ten podpis, doktorze?

– Wygląda na mój.

– A data na tym formularzu?

– Dwunasty lipca – odczytuje lekarz.

– Data sekcji zwłok Scofieldów?

– Tak.

– Czy to lista obecności na seminarium w Los Angeles?

– Musieli pomylić daty – usprawiedliwia się Tolar.

– Doktorze, mam nagranie z sekcji zwłok Abbotta i Karen Scofieldów – mówi Adrian.

– Czy przynieść je tutaj i odtworzyć przed przysięgłymi? Czy chce pan usłyszeć głos i nazwisko studenta, który wykonał tę autopsję?

Chambers wpatruje się w niego, a potem obraca wzrok na przysięgłych, patrząc im prosto w oczy – dla efektu. Jest w tym dobry, umie maksymalnie wzmacniać skutki ciosu.

– Pańskie nazwisko – ciągnie – pański głos, doktorze, dają się w tym nagraniu zauważyć wyłącznie przez swoją nieobecność.

Tolar milczy.

– Dobrze – odzywa się wreszcie. – Mogłem zapomnieć. Robię mnóstwo sekcji.

– Zapomnieć?! – dziwi się Adrian. – Zapomnieć, że się przeprowadzało sekcję zwłok?

Ma pan ze sobą raport. Przeczytał go pan. Najwyraźniej zna pan szczegóły, a mimo to wmawia nam pan, iż zapomniał o tym, że ktoś inny, jeden z pańskich studentów, bez dyplomu, bez wymaganego w umowie pańskiego nadzoru wykonał tę sekcję?! Że ten student – Chambers wymawia to słowo, jakby oznaczało coś obrzydliwego – że jakiś student sformułował raport. To jego opinie, jego wnioski! – Głos Adriana grzmi w sali niczym głos gniewnego boga.

Ingel uderza młotkiem.

– Dosyć! – oznajmia. – Zarządzam przerwę. Proszę państwa do mojego gabinetu.

– Więc o czym pan wiedział i kiedy się o tym dowiedział? – Ingel patrzy mi prosto w twarz. Siedzę tuż przed nim. Może to i Lenore dobierała świadków, ale teraz mój tyłek jest w niebezpieczeństwie.

– Proszę mi uwierzyć, panie sędzio, nie mieliśmy pojęcia. To okręgowy ekspert medyczny. Zeznawał w setkach procesów, doświadczony biegły. Jak mogłem przewidzieć, że wytnie nam taki numer?

Mówię, że szczegółowo go przygotowaliśmy, dokładnie sprawdziliśmy jego zeznania i nie znaleźliśmy żadnego śladu, że to ktoś inny mógł przeprowadzić sekcję zwłok Scofieldów.

– Podpisał przecież ten raport – przypominam.

– Podpisuje wszystkie raporty – ucina Ingel. – Mogliście sprawdzić nagrania z sekcji. Ktoś inny był na tyle przytomny, żeby to zrobić. – Podnosi wzrok, uśmiecha się najbledszym z uśmiechów – wyraz uznania dla Adriana.

Chambers siedzi obok Haselida na kanapie w rogu pokoju ze swobodnie założonymi nogami, jedna na drugą. To dziwne, ale nie wygląda na tak zadowolonego, jak się spodziewałem. Wierci się nerwowo, jakby mu było niewygodnie. Może zła krew zaczyna mu kwaśnieć w żyłach, choć wątpię, czy to go powstrzyma od ośmieszenia mojego świadka, jeśli mu się to opłaci.

– Pan przeciąga strunę! – Ingel piekli się za biurkiem. – Jak na razie udało się panu zgubić ważny dowód i postawić w moim sądzie jakiegoś kłamliwego sukinsyna.

Zapomina o tym, że ten kłamliwy sukinsyn był tutaj regularnie i że on, Ingel, może mieć teraz stopy nieprawomocnych wyroków. Kiedy się to rozniesie, sąd apelacyjny będzie zatłoczony jak stacja benzynowa po wprowadzeniu embarga na ropę naftową.

– A co czeka nas jutro? – pyta sędzia.

Przeszywa mnie surowym wzrokiem.

– Może sfalszowane dowody? – dorzuca.

Milczę oniemiały. Goya wykorzystuje chwilę ciszy.

– Problem nie w tym – mówi. Chodzi jej o to, że zeznanie Tolara nie powinno zostać odrzucone, że przysięgli mają prawo wysłuchać, co ma im do powiedzenia, i zdecydować samodzielnie, biorąc pod uwagę jego potknięcie.

– Nadal jest ekspertem – przekonuje Lenore. – Może wydać opinię o raporcie z sekcji zwłok po jego przeczytaniu.

– Wykluczone – oświadcza Ingel. – Nie u mnie. Jeśli chce się wypowiedzieć na temat studentów, proszę bardzo. Chyba że się dowiemy, iż tych sekcji też nie robił. – Patrzy na Adriana, czekając na jego reakcję. Ten wzrusza ramionami i przybiera minę oznaczającą, że musiałby się zastanowić.

– Ale co do Scofieldów, zapomnijcie o tym – dodaje.

Chambers rozprostowuje nogi i przesuwają się na skraj kanapy, jakby sądził, że spotkanie dobiegło końca. Potem odzywa się:

– Panie sędzio, chcielibyśmy ponownie wnieść wnioski. O oddalenie oskarżenia w sprawie zabójstwa studentów. – To w stylu Adriana: wykorzystać przewagę w chwili kryzysu, posłużyć się gniewem Ingela. Chociaż nie mam wątpliwości, że na jego miejscu, widząc szansę na szybki koniec, zrobiłbym to samo.

Sędzia wpatruje się w niego, oderwany od kontemplacji zegarka, przez chwilę nie może się skupić.

– Zaginiony fragment linki – uświadamia mu Chambers. – Chcielibyśmy ponownie wnieść wnioski o oddalenie dwóch pierwszych aktów oskarżenia.

– Nie teraz. – Ingel zbywa go machnięciem ręki. Za bardzo wyczerpało go obrabianie mojego tyłka, by mógł się skupić na czymś innym. Dziwne, ale w jakiś sposób uratowała mnie furia, szalejąca w piorunującym mnie wzrokiem Prusaku. Odprawia pozostałych, lecz ja mam zostać. Teraz dopiero mi się oberwie.

– Największy przeklęty puchacz, jakiego widziałem w życiu. – Oto, jak Denny Henderson opisuje mi przez telefon ptaka z Rezerwatu Dzikich Zwierząt w San Diego. – Rozpiętość skrzydeł jak bombowiec – dodaje.

Minęła pierwsza po południu. Jeszcze nie otrząsnąłem się po ochrzaniu, jaki oberwałem od Ingela. Groził, że postawi mnie przed sądem, że oskarży o nakłanianie świadka do krzywoprzysięstwa, nie zważając na fakt, iż nie ma na to najmniejszego dowodu, nic świadczącego o tym, że wiedziałem o kłamstwach Tolara. Jestem pewien, że za godzinę będzie się o tym mówiło w całym sądzie, między sędziami i ich podwładnymi. Oto, jakie



ziółka rosną w takich miejscach.

Po skrojeniu mi tyłka Ingel odroczył posiedzenie sądu. Już sobie wyobrażam, co mówi teraz Świrusowi przez telefon. Nie mam wątpliwości, że obaj powezmą decyzję o mojej przyszłości.

Lenore i ja mamy o czwartej wyznaczone spotkanie z Chambersem i Ingelem. Chodzi o poinstruowanie przysięgłych – może trochę zbyt wcześnie, ale Ingel daje nam wyraźnie do zrozumienia, że nic nie odwlecze jego wakacji. Przysięgli powinni szybko zabrać się do roboty albo będą musieli wybrać się z nim w podróż. Już widzę naszą grupkę, ustrojona wieńcami z kwiatów, rozłupującą orzechy kokosowe i grającą na poi w trakcie obrad.

Claude znajduje się w moim gabinecie. Słyszysz, jak rozmawiam przez telefon. Denny zdołał tam dotrzeć, do Rezerwatu Dzikich Zwierząt w San Diego. Przez cały ranek obserwował pokaz ptaków, rozmawiał z obsługą, z trenerami, zanim trafił na pewnego faceta. Jest teraz na policji z San Diego.

– Już tam nie pracuje – informuje. – Pracował. Nazywa się Cleo Coltrane. W zeszłym roku wsadzili go do więzienia. Chcesz wiedzieć, za co?

– Mów. – Dusalt nie ma ochoty na pogaduszki.

– Dwa wyroki. – Denny odczytuje nam paragraf, z którego skazano Coltrane'a.

– A to co, u diabła? – pyta Claude.

– Pogwałcenie ustawy o gatunkach zagrożonych – wyjaśnia Henderson. – Do pierwszego wyroku pracował w niepełnym wymiarze godzin w rezerwacie.

– Zabijał ptaki? – chcę wiedzieć.

– Nie. Dwa razy przyłapali go, jak chwycił rzadko spotykane ptaki i więził je żywcem.

Dość blisko, myślę. Wszystkie części układanki zaczynają do siebie pasować. Scofield w jakiś sposób wpadł na trop tego typu i odszukał go w San Diego. Pewnie nie czują do siebie zbyt dużej sympatii – ci, którzy zajmują się gatunkami zagrożonymi.

– Czy wiedzą, gdzie jest? – dociekam.

– Jasne. W tej chwili siedzi w celi na końcu korytarza. – Denny jest pewny siebie jak sto diabłów. Już widzę, jak się rozwalil z nogami na jakimś biurku, pijąc kawę z cudzego kubka.

– Aresztowaliście go?

To mnie trochę martwi. Nie mamy do tego podstaw prawnych. Sąd mógłby mieć poważne zastrzeżenia, gdybyśmy to zrobili dla własnego bezpieczeństwa świadka, ale wbrew jego woli.

– Nie musieliśmy – odpowiada Denny. – Facet już został aresztowany. Tak się

szczęśliwie złożyło, że złamał przepisy. Policja jest tu naprawdę miła, chętnie współpracuje – każdy sposób jest dobry, żeby przyskrzynić ważnego świadka.

– Przesłuchałeś go? – indaguję.

– Tu zaczynają się kłopoty. Twierdzi, że o niczym nie wie. Facet byłby fajnym murarzem. Zbudował mur, przez który nie sposób się przebić.

Mogę sobie wyobrazić, że po dwóch odsiadkach pan Coltrane nie pali się do ponownych kontaktów z policją. To, co robił w kryjówce na drzewie, chyba zapewniłoby mu kilkuletni pobyt w miejscu odosobnienia. Teraz jednak bardziej interesuje mnie, jak go sprowadzić na północ, gdzie Claude i ja wypróbujemy na nim nasze sztuczki – mentalny ekwiwalent gumowej pałki.

Mówię Denny’emu, żeby czekał, że zadzwonię do niego. Telefonuję do prokuratora okręgowego w San Diego. Nie ma go, ale udaje mi się złapać jego zastępcę. Przedstawiam się. Zaczynają się grzeczności: zastępca reprezentuje profesjonalną kurtuazję, nieświadom faktu, iż nie jestem właściwie pracownikiem tego hrabstwa. Nie rozwiewam jego iluzji. Rzucam się na niego, zdesperowany. W ciągu pięciu minut zapoznają go z problemem. Zgadza się nam pomóc, dostarczyć świadkowi wezwanie w naszym imieniu. Zrobi to natychmiast, jak tylko przefaksuję mu poświadczony egzemplarz wraz z egzemplarzem naszego powództwa. Odkładam słuchawkę, mówię jednej z sekretarek, co ma zrobić, i dzwonię do Denny’ego.

– Gdzie jest nasz przyjaciel? – pytam.

– Nadal kiśnie w swojej celi.

– Możesz go tu sprowadzić, żebym mógł z nim porozmawiać?

– Jasne.

Po drugiej stronie robi się głośno – tupanie nóg, otwieranie i zamykanie drzwi. Po trzech minutach mój rozmówca wraca i przedstawia mnie Cleo Coltrane’owi.

– Pan Coltrane?

Milczenie, jakby facet nie poznawał własnego nazwiska. A po chwili:

– Tak. – Ponury głos, jak zwykle w takich wypadkach.

– Nazywam się Paul Madriani. Jestem prokuratorem okręgowym z hrabstwa Davenport. Właśnie San Diego otrzymało dla pana nakaz stawienia się przed sądem.

Cisza po drugiej stronie, jakiś kaszel.

– Czy pan rozumie, o czym mówię?

– Mhm. – Widzę zaciśnięte wargi, jakbym wypowiedział słowa, które wpędziły faceta w ostrą amnezję.

– Mamy podstawy przypuszczać, że pańskie życie, panie Coltrane, znajduje się w niebezpieczeństwie ze względu na to, co widział pan tamtej nocy nad Putah Creek. Nie musi pan odpowiadać na żadne pytania, ale sądzę, że wie pan, o czym mówię.

Martwa cisza, nic więcej.

Nie sądzę, żeby powiedział mi przez telefon coś, czego nie chciał powiedzieć na miejscu Denny’emu i innym, na których mógł spojrzeć i którzy kusili go ciepłymi uśmiechami oraz obietnicami bez pokrycia. To wiele znaczy. Bez specjalnego zaświadczenia, że Coltrane jest naszym świadkiem koronnym, na razie nie muszę zastosować się do wymogu ujawnienia jego tożsamości Adrianowi i spółce. Na tym etapie jest on jedynie poszlaką, choć czuję przez skórę, że okaże się czymś więcej.

– Jest pan tam?

– Tak. – Jeszcze więcej nieufności.

– Wiem, że zatrzymano pana za złamanie przepisów drogowych. Oczywiście nie jest to nic poważnego, ale będzie pan musiał trochę zapłacić, może czeka pana areszt. Mogę panu pomóc – oskarżyciel jako dobry Samarytanin – porozmawiać z prokuratorem okręgowym w San Diego w sprawie wycofania pańskiego aktu oskarżenia, jeśli dobrowolnie zgodzi się pan przyjechać tu z moim wysłannikiem. Na razie nie mogę dać panu gwarancji, że prokurator to zrobi, ale sądzę, iż to możliwe. Zanim pan wyjedzie, będę miał jego zgodę. Rozumie pan?

– Tak.

– Teraz, dopóki jest pan tam, nie musi pan nic mówić, proszę tylko słuchać – ciągnę. – Sądzę, że jest pan świadomy, co konkretnie mu grozi. Nie aresztujemy pana. Chcę, żeby pan to wiedział. Po prostu chcemy tylko z panem porozmawiać. Czy zgodzi się pan na to?

– Hm. Muszę o coś zapytać – odzywa się. – Wsadzicie mnie do więzienia?

Powinien bardziej się martwić nieustannie świecącymi żarówkami i brakiem snu.

– Nie. Przyleci pan tutaj na nasz koszt, kupimy też panu bilet powrotny oraz opłacimy pobyt w hotelu. – Nie wspominam, że być może będzie musiał tłoczyć się wraz z Denny’em i tuzinem innych gliniarzy. Teraz przyświeca mi tylko jeden cel: dostać go w swoje ręce. Kiedy już tu będzie, zobaczy, jak Jekyll zamienia się w Hyde’a.

– Chcę tylko z panem pomówić – powtarzam jak pajak do muchy.

Milczenie. Zastanawia się.

– Jeśli nie przybędzie pan dobrowolnie, zaczekamy, aż wypłacze się pan ze swoich kłopotów, i wtedy wyślemy wezwanie. Jeśli się pan wówczas nie stawi, aresztujemy go – grozę. Nie wspominam, że kiedy do tego dojdzie, sprawa Andre Iganovicha już dawno będzie historią.

– Zdaje się, że nie mam wyboru – słyszę.

– Ależ ma pan – ja na to. – Może pan wybrać między łatwym i trudnym sposobem.

– Chyba przyjadę.

– Dobrze. Teraz zostanie pan odesłany do celi tylko na parę minut, dopóki nie dopełnimy formalności. Czekam na pana niecierpliwie.

– Jasne – mówi głosem ociekającym cynizmem.

Kończę z nim i ponownie rozmawiam z Dennym. Słyszę zamykanie drzwi – pewnie Coltrane wrócił do celi. Denny zanosi się cienkim chichotem.

– Powinieneś sprzedawać buty – komentuje. – Zamszowe mokasyny. – Rechet pozostałych gliniarzy.

Daję mu ostatnie krótkie instrukcje. Z San Diego do stolicy jest jeszcze jeden południowy lot. Denny nie wie, czy na niego zdąży. Jeśli nie, będzie mógł zabrać Coltrane'a dopiero jutro rano. Nakazuję mu, żeby się postarał, i odkładam słuchawkę.

– Myślisz, że to on? – pyta Claude.

– A ty nie?

Kiwa głową.

– Nawet nie spytał, dlaczego ktoś mógłby chcieć go zabić. Nie zapytałbyś o to, gdyby ktoś ci powiedział, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie, a ty byś nie wiedział, dlaczego?

– Też to zauważyłeś. Kiedy tu wyląduję, przepytamy go. Jest kilka rzeczy, o które musimy zapytać. Szczegóły, które może znać tylko człowiek z kryjówki na drzewie – postanawiam.

Claude wychodzi, żeby zarezerwować lot dla Hendersona. Zapowiada się długa noc.

Drzwi się zamykają i po raz pierwszy od mojego przybycia tutaj zostaję sam, by wreszcie rozpatrzyć argumenty, które mi jeszcze pozostały.

Po dzisiejszej wpadce Tolara nie mam wyboru, muszę strzelać. Nie pora rozwodzić się nad teorią o istnieniu drugiego mordercy. Zanim posunę się dalej, muszę wiedzieć, czy Andre Iganovich zamordował Scofieldów. Cleo Coltrane to moja ostatnia szansa na ocalenie tej sprawy, mojej sytuacji i być może kariery.

To bardzo ryzykowne posunięcie, ale znając Adriana Chambersa, domyślam się, że kanadyjskie alibi Rosjanina, ten trzymany dotąd w rękawie as, którego ukrywał przed nami, jest sfingowane.

Zaczynam wierzyć, że od samego początku się myliłem, że nie ma drugiego mordercy, że Iganovich z jakiegoś powodu tym razem użył noża, zabił Scofieldów gdzie indziej i przeniósł ich w okolice rzeki. Jeśli poznam prawdę, poznam też jego motyw. Jeżeli Cleo

Coltrane rozpozna w nim mordercę znad rzeki, stanie się moją śmiertelną bronią, którą wykończę Chambersa i jego linię obrony.

Podnoszę słuchawkę, by zadzwonić do Nikki. Odzywa się recepcja.

– Laura Warren – mówię. Nikki zameldowała się pod tym nazwiskiem.

– Pani Warren wyszła – informuje recepcjonista. – Razem z córką.

– Dokąd?

– Nie wiem. Kilka godzin temu.

– Kiedy wróci, proszę jej powiedzieć, żeby zadzwoniła do męża. – Podaję mu numer i zastanawiam się, dokąd mogła wybrać się Nikki w wiosce, w której nie ma ani sklepów, ani deptaków, po których można by się przechadzać o zmierzchu.

Słyszę pukanie w szybę drzwi mojego gabinetu; przez półprzezroczyste szkło, na którym wciąż złotymi literami wypisane jest nazwisko Maria, odwrócone jak odbicie w lustrze, rysuje się czyjaś sylwetka.

– Proszę.

Mina mi rzednie, kiedy widzę, kto przyszedł.

– Masz chwilę? – To Adrian Chambers, w wymiętym garniturze, z rozpiętym kołnierzykiem i rozluźnionym krawatem.

Patrzę na niego, dziwiąc się, co tu robi. To pytanie musi się wyraźnie malować na mojej twarzy.

– Dusalt powiedział, że możesz tu być – mówi. – Wpadłem na niego przed dwudziestoma minutami na policyjnym parkingu. Gdzieś pędził.

Claude spóźni się na lotnisko. Denny w dzikim pośpiechu zdążył na ostatni lot. Dusalt powinien spotkać się z nim i jego ponurym balastem dziesięć minut temu na lotnisku.

– Pracuję nad spotkaniem z przysięgłymi – wyjaśnia. I powinien. Za godzinę zaczynamy.

Przewraca oczami.

– Ten sukinsyn ma obsesję, nie? – Ma na myśli Ingela i jego nakaz wcześniejszego poinstruowania przysięgłych.

– Masz chwilę? – powtarza. – Chciałbym pogadać.

Spoglądam na zegarek.

– Nie za bardzo. – Usiłuję go spławić.

Dobrze, że Claude nie przywiezie Coltrane’a tutaj. Przez przypadkowe spotkanie z Adrianem nasza sytuacja mogłaby się jeszcze pogorszyć, choć trudno to sobie wyobrazić. Chambers ma węch ogara. Zobaczy kogoś, kogo dotąd nie widział na oczy, i już czuje konsekwencje wynikające z tego spotkania.

– Tylko chwilka – zastrzega się.

Patrzę na niego ciężko, jakbym mówił: „skoro muszę”.

– Proszę.

Adrian stawia na ziemię aktówkę, sięga do kieszeni i wyjmuje paczkę papierosów. Częstuje mnie. Odmawiam. Chambers wygląda na zmęczonego, wyczerpanego. Po pięciu latach w odstawce i o tyle starszy zapomniał pewnie, jak wielkie napięcie – psychiczne i

fizyczne – towarzyszy sprawie o morderstwo. Ci, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę, mówią, że zaczynają się czuć za starzy do tej roboty – mniej więcej jak trzydziestolatkowie pakujący się na boisko w Narodowej Lidze Piłki Nożnej.

Wskazuję mu jedno z krzeseł dla klientów.

– O co chodzi?

– Słyszałem różne rzeczy – zaczyna. – Rozmowy.

Zapala papierosa. Z jego czubka kruszy się trochę tytoniu. Adrian mówi urywanymi zdaniami, zeskrobując z języka tytoń zębami i palcem.

– To małe miasto. Prawnicy tworzą tu ścisłą grupę, tu czy w stolicy – ciągnie. Unika mego wzroku. Rozgląda się po pokoju, patrzy na obrazy, przez okno, na wszystko, tylko nie na mnie. Wcielenie obojętności, jego wyobrażenie spokoju.

– Chodzi o to, że myślisz, iż podjąłem się obrony kierowany chęcią zemsty, że to osobista rozgrywka między tobą a mną. – Mówi to bez uśmiechu, co mnie niewiele obchodzi. – Podobno inni też rozpowiadają, że chciałem się na tobie odegrać. – Teraz spogląda na mnie, po raz pierwszy.

Powiedziałem to paru osobom – Claude’owi i Harry’emu oraz jednemu czy dwom innym zaufanym osobom, o których wiem, że potrafią dochować tajemnicy. Teraz czuję się jak głupiec, zdradzony przez moje własne gadulstwo – nie dlatego, że źle oceniłem ludzi, ale że wracają do mnie moje własne słowa.

Uśmiecham się, niemal parskam śmiechem.

– No cóż, Adrian, musisz przyznać, że nie kochamy się za bardzo.

– Trochę się różnimy – przyznaje. Pięć lat zawieszenia to dla niego „trochę”. Nie jest drobiazgowy.

– Więc o co chodzi? – pytam. Ta rozmowa zaczyna mnie już nużyć.

– Myślałem, że wyjaśniliśmy sytuację – ciągnie. – Chciałem ci powiedzieć, że nie żywię do ciebie urazy. Nie wziąłem tej sprawy dlatego, że ty ją wzięłeś. Nie jesteś dla mnie aż tak ważny. Nie zwariowałem.

– Taką rozmowę powinieneś przeprowadzić ze swoim psychoanalitykiem – zauważam. Jak na Chambersa to wielka wylewność, coś nienormalnego.

– W porządku – oznajmia. – Jeśli masz ochotę nadal psuć sobie krew, proszę bardzo, ale psuj ją sobie, nie mnie. Nie gadaj, że chcę się na tobie zemścić, choć tak najwyraźniej myślisz.

Przez chwilę zastanawia mnie ten człowiek, którego nie znoszę, analizujący moje myśli – nie dlatego, że w ogóle to robi, ale że ma rację. Muszę z tym skończyć.

– Nie sprawia mi przyjemności – dodaje – to, co się dziś stało. – Mówi o zdemaskowaniu doktora Tolara. – Zrobiłem, co musiałem: broniłem mojego klienta. Zapomniałeś, że sam byłem w takiej sytuacji. – Chodzi mu o potknięcie, przez które wykluczono go z zawodu.

Potem coś uderza mnie niczym piorun. On stawia mnie w swoim położeniu! Sądzi, że wiedziałem o tym, iż Tolar skłamię. Zaczyna być oczywiste, że uważa to za powód do zawieszenia mnie w czynnościach. W jego oczach jesteśmy teraz równi, ma mnie za upadłego anioła.

Patrzę na niego, chętnie bym go wyrzucił.

– Ingel zagroził, że cię pozwie, co? Pierdolony sędzia – syczy. – Mając taką pensję, zapomniał, jak to jest, gdy nie starcza do pierwszego.

Zanim udaje mi się coś wtrącić, opowiada, w jaki sposób dowiedział się o Tolarze i jego wpadce z sekcjami zwłok. Ciekawość każe mi zamilknąć i na chwilę zapomnieć o wściekłości.

– Zbieg okoliczności – mówi. – Inny klient. Sprawa cywilna. – Uśmiecha się na wspomnienie tego szczęśliwego przypadku.

– Chłopak pracuje jako technik laboratoryjny w szkole medycznej. Wieści szybko się rozchodzą. Tolar to palant. Sześciocyfrowa pensja i stała posada, myśli, że mu się to należy za sam współczynnik inteligencji.

Chambers się rozgląda. Nie ma popielniczki. Strzepuje popiół na dywan i przydeptuje go stopą.

– Kiedy o tym usłyszałem, łatwo już było znaleźć dowód – ciągnie. – Jak często przesłuchuje się taśmy z sekcji zwłok, przygotowując się do sprawy? Ile czasu ma na to prawnik? No i trafiłem na złotą żyłę, której się nie spodziewałem.

Cały Adrian – zdradzać bezwartościowe już tajemnice dla stworzenia pozorów dobrej woli, a ja tymczasem słucham go z umęczonym, przyklejonym uśmiechem.

Potem kontynuuje:

– Mówię ci, te rany od noża, to, że zostali zabici gdzie indziej, było dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. – Ma na myśli Scofieldów. Chyba to jakaś wyrocznia podsunęła mu nagrania z ich sekcji zwłok. Na pewno po nich rozjaśniło mu się w głowie. Zawarte w pisemnych raportach mgliste napomknienia o „ranach szarpanych o gładkich brzegach” na taśmie stały się rzeczową informacją o „ranach klutych zadanych nożem przed wbiciem żelaznych gwoździ”; sucha, pozbawiona oceny uwaga na temat znikomej ilości śladów krwi na miejscu zbrodni, zyskała interpretację: Scofieldów zabito gdzie indziej, po czym ich ciała



przeniesiono nad rzekę.

Adrian docenia te niuanse, te spostrzeżenia i wnioski, które postanowiliśmy przed nim zataić.

– Wszystko w najlepszym porządku – stwierdza.

– Cieszę się, że tak uważasz. A teraz, jak już mówiłem, mam sporo pracy.

– To tylko część spraw, z którymi do ciebie przyszedłem. Przysięgli nie przedstawiają sobą tego, czego po nich oczekiwałem. Z naszej strony sprawdzenie ich kompetencji – chodzi mu o przesłuchanie przysięgłych – pozostawia wiele do życzenia. No i ty – dodaje – prawie już położyłeś sprawę.

– Dzięki za uznanie, ale jeśli pozwolisz, poczekam na werdykt przysięgłych.

Chambers unosi dłoń z uśmiechem.

– Bez obrazy – mówi. – To się zdarza na procesach. Rzeczy wymykają się spod kontroli.

Zważywszy na jego twórcze podejście do kwestii dowodów, czuję się zaskoczony, że jest świadom takiej możliwości.

– Wiem – przyznaje – że u mnie też są mielizny. Rzeczy w furgonetce, wybita szyba – kto wie, co pomyślą o tym przysięgli? Dlatego tu jestem. Mój klient zaczyna się denerwować. Nocami śni o śmierci.

Nie wyjaśnia, czy wizje Rosjanina dotyczą jego własnego zgonu, czy może zakrwawionych ciał przy Putah Creek.

– Sam rozumiesz – kontynuuje Adrian. – Ja niezbyt się do tego skłaniam. Ale on nalega, żebym spróbował jeszcze raz, żebym ograniczył akt oskarżenia.

Nie mogę się powstrzymać.

– Chcesz pertraktować?

Jestem więcej niż zdumiony, że na tym etapie sprawy w ogóle mu to przyszło do głowy.

W spojrzeniu, jakim mnie obrzuca, jest niemal obraza.

– Nie na tych samych warunkach, rozumiesz. Twoja sytuacja nie jest już taka jak na początku. W twojej teorii pojawiły się wielkie luki... – ciągnie.

A więc wreszcie dociera do mnie. Ten facet chyba naprawdę ma kryształową kulę. W jakiś sposób udało mu się dowiedzieć. Ktoś mu nadal donosi. Ktoś musiał go poinformować, że mamy świadka koronnego. Absolutnie pewnego. Adrian może nie znać w tej chwili jego nazwiska, ale w głębi serca czuje, że ten ktoś wskaże jego klienta jako mordercę Abbotta i Karen Scofieldów.

– Skąd ta wspaniałomyślność? – pytam. – To wprost wbrew naturze.

Jego mina mówi: „Czasem mi się zdarza”.

– Drugi stopień, zważywszy na okoliczności towarzyszące, od piętnastu do dożywocia – wyjaśnia. – Te same warunki, włączamy wszystkich. Sześcioro – podsumowuje. – Sprawa zamknięta.

– I za dziewięć miesięcy jest na wolności.

Wykonuje gest dłonią, miękki obrót – wszystko może się zdarzyć.

– Obu nam wyjdzie to na dobre – zapewnia. – Sędzia chyba na to pójdzie.

Pewnie ma rację – w tej chwili Ingel nie tryska wiarą w moje zdolności. A biorąc pod uwagę, że Acosta na pewno przypuszcza na niego ciągłe ataki z flanki, Prusak robi wszystko, by uniknąć uniewinnienia albo – jeszcze gorzej – oddalenia sprawy z braku dowodów.

Adrian wpija się we mnie wzrokiem jak domokrażca szukający potencjalnego nabywcy.

Zanim udaje mi się coś powiedzieć, rozlega się dzwonek telefonu – linia niedostępna dla kogoś znajdującego się na ulicy.

– Sekundę – apeluję do cierpliwości Chambersa.

Kiwa przyzwalająco dłonią z papierosem.

Sięgam po słuchawkę. To Claude.

– Zgadnij, kto cię szuka? – pyta.

– Tak?

– Adrian.

– Wiem.

– Jest u ciebie? Nie możesz mówić.

– Właśnie. Gdzie jesteś?

– Mamy problem.

– Ale nie Denny? – Pamiętam, że trzeba uważać na to, co się mówi przy Adrianie.

– Nie, z nim w porządku, chodzi o Coltrane’a.

Słyszę gwar głosów i zapowiedzi z megafonu. Claude dzwoni z lotniska.

– Chodzi o to, że Coltrane chce mówić wyłącznie z tobą. Twierdzi, że zawarł z tobą umowę. Jeśli cię tu nie będzie, żąda widzenia ze swoim adwokatem.

No i jest kłopot. Jeśli Cleo Coltrane porozumie się z prawnikiem, ten od razu zabroni mu cokolwiek mówić. Negocjowanie z adwokatem zajmie nam tydzień, może miesiąc. A zanim Coltrane przyzna się do pogwałcenia prawa federalnego, sprawa przejdzie już do historii.

Wzdycham głęboko. Ingel mnie zamorduje. Być może każe mnie aresztować, ale muszę posłać Lenore, aby zamiast mnie porozmawiała z przysięgłymi o czwartej.

– Przyjdę – obiecuję. – Powiedz mu, że przyjdę.

Zapisuję informację od Claude'a w małym kalendarzyku tak ułożonym, żeby Chambers nie sięgnął wzrokiem. Piszę „Coltrane” oraz godzinę. Dusalt zaproponował czwartą piętnaście. Muszę znaleźć takie miejsce, w którym Ingel mnie nie dopadnie.

– Gdzie? – pytam.

– Sala przesłuchań numer cztery, parter więzienia.

Zapisuję to obok nazwiska Coltrane'a.

– Czego chce Chambers? – odzywa się Claude.

– Nie teraz – odpowiadam. – Pogadamy później. Na razie. Dusalt odkłada słuchawkę.

Przenoszę wzrok na Adriana, siedzącego na krześle z wyraźną rezerwą, jakby wyświadczał mi przysługę, nie oczekującego moich wyjaśnień z pewnością dotyczących jakichś dziwactw przysięgłych.

– Problemy? – zauważa.

– Nic wielkiego.

Uśmiecha się.

– Nie będzie ugody – oświadczam.

Nagle siada wyprostowany, oczy zwięzają się mu w szparki.

– Dlaczego? Tkwisz w gównie po uszy – syczy.

– Już powiedziałem, Adrian. Poczekam na werdykt przysięgłych.

Teraz zaczynają się wrzaski, głos Chambersa osiąga sopranowe rejestry. Za drzwiami mojego gabinetu majaczą sylwetki sekretarek, nasłuchujących tej tyrady.

Kiedy kończy, jego twarz nabiera koloru purpury.

Patrzę na niego.

– To nic osobistego, Adrian. – Zdaje się, że to go trafiło.

– Świetnie. To będzie twój pogrzeb – grozi. – Do zobaczenia w sądzie.

Zatrząskuje za sobą drzwi z taką siłą, że omal nie wybija w nich szyby.

Podnoszę słuchawkę i naciskam guzik interkomu. Lenore zgłasza się po pierwszym sygnale. Nie czekam, aż się odezwie.

– Słuchaj. Mam tu problem. Musisz sama iść na spotkanie z Ingelem i Adrianem.

Stoimy, Claude i ja, w małej, kiepsko oświetlonej salce, niewiele większej od szafy i

przez lustrzaną szybę obserwujemy salę przesłuchań w więzieniu okręgowym. W tej chwili jest pusta. Denny Henderson dopiero prowadzi do niej Coltrane'a.

Powiedziałem Claude'owi o propozycji ugody, z jaką wystąpił o jedenastej Adrian. Claude jest równie podejrzliwy jak ja. Uważa, że Chambers chce szybko zawrzeć ugodę, zanim nasz świadek pokrzyżuje mu szyki, sytuując Iganovicha na miejscu zabójstwa Scofieldów i kładąc w ten sposób kres nadziejom Adriana na zasianie ziarna wątpliwości w umysłach przysięgłych. Żaden z nas nie potrafi zgadnąć, w jaki sposób dowiedział się o naszym świadku.

– Może to jasnowidz – mówi Claude.

Krzywię się. Z Adrianem nigdy nic nie wiadomo.

Przechodząc obok drzwi naszej klitki, Denny stuka – sygnał, że Coltrane już tu jest i mamy ściszyć głosy.

Po drodze tutaj wziąłem ze stojaka stołeczną popołudniówkę. Już teraz pełno w niej krzykliwych nagłówków o naszej sromotnej wpadce z Tolarem. Na pierwszej stronie zdjęcie na trzy szpalty – rozpromieniony Iganovich między dwoma prawnikami. Zrobił je jakiś przedsiębiorczy fotograf, który wśliznął się na salę w chwili ogłoszenia odroczenia rozprawy, gdy Ingel opuścił już swoje miejsce i zanim strażnicy odprowadzili Rosjanina do celi.

Drzwi sali przesłuchań otwierają się i wchodzi nasz świadek, prowadzony przez Denny'ego.

– Proszę tu usiąść. – Henderson wskazuje krzesło stojące za metalowym stołem, przymocowanym do podłogi. Potem wychodzi.

Przez maleńki głośnik, wbudowany w ścianę nad naszymi głowami, dobiega szmer – skrzypienie butów na linoleum, którym wyłożono betonową podłogę.

Cleo Coltrane należy do osób, których rysy nie zdradzają wieku. Jest średniego wzrostu, ma cerę przypominającą przeżutą skórę, żylaste ciało i nieco krzywe nogi w znoszonych dżinsach i kowbojskich butach. Zmierzwione kosmyki brudno płowych włosów sterczą mu dziko na potylicy niczym korona Statui Wolności.

Ma za dużą koszulę z zatrzaskami z imitacji masy perłowej oraz mnóstwem stębnowań. Zwisa mu ona na ramionach jak sztandar w bezwietrzny dzień. Mimo iż rozmawiał ze mną tak nieufnym głosem, tu, w tym ostrym świetle ma w sobie pewną niewinność pioniera – szczerą twarz prostego człowieka.

Siedzi za małym stolikiem i rozgląda się, nie patrząc na nic szczególnego, choć kilka razy rzuca zimne spojrzenia na szybę, za którą stoimy, jakby podejrzewał, że ktoś tam jest.

W chwilę później Henderson dołącza do nas. Prosto z dusznego samolotu, nie

zdążywszy wziąć prysznic. Cieszę się, że nie muszę z nim tu zostać.

– Życz nam szczęścia – zwracam się do niego. Denny będzie nas stąd obserwował, zapisując wszystko, co moglibyśmy przegapić. Koło Coltrane’a nie powinno się kręcić zbyt wiele osób, jeśli ma zacząć mówić.

Dusalt i ja wychodzimy. Po chwili otwieramy drzwi sali przesłuchań.

Na nasz widok Coltrane wstaje. Jest rozdrażniony, nerwowo porusza dłońmi, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Uśmiecha się do mnie bojaźliwie, niczym nieznajomy spotkany na prerii w Montanie.

– Panie Coltrane – zaczynam. – Nazywam się Paul Madriani. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Aha – potwierdza. Szczery uśmiech. Ściska mi rękę – uchwyt niczym ciepłe, szorstkie obcęgi. Ale nie ma w nim żadnej urazy ani buty. Jeśli się boi, to zasługa kogo innego, nie rezultat mojej z nim rozmowy.

Przedstawiam mu Claude’a. Ten mierzy go swoim najlepszym policyjnym spojrzeniem – nieruchoma, groźna maska, żadnego uścisku dłoni.

– Proszę siadać – mówię. – Bardzo proszę. Niech pan usiądzie wygodnie. Chcemy tylko chwilę z panem pogawędzić. Kawy?

– Tak.

– Ze śmietanką i cukrem?

– Tylko z cukrem.

Claude wyręcza mnie, wydaje strażnikowi przed salą polecenie, żeby ktoś przyniósł kawę.

– Może pan też zapalić.

Kręci głową. Claude i ja nadal stoimy. Dusalt za mną, z plecami przy ścianie.

– Panie Coltrane, od dawna pana szukaliśmy.

Wskazuje palcem na siebie niedowierzająco.

– Tak, pana – potwierdzam. – Nie wiedzieliśmy, jak się pan nazywa. Ale szukaliśmy pana. Zapewne pan już wie, że w tym hrabstwie popełniono serię zabójstw, brutalnych napaści, w których wyniku straciło życie czworo studentów oraz naukowiec i jego była żona. Proces trwa. I, jak nam się wydaje, mamy już sprawcę.

Bezmyślne spojrzenie.

– Sądzimy, że był pan świadkiem morderstwa dwojga osób lub że przynajmniej widział pan, jak zabójca przybijał je do ziemi. Obserwował pan to z platformy, ukrytej na drzewie blisko Putah Creek.

Coltrane potrząsa głową.

– Nie – odpowiada. – To nie ja. Pewnie ktoś inny.

Uśmiecham się do niego łagodnie jak wtedy, gdy Sarah wmawia mi, że odciski brudnych paluszków na kontakcie w kuchni nie należą do niej.

– Wspomniałem już panu przez telefon – ciągnę – że ten, kto to zrobił, ten, kto popełnił te zbrodnie, zwłaszcza dwie ostatnie, wkrótce będzie wiedzieć, iż ktoś go widział. Będzie pana szukał, tak samo jak my. Byłoby lepiej, o wiele lepiej dla pana, gdybyśmy go dopadli, zanim on dopadnie pana.

Widzę, jak jego jabłko Adama podskakuje na samą o tym myśl. Już wcześniej miał kłopoty, ale wyraz jego oczu świadczy, że były niczym w porównaniu z obecnym problemem.

– Mogę żuć? – pyta.

Patrzę na niego. Pochyla się i wyciąga z tylnej kieszeni spodni małą, okrągłą puszkę. Przez chwilę wydaje mi się, że chce mnie poczęstować. Macham ręką i zerkam na Claude'a. Przewraca oczami, jakby mówił „ale model”.

– Wiemy, że był pan w to wmieszany – kontynuuję. – Wiemy o sokołach, mamy dowody rzeczowe. W ostatnich miesiącach staliśmy się prawdziwymi ekspertami od ptaków drapieżnych, można rzec.

– Słucham? – odzywa się. – W co byłem wmieszany?

– Wiemy, że kiedyś miał pan puchacze i zajmował się ich tresurą. Powiedziano nam – to znaczy ludzie, którzy się na tym znają – że ten ptak jest naturalnym wrogiem sokołów wędrownych. W okolicach miejsca zbrodni zginęło ich wiele.

Spogląda na mnie, ale się nie odzywa.

– Znaleźliśmy na platformie pióra puchacza. W tej kryjówce na drzewie – dodaję.

Pierwsze przykazanie dla przesłuchującego: sprawiać wrażenie, że wie się więcej, niż wie się naprawdę.

– Wiemy też, że był pan notowany – wtrąca Claude. – Że miał pan odsiadki. Ale to nas nie interesuje. Interesuje nas morderstwo.

– Nikogo nie zamordowałem – oświadcza Coltrane spokojnie, z namysłem. Miedzy policzkiem a dziąsłem ma coś, co wygląda jak kulka czarnej smoły wielkości orzecha.

Claude krzywi się z niedowierzaniem.

– Przepraszam, czy jestem aresztowany? – upewnia się Coltrane.

– Nie. Nie. Mówiłem panu, że to nie jest aresztowanie. – Teraz najbardziej się boję, żeby nie wpadł na pomysł skontaktowania się ze swoim adwokatem.

– Ale uważa pan, że popełniłem przestępstwo?

Krzywię się.

– Może. Nie zajmujemy się prawem federalnym – wyjaśniam. – Od tego są władze federalne. Ale możemy im trochę pomóc, przekazać im nasze dowody i zobaczyć, co z nimi zrobią.

Po raz pierwszy nie patrzy mi w oczy.

– Jest wiele puchaczy – zauważa.

– Tego nie wiem – ja na to. – Wiem tylko tyle, ile dowiedziałem się od ludzi z San Diego, z Rezerwatu Dzikich Zwierząt. Podobno ma pan jednego. Jak się nazywa?

– Harvey – podpowiada Dusalt.

– Harvey – robię krótką pauzę – jak ten królik? – Ludzie z jego miejsca pracy powiedzieli mi, skąd wzięło się to imię. – To pan go tak nazwał?

Kiwa głową.

Harvey znajduje się obecnie pod opieką strażnika w San Diego. Znalaziono go pod miastem, na terenie, który wynajmował Coltrane. Trzymał tam dwa konie i przyczepę, w której mieszkał. Policjanci zatrzymali zwierzęta, by zapewnić im opiekę, dopóki ich właściciel nie wróci. W rzeczywistości chodzi o zmuszenie przyrody do współpracy. Będą czekać, aż ptakowi wypadnie kilka piór. Nie mogą ich wyrwać bez nakazu sądowego. Ale dowód, który podarowała im sama natura, to zupełnie co innego.

Pojawia się kawa. Coltrane wsypuje do filiżanki trochę cukru, podczas gdy my nie spuszczaemy z niego oczu. Gawędzimy leniwie, by nie spłoszyć go przedwcześnie. Kładę przed nim gazetę, którą nadal trzymam w ręce.

– Miał pan okazję przeczytać dzisiejszą gazetę? – pytam.

Potrząsa głową.

– Proszę czytać. Porucznik Dusalt i ja porozmawiamy na zewnątrz – mówię. – Za chwilę wracamy.

Claude i ja wychodzimy, zamykając za sobą drzwi.

– Słucha uważnie, ale mówi nie za wiele – stwierdza Claude.

– Dobry słuchacz myśli przeważnie o czymś innym – odpowiadam. – Sądzę, że pan Coltrane rozmyśla o kabale, w jaką się wpakował.

Obaj zaglądamy do klitki, w której czeka Denny. Wchodzimy i zamykamy drzwi.

Coltrane siedzi nieruchomo, pogrążony w lekturze.

– Co robi?

– Rzucił się na gazetę – informuje Henderson. – Na artykuł ze strony tytułowej.

– Oglądał zdjęcie?

– Ciągłe do niego wraca. Trochę czyta i znów je ogląda.

Patrzę na Coltrane'a.

Dajemy mu trochę czasu. Szuka dalszego ciągu artykułu w środku gazety. Powinien brać lekcje szybkiego czytania. Mogłaby mu je dawać Sarah. Facet trzy razy składa gazetę, żeby spojrzeć na zdjęcie na pierwszej stronie, po czym znowu wraca do stron wewnętrznych. Wreszcie kończy. Wstaje i zaczyna się przechadzać, rozprostowując nogi.

– Nie dajmy mu wypocząć – odzywa się Claude. – Wracajmy.

Na miejscu kontynuujemy pogawędkę o niczym. Opowiadam mu o kobiecie pracującej w moim biurze, pięknej kobiecie noszącej imię Lenore.

– Pewnie jest miła dla pana – zauważa.

– Pani Goya pracowała w biurze prokuratora generalnego w południowej Kalifornii.

Uśmiech znika z jego ust, jakby nie miał ochoty na spotkanie z żadnym ze współpracowników prokuratora. Czynimy pewne postępy – nieznaczne groźby, nieco bardziej subtelne od innych.

Coltrane siada na krześle.

Tym razem dowodzenie przejmuje Claude. Jego sposób przesłuchiwania przywodzi na myśl inkwizycję dla ubogich.

– Możesz sobie darować te kowbojskie sztuczki – zaczyna Dusalt. – Straciłem do tego serce, odkąd umarł Will Rogers.

Ich spojrzenia spotykają się. Coltrane nie wydaje się zbyt przejęty.

– Mamą twoją lunetę. – Claude pochyla się ponad stołem ku twarzy Clea. – Tę, którą zgubiłeś na platformie, pamiętasz? To ona doprowadziła nas do ciebie. Nie ma takich zbyt wiele. Za droga dla takiego nędznego gnojka jak ty.

Jeśli to do niego trafiło, Coltrane nie pokazuje tego po sobie. Dusalt podnosi nieco głos, rzuca jeszcze kilka epitetów. Potem wraca do normalnego tonu.

– Obcisłe dzinsy, co? – mówi. – Ładny tyłek.

Clea przygląda mu się, nie wiedząc, czy powinien poczuć się obrażony.

– Widziałeś kiedyś, do czego są zdolni faceci w pudle, żeby dostać się do takich fajnych półdupków? – ciągnie Dusalt. – Są w tym naprawdę sprawni. I chyba to lubią.

Coltrane zaczyna żuć, nieporuszony, jakby chciał powiedzieć, że najpierw muszą go złapać.

– Zamordowano sześć osób, a ty osłaniasz zabójcę. Możesz nabierać tych tu pocziwców – Claude spogląda na mnie – ale ja dopilnuję, żeby twój tyłek znalazł się w federalnym więzieniu tak szybko, że ani się obejrzysz. A teraz chcę wiedzieć, co widziałeś, i



to natychmiast.

Cleo spuszcza wzrok na gazetę, by uniknąć spojrzenia Dusalta – milcząca odmiana słowa „nie”.

Claude zmiata gazetę ze stołu i rzuca ją na środek pokoju. Coltrane sztywnieje, odsuwa się z krzesłem od niego tak daleko, jak tylko może, stęży niczym pacjent poddany terapii szokowej. Nie wie, na ile stać Dusalta. Zerka na mnie – oznaka rodzącej się między nami sympatii. Wolałby rozmawiać ze mną. Ode mnie dostaje kawę z cukrem.

– Luneta – warczy Claude. – Znaleźliśmy na niej odciski palców.

Małe przekłamanie. Znaleźliśmy jeden odcisk, rozmazany i niezdatny do użytku.

– Czekamy, aż przetelegrafują nam twoje. – Tak naprawdę komputer dostarczył je nam natychmiast, czego jednak Coltrane nie musi wiedzieć, jeśli mamy go odrobinę postraszyć.

Dusalt obiecuje, że jeśli Cleo zacznie mówić teraz, zanim porównamy odciski palców, pomożemy mu uporać się z prawem federalnym, powiemy komu trzeba, że okazał dobrą wolę.

To nie robi na Coltrane większego wrażenia. Jest pewny siebie jak ktoś, kto wie, że tamtej nocy miał rękawiczki. Od samego początku podejrzewałem, że ten jeden jedyny rozmazany odcisk kciuka na lunecie należy do technika policyjnego, który przeszukiwał kryjówkę na drzewie w dniu, w którym po raz pierwszy spotkałem Claude’a.

Dusalt próbuje jeszcze kilku sztuczek, wariacji na znany temat. Każda z nich spływa po Coltrane jak woda po gęsi. Siła perswazji Claude’a się wyczerpuje. Cleo przyjął jego najsilniejszy cios i nadal trzyma się na nogach.

Claude zerka na mnie, jakby żałował, że nie przyniósł gumowej pałki. Robimy przerwę. Coltrane chce spłacić dług naturze. Wypuszczamy go w towarzystwie strażnika.

Na korytarzu stajemy przy otwartym oknie blisko schodków przeciwpożarowych, by zaczerpnąć świeżego powietrza – Denny, Dusalt i ja. Trzy razy podczas dwóch ostatnich godzin usiłowałem dodzwonić się do miejscowości Coloma, do Nikki. Wciąż nie wróciła. Zaczynam się martwić.

– Masz jakiś pomysł? – zwracam się do Claude’a.

Ale on jest wykończony.

Słońce o tej porze roku zachodzi coraz wcześniej. Za ogrodzeniem z drutu widzę ciemniejący horyzont. Można by się zastanawiać, co dają schodki przeciwpożarowe, jeśli jest się uwięzionym w czymś takim.

Patrzę na zegarek: za kwadrans siódma. Lenore znajduje się już pewnie w okopach wraz z Ingelem i Chambersem, pouczanie przysięgłych trwa. Zważywszy na konieczność uzgodnienia szczegółów, pewnie skończą grubo po dziewiątej.

– Co postanowiłeś? – pyta Claude. Chce wiedzieć, kiedy zamierzam skończyć.

– Jeszcze chwilę – mówię. – Potem odpoczniemy. Odprowadzimy go do hotelu i wrócimy po niego jutro, po rozprawie.

– Wcześniej czy później – zauważa Dusalt – będzie chciał to przerwać. Zażąda, żebyśmy go uwolnili albo pozwolili mu się skontaktować z adwokatem.

– Ja mu dam adwokata – oznajmiam. – Kogoś z Departamentu Sprawiedliwości. Jedno jest jasne: Cleo Coltrane nie opuści tego miasta, dopóki nie powie nam wszystkiego, co wie.

Słyszę z oddali zbliżający się stukot obcasów na nawierzchni tarasu. Po chwili zza rogu wypada Betty, jedna ze starszych sekretarek.

– Panie Madriani! Wszędzie pana szukamy.

– Co się stało?

– Dzwonił sędzia Ingel. Bardzo nalegał, dopytywał, dlaczego nie stawiał się pan na zebraniu. Strasznie się gniewał – Betty tak to określa.

Wyobrażam sobie, jak strasznie się gniewał.

– Jak mnie znalazł? – Nie wspomniałem nikomu, gdzie będę. Miałem przecucie, że może się coś takiego zdarzyć.

– Nie mogłam nic poradzić. – W głosie sekretarki brzmi desperacja. – Chciał rozmawiać z jakimś prawnikiem. To znaczy sędzia.

– Niech zgadnę: Roland?

Kiwa głową.

– Odebrał telefon i nieźle mu się oberwało od Ingela. – Mówi to tak, jakbym powinien być wdzięczny Rolandowi.

– Co mu powiedział Overroy?

– Zajrzał do pańskiego gabinetu, zobaczył notatki i przekazał sędziemu, że ma pan spotkanie z jakimś Coltrane'em.

Zaczynam kląć w duchu. Nie ma wątpliwości: Ingel, wyładowując swój gniew, powtórzy to Chambersowi. Adrian nie jest głupi. Opuściłem zebranie, żeby pomówić z kimś w areszcie. Z moim zaginionym świadkiem. Chambers będzie się pewnie domagał nakazu ujawnienia i piętnował mnie za to, że zataiłem istnienie świadka koronnego. Już czuję, że znowu czeka mnie manto od Ingela, a Adrian będzie mu dzielnie pomagał. Po tym jak odrzuciłem jego ofertę ugody, zrobi to z rozkoszą.

Zaczynam kręcić głową, żałując, że nie jestem teraz z Nikki na świeżym górskim powietrzu, gdziekolwiek, byle nie tu.

– Byli wściekli – dodaje Betty.

– Byli?

– Pięć minut temu zadzwonił pan Chambers, w chwilę po sędzim. Przekazał, że zastępca i sekretarka poszli już do domu, ale czeka na pana w sali sądowej.

Unoszę brwi. Adrian bierze się do dzieła. Teraz pewnie znęca się nad Lenore. Jeśli nie przyjdę na czas, przebierze się w togę Ingela.

– Oczekuje pana – dorzuca Betty.

– Cudownie. – Przewracam oczami. Dziękuję sekretarce i odsyłam ją do domu. Po co zabijać posłańca?

– Sprowadź go tu – nakazuję Claude'owi. Mam na myśli Coltrane'a. – Jeśli będziesz musiał, wywlec go siłą z wychodka.

Jeszcze jedna próba i będę musiał stawić się w sądzie. Może przyniosę im prezent – przyjemny, niezbity dowód identyfikujący mordercę Scofieldów. Tylko w ten sposób mogę przebłagać Prusaka.

Coltrane patrzy na mnie, jakby wiedział, że nadeszła moja kolej.

– Cleo. Mogę ci mówić po imieniu? – pytam.

Kiwa głową.

W rękę trzymam plastikowe okładki. Wyciągam z nich błyszczącą kolorową fotografię o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i kładę ją przed nim na stole.

– Znasz tę kobietę?

Patrzy na głowę martwej Karen Scofield i przełyka ślinę. Brązowe skrzepy krwi i pusty oczodół, wpatrujący się w niego z fotografii.

Potrząsa głową.

– Nie znałeś jej, lecz już ją widziałeś, prawda, Cleo? Tej nocy nad strumieniem?

– Nie – mówi. – Nigdy jej nie widziałem.

– Te ślady – wskazuję palcem jej brew i policzek – wiesz, jak powstały, nieprawdaż, Cleo?

Znów potrząsa głową.

Od początku sprawy jej obraz zaciemniali mi eksperci od portretów psychologicznych i ich teorie na temat okaleczenia twarzy Karen Scofield, a zwłaszcza wyłupienia jej oka.

Gnębiło mnie to tygodniami, aż do wczoraj, kiedy wreszcie wpadłem na trop, siedząc w ciszy mojego gabinetu, u schyłku dnia, pochłonięty samotną pracą – te poszarpane, głębokie rany brwi i policzka Karen Scofield...

– Pozwól, że ci opowiem, jak do tego doszło – oznajmiam. – Są to ślady szponów, wielkiego ptaka. Ptaka drapieżnego. Twojego ptaka, Cleo. To Harvey je zrobił.

Kreci głową przecząco, zamknąwszy oczy, ale z jego ust nie pada ani jedno słowo.

Dziś rano Claude przesłał kopię tego zdjęcia Williamowi Rattiganowi w Światowym Centrum Ptaków Drapieżnych. Ornitolog powiedział mi to, czego nie mógł mi powiedzieć żaden patolog ani psychiatra – że to nie morderca wylupił oko Karen Scofield, lecz że zostało ono wyrwane z jej głowy ostrymi jak brzytwa szponami olbrzymiego ptaka drapieżnego.

Daję Coltrane'owi chwilę oddechu. Fotografia leży przed nim na stole.

– To był długi dzień – mój głos łagodnieje – zaczynam odczuwać zmęczenie, więc zdradzę ci, co się z tobą stanie. I możesz mi wierzyć, że to święta prawda.

Nie ma sensu dłużej tego ukrywać.

– Słyszałeś kiedyś o DNA?

– Słyszałem – potwierdza.

– To kwestia genetyki – wyjaśniam. – Chromosomy, ten podstawowy budulec życia, sprawiają, że wszyscy różnimy się od siebie. Masz inne chromosomy niż ja, inne niż porucznik Dusalt.

Coltrane patrzy na Claude'a wzrokiem świadczącym, że to miła dla niego wiadomość.

– Twoje chromosomy są właściwe tylko tobie – ciągnę. – A znajdują się one we włosach i we krwi, nawet w ślinie.

Na chwilę przestaje żuć. Zastanawia się intensywnie. Czy spluwał wtedy, na drzewie? Wyraz jego oczu zdradza, że nie pamięta.

– Mając odrobinę twojej śliny i kroplę twojej krwi, będziemy mogli ustalić, czy te chromosomy, które odkryliśmy, należą do ciebie i nikogo innego na świecie.

Mówiąc to, sięgam do kieszeni spodni. Cleo wpatruje się we mnie, jakby sądził, że wyjmę coś ostrego, może jakąś igłę, by pobrać mu krew. Ale ja wyjmuję jedno małe piórko, delikatne i zwiewne jak pajęczynka w jaskrawym świetle jarzeniówek. Trzymam je palcem wskazującym oraz kciukiem i obracam powoli.

– Cleo, krew możemy pobrać później – mówię. – Ponieważ Harvey również ma chromosomy.

Wyraz jego oczu świadczy, iż moje słowa i cichy dramat prezentacji piórka zgubionego przez jakiegoś gołębia na placu koło sądu wywarły na nim silne wrażenie, jak

wybuch bomby – on i Harvey zostali schwytani, ptaki z jednego gniazda.

Oddycha głęboko. Patrzy na mnie, potem na Claude'a.

– Możecie to zrobić? – pyta. Chodzi mu o DNA.

– Możemy – potwierdzam. – A jeśli będziemy musieli, znajdziesz się w trudnej sytuacji. – W moim głosie pojawia się nowy ton. Zmęczyło mnie już cackanie się z nim.

Jego jabłko Adama zaczyna podskakiwać, oczy omiatają pokój, wędrują od Claude'a do mnie.

– Za to, co zrobiłeś, dostaniesz co najmniej trzy lata – kontynuuję. – Komisja od zwolnień warunkowych nie będzie zachwycona tym, iż odmówiłeś nam pomocy w schwytaniu mordercy.

– Cleo – pochylam się ku jego twarzy. – Uwierz mi, że jeśli nam nie pomożesz, dostaniesz więcej niż trzy lata. – W moim głosie dźwięczy powaga Jahwe zapisującego przykazania na kamiennych tablicach.

Coltrane wpatruje się we mnie okrągłymi oczami. Chwila milczącego namysłu. Mijają sekundy, podczas których rozważa wszystkie możliwości. Zaczyna balansować na krawędzi. Szczęka opada mu nieco.

Wtedy za moimi plecami otwierają się drzwi. Odwracam się. To Denny Henderson.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Henderson byłby już klientem zakładu pogrzebowego. Coltrane wybija się z transu, mechanizm się zatrzymał.

Wpizam się wzrokiem w Denny'ego.

– Co, do jasnej cholery?

– Myślałem, że chciałbyś się o tym dowiedzieć – mówi. Podaje mi skrawek papieru. Przyglądam mu się. Jakieś nazwisko, napisane na czymś, co wygląda na oddarty róg żółtej strony książki telefonicznej.

– Co to?

– Nazwisko właściciela tego terenu. Przy Putah Creek – wyjaśnia. – Tam gdzie załatwiono Scofieldów.

Rzucam okiem na wymiętoszony świstek, notatkę wręczoną mi przez Denny'ego. Przerażliwy jazgot sygnału alarmowego rozlega się w mojej głowie na sekundę przed tym, nim udaje mi się w pełni zrozumieć. Miałem to przed sobą przez cały ten czas. Czuję, że krew odpływa mi z twarzy i zaczyna ciążyć w żołądku niczym ołów, bardziej ze strachu niż z wściekłości. Spoglądam na Claude'a.

– Co to? – pyta.

Zgniatam strzępek papieru w dłoni, wyciągam rękę i chwytam Coltrane'a za koszulę

na piersiach. Czysta adrenalina płynie w moich żyłach, kiedy wyszarpuję go z krzesła i rzucam na stół. Kant blatu wrzyna mu się w nerki i w krzyż, Cleo krzywi się boleśnie.

– Mów o tym facecie znad strumienia! – krzyczę. – Już! – To jedno słowo ma w sobie tysiąc watów.

Coltrane wybałusza oczy. Jeszcze mnie nie znał od tej strony.

Claude i Denny łapią mnie za ręce, usiłują oderwać je od gardła naszego świadka. Ale jestem w mocy adrenaliny i teraz nawet armia nie da mi rady.

Cleo dławi się, macha rękami. Kiwa głową na znak, że zacznie mówić, jeśli go puszczę.

– Dobra – chrypi. – Zejdź ze mnie. Powiem ci. Powiem... – dyszy. Jego twarz jest purpurowa. Kiedy wreszcie go puszczam, cały dygoce.

Na wpeł przytomnie rozpinam mu kołnierzyk, klepię po piersi, pomagam usiąść. Dusalt i Henderson powoli rozluźniają uścisk, w którym mnie zmiażdżyli, ale nadal są czujni, na wypadek gdyby znowu mnie napadło.

Obchodzę ich, podnoszę z podłogi gazetę, którą wcześniej zrzucił Claude. Kładę ją na stole przed Coltrane'em, stroną tytułową do góry i ciężko opuszczam dłoń na zdjęcie.

– Teraz pokaż mi tu człowieka, którego widziałeś tamtej nocy nad Putah Creek obok dwóch ciał – żądam.

Wzdryga się, potem nieruchomieje. Jeszcze raz patrzy na mnie w daremnej nadziei, że w ostatniej chwili oddalę od niego ten kielich goryczy. Odpowiedź odczytuje w moim nieubłaganym spojrzeniu, wbitym w fotografię.

Najbardziej zdecydowanym ruchem, szybkim i pewnym, Cleo Coltrane wymierza zakrzywiony palec wskazujący w twarz widniejącą na leżącym przed nim zdjęciu.

Mój mózg przesywa oślepiająca myśl, wizja lśniących gwoździ rozdzierających miękkie ciało, koszmarny koniec Abbotta i Karen Scofieldów – tej nocy, kiedy zamordował ich Adrian Chambers.

Kiedy biegniemy przez rynek, w głowach kołacze się nam tylko jedna myśl. Ciśnie się na usta, powtarzana nerwowo na wszystkie sposoby: czy Adrian Chambers wie, że już wiemy?

– Może Ingel mu nie powiedział – oto pobożne życzenie Claude’a na ten dzień. Ma nadzieję, że sędzia zamknął buzię, że zadzwoniwszy do mojego gabinetu i usłyszawszy, iż poszedłem na spotkanie w więzieniu z jakimś Coltrane’em, nie pomstował ani nie narzekał. Claude wie równie dobrze jak ja, że nazwisko Coltrane’a to klucz do mordercy.

Pędzimy przez rynek, obok fontanny. Denny zaczyna zostawać w tyle.

Jeśli Ingel nie poskarżył się nikomu, siedzi pewnie teraz z Lenore i Chambersem i niespiesznie omawiają zawiłości pouczenia przysięgłych.

– Jak Chambers mógłby rozpoznać nazwisko Coltrane’a? – pyta Denny.

Ciągle za nami nie nadaża, dosłownie i w przenośni.

– A jak sądzisz, kto wynajął Clea? – dyszę.

– Chambers? – dziwi się Denny.

– Jasne.

To właśnie karteczka Hendersona, notatka nagryzmołona na oddartym rogu żółtej strony sprawiła, że zrozumiałem. Właścicielem działki przy Putah Creek, na której znaleziono Scofieldów, była „A.C. Associates”, firma Adriana, jego małe królestwo z ograniczoną odpowiedzialnością. Jej nazwę przeczytałem na wizytówce, którą Chambers wręczył mi tamtego dnia, gdy razem z Harrym wpadłem na niego obok więzienia w stolicy.

Coltrane przyznał, że wynajął go telefonicznie i zapłacono mu przekazem pocztowym, że nigdy nie widział swojego zleceniodawcy i nie znał jego nazwiska. Ich ścieżki, niczym ścieżki przeznaczonych sobie przez gwiazdy kochanków, spotkały się zupełnie niespodziewanie – na przypadkowo odkrytej bocznej drodze przecinającej pustą działkę przy rzece; drodze, którą każdy z nich wykorzystał do czegoś zupełnie innego.

Kiedy wpadamy na schody sądu, moja myśl wraca do Lenore. Próbuję się uspokoić, powtarzając sobie, że Adrian jest przecież prawnikiem. Wie, że dalsze stosowanie przemocy jest bezcelowe.

Ale to jednak Adrian Chambers. I zabił już dwa razy.

Zanim wybiegliśmy z więzienia, Claude zadzwonił w dwa miejsca: najpierw do sądu, by ostrzec sędziego – nikt nie podniósł słuchawki, po godzinach nie jest to nic dziwnego –

potem do okręgowego wydziału specjalnego. Trochę potrwa, zanim się zbiorą, jakieś pół godziny. Jadą ze wszystkich stron hrabstwa.

Gdy dopadam do drzwi sądu, okazują się zamknięte. Ocieniam oczy ręką. Gdzieś w głębi, koło gabinetu sekretarki, majaczy jakieś światelko, ale nie widać strażnika ani woźnego. Może jest na obchodzie.

– Za mną! – Zbiegam po schodach, kierując się w stronę garaży na zapleczu. Drzwi znajdują się w piwnicy, te prowadzące do biblioteki są otwarte. Przechodzą nimi pracownicy, kiedy chcą znaleźć coś w książkach po godzinach pracy.

Henderson został daleko za nami. Nie zwalniam kroku, wpadam do środka i zmierzam korytarzem w stronę windy towarowej. Claude depcze mi po piętach.

W windzie rozglądam się. Ani śladu Denny’ego. Nie możemy czekać. Naciskam guzik czwartego piętra i ciężkie, okratowane drzwi zamykają się za nami.

Po chwili Claude i ja stajemy przed wielkimi podwójnymi drzwiami wydziału czwartego. W sądzie panują egipskie ciemności, ale przez wąską szczelinę w drzwiach z kuloodpornego akrylu widzę w głębi światło, na biurku sekretarki tuż przy kancelarii sędziego. Nasłuchuję głosów, lecz osiem centymetrów dębowego drewna i stali między mną a wewnętrznymi pomieszczeniami skutecznie tłumi wszelkie hałasy.

Sięgam w kierunku ciężkiej klamki i poruszam nią, tylko odrobinę. Drzwi uchylają się nieznacznie. Nadal nic nie słyszę.

– Być może zamknęli drzwi do kancelarii sędziego – mówię.

– Być może – potakuje Claude. Zaczyna grzebać w nogawce, przy czymś przytroczonym do kostki. Podaje mi to. Mały półautomatyczny pistolet. Jego zapasowy.

– Na wszelki wypadek – szepcze.

Potrząsam głową i oddaję mu go.

– Postrzeliłbym się.

Krzywi się z niedowierzaniem.

– Albo kogoś innego – dodaję.

– O to chodzi.

– Nie. Ty to trzymaj. Nawet jeszcze nie wiemy, czy coś tu nie gra.

Claude patrzy na mnie jak na głupca.

– Słuchaj, oni na mnie czekają. Ten telefon. Może po prostu załatwię to zgodnie z prawem. Wejść i się rozejrzeć. Ty obserwuj mnie przez drzwi. Jeśli usłyszę głosy i podejść do ławy, dam ci znak. Wejdiesz i zaczekasz tutaj – wskazuję mu tonący w cieniu zakątek za ławą.



– A potem? – pyta.

– Wśliznę się do kancelarii i będę nasłuchiwał. Wierz mi, siedząc tutaj słyszy się wszystko, co się dzieje w kancelarii. Zrobię to.

– Aha – Claude czeka na dalszą część planu.

– Jeśli mówią o pouczeniu przysięgłych, wkroczę tam i opowiem sędziemu jakąś bajeczkę. Na przykład, że na parterze są strażacy, bo z piwnicy wali dym i wszyscy mają wynosić się z budynku. Kiedy wyjdą, zgarniesz Chambersa.

Wpatruje się we mnie – opadające bruzdy wokół nosa, mina rodem ze Starego Świata, jakby w życiu nie słyszał niczego przyjemniejszego. Wkłada pistolecik do kieszeni marynarki i sięga pod płaszcz po coś większego. Błękitna stal i lufa jak armata.

Kucam, wyciągam rękę i jeszcze raz naciskam klamkę. Wyprostowuję się i wchodzę w ciemności korytarzyka, pomieszczenia cztery na cztery, które otwiera drogę na salę sądową. Ława sędziowska pod przeciwną ścianą tonie w mroku. Widzę jedynie zarysy i mosiężne szpice flag. Ani śladu żadnego ruchu. Po lewej stronie ławy jaśniej nieruchoma plama światła z holu prowadzącego do biurka sekretarki w głębi sali. Wciąż nie słyszę żadnych głosów, jedynie ciągły szum klimatyzacji za małymi kratkami na wysokim suficie.

Ruszam cicho głównym przejściem, w stronę barierki. Dwoma palcami, jak żywymi kleszczami, uchylam wahadłowe drzwiczki przechodzę i zamykam je za sobą bezszelestnie.

Odwracam się i rozglądam dokoła. Widzę Claude'a, który obserwuje mnie przez szparę w drzwiach, na jego broni połyskuje odbicie światła z korytarza. Ktoś, jakaś zgarbiona postać, podchodzi do niego od tyłu, pochyla się nad nim. Bez wątpienia wreszcie dołączył do nas Denny.

Zbliżam się do schodów prowadzących do fotela sędziowskiego. W słabym świetle dostrzegam dwa ostre wierzchołki drzewców flag i fotel, w tej chwili obrócony oparciem do mnie. Usiłuję przyzwyczać wzrok do ciemności.

Jest coś dziwnego w tym fotelu, jakaś dziwaczna deformacja, jakaś narośl na oparciu. Jego skóra wybrzuszyła się i przybrała niewyraźny kształt.

Pora, żeby Claude dołączył do mnie. Odwracam się ku drzwiom. Patrę. Claude zniknął. Nie ma nikogo. Rozglądam się przez chwilę, czy nie przesunął się po prostu, czy nie zmienił pozycji. Nic.

Znowu spoglądam na fotel, górujący nad ławą. Wpatruję się w niego. Ani odrobiny ruchu, żadnych odgłosów. Cicho zdejmuję mokasyny i w skarpetkach wspinam się po drewnianych schodkach w stronę ławy. Kiedy dochodzę do ich szczytu, wyciągam rękę w kierunku oparcia fotela i popycham je delikatnie.

Fotel obraca się powoli jak karuzela wokół własnej osi. W półmroku zaczynam rozpoznawać ludzką postać, kogoś siedzącego w fotelu, kogoś ze zniekształconymi rysami. Jego oczy wychodzą z orbit, ręka opadła, usta się otworzyły. Na czarnej todze strugi krwi wsiąkają w materiał i znikają gdzieś w fałdach. W piersi tkwi jeden z zastrzonych metalowych gwoździ, wzięty pomiędzy innych dowodów rzeczowych. Derek Ingel nie wyjedzie na swoje wakacje.

Zastygam w miejscu, czuję, że stopy wrosły mi w podłogę. Nie mogę się poruszyć. Trwam tak przez parę sekund, przywarłszy spojrzeniem do martwej twarzy Prusaka.

Potem słyszę jakiś szmer. Najcichszy z dźwięków wytrąca mnie z mego pełnego przerażenia transu. Oglądam się. Nikogo. Claude'a ciągle nie ma. Potem dociera do mnie. Odgłos. Ktoś wcisnął guzik blokujący od wewnątrz drzwi.

W wydziale czwartym prowadzi się sprawy kryminalne. Jest tu system alarmowy lepszy od wszystkich spotykanych w sądach oraz kuloodporne drzwi, które można zamykać elektronicznie w dwóch punktach: z miejsca zastępcy, za ławą, i z zewnątrz, z miejsca sekretarki. Zamknięte drzwi może otworzyć jedynie klucz zastępcy.

Jestem uwięziony w sali, sam na sam ze śmiercią. Przypominam sobie o Lenore gdzieś w dalszych pomieszczeniach. Wzdycham tęsknie za pistolecikiem Claude'a, porzuconym na korytarzu. Gdzie on jest, do cholery?

W ciemnościach spowijających ławę sędziowską, po której schodkach spływa krew, mam na tyle przytomności umysłu – a może to po prostu bezmyślny odruch – że wkładam buty.

Podchodzę do wózka z dowodami rzeczowymi, stojącego kilka metrów dalej. Przyglądam się mu. Cztery z metalowych gwoździ, zakrzywionych czterdziestocentymetrowych kawałków żelaza, ktoś zaostrzył na końcu, zanim przeszły ciała ofiar. Na wózku zostały tylko dwa. Jednym zabito Ingela. Biorę te, które zostały.

Trzymając się ściany, sunę korytarzem na zaplecze sali, w kierunku prywatnych gabinetów. Są jasno oświetlone lampami fluorescencyjnymi. Przy drzwiach gabinetu sekretarki zerkam jednym okiem zza framugi. Pokój jest pusty. Na biurku widzę kółko z kluczami tak duże, że mógłby je nosić dozorca więzienny. Są na nim cztery klucze. Wydaje mi się, że jeden z nich może pasować do zamka w drzwiach. Leżą pośrodku biurka, tak doskonale widoczne, że zaczynam się zastanawiać, czy to nie jakaś pułapka.

Po lewej znajdują się drzwi do kancelarii sędziego; są uchylone, wewnątrz pali się światło. Ale z miejsca, w którym stoję, niczego nie mogę dostrzec. Musiałbym wejść do środka, minąć biurko sekretarki.

Drzwi po prawej, nieco cofnięte, są dla odmiany zamknięte. Prowadzą do wewnętrznego korytarza łączącego wszystkie sale rozpraw na tym piętrze. Jest on zamknięty dla publiczności, korzystają z niego tylko sędziowie i ich personel, by łatwiej było przekazywać informacje i dokumenty. Z każdej strony, z której korytarz łączy się z pomieszczeniami publicznymi, wejście do niego zamykają pancerne drzwi. Podobno tylko sędziowie znają kombinację przycisków, pozwalającą wejść na ten święty teren – wewnętrzny korytarz strzeżony przez stalowe drzwi.

Rozglądam się po pokoju sekretarki, zastanawiając się, gdzie Adrian mógłby się ukryć, gdyby się na mnie zaczął. Jest tu parę kryjówek. Stawiam na kancelarię sędziego.

Zbliżam się do drzwi, w prawej ręce trzymając uniesiony gwóźdź – gotów do użytku.

Teraz mogę zajrzeć przez drzwi do gabinetu Ingela. Widzę biurko i stojące za nim krzesło. Potem, nieco dalej, dostrzegam ją. Lenore leży na kanapie, pod przeciwległą ścianą pokoju, tyłem do mnie. Zdaje się, że ręce i nogi ma związane białą linką. Adrian dobrze wykorzystał wózek z dowodami rzeczowymi. Miał tam wszystko, czego potrzebował.

Kiedy wychodzę zza biurka, moje pole widzenia poszerza się – obejmuję wzrokiem cały pokój, przestrzeń pod biurkiem, zakątek za kartoteką, wszystkie miejsca, gdzie mógł się schować Chambers. Sięgam po klucze leżące na biurku. Mimo moich starań dźwięczą cicho, kiedy je podnoszę.

Skradam się ku gabinetowi Ingela. Zaglądam przez szparę w zawiasach. Za drzwiami nie ma nikogo. W uniesionej ręce przez cały czas trzymam gwóźdź, na wypadek gdyby Adrian rzucił się na mnie. Do tej pory na pewno już wie, że tu jestem. Chętnie uznałbym, że uciekł tylnym wyjściem, gdyby nie to, że drzwi zatrzaśnięto od zewnątrz. Ktoś musiał to zrobić.

Jest tu, wiem o tym. Dalsze utrzymywanie, że nie żywi do mnie osobistej urazy, to zamykanie oczu na fakty. Pod jednym względem miałem rację. To, co powiedział wtedy w moim biurze, jego ostatnia daremna próba osiągnięcia porozumienia wskazywała, że powinien raczej zgłosić się do psychiatry.

Teraz widzę Lenore wyraźniej. Z tej odległości nie mogę dostrzec, czy oddycha. Szukam krwi. Potem znajduję. Plama zakrzepłej krwi na białej bluzce, tuż przy szyi. Stoję, wpatruję się w to w osłupieniu. Po takiej utracie krwi nie może być żywa. Wciąż stoję, oszołomiony, wściekły, czując, że burzą się we mnie moje hormony, które kazały mi zwlec Coltrane'a z więziennego krzesła. Czuję je w zaciśniętych pięściach, w koniuszkach uszu, wypełniają mi głowę jak roztopiony ołów. Patrzę na nieruchome ciało Lenore Goi, skrepowane na kanapie, z ugiętymi kolanami, z rękami wykręconymi i związanymi na

plecach.

Jeśli Adrian Chambers jest w tym pokoju, tylko jeden z nas wyjdzie stąd żywy.

Powoli uchylam drzwi, pozwalając, by otworzyły się same. Kiedy zakreślają wolno łuk w kierunku ściany, przestępuję próg.

Nic.

Pokój jest pusty. Rozglądam się. Przestrzeń pod biurkiem – to jedyne miejsce, w którym można by się schować. Drzwi uderzają o ścianę z lekkim stuknięciem i nagle coś się porusza. Na kanapie. Goya usiłuje odwrócić głowę. Rzucam się ku niej, dotykam jej i czuję ciepło ciała, dające mi pewność, że Lenore żyje. Potem to poznaję: szmata z zaschniętymi śladami krwi. Chambers wziął ją z wózka z dowodami i zakneblował nią Lenore. Rozwiązuję szmatę.

– Gdzie on jest? – pytam.

Brak jej tchu.

– Nie wiem. – Łapie powietrze. – Wyszedł gdzieś i straciłam go z oczu. Kroki wskazywały, że opuścił pokój.

Walczę z więzami na jej przegubach. Zanim udaje mi się je rozplatać, mija kilka sekund. Lenore odwraca się i siada. Razem szarpiemy się z więzami na kostkach. Sznur jest ciasno zasupłany. Wreszcie biorę z biurka nożyczki i przecinam go. Żegnajcie dowody.

– Wynosimy się stąd! – Podnoszę ją i prowadzę do drzwi, obok biurka sekretarek i przez korytarz prowadzący na salę sądową. Mam kłopoty ze wzrokiem, oczy nie mogą się przyzwyczać do mroku po wyjściu z jasno oświetlonego pomieszczenia.

Słyszę jakiś hałas. Ktoś usiłuje otworzyć drzwi wejściowe, szarpie się z zamkiem. Wtedy zauważam ich przez wąskie szczeliny w drzwiach – Denny’ego Hendersona i jakiegoś policjanta w czarnym uniformie, z automatyczną strzelbą. Obaj próbują wyważyć drzwi, napierając na nie ze wszystkich sił.

Denny macha do mnie, wali w drzwi, gestykuluje, stara się krzyknąć tak głośno, żebym go usłyszała. Przykładam rękę do ucha i wzruszam ramionami.

Robię jeszcze jeden krok i nagle moje lewe ramię przeszywa rozdzierający ból, gorący jak uderzenie pioruna. Oszłamia mnie; patrzę w dół i widzę, że spod marynarki wystaje mi osiem centymetrów zimnego metalu gwoźdźnia wyostrzonego jak sztylet. Kolana uginają się pode mną, ogarniają mnie mdłości. Nie mogę oderwać wzroku od ostrza, obserwuję, jak znika, wysuwa się z mojego ciała niczym łódź opuszczająca przystań.

Odwracam się i tnę na oślep. Chybiam. Ale dostrzegam Chambersa, jego ciemną sylwetkę, oświetloną od tyłu światłem z korytarza.

– Uciekaj! – krzyczę do Lenore. Stoję między nią a Chambersem. Ale on mnie odpycha, a Goya nie biegnie dość szybko. Chwyta ją za ramię, unosi gwóźdź. Zanim jednak zdążył go opuścić, tnę go przez twarz moją bronią, znacząc jego policzek krzywym łukiem rany. Adrian wrzeszczy. Uderza Lenore pięścią w szczękę. Siła ciosu odpycha ją aż do ławy.

Teraz odwraca się do mnie, wymierza cios, trafia w ścianę obok, robiąc w niej dziurę. Wyszarpuje gwóźdź i wali mnie nim w głowę niczym kijem.

Osuwam się bezwładnie na podłogę. Próbuję się czołgać, czepiam się ściany, by wstać, czuję ciepło krwi uchodzącej z mojego ciała, ślizgam się w niej.

Adrian rusza na Lenore. Wstała już, biegnie po schodach – to jej jedyna droga ucieczki. Dociera na ostatni stopień, kiedy Chambers łapie ją za kostkę, zdziera z jej stopy pantofel na wysokim obcasie i popycha ją na flagi. Goya wymierza mu drugą nogą kopniak, który odrzuca go na pewną odległość. Walcząc z zawrotami głowy i zamroczeniem, zadaje mu jeszcze jeden cios, w udo. Uderzenie nie jest mocne, ale odwraca jego uwagę.

Chambers rzuca się na mnie. Staje nade mną – ogromna, piętrząca się postać o oczach szklistych jak ślepień wściekłego psa. Błękitna wełna jego marynarki marszczy się, kiedy Adrian podnosi obie ręce, w których ściska metalowy gwóźdź. Ramiona wzniesione nad głową nadają mu wygląd kapłana składającego bogom ofiarę. I nagle przez szew jego koszuli przenika coś jakby grot strzały; ostry niczym sztylet przebija jego pierś. Chambers zamiera w miejscu, zastyga znieruchomiały ze zdziwienia. Słyszę bulgot krwi przedostającej się do jego płuc, widzę niemal żartobliwy wyraz twarzy, jakby Adrian zobaczył coś za zasłoną. Potem pada bezwładnie na podłogę. Z jego pleców wystaje na wpół rozwinięta flaga.

Wtedy dostrzegam Lenore, stojącą w rozkroku dla utrzymania równowagi, z zakrwawionym podbródkiem, ze wzrokiem wbitym w nieruchome ciało na podłodze. W jej oczach, w jej zaciętych ustach nie widzę ani śladu żalu czy współczucia. Kiedy zaczyna mi się robić ciemno przed oczami, w moim umyśle powstaje wizja ognia, wiatru i snopów iskier – płomienna postać bogini wojny.

# Epilog

To już pięć miesięcy. Sprawę Rosjanina odroczoneo wskutek nieczystych gier i knowań jego adwokata.

Dziś moje ramię jest ogniskiem bólu. Nauczyłem się, że bywają dni dobre i złe – wieczna pamiątka po Adrianie Chambersie. Lekarze twierdzą, że z czasem, stosując odpowiednią terapię, zdołam odzyskać dawną formę.

Przez wszystkie te pełne bólu miesiące Nikki okazywała mi serce, zapominając o niebezpieczeństwie, na jakie nas niechcący naraziłem. Zdaje się, że tamtego popołudnia nie mogłem się do nich dodzwonić, ponieważ Nikki zabrała Sarah do kina w Placerville. Na tę czterdziestokilometrową wycieczkę zamówiła taksówkę. Mam rachunek, który to potwierdza.

Nikki opiekowała się mną, odkąd wróciłem ze szpitala, osuszając moją ranę i zmieniając mi opatrunki. Przegadaliśmy długie godziny na temat życia i znaczenia miłości. Wreszcie zrozumiałem, że największą i najważniejszą zaletą Nikki jest zdolność przebaczenia. Dziś moja żona czeka na mnie na dworze w samochodzie.

Kiedy mijam recepcję, Jane Rhodes wita mnie z uśmiechem. Atmosfera w biurze zelżała. Zdaje się, że częściowo jest to odbicie mojej radości z przekazania pałeczki komuś innemu. Już nie jestem prokuratorem okręgowym hrabstwa Davenport.

Podchodząc do drzwi, zauważam mężczyznę w białym kombinezonie zdrapującego z marmurkowego szkła złote litery – ostatnie wspomnienie po Mariu spada w strzępkach na podłogę.

Ktoś będzie mi musiał pomóc przenieść pudła z rzeczami do samochodu. Kilka osób z biura już zaoferowało swoją pomoc.

Ciągle dowiaduję się nowych szczegółów tej historii. Po trzech dniach pobytu w szpitalu usłyszałem, co przydarzyło się Claude'owi tamtej nocy w korytarzu. Wylądował w szpitalu ze wstrząśnięciem mózgu i przez miesiąc był na zwolnieniu. Ślad na jego głowie doskonale pasuje do ciężkiego marmurowego młotka sędziowskiego, leżącego na biurku Ingela w charakterze przycisku do papieru. Postać, która pochylała się w mroku nocy nad Claude'em, nie była Dennym Hendersonem.

Policja wpadła na trop Adriana po kilku drobiazgach, które zgubił podczas swoich peregrynacji. Kiedy zabił Ingela i związał Lenore, wyszedł z sali sądowej przez prywatny, zamknięty korytarz. Otworzywszy drzwi prowadzące do holu głównego, mógł podejść do Claude'a od tyłu i wrócić na salę tą samą drogą. Reszta jest znana.

Zdaje się, że Adrian narobił niemałych długów. Zanim przywrócono mu prawo do wykonywania zawodu, zajmował się handlem nieruchomościami. Nie powiodło mu się wskutek spadku cen gruntów i rozrzutnego trybu życia. Widziałem już pomieszczenia „A.C.Associates” po drugiej stronie rzeki, w stolicy, bardziej szykowne niż prywatny wychodek papieża i mniej więcej tak wysmakowane. Aby się ratować, Adrian stosował sposób Ponziego – kradł pieniądze tych, którzy zainwestowali później, żeby spłacić wcześniejszych inwestorów. Cała armia księgowych usiłuje teraz oszacować rozmiar wszystkich strat i defraudacji. Ja przestałem liczyć, kiedy suma przekroczyła dwanaście milionów dolarów. Podobno to zaledwie połowa kwoty.

Chambers miał nóż na gardle. Czasu było coraz mniej. Dzierżawcy terenów nad Putah Creek dostarczali mu drewna, którego sprzedaż pozwalała mu utrzymać się na powierzchni. Wtedy pojawiły się ptaki.

Sokoły wędrowne zwróciły na siebie jego uwagę, kiedy miejscowy farmer zauważył, że polują na jego gołębie, i poskarżył się Adrianowi, co wiemy od jego żony, obecnie pograżonej w żałobie wdowy. W miesiąc po rozmowie z Chambersem farmer zginął w tajemniczym wypadku, zmiażdżony kołami swojego traktora i rozszarpany na strzępy ostrymi metalowymi zębami brony, którą właśnie ciągnął przez pole. Policjanci przyglądają się teraz z bliska temu wypadkowi. Chyba nigdy nie dowiemy się, czy Adrian maczał w tym palce.

Parę pytań, niewielkie poszukiwania i Chambers zrozumiał wkrótce, na czym polega niebezpieczeństwo: każda próba eksploatacji tego terenu pociągnęłaby za sobą sporządzenie raportu dłuższego niż Biblia i tak jak ona opisującego historię stworzenia. Gdyby agencje rządowe wywnioskowały na jego podstawie, że na tym obszarze przebywają gatunki zagrożone, mógłby ucałować na pożegnanie swoją perspektywę sprzedaży. Państwo uznałoby ten teren za siedlisko naturalne i wprowadziło surowe restrykcje co do jego eksploatacji i ceny. Nie mogąc spłacić ogromnych sum skradzionych inwestorom, Chambers znów znalazłby się w więzieniu, tym razem na dłużej niż poprzednio.

Wtedy pojawił się Cleo Coltrane. Kiedy Scofieldowie dowiedzieli się, że jakiś drapieżnik dziesiątkuje ptaki, dotarli do Clea, a od niego szybko trafiliby do Adriana. Chambers, rozpaczliwie potrzebujący pieniędzy, usiłując spieniężyć jedyną rzecz, jaka miała wartość, musiał coś zrobić. W końcu co znaczą dwa następne trupy? Morderstwa znad Putah Creek dostarczyły mu przykrywki. Odpadła konieczność uciekania się do niewytłumaczalnych wypadków, jak ten z farmerem.

Powinienem był to zauważyć, te nie kończące się próby włączenia zabójstwa Scofieldów do aktu oskarżenia wraz z pozostałymi. Chambers miał nadzieję, że jeśli sąd

oskarży, Andre Iganovicha o wszystkie morderstwa, policja zamknie dochodzenie w sprawie Scofieldów. Przysięgli nigdy nie skazaliby drugiego podejrzanego, gdyby Rosjanin zaczął odsiadkę. Dla Adriana nie była to kwestia sprawiedliwości, chodziło mu jedynie o skuteczność. Wiedział, że to Iganovich zabił czworo studentów, i aż się prosiło, by oskarżyć go o Scofieldów.

Co do Rosjanina, policja z Oregonu i hrabstwa Orange zamknęła wreszcie dochodzenie. Znalaziono dowód rzeczowy łączący go z tymi zbrodniami. Z czasem przy pomocy Departamentu Stanu trafiliśmy na długi i ponury szereg porzuconych zwłok i nie wyjaśnionych morderstw – co najmniej dwanaście przypadków w trzech państwach Europy Wschodniej, w miejscach, w których mieszkał Andre Iganovich, czekając na przyznanie mu wizy amerykańskiej. To, że ktoś taki mógł tak łatwo zostać ochroniarzem, rzuca cień na ten zawód.

Odnalazł się też nasz brakujący fragment linki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności natknęliśmy się na nią, wciąż w oznaczonej plastikowej torebce, leżącą na widoku na podłodze w bibliotece, dokładnie tam, gdzie pracowali fotografowie. To było nazajutrz po tym, jak Chambers przebił mi ramię gwoździem. Podobno Roland szukał czegoś na półkach, a zaraz potem sekretarka znalazła ów zaginiony dowód. Dziś po południu Overroy ma wyznaczone spotkanie z zastępcami Claude'a, którym będzie się tłumaczył.

Zdaje się, że podczas naszego ostatniego spotkania w moim biurze Chambers powiedział prawdę. Jego udział w sprawie Putah Creek nie był podyktowany pobudkami osobistymi, nie wynikał z chęci zemsty. Jak zauważył Jacoby z Kanady, Adrian gonił za oskarżonym niemal aż do granicy, tak bardzo chciał się zająć obroną mordercy, kimkolwiek miał się on okazać. Pewnie czytał dokładnie wszystkie gazety, przez wiele dni podpytywał policjantów. Nie szukał rozgłosu. Chodziło mu o coś innego: musiał podjąć rozpaczliwy wysiłek obrony swoich interesów.

Stąd jego niezmordowane wysiłki, by doprowadzić do ugody. To dlatego usiłował obciążyć swojego klienta wszystkimi sześcioma morderstwami, również Scofieldów. Ten szybki, nieczysty ruch miał rozwiązać wszystkie jego problemy. Kiedy zawiodła pierwsza próba osiągnięcia porozumienia, sięgnął po mniej subtelne środki: fotografię bawiącej się Sarah i anonim z pogrózkami. Policjanci odkryli na kartce znak wodny podobny do tych na papeterii znalezionej na biurku Chambersa. Odszukali też stare egzemplarze „Reportera Kryminalnego”, drukowane czcionką zastosowaną w anonimie.

Zdejmuję ze ściany ostatni przedmiot – dyplom z gratulacjami bonzów tego hrabstwa, efekt spisku uknutego przez Emila podczas mojej nieobecności, ostatniego durnego gestu.



Kiedy wrzucam go do pudła, jakiś cień wypełnia przestrzeń drzwi za moimi plecami. Odwracam się. To Lenore Goya.

Wygląda na to, że ratując nam obojgu życie, Lenore stała się bohaterką. Gazety z całego kraju rozpisują się na ten temat. Nikt nie przysłużył się lepiej sprawiedliwości w sądzie Dereka Ingela niż ona ze swoją włócznią.

Ojcowie hrabstwa, usiłując ratować twarz, zaproponowali jej posadę Maria. Chyba się spóźnili. Goya jest teraz zasypywana lepszymi ofertami, łącznie z propozycją gubernatora, by zajęła miejsce Dereka Ingela. Jakoś nie wyobrażam sobie Lenore w todze. Chybaby ją to nudziło.

– Jak się czujesz? – zagaduje.

– Dobrze. A ty? – Rana na jej policzku i brodzie dawno się zagoiła.

Uśmiecha się, jakby nigdy nie czuła się lepiej.

– Prawie minąłeś się z Rolandem – mówi. – Miał lepsze pudła.

Overroy też opuścił swój gabinet. Zrozumiał, co się święci, i ku powszechnej uldze oszedł na emeryturę. Jego akcje w tym hrabstwie ostatnio spadają. Pominąwszy sprawę zaginionego dowodu, jego udział w ofercie ugody wysuniętej przez Adriana zaczął budzić zdziwienie władz – to, że tak łatwo i tak publicznie dał się zrobić w konia. O tym, że przywódcy hrabstwa mogli wplątać się w tę samą ugodę, że błagali o nią na klęczkach, jakoś zapomniano.

– Kto wziął Iganovicha? – pytam.

– Prokurator generalny – odpowiada. – Tak chyba będzie najlepiej.

Lenore nie będzie się zajmować tym aktem oskarżenia. Mówi, że między innymi zastanawia się nad kierowniczym stanowiskiem w biurze prokuratora regionu stołecznego.

– Może czasem – dodaje – spotkamy się po przeciwnych stronach.

– Może – uśmiecham się.

Wyciągam ku niej zdrową rękę. Podchodzi bliżej, nachyla się tuż nad moim uchem, całuje mnie delikatnie w kark, ściska i już jest za drzwiami, oddala się korytarzem.

Schodząc po szarych kamiennych schodach w kierunku placu i czekającego na mnie samochodu, widzę odległe o setki kilometrów łańcuchy Sierra, ich sylwetki ostro rysujące się na tle wspaniałego, nierealnie błękitnego nieba. Zbliża się grudzień, w powietrzu czuć mróz.

Spoglądam na zachód, w stronę pól, nad którymi wiatr unosi obłoczki kurzu. Z oddali słyszę gwizd, cichy i przeraźliwy, jak odwieczny skrzek skrzydlatego drapieznika.

Nieruchomieję, odwracam się i nasłuchuję. Dźwięk jest kryształowo czysty, jasny i nie budzący wątpliwości. To tylko wiatr, krzyczący w kanionach Putah Creek.